

CHarLes
marTin

W POGONI
za
ŚWIE TLIKAMI



LaBirYnty
KOLEKCIJA 2021

Martin Charles

W pogoni za świetlikami

Poznawanie prawdy może być ulotne i magiczne, jak łapanie świetlików w ciemną, letnią noc... Reporter lokalnej gazety, Chase Walker, zajmuje się sprawą porzuconego na przejeździe kolejowym chłopca. Mężczyzna - sam wychowywany w rodzinie zastępczej - postanawia zaopiekować się zaniedbanym dzieckiem. Nieoczekiwanie poznaje własną historię i dowiaduje się, kim w rzeczywistości są otaczający go ludzie.

Prolog

Jadący ostro w mglistym blasku poranka zielony, czterodrzwiowy Chevrolet impala rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi skręcił z piskiem z szutrowej drogi na szosę dziewięćdziesiąt dziewięć, zostawiając za sobą kłęby białego dymu wydobywające się spod łysych opon. Zdezelowana rura wydechowa wyrzucała iskry, a jej końcówka wyglądała spod zderzaka jak tłące się cygaro. Silnik zarzęził, strzeliło z tłumika i samochód wjechał na długi na milę prosty odcinek biegnący wzdłuż torów kolejowych. Lewe tylne światło stopu było rozbite, a przednią szybę pokrywała pajęczyna pęknięć.

Wkrótce prędkościomierz pokazywał już dziewięćdziesiąt mil na godzinę, ale przekłamywał szybkość o jakieś dobre trzydzieści lub nawet czterdzieści mil. Po przejechaniu jeszcze ćwierci mili kierowca nacisnął pedał hamulca obiema nogami, wgniatając go w podłogę. Wijąc się od linii środkowej do pobocza aż na pas zapasowy i z powrotem, samochód pędził jak rozwiązany balon, który wyrwał się z rąk klauna. Na końcu dwóch długich czarnych linii kierowca wrzucił wsteczny na maksa, wykorzystując całą moc silnika, wypuszczając jeszcze więcej białego dymu spod tylnych kół i z rury wydechowej. Nie sygnalizując zamiaru skrętu, auto zawróciło, zakołysało się, a kierowca mocno nacisnął pedał gazu.

Dzieciak siedzący na miejscu pasażera wpatrywał się w lusterko, mrużąc powieki, tak że górne i dolne rzęsy stykały się z sobą, a wtedy przed jego oczyma pojawiał się deszcz

iskier. Gdyby w tym momencie zamknął oczy, iskry zamieniłyby się w magiczną fontannę świetlików tańczących na asfalcie południowej Georgii.

Pędząc po nie swoim pasie ruchu, samochód dojechał do miejsca, gdzie droga krzyżowała się z torami kolejowymi. Fontanna znikła. Za to spod maski buchnęła para, wirując w koło i otaczając maskę przypominającą buldoga. Podsufitka w aucie miejscami była oderwana, a że wszystkie cztery okna, z wyjątkiem małych nawiewek, były otwarte, przeciąg sprawił, że materiał napiął się jak namiot. Samochód zaczął dymić, stojąc w bardzo niewielkiej odległości od torów.

Historycznych torów.

Srebrny Meteor, wypuszczony w lutym 1932, pędził jak wystrzelona srebrna kula. Przed drugą wojną wsiadali do niego nasi chłopcy, dekorowali go flagami i jechali na północ do Nowego Jorku, gdzie wskakiwali na parowce, przepływali ocean i strzelali do Niemców. Przednie światła tworzyły ósemkę, oświetlając drogę daleko przed pociągiem, a dźwięk, jaki wydawał, jadąc, przypominał stukot telegrafu na każdej z mijanych stacji. Był wyposażony w silnik Diesla, a od roku 1936 w klimatyzację, regulowane siedzenia, wagon restauracyjny, wagon barowy oraz dysponował wagonem zwiadowczym jadącym przed pociągiem, innymi słowy: był cudem nowoczesności. Z wagonami ze stali nierdzewnej o opływowych kształtach, wagonami sypialnymi Pullmana, z konduktorami ubranymi na biało, otwierającymi drzwi i podstawiającymi podnóżek do zejścia na peron - był przepustką do lepszego świata.

W swoich najlepszych latach, poczynając od 1956 roku, odjeżdżał z Nowego Jorku o drugiej pięćdziesiąt po poł-

dniu i przyjeżdżał do Waszyngtonu jakieś trzy i pół godziny później, by o siódmej pięć znów wyruszyć, tym razem do Miami, gdzie docierał o czwartej po południu następnego dnia. Przez Thalmann, kilka mil na zachód od stojącej przy torach zielonej impali, przejeżdżał wczesnym rankiem.

Przed każdym skrzyżowaniem kierownik pociągu sprawdzał swego hamiltona, kontrolując czas, i dawał sygnał ostrzegawczy, pociągając za specjalną rączkę. Nie zawsze było to konieczne. Czasami chodziło tylko o efekt. W końcu ta praca nie była dla każdego.

Zwykle Srebrny Meteor ciągnął dwadzieścia wagonów i jechał z prędkością siedemdziesięciu czterech do dziewięćdziesięciu mil na godzinę, co oznaczało, że potrzebował około pięciu mil, by się zatrzymać. Po wyjechaniu z Thalmann skręcał na południe, zbliżał się do linii brzegowej Georgii i ruszał w kierunku Florydy, a tam wyciągał jakieś sto mil na godzinę na prostym odcinku pomiędzy Sebring i West Palm Beach. Był symfonią dźwięków i królewskim bankietem zapachów. Wagon zwiadowczy brał zakręty i świecił w ciemności jak Gwiazda Polarna. Co chwilę pojawiał się tuż przed nosem pociągu i znów znikał za zakrętem.

Ostrzegawczy dźwięk gwizdka słychać było co pół mili, przeciągły na ostatniej ćwiartce. Gdy zbliżał się do skrzyżowania, dźwięk był dziwną kombinacją świstu, jęczenia skrzyni biegów, wycia silników, bijących dzwonów, odgłosu klaksonu, a towarzyszyły temu sypiące się iskry. Był kwintesencją wszystkich możliwych dźwięków, dzwonami chwały, które wyprzedzały pędzący pociąg tylko po to, by wrócić i sprawić, że dreszcz przechodził słuchającemu wzdłuż kręgosłupa, wbijając go w ziemię. Gdy znikał, pozostawało jedynie małe, czerwone, oddalające się światełko, jakby uczepione na ogonie, i uczucie opuszczenia przez kochanka, który pozostawił za sobą zapach rozgrzanego oleju, diesla i kreozotu.

Kierowcą impali była kobieta. Miała kościste dłonie o białych nadgarstkach, pokryte cienką skórą. Butelka w szarej papierowej torebce, opróżniona do połowy, spoczywała na wypracowanych udach. Twarz i zapadnięte oczy zakrywały okulary przeciwsłoneczne, a fioletowy szal otulał głowę i uszy. Krzyczała coś do kogoś po drugiej stronie pajęczyno-wato popękanej szyby.

Chłopiec, który siedział koło niej, mógł mieć około ośmiu lat, był nieregularnie i niezbyt zdrowo żywiony, toteż wyglądał jak bezdomny kot w mieście duchów. Miał na sobie jedynie krótkie džinsy, zwisające na nim jak na wieszaku. Okulary z prawej strony trzymały się na agrafce, a szkła były mocno porysowane. Dostał je od jednego z tych panów, z których żaden nie był jego tatą. Wtedy, w hipermarkecie, przechodzili akurat koło optyka. Chłopiec pociągnął wówczas mężczyznę za spodnie, wskazując na drzwi do okulisty i patrząc na niego znacząco. Mężczyzna zmarszczył brwi i podszedł do kosza, do którego ludzie wrzucali niepotrzebne okulary. Obejrzał się przez ramię, po czym włożył rękę do skrzynki i wyjął pierwsze okulary z brzegu. Przyjrzał im się, a następnie nałożył dzieciakowi na nos.

- Tak lepiej? - Rzut oka na odciski na dłoni i brud za paznokciami sprawił, że chłopiec kiwnął głową. To było dwa lata temu.

Chłopiec spojrział przed siebie i ścisnął mocniej notatnik i długopis. Miał prawie przezroczystą skórę, pokrytą rankami i bliznami. Niektóre wydawały się świeże, niektóre stare, ale wszystkie były pamiątkami po bólu. Niektóre okrągłe, zupełnie jak końcówka ołówka, a inne długie na cal¹, a szerokie na pół cala. Na plecach, gdzieś tak pośrodku łopatk, jadziła się najświeższa rana. Kobieta skierowała swój wąt-

¹ 1 cal = 2,5 centymetra (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

ły palec na twarz chłopca, nie przestając krzyżeć. Gdzieś w tle słyhać było głuhy odgłos sygnału ostrzegawczego. Chłopiec się nie cofnął. Przestał się uchylać już dawno temu. Kobieta podniosła szarą torebkę i pociągnęła spory łyk dla kurażu, po czym znów skierowała soczystą tyradę w kierunku przedniej szyby. W pewnej odległości pojawiły się światła pociągu. Uderzyła w kierownicę, pociągnęła jeszcze łyk i odwróciła się, uderzając chłopca tak, że jego głowa nagle znalazła się poza otwartym oknem w prawych drzwiach. Dziecko podniosło okulary z podłogi, ale nie wypuściło z rąk notesu. Kobieta uderzała palcami w siedzenie obok, chwytając oddech. Zapaliła papierosa, wciągnęła powietrze i wypuściła dym przez okno. Chłopiec przyglądał się żarowi kątem oka. Jeszcze dwa szybkie machnięcia i chwyciła palcami włosy chłopca. Były króciutkie, ostrzyżone podobnie jak u owcy, a tył głowy przypominał zszywaną z łątek piłkę, którą grają Europejczycy. Część łątek była łysa.

Pół mili wcześniej pociąg minął znak pozwalający na przejazd i ponowił sygnał. Kobieta dokończyła butelkę, zgasiła papierosa i położyła rękę na ramieniu chłopca. Dotknęła palcami świeżych strupów i uniosła lekko brwi, a z jej oczu popłynęły łzy i napięła się skóra na twarzy. Było jakieś osiemdziesiąt stopni Fahrenheita², ale chłopiec drżał zgrzany, strużki potu spływały mu po twarzy. Jakby chcąc coś przerwać, kobieta rzuciła butelką w twarz spoza szyby, ale ta tylko odbiła się od deski rozdzielczej i pustego kartonu po winstonach. Jej uwagę zwrócił następny przeciągły sygnał. Odwróciła się w stronę chłopca i znów wskazała palcem, krzycząc z całych sił, aż nabrzmiałe żyły opłotły jej szyję jak pędy winorośli. Rozdygotany dzieciak potrząsnął

² Osiemdziesiąt stopni Fahrenheita to dwadzieścia siedem stopni Celsjusza.

głową. Kobieta uderzyła w kierownicę i wskazała na pędzący pociąg, a potem odchyliła się i uderzyła chłopca z całej siły w twarz. Głowa poleciała mu do tyłu, uderzając w drzwi, a szkła okularów rozsypały się na asfalcie i potoczyły w trzech różnych kierunkach. W dalszym ciągu jednak chłopiec ścisnął w rękach notes, a ręce i ramiona nie przestawały drżeć. Poczł, że z nosa kapie mu krew. Gdy wciąż nie ruszał się z miejsca, sięgnęła do drzwi po jego stronie, otworzyła je i zaparłszy się o swoje, wyciągnęła nogę w bucie na wysokim obcasie.

Sygnal ostrzegawczy był teraz ciągły, tak jak jej krzyk. Gdy łoskot pociągu zatrząsł samochodem, a stukot kół zabrzmiał im w uszach, złapała kierownicę jedną ręką, drugą zaparła się o siedzenie i kopnęła chłopca prosto w skroń, prostując nogę, co wyrzuciło go z samochodu. Podmich przejeżdżającego pociągu sprawił, że chłopiec przekoziółkował jak szmaciana lalka, a notes wystrzelił w powietrze. Bezwładne ciało potoczyło się po asfalcie aż na żwir, przeturlało po stłuczonym szkle i wpadło do rowu, gdzie nos dziecka zatrzymał się kilka cali od wody.

Chociaż przejechały dopiero cztery wagony i świeciło się czerwone światło ostrzegawcze, kobieta wrzuciła jedynkę i ruszyła przed siebie. Sześć stóp dalej koła przestały się kręcić, wóz się roztrzaskał. Pociąg ciągnący ponad setkę wagonów i jadący z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, wiozący do portu w Jacksonville transport samochodów Toyota, zgniółł impalę, sprawiając, że zgłęła się wpół jak bumerang, następnie wystrzeliła w powietrze, dokonując syntezy startu odrzutowca i lotu wykopanej w niebo piłki. Poszybowała nad siedmioletnim zagajnikiem i wylądowała jak meteor na świeżej sosnowej ściółce. Kierownik pociągu - o jakieś sto stóp za późno - pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, jednocześnie wzywając pomocy Matki Bożej.

Pół mili dalej długi na milę pociąg zatrzymał się. Kierownik wyskoczył i wrzeszcząc coś przez radio, pobiegł w kierunku płomieni. Zanim dobiegł, farba na samochodzie się zagotowała, a opony stopiły. Widząc palce kierowcy wciąż na kierownicy, zakrył nos i odwrócił głowę. Karetka i dwa wozy strażackie przyjechały po dwudziestu minutach, przybył także szeryf i rolnik, który widział eksplozję, siedząc na traktorze o jakąś milę od miejsca wypadku. Przez trzy godziny gaszono ogień i dyskutowano o pożarze, wybuchu i tym, co zostało z kobiety, ale nikt nie zauważył chłopca, a on nie wypowiedział ani jednego słowa.

Rozdział 1

Wyszedłem z budynku sądu na zalaną światłem słonecznym ulicę, nucąc melodię Pata Greena. Założyłem okulary przeciwsłoneczne i przyglądałem się stopniom wiodącym z budynku w dół na ulicę. Po trzech dniach odsiadki nic się tu nie zmieniło. Brunswick w stanie Georgia właśnie taki był. Poprzyklejane placki gumy do żucia jak rozsypane półdolarówki, jak kleksy atramentu pstrzyły całe schody. Nieruchawe, gnuśne gołębie obsiadły chodnik, czekając z utęsknieniem na okruchy albo chociaż drobinki czekolady z czyjejs podwójnej mocha latte. Uliczką po drugiej stronie ulicy banda bezdomnych kotów zmierzała ku oddalonemu o cztery przecznice nabrzeżu. Krzyk mew oznajmił im, że powróciły łodzie z krewetkami. Na schodach obok mnie dwóch policjantów ciągnęło w górę wytatuowanego mężczyznę. Jego nogi i ręce były skute kajdankami. Bez wątpienia prowadzono go do sędziego Thaxtona. Sądząc z epitetów i piany wydobywającej mu się z ust, nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony do miejsca, gdzie zmierzał. Bez obaw. Mając własne doświadczenia z Wysokim Sądem, wiedziałem, że jego pobyt nie zapowiada się na długo.

Na krótki czas jego domem stanie się cela gdzieś na dole - zimna, ciemna, pozbawiona okien, dobrze nadająca się do hodowli pleśni i grzybów. Znam to miejsce, bo kilka razy już tam gościłem. Za pierwszym razem wydrapałem na ścianie z betonu napis „Chase był tutaj”, a za drugim dodałem „dwa razy”. Śmiać mi się chce, gdy o tym myślę. To tak, jakbym szedł krok po kroku ścieżką dostępu.

Dwie przecznice dalej, wznosząc się nad miastem jak wiatrak nad farmą, nad Żuta Bank & Trust stała dzwonnica. To charakterystyczne dla budynków kościołów przerobionych na banki. Gdzieś na zakręcie dziejów rosyjski Kościół ortodoksyjny stracił swoich wyznawców, co sprawiło, że pop snuł się w podziemiach świątyni jak Upiór w katakumbach opery.

A ponieważ Srebrny Meteor był najświetniejszym pociągiem, jaki kiedykolwiek przemierzał tamtejsze lasy, nie było sensu zapalać świecy tym, którzy w owym czasie zeszli pod ziemię.

Gdy pierwsi rosyjscy emigranci pojawili się pod koniec dziewiętnastego wieku, odcisnęli na tym miejscu swoje piętno. Poprzedni mieszkańcy, sto lat wcześniej, zbudowali tutaj coś w rodzaju wielofunkcyjnego miejsca spotkań, które służyło im za ratusz, kościół i schronienie. Struktura jego podziemi była niezwykła. Ponieważ większość obszaru południowej Georgii stanowią tereny podmokłe, mieszkańcy wykopali zagłębienie w miejscu leżącym na podwyższeniu i wyłożyli jego ściany i podłogę grubą warstwą kamienia wapiennego, zwanego tu coquina. To nie gwarantowało, że miejsce pozostanie zupełnie suche. Było jednak wystarczająco suche. Dwoje drzwi w podłodze i ukryte schody dały mieszkańcom schronienie przed wieloma atakami Indian i w czasie dwukrotnego pożaru drewnianych budynków nad podłogą. Dziś niewiele już było takich, co wiedzieli o tym miejscu, a może nawet byliśmy tylko my czterej. Oczywiście ludzie wiedzieli, że podziemia kiedyś istniały, ale byli przekonani, że zasypano je w trakcie budowy banku. Napisy wyryte tu na ścianach to głównie imiona niewolników, którzy klęczeli w ciemnościach, gdy psy węszyły wokół. W końcu zniknął nawet Upiór, pozostawiając to miejsce puste przez dekadę. Lokalny biznesmen, nie mogąc patrzeć, jak budynek

niszczyje, a jednocześnie poszukując miejsca, gdzie mógłby pożyczać pieniądze, nabył go, usunął połowę ławek, jeden konfesjonał i część ołtarza, a wstawił kantory i skarbiec. Przedsięwzięciu sprzyjały nastroje lokalnej społeczności. Ludzie byli wówczas przygnębieni, mając w pamięci niedawny kryzys, a w takich warunkach nie można było pozwolić, żeby jeszcze całkiem dobry budynek się zmarnował. Jeśli wybudujesz kościół, nie przywiązujesz się do niego jako do budynku. To, że ludzie w okolicy nie lubią Boga, którego wyznajesz, nie znaczy, że nie podoba im się architektura twego kościoła. Pomyśl o dobrych stronach tej sytuacji. Większość ludzi w Glynn County podziela taki właśnie pogląd. Niektórzy w pocie czoła odnajdywali korzenie swoich przodków, swoich Ojców Założycieli - skazańców wysłanych z Anglii, by założyli kolonie na długo przed rewolucją. Takie praktyki nie były odosobnione - w Australii postępowano podobnie. Na odległej prowincji, jaką był Brunswick w stanie Georgia, skłonność do buntu była tak mocno zakorzeniona w DNA mieszkańców jak miłość do piłkarskiej drużyny Georgia Bulldogs.

W południowej Georgii przywiązanie do Biblii sprawiało, że większość kościołów była w niedzielę wypełniona wiernymi, dniami świętymi były jednak soboty. W sobotnie popołudnia od września do grudnia wierni fani gromadzili się wokół ołtarza, jakim było radio AM, i oddawali cześć czerwono-białym barwom Bulldogsów. Co prawda pastorzy byli ludźmi darzonymi szacunkiem, jednak żaden z nich nie liczył się tak jak głos radiowy Larry'ego Munsona. Jeśli Larry coś powiedział, było to traktowane jak słowa Ewangelii. Przez dziesięciolecia wiele napisano na temat Notre Dame³,

3 Drużyna piłkarska uniwersytetu Notre Dame w Indianie.

*Touchdown Jesus*⁴, *The Crimson Tide*⁵, Beara Bryanta⁶ i Penn State z jego Paterno⁷, ale od słonych błot aż po góry zostało dowiedzione, że Bogiem są Georgia Bulldogs. Jak inaczej Larry Munson złamałby krzesło?

8 listopada 1980. Pozostała minuta do końca czwartej kwarty. Gators⁸ doprowadzili Bulldogsów do przejęcia piłki. Ci, choć mieli piłkę, mieli także jeszcze dziewięćdziesiąt trzy jardy do celu. Strzał decydował o zdobyciu tytułu najlepszej drużyny. W drugiej turze gry Herschel Walker zdołał wyrwać się z blokady i popędził siedemdziesiąt dwa jardy za sześć punktów, co zapoczątkowało jego nieśmiertelność. Teraz miał jeszcze dwieście jardów do sukcesu albo początku swego upadku. Buck Belue z Valdosty w Georgii dostał piłkę, zamarkował kozłowanie i sprawił, że zawodnik Florida Gator, Tony Lilly, potknął się, a następnie rzucił piłkę w kierunku Lindseya Scotta stojącego na lewym skrzydle. Ten pomknął dziewięćdziesiąt trzy jardy do Herschela na samym szczycie Olimpu. W zamieszaniu, jakie powstało, Larry Munson połamał składane krzesło, utrwalając swoją pozycję komentatora, oraz przekazał rewelacyjne wiadomości każdemu mężczyźnie, kobiecie i dziecku w Georgii. „Sport Illustrated” nazwał później to wydarzenie „meczem dziesięciolecia”, wielu piszących o sporcie wyraziło podobną opinię i stwierdziło, że Herschel Walker był najlepszym zawodnikiem, który kiedykolwiek grał w football. Fani

⁴ *Touchdown Jesus* — wielki fresk przedstawiający Chrystusa, widoczny ze stadionu Notre Dame.

⁵ Crimson Tide - drużyna piłkarska Uniwersytetu Alabama.

⁶ Bear Bryant - Paul William, kultowy trener drużyny piłkarskiej Uniwersytetu Alabama.

⁷ Penn State - stan Pensylwania i trener stanowej drużyny uniwersyteckiej Joe Paterno.

⁸ Uniwersytecka drużyna piłkarska z Florydy.

w Georgii nie potrzebują już więcej niczego do szczęścia. Stan może odetchnąć.

Stałem na wprost mojego pokoju w redakcji „Brunswick Daily”, który znajdował się po przeciwnej stronie ulicy. Przez zasłonięte po części okno na trzecim piętrze widziałem ruch w pokoju jak przesuwany się pokaz slajdów. Moja dziupla. Jako reporter jestem przypisany do tego, by śledzić pracę sądu. Trzymałem rękę na pulsie, wpatrując się w te schody. Wiedziałem, że nad moją głową widnieje napis ARESZT HRABSTWA GLYNN, ale nie odwracałem się, by go zobaczyć. Nie musiałem.

Po trzech dniach spędzonych w odosobnieniu byłem pewny, że mój wydawca obgryzł już z nerwów paznokcie i od pewnego czasu stoi w oknie, wypatrując mnie z mojej dziupli, czekając, aż wyjdę przez podwójne drzwi wprost na ulicę. Popatrzyłem na wschód w kierunku wybrzeża i cumującej tam mojej łodzi. Powrót do domu wydał mi się dobrym pomysłem. Musiałem wziąć prysznic, odświeżyć się i pooddychać innym powietrzem niż fetor wilgotnej celi. Gazeta mogła zaczekać.

Wujek Willee uśmiechał się do mnie znad kierownicy i spod swego plecionego z liści palmowych kapelusza z szerokim rondem zwanego „gus”. Takie nakrycia głowy chroniły kowbojów przed słońcem i były podobne do kapelusza, jaki nosił Robert Duvall w filmie *Lonesome Dove*. Denko spłóviało od słońca, a rondo się pomarszczyło, brudne i złachane przez kowala uzależnionego od wędkowania. Opadało na brzegach, ale wznosiło się z przodu i z tyłu, stanowiąc kontrast dla wyrazu jego twarzy.

Włożyłem ręce do kieszeni i wciągnąłem słonawe powietrze napływające od strony wyspy St. Simon i bagien, które niosło z sobą ostry zapach zasychającej soli i mokradeł -zgodnie z naszym położeniem geograficznym: Golfsztrom,

płynący jakieś sto pięćdziesiąt mil na wschód stąd, stale napiera na najbardziej na zachód wysunięty brzeg Wschodniego Wybrzeża, podobny do żywoplotu, powodując Wyż Bermudzki - obszar wysokiego ciśnienia w północno-zachodniej części Atlantyku. Dzięki temu do Golden Isles nieustannie dociera przyjemna morska bryza, trzymając z daleka komary, natomiast huragany zatrzymując w Zatoce.

Przybrzeżne rzeki Georgii, takie jak Satilla, Altamaha czy Little Brunswick, mają swoje źródła w górach, w zachodniej części stanu, potem płyną przez bagna Buffalo i wpływają pomiędzy trawy porastające grzędzawiska na równinach. Jak sieć utkana z pieluchowej tetry bagna zatrzymują wszystko, co niesie z sobą rzeka, i tworzą przy tym miękkie błoto o delikatnej konsystencji.

Tutaj przy udziale bakterii beztlenowych następują procesy gnilne i wydziela się wstrętny odór zgniłych jaj. Gdy przyływ się cofa, kraby skrzypki, ślimaki, robaki i inne małe stworzonka zakopują się w błocie, szukając schronienia przed ugotowaniem się w temperaturze bliskiej stu czterdziestu stopni Fahrenheita⁹. Gdy nadchodzi nowy przyływ, wychodzą z ukrycia, by podobnie jak ich zbieracze wygrzewać się i kąpać jednocześnie.

W szczycie sezonu turystycznego spacerowicze idący deptakiem wdychają powietrze i krzywią się. Czy to zapach padliny? W sumie tak. Bagno cały czas umiera, ale gdy nadchodzi przyływ, zamienia stare na nowe i bagniste podłoże daje początek nowemu życiu.

Dla nas, którzy szukają w tych bagnach uroku, wspaniałą jest moment, gdy Bóg nadaje im kolor - żółty o poranku, zielony bliżej południa, brązowawy po południu, a krwisto-

⁹ Sto czterdzieści stopni w skali Fahrenheita to około sześćdziesięciu stopni w skali Celsjusza.

czerwony wieczorem. Bagno to strażnik, który pilnuje na brzegu oceanu, by morze nie wdarło się w to miejsce i nie zabrało go. To miejsce święte i altruistyczne. A gdy zamknę oczy, pachnie domem.

Po skończeniu collegeu wróciłem do Brunswicku, kupiłem kawałek nabrzeża Altamaha i łódkę o imieniu „Gone Fiction” na dorocznej aukcji organizowanej przez policję. Był to długi na sześćdziesiąt sześć stóp hunter, skonfiskowany w czasie akcji wymierzonej przeciw handlarzom narkotyków. Ludzie ze straży wybrzeża powiedzieli, że w czasie tej akcji zatrzymali pisarza z Florydy przewożącego narkotyki wzdłuż brzegu morskiego. Gdy jego książki przestały się sprzedawać, odłożył pióro do lamusa i przeszedł na ciemną stronę mocy. Nie miałem wtedy pojęcia o pływaniu łodzią, ale wyglądała przytulnie. Było w niej łóżko, prysznic, kuchnia, toaleta i miała wystarczająco duży dziób, by zmieścić na nim składany fotel. Nie wspominam o relingu z liny, na którym mogłem oprzeć stopy. Oszacowałem jej wielkość i wyobraziłem sobie siebie zakotwiczzonego w środku, jej dziób zwrócony w stronę nieustannych przyptyków i odpływów i podniosłem rękę. Sprzedana! Zwodowałem ją, poprowadziłem rzeką na kupione wcześniej miejsce przy brzegu i rzuciłem kotwicę dość głęboko, by przypadkiem nie znaleźć się na brzegu w czasie odpływu. Łódka jest oddalona o jakieś osiemdziesiąt jardów od brzegu, więc gdy mówię ludziom, że mieszkam na wodzie, nie żartuję.

Wujek czekał w swoim czarnym, czterodrzwiowym cadillacu-karawanie z lat siedemdziesiątych, który ciągnął dwukołową przyczepę kupioną na aukcji. Jest kowalem i przyczepa służy mu za warsztat i za schronienie, gdy jest daleko od domu. Karawan, który nazwał Sally, kupił ponad dziesięć lat

temu, gdy pobliski dom pogrzebowy się modernizował. To taka żartobliwa gra, w jaką wujek gra ze światem, ale znając jego życie, ten żart jest całkiem na miejscu. Z tyłu samochodu wystawała wędka z dyndającą żyłką i czerwonogłowym robalem zatkniętym na końcu. Wujek przesunął kapelusz nieco do tyłu, podniósł brwi i uśmiechnął się szeroko. Poprawił pas bezpieczeństwa, odkręcił butelkę ze swoim ulubionym napojem, włożył do ust całe ciasteczko czekoladowe, a potem popił, jakby to robił ostatni raz w życiu. Pokręciłem głową. Czasem zastanawiam się, jak to możliwe, żeby taki człowiek wychował chłopaka takiego jak ja. Potem sobie przypominam. Opuścił butelkę, opierając ją o klatkę piersiową.

-Wyglądasz, jakbyś wyszedł z jakiejś nory.

Może rzeczywiście nie wyglądałem zbyt schludnie. Idąc w kierunku samochodu, usiłowałem zdjąć opaskę z nazwiskiem, jaką założyli mi trzy dni temu. To coś przypomina opaskę, jaką dają ci w szpitalu w chwili przyjęcia. Gdy mnie wpisywali, powiedziałem, że tego nie potrzebuję, bo znam już swoje nazwisko. Problem w tym, że to niezupełnie prawda. Po dziesięciu sekundach prób zdjęcia opaski zorientowałem się, że trzeba by mieć warsztat i narzędzia, żeby tego dokonać. Spróbowałem pociągnąć mocniej, ale równie dobrze mógłbym mieć kajdanki. Wujek pokiwał głową.

- Chłopcze, nie mógłbyś nawet wycisnąć sików z buta, gdyby instrukcja była na obcasie.

Wujek Willee używał własnego języka, złożonego zwykle z prostych zdań, i tylko on wiedział, co one znaczą. Ciocia Lorna i ja nazywamy je willeezmami. Gdy rozmawiamy we dwóch, zwykle wiem, co ma na myśli. Włożyłem rękę przez okno i spytałem:

- Można?

Wujek sięgnął do swej wielkiej tylnej kieszeni i wyjął scyzoryk firmy Barlow.

- Pamiętaj, zawsze pij ze strumienia powyżej miejsca, gdzie stoi stado.

Jest jeszcze coś w tych willeezmach. Zawsze wyrażają w paru słowach to, na co inni potrzebowaliby ich setki. W tych ostatnich kilku słowach chciał powiedzieć, że mając swój nóż, był na wszystko przygotowany, podczas gdy ja nie. A co za tym idzie, byłem zależny od innych itp. Wujek Willee, o ile wiem, nigdy nie miał do czynienia z wypasem stada. To oznacza, że wyprzedzał to, co może się zdarzyć, a ja nie. Ale po co mówić tyle różnych rzeczy, jeśli można porównać sytuację do jakiegoś stada pijącego w górze strumienia.

- ...jakby zostać przyłapanym z opuszczonymi spodniami. - Wujek spojrział przez przednią szybę i postukał wykałaczką w ząb.

Pokiwałem głową i otworzyłem scyzoryk, wydając mniejsze z ostrzy. Przeciąłem pasek, który dotąd informował więzienie, jak się nazywam. Wujek wsunął nóż z powrotem do kieszeni i wyszeptał pod nosem: - Lepiej go mieć i nie potrzebować, niż potrzebować i nie mieć.

- Cóż, czy nie jesteśmy już tak pełni wiatrów jak koń jedzący kukurydzę? - Wsiadłem do Sally i zapiąłem pas.

- Kiedy już się stało, to nie powód do dumy.

- Przynosisz wstyd społeczeństwu.

Wujek włączył bieg i nastawił *Free Bird* w wykonaniu Wynonnyjud.

- Nawet połowy tego nie zaznałeś - powiedział. To też było prawdą.

Miałem jakieś sześć lat, gdy władze stanowe odesłały mnie do domu Willee ego i Lorny McFarlandów. To miało być moje miejsce docelowe. Ale po dwudziestu dwóch latach mieszkania z wujkiem Willeem znałem tylko połowę własnej historii. Większość życia poświęciłem na odszukanie prawdy o drugiej połowie.

I właśnie gdy mieliśmy już włączyć się w strumień jadących samochodów, wujek wrzucił luz i opuścił okulary do połowy nosa.

- Och... Tommye jest w domu.

Willie Nelson śpiewa o aniele, który zbyt blisko zbliżył się do Ziemi, przycina sobie skrzydło i ląduje tu chory i uziemiony. On nastawia mu skrzydło i zakłada opatrunek jedynie po to, by zobaczyć, jak anioł odlatuje, opuszcza stratosferę, unosząc się wraz z prądem powietrznym. Słowa „Tommye jest w domu” brzęczą mi w uszach jak dzwon na wieży zegarowej. Pamiętam te dźwięki. Wujek wziął następną wykałaczkę umieszczoną w gąbce w osłonie przeciwsłonecznej i położył na języku, patrząc mi w oczy. Starłem się nic po sobie nie pokazać, pytając.

- Kiedy?

Wujek z powrotem nakłada okulary i poprawia boczne lustro.

- Kilka dni temu.

- Gdzie się zatrzymała?

Przyspieszył i pomachał do kierowcy czarnego suburbiana, który pozwolił mu się włączyć do ruchu.

- U nas.

Po latach nieodpowiadania na telefony, wielu listach zwróconych nadawcy, jednej niezapowiedzianej wizycie, plotkach, a w końcu po ujawnieniu okrutnej prawdy Tommye wreszcie wróciła do domu.

Pół godziny później skręciliśmy z drogi numer dziewięćdziesiąt dziewięć w boczną szutrową drogę w kierunku domu. Rosły przy niej pięćdziesiąt cztery orzechy pekan. Posadził je ojciec wujka - Tillman Ellsworth McFarland - prawie pięćdziesiąt lat temu. Wujek wysadził mnie przy stodole i spojrzał na mieszkanie na poddaszu.

- Dojdę do was niedługo. Dam wam trochę czasu.

Wszedłem na schody, głęboko odetchnąłem i otworzyłem drzwi. To mieszkanie było moim domem poza domem. Mieszkałem tam, gdy chodziłem do szkoły średniej, a potem do college u i jeszcze później. Nawet teraz, gdy nie mam ochoty na spanie w łódce, przyjeżdżam tutaj. Klimatyzacja pracowała na całego. Tommye stała obok lodówki i starała się sięgnąć po szklanę z najwyższej półki. Miała na sobie o dwa numery za dużą bluzę i obcięty podkoszulek odsłaniający tatuaż na opalonych plecach. Ciemne włosy zmieniły się w blond i wyglądały niezdrowo, jak siano. Gdy usłyszała, że otwierają się drzwi, odwróciła się powoli. Twarz miała wychudzoną, z cieniutką linią wyskubanych brwi, a szmaragdowe oczy, które znałem jeszcze ze szkoły podstawowej, były pozbawione dawnego blasku, nabiegłe krwią i jakby wypalone.

Uśmiechnęła się, przechyliła głowę i... czy widzieliście kiedyś film o tym, jak topnieją lody i ich wielkie kawały, ogromne jak drapacze chmur, odłamują się i wpadają do wody? Jeśli to samo może się dzieć z sercami, to gdy włosy wysmyknęły jej się z za ucha i zsunęły po twarzy na oczy, a prawa strona ust nieco się podniosła, poczułem, jak serce mi pęka.

- Czego szukasz? - Wskazałem głową na komodę.

- Bezimienności. - Nie przestawała na mnie patrzeć.

Stała boso na starej wykładzinie, miała świeży czerwony lakier na paznokciach. Przeszła przez pokój i stanęła tuż przede mną. Ujęła moje ręce i lekko przysunęła w swoim kierunku. Uścisk miał oznaczać: „Stańmy się jednością”. Jej ramiona i plecy były silne, a brzuch umięśniony - jakby z reklamy, aż nienaturalny. Staliśmy tak kilka minut, a gdy przełamaliśmy pierwsze lody, jej uścisk zmienił się w przytulenie, a potem już nie tylko ona mnie obejmowała, ale i ja ją.

W noc, gdy odeszła, prawie dziewięć lat temu, padało, na jej twarzy widać było obawę. Włosy miała mokre, ubranie

przemoczone, w plecaku zaledwie kilka rzeczy zabranych naprędce z mieszkania, a na twarzy rozmazaną zastygłą krew. Obudziła mnie i przycisnęła usta z całej siły do moich. Krew smakowała gorzko, siniaki na twarzy sprawiały niesamowite wrażenie. Położyła mi palec na ustach i powiedziała:

- Pamiętaj, byłam szczęśliwa tylko raz, tutaj z tobą - łykała łzy. Wytarła twarz rękawem, oczy jej się zwięzły. — Szukaj... nigdy nie zadowolaj się byle czym, szukaj prawdy.

Odrzuciła głowę, pokazując jeszcze siniaki na szyi.

- Nigdy! - Krew poleciała jej z nosa, kapiąc na bluzkę. -Obiecuj mi to. Sięgnąłem, by wytrzeć jej krew, ale odsunęła moją rękę.

- Obiecuj.

Kiwnąłem głową. Jeszcze jeden pocałunek i znikła z powrotem w deszczu, a tylne światła jej chevroleta jarzyły się jak dwoje czerwonych oczu. Ten uścisk ją zdradził, tak jak tamten. Pocałowała mnie w miejsce, gdzie zaczynają się usta, i znów poczułem, jak następne dwa kawałki mnie wpadają do morza. Formalnie Tommie była moją kuzynką, ale ponieważ jestem adoptowany, a moje drzewo genealogiczne przeszczepione, więzy krwi nie miały znaczenia. Zbliżyłem się do niej i przytuliłem wargi do kącika jej ust. Przytuliła policzek do mojej twarzy, odsunęła się i delikatnie mnie dotknęła. Ten znany mi już język ciała był ukradkową rozmową pomiędzy mną a tą wycofującą się, cichą kobietą.

Otworzyłem lodówkę, wyjąłem z niej mleko i napiłem się prosto z butelki.

- Byłaś już w domu?

Rozejrzała się i skrzyżowała przed sobą ręce. -Jestem w domu.

Podąłem jej mleko, a ona naląła trochę do szklanki i oddała mi resztę. Sączyła je powolutku. Jej skóra przypominała metalową siatkę wystającą z połamanej drewnianej ramy, by-

ła chuda, ale wysportowana, ponieważ żywiła się warzywami, uprawiała pilates i robiła sobie operacje plastyczne. Chciałem jeszcze zamienić z nią parę słów, gdy zapukał wujek.

- Nigdy przedtem nie pukałeś - krzyknąłem w jego kierunku. - Dlaczego teraz zacząłeś? Wszedł, pocałował Tommye w czoło i podał jej talerz owinięty w folię aluminiową.

- Są gorące. Lorna za chwilę będzie na górze, kręci sobie włosy.

Tommye zdjęła folię i wciągnęła zapach, zamykając oczy. Spojrzała na ciasteczka.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- A parę innych i owszem. - Spojrzałem na nią.

Ugryzła jedno, zlizwała rozpuszczoną czekoladę z kącików ust i schrupała je do końca. Gdy zjadła ciasteczko, wytarła rękę w spodnie i wsunęła ją pod wielkie ramię wujka Willeeego. Już chciałem powiedzieć coś głupiego, gdy zadzwonił telefon. Usiadłem przy biurku, założyłem słuchawki i odebrałem

- Chase, słucham.

- Chase! - To był Red Harrington, mój wydawca, przeniesiony tu z Nowego Jorku. - Jak się udały wakacje?

Czterdziestoparoletni, błękitnej krwi Yankee z końskim ogonkiem, jak mawiał wujek Willee, pasował do południowej Georgii jak kot z długim ogonem pozostawiony w pokoju z bujanymi fotelami. Red przyjechał tu za swoją żoną, pochodzącą z bardzo nobliwej południowej rodziny, po tym jak już zakosztowała Manhattanu, jego i jego kochanek dziesięć lat wcześniej. Nie miał więc już żony, domu i pracował, żeby płacić alimenty. Jedyłą rzeczą, która mu pozostało, była gazeta. Poza bagażem i kompromisami własnego życia miał też nosa do nowinek i pasję do doszukiwania się prawdy, drugiego dna ukrytego w każdej historii. Był uosobieniem człowieka ery postmodernizmu - mało komu ufał i o wszystkich się dopytywał: „Co tam ukrywasz?”.

- Było... dobrze - spojrzałem na aparat. - Dzięki za obiad.

- O to się nie martw, odejmę od twojej wypłaty. Słuchaj, chciałbyś pewnie kilka dni, żeby uwolnić się od tego, co złapałeś w więzieniu...

Spojrzałem na Tommie, która uśmiechała się znacząco. Jej wyraz twarzy mówił, że jest pod wrażeniem.

- ...ale potrzebuję cię tutaj. - Ton jego głosu świadczył, że nie kłamie.

- Co się dzieje?

- Było zderzenie samochodu z pociągiem, gdzieś na odludziu. Jakaś zblazowana panienska popełniła samobójstwo.

- Wiedzą kto to?

- Jeszcze nie, ale wynik badania DNA ma być na jutro gotowy.

- A badanie uzębienia?

- Na nic, proteza.

- Chcesz, żebym ją wytropił?

- Możliwe, ale jest w tym coś więcej. Naprawdę ciekawy jest dzieciak, którego wyrzuciła z samochodu, zanim wpakowała się pod ten pociąg.

Na czole wujka pojawiła się pojedyncza zmarszczka, gdy się skoncentrował, dotarło do niego, o czym mowa. Puścił Tommie i podszedłszy do biurka, stanął za moimi plecami.

- Wczoraj go znaleźli - mówił dalej Red. - Następnego dnia rano po wypadku. Stał na drodze i wyglądał, jakby się zgubił. Był pogryziony przez mrówki... między innymi.

Wujek spojrzał na mnie. Wiedziałem, czego chciał.

- Jakimi innymi?

- Po prostu jedź do szpitala. Sala 316, zobaczysz.

- Ktoś już coś z niego wyciągnął?

- Nie. To twoja robota.

Red odłożył słuchawkę, a wujek spojrzał przez okno na pastwisko upstrzone palmami, na którym się pasło kil-

ka krów rasy brahman¹⁰. Wziąłem kluczyki i spojrzałem na Tommym, która w międzyczasie położyła się na moim łóżku, przykryła i zamknęła oczy.

- Zostaniesz jeszcze trochę? Pokiwała głową.

- Nigdzie się nie wybieram.

Podszedłem do łóżka i położyłem dłoń na jej stopie.

- Tak samo mówiłaś ostatnio.

Obróciła się i spojrzała na mnie. Bez wątpienia była zmęczona. Zszedłem na dół i ruszyłem do stodoły, gdzie w mojej półcięzarówce na siedzeniu pasażera siedział już wujek. W kapeluszu, pasy miał zapięte.

- A ty gdzie się wybierasz?

-Jadę z tobą. - Wskazał na przednią szybę. - Ruszaj.

Czy to coś ze mną nie tak, czy świat nabrał prędkości, odkąd wyszedłem z więzienia? Pysznic i dezodorant będą musiały zaczekać razem z widokiem z dziobu mojej łodzi.

Jeżdżę toyotą land cruiser o imieniu Vicky. Po dwóch latach oszczędzania każdego grosza i nieustannym marzeniu na moje siedemnaste urodziny wujek dołożył się do moich oszczędności i pomógł mi ją kupić. Jest w kolorze leśna zieleń, ma sportowe solidne orurowanie w kolorze czarnym, szerokie błotno-śnieżne opony, zabezpieczone rurami zderzaki, wyciągarke, zabezpieczone felgi i może dojechać prawie wszędzie. Sądząc po świeżym lub zaschniętym błocie na kołach, można wywnioskować, czy siedzę w więzieniu, czy nie. Tak jak mówi się, że ktoś wyszedł ze wsi, ale wieś z niego nie wyszła.

Samochód ma jeszcze rurkę, która pobiera powietrze wprost do silnika i która biegnie wzdłuż maski i okna po

¹⁰ American brahman - rasa krów z charakterystycznym garbem na grzbiecie hodowana na terenie Stanów Zjednoczonych.

stronie pasażera. Większość tych urządzeń kończy się tuż nad silnikiem, ale ta rurka ma jakieś siedem stóp długości. Ma też swoją historię. W Afryce angielscy przewodnicy i odkrywcy nieraz musieli przeprowadzać się przez rzeki, korzystając z brodów, w których woda czasem sięgała ponad maskę i kierownicę. Dzięki tej rurce Vicky może poruszać się w wodzie sięgającej ponad kierownicę. Choć jeszcze nigdy tego nie próbowałem, jest to coś, o czym się marzy.

W zeszłym miesiącu stuknęło jej dwieście tysięcy mil i uczuliśmy to przegładem, wymianą oleju i kolacją z pieczoną rybą na plaży. Jeździ trochę sztywno, sprężyny resorów skrzypią, pokazują się rdzawe bąbelki wokół nitów na obręczach kół i rzadko osiąga siedemdziesiąt mil na godzinę. Mimo to, gdy w niej siedzę, lubię ją za to wszystko, za co lubię też nasze bagna. W środku oddycham głęboko. I tego właśnie teraz najbardziej potrzebowałem. Uchwyciłem się jej mocno, włożyłem kluczyk do stacyjki i wytoczyłem się ze stodoły. Gdy wyjechaliśmy na podjazd, wrzuciłem trójkę. Wiatr zatańczył wokół mnie - uściski od Vicky. Wtedy do mnie dotarło coś, co miałem na końcu języka, odkąd Tom-mye przytuliła twarz do mojej twarzy. Dotknąłem policzka, potarłem koniuszki palców o kciuk i spojrzałem na uciekającą za oknem przerywaną białą linię. Nie było wątpliwości. Była rozpalona gorączką.

Rozdział 2

Wjechaliśmy na podjazd, ale drogę zajechał nam brudny lincoln Continental należący do Petera „Pocketsa” McQuire'a. Jego pseudonim wywodził się stąd, że stale miał dziurawe kieszenie i klienci odkryli, że bez względu na to, ile pieniędzy by w nie wsadził, zawsze znalazło się miejsce na więcej. Zatrzymał nas i wręczył coś wujkowi.

- William, oto kopia naszej apelacji. - Wujek pokiwał głową. - Jeśli to nie pomoże...

Wujek machnął do niego.

- Pockets, jeśli to nie pomoże, to kończymy. Po dwudziestu latach domagania się sprawiedliwości legalną drogą jestem spłukany.

Opuścił nieco okulary i spojrzał na Pocketsa.

- Większość tych pieniędzy jest teraz u ciebie, ale gdybyś nie był taki dobry, jak jesteś, już dawno bym cię zwolnił.

Pockets się uśmiechnął.

- Dzięki za uznanie. - Wskazał na kopertę. - Wszystko jest w rękach sędziego. Myślę, że dobrze się spisaliśmy, i jestem przekonany, że słusność jest po twojej stronie.

Wujek spojrzał przez okno.

- To się nie zmieniło.

- Pamiętaj, William, że ja jestem po twojej stronie. - Pockets zaczął podkręcać okno. - Zawsze byłem.

Kiedy odjechaliśmy, wujek spojrzał przez ramię i dodał szeptem:

- To stawia cię między tymi, którzy są w mniejszości.

Wiatr furkotał podkoszulkiem, niosąc z sobą silny zapach słonawego błota i pociągu załadowanego stojącymi na podwójnych platformach samochodami, który jechał teraz równolegle ze mną. Jechał do portów w Brunswicku i Jacksonville. Głuchy, natarczywy dźwięk przywodził na myśl jedyne wspomnienie, jakie miałem o swoim ojcu.

O ile mogę sobie przypomnieć, miałem wtedy jakieś trzy lata. Słyszałem odległy, natarczywy dźwięk ostrzegawczy, wypelzłem z domu i na paluszkach pobiegłem w kierunku drogi. Pod stopami chyba miałem wilgotną od rosy trawę. Jakoś przedostałem się przez budynek stacji i zeskoczyłem z platformy ładunkowej na tory, by położyć na nich moją półdolarówkę. Chciałem, aby się spłaszczyła. Pamiętam też kota, chyba był popielaty i chyba dachowiec, jak ocierał się o mnie i łaskotał mnie wąsami. Stalowa szyna była zimna, gdy dotykałem jej palcami, tak jak kawałek brązowego szkła, którego nie zauważyłem, a który wbił mi się w nogę. Pamiętam, że upadłem, coś pękło w okolicy żeber, wylądowałem na torach, nie mogąc oddychać. Pamiętam też ciepłą ciecz na stopie. Ostatnie moje wspomnienie, to jak próbuję wstać, ale - podobnie jak Guliwer - jestem związany. Próbowałem krzyczeć, ale gdy otworzyłem usta, czułem jedynie, że mam wbity w ciało nóż, i słyszałem sygnał nadjeżdżającego pociągu. Sięgnąłem za siebie, by uwolnić pasek z czegoś, o co się zaczepił, ale mi się nie udało. Pamiętam oślepiające światła pociągu i że zrobiło mi się mokro w spodniach — wiedziałem już, co może zrobić pociąg z monetą.

Jak na starej taśmie, gdzie zarejestrowany dźwięk się urywa, pamiętam kroki, być może wysokich butów, ale w moim umyśle ich obraz i dźwięk już się zatracił. Widziałem błysk, długi cień nade mną, mocne ręce, które mnie obejmują,

i pasek, który pęka jak guzik oderwany od koszulki. Znowu luka. Otworzyłem oczy i ujrzałem zardzewiałe podwozia wagonów mijających mnie jeden za drugim, tuż obok mojej głowy. Koła zaskrzypiały, gdy pociąg usiłował się zatrzymać, a tarcie o stalowe szyny spowodowało, że posypał się na mnie snop złotych iskier i zatrzymał na moich policzkach.

Do tego momentu wspomnienie jest jak z fotografii Ansela Adamsa¹¹: widzę długie wąsy, słyszę trzask łamiących się żeber, widzę iskry, dotykam zimnej stali i czuję ciepłe, mokre dżinsy. Ale nagle, w jednej chwili, wszystko znika, blaknie i rozplywa się. Jakby zepsuł się projektor, a lampa zniszczyła film. Odwracam się, by go zobaczyć; mężczyznę, do którego należy cień i ramiona, ale tam gdzie powinna być twarz, widzę tylko dziurę, a gdy otwiera usta, słyszę, jak taśma przeskakuje na podajniku. Bez względu na to, ile razy odtwarzałbym tę taśmę, nie słyszę go ani nie potrafię włożyć jakichś słów w jego usta. A jednak wiem, że gdy je otwiera, woła mnie po imieniu. Prawdziwym imieniu. Tym, które mi dał.

Od tamtej pory, przez dwadzieścia pięć lat, trafiłem do trzech rodzin zastępczych, dwóch domów dla chłopców, a w końcu do domu wujka Willego i cioci Lorny i cały czas słuchałem, jak ludzie nazywają mnie i siebie nawzajem, mając nadzieję, że ktoś wypowie moje prawdziwe imię.

Jestem dzieckiem znalezionym na progu, znajdują, i w chwili znalezienia nadano mi nowe imię. Dyrektor domu dla takich jak ja nadawał imiona tak, jak meteorolodzy nadają je huraganom. Na pewno rok był wtedy pracowity i doszedł do Vs, gdy się tam dostałem. Czasem zastanawiam się, czy Mojżesz czuł się podobnie. Gdy nadszedł poniedziałkowy poranek, pracownicy wrzucili do kapelusza wszystkie nazwi-

¹¹ Ansel Adams (1902-1984) - amerykański fotograf, który zasłynął ze swoich czarno-białych fotografii parków narodowych.

ska zaczynające się na W, jakie im tylko przyszły do głowy, i gdy już to zrobili, powtórzyli całą procedurę dla imion, a potem wyciągali je jak fanty na loterii. Nawet teraz, gdy ktoś przeczyta moje nazwisko na prawie jazdy - Chase Walker - czuję, jakby pytał o kogoś innego. Jakbym całe życie miał podmienioną tożsamość. Wiem to, bo gdy je ludzie wymawiają, słowa nie brzmią jak te z taśmy. Jeśli chcesz zrozumieć, o czym mówię, spróbuj przez jeden dzień przedstawiać się cudzym nazwiskiem, a potem słuchaj, jak ludzie cię tak nazywają. Wtedy zrozumiesz.

Gdy miałem trzynaście lat i byłem zmęczony życiem w takim zawieszeniu, zebrałem pieniądze i kupiłem książkę z imionami, taką jaką wieczorami wertują młode pary, czytając pięć tysięcy imion na głos, zanim narodzi się dziecko. Samotny w tym gąszczu szeptałem imiona, a potem je wykrzykiwałem, próbując zapamiętać, ale głos z taśmy, podobnie jak Srebrny Meteor, już nie istnieje.

Rozdział 3

Architektura szpitala w Brunswicku nie była niczym godnym podziwu. To sprawa przedłożenia funkcjonalności nad formę. Nie czekając na mnie, wujek wyskoczył z samochodu i był pierwszy przy windzie, gdzie już zdążył nacisnąć guzik. Wujek, podkuwacz koni, dużo przebywa w stodołach i w pobliżu zwierząt. Jego strój do pracy, jeśli można to tak określić, jest bardzo prosty. W jego skład wchodzi brudny kapelusz (albo baseballówka Bravesów, albo stary kapelusz gus - w zależności od nastroju i od tego, czy Bravesi akurat wygrywają), koszula dżinsowa z długimi rękawami (na zatrzaski, nie na guziki), spłowiałe dżinsy Wranglery obdarte na dole, stare kowbojskie buty, podwójnie podzielowane, skórzany pasek z wytłoczonym z tyłu imieniem WILLEE i niebieska lub czerwona chusteczka obwiązana wokół szyi. Wujek mówi, że chusteczka chroni go przed kurzem, ale ja mu powtarzam, że wygląda jak śliniak i powinien jej używać do wycierania kącików ust. Dzisiaj wujek założył baseballówkę, ponieważ Bravesi zdobyli już pięć punktów.

Wysiedliśmy na trzecim piętrze i przeszliśmy korytarzem do sali trzysta szesnaście. Facet w garniturze siedział przed drzwiami na krześle i czytał magazyn „SWAT”¹², a gdy podeszliśmy bliżej, wstał.

- Jest pan z gazety? - zapytał.

Pokazałem mu swoją legitymację.

Pokiwał głową, wzruszył ramionami.

¹² „SWAT” - magazyn o sztukach walki i rodzajach broni.

- Życzę powodzenia - powiedział, otwierając nam drzwi. Pokój znajdował się w rogu budynku i dzięki temu dwa okna wpuszczały ostre światło słoneczne odbijające się od pomalowanych na biało ścian. Telewizor był wyłączony, a dzieciak siedział na krześle, wpatrując się w okno. Rysował też coś w notatniku. Rysował bokiem ołówka - jak ci, którzy używają węgla, a ruchy jego dłoni były wprawne. Usłyszawszy, że wchodzimy, zatknął ołówek za ucho, zamknął zeszyt i położył na nim ręce. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, ubrany jedynie w zbyt długie spodnie od piżamy we wzorek z piłek baseballowych. Wziąłem jedno z krzeseł i usiadłem obok niego. Przez minutę nic nie mówił. Spojrzałem na skórę na jego plecach i dziwne wzory utworzone z licznych blizn. Wujek Willee nas okręzał. Gdy znalazł się za plecami chłopca, nieświadomie zasyczał. Wytarł nos, zdjął kapelusz i oparł się o okno, potrząsając głową. Sekundę później westchnął. Dzieciak był wychudzony, blady i cały pogryziony przez mrówki. Coś sączyło się spod opatrunku na plecach i spływało wzdłuż kręgosłupa. Wujek Willee wyszedł z sali do pokoju pielęgniarek. Wziął stamtąd gaziki i ukląkł z nimi przed chłopcem.

- Chciałbym tym wytrzeć ci plecy, nie masz nic przeciwko temu?

Chłopiec pokręcił głową, ale nie przestawał patrzeć na podłogę. Przypominał mi żółtego szczeniaka labradora, którego kiedyś widziałem w schronisku: chudego, z brudną matową sierścią i wielkimi brązowymi oczami wpatrzonymi w podłogę. Jego kłapciaste uszy zakrywały połowę mordki, ogon poruszał się między nogami, a ogromne łapy były przygotowane na jego wielkość w przyszłości.

- Trzymaj mnie za rękę, dobrze? - Wujek podał dziecku lewą dłoń.

Oczy chłopca zwróciły się z podłogi na jego ramię.

- Jeśli coś cię zabolí, ściśnij moją rękę - zrobił przerwę. - Zgoda?

Dzieciak powoli umieścił swoją dłoń w dłoni wujka.

Pamiętacie grę ze szkoły podstawowej, która polega na tym, że dzieciaki, stojąc naprzeciwko siebie, przytykają do siebie dłonie z rozczapierzonymi palcami i wygrywa ten, kto będzie mocniej naciskał? Ta zabawa przypomniła mi się, gdy zobaczyłem, jak mały wkłada łapkę w rękę wujka Willee'ego. Wujek wyjął jeden z gazików i ostrożnie zaczął ścierać płyn sączący się z rany. Położył jeszcze dwa gaziki na ranie i pomógł dzieciakowi się wyprostować i znów oprzeć, tak by oparcie krzesła przytrzymało opatrunek na miejscu. Chłopiec wycofał rękę i wpatrywał się w swoje kolana. Wujek znów ukląkł koło niego i stwierdził:

- Zrobione.

Gdy chłopiec nie odpowiedział, wujek wyjął lizaka z kieszeni koszuli i dodał:

- Wiesz, że nie przyjmuje się słodyczy od nieznajomych. Dziecko spojrzało na zielonego lizaka, przygryzło wargę i z powrotem wpatrywało się w podłogę. Wujek rozwinął lizaka z papierka i podał mu go.

- Dobrze, niech tak nadal będzie.

Chłopiec się zawahał, jakby nie chciał wpaść w pułapkę. Wujek zauważył ten moment i położył lizaka na okładce zeszytu.

- Tylko gdy sam zechcesz.

Willee odsunął się, a chłopiec powoli sięgnął po prezent. Spojrzałem na szkicownik i zdecydowałem, że muszę mówić cicho i łagodnie.

- Co rysujesz?

Zdałem sobie sprawę, że odkąd wszedłem, nie widziałem jeszcze jego twarzy. Jak dotąd widziałem jedynie czubek jego głowy i mały kawałek czoła. Puścił lizaka i otworzył swój

zeszyt. Na dwóch pierwszych rozłożonych stronach był rysunek utrwalający chwilę, gdy część pociągu zderza się z samochodem, który przypominał impalę. Nie był to jednak dziecięcy rysunek ani kreskówka.

- Czy to twój samochód? Pokręcił głową.

- Byłeś w tym samochodzie? Skinął potakująco.

- Jak masz na imię?

Wyjął ołówek zza ucha, narysował znak zapytania i wziął go w kółko. Minęło kilka sekund i znów spróbowałem.

- Zanim ukończyłem sześć lat, chłopcy nazywali mnie różnymi imionami i byłem przenoszony z domu do domu. Nie miałem świadectwa urodzenia, dopóki wujek Willee mi go nie pokazał.

Mały rzucił okiem na buty wujka. -Widziałeś kiedyś swoje? Pokręcił głową.

- A jak ludzie cię nazywają?

Odwrócił czystą kartkę i napisał: SNOOT¹³. Przyglądałem się tej stronie.

- A czy jeszcze jakoś cię nazywają?

Od chwili gdy weszliśmy, lewa noga chłopca podskakiwała jak u Pinokia zawieszono na niewidzialnej linie u sufitu.

- A gdybyś mógł wybrać sobie imię i... nowi koledzy mogliby cię tak nazywać... jakie imię byś wybrał?

Chłopiec na chwilę zamarł. Stepowanie Pinokia nagle ustało, a jego oczy zwróciły się w kierunku moich stóp. Po jakiejś minucie oczy zaczęły patrzeć w poprzeczne miej-

Snoot — lejek.

sce, a kukielka zacieśniła linę. Po raz pierwszy zwróciłem uwagę na to, że większość stron w jego notesie była wypełniona rysunkami.

- Pokażesz mi swój szkicownik?

Chłopiec odsłonił pierwszą stronę, trzymając notes w dalszym ciągu na kolanach. Założyłem ręce do tyłu, aby mu pokazać, że nie chcę go zabierać, i pochyliłem się. Rysunek był zaskakująco realistyczny, przedstawiał to, co widziałem, wchodząc tutaj, tak samo jak zaskakująca była szybkość, z jaką rysował. Chłopiec przekładał kartki, a wujek Willee patrzył na nie przez moje ramię. Zobaczyliśmy przyczepę mieszkalną postawioną na betonowych bloczkach oraz grubego kota w obróżce wygrzewającego się na słońcu, a obok owczarka niemieckiego w zagłębieniu na drodze i dwa różowe flamingi rzucone w pobliżu. Jeden z nich miał odgryzioną głowę. Tuż przed wejściem leżał jeden but do koszykówki, miał związaną sznurówkę i dziurę tuż nad wielkim palcem. Wokół porzrzucone były puszki po piwie i butelki po whisky. Po jednej stronie rozwieszony był sznur na bieliznę, na którym wisały męskie gatki, stringi, kilka par dżinsów i jedna para spłowiałych dżinsów dziecięcych. Nad przyczepą górował wysoki rozłożysty dąb rosnący za nią. Przecięta na pół pięćdziesięciogalonowa beczka była ustawiona na froncie i unosił się z niej niewielki ogień. Zmięty worek z węglem drzewnym leżał porzucony w pobliżu. Na drzwiach widniał numer dwadzieścia siedem. Wszystkie okna były otwarte, a w wielkim oknie w sypialni zainstalowany był spory, stojący na podłodze wiatrak. Próbowałem odczytać wyraz oczu chłopca, ale jeszcze niżej spuścił głowę.

- Mogę zobaczyć następną stronę?

Następna strona zawierała dokładny rysunek czegoś, co wyglądało jak wielka i muskularna prawa dłoń, brudna od tłuszczu i pokryta odciskami, ściskająca kombinerki

jak imadło. Same kombinerki ścisnęły coś, co przypominało skórę lub czyjeś ramię lub łopatkę i kawałek skóry długi na całość, a szeroki może na pół. Na następnym rysunku lub jego fragmencie widać było rękę i kombinerki tuż po tym, jak kawałek skóry z ramienia został oderwany. Porównałem dziecko z obrazkiem, najpierw jego rękę, potem ramiona, a następnie plecy. Razem z raną okrytą gazą naliczyłem szesnaście blizn i każda z nich była mniej więcej rozmiaru końcówki kombinerek. Chłopiec miał króciutko ostrzyżone włosy i widać było, że tu i tam zostały wyrwane. Ramiona, kościste i drobne, opadały na końcach jak wodospady, a paznokcie były obgryzione do żywego. Stopy miał tak brudne, że jedna kąpiel nie dała im rady. Wujek przyglądał się rysunkowi, dziecku i mnie. Usta miał skrzywione w lewą stronę i gryzł wewnętrzną stronę prawego policzka. Co kilka sekund wypluwał coś, co wyglądało jak kawałek martwej skóry. Ukląkł koło chłopca, jego oczy znalazły się na wysokości moich. Bez dotykania wskazałem na ramię chłopca.

- Kto ci to zrobił?

Jego ręka zaczęła się poruszać ze zdwojoną prędkością i teraz ruchy Pinokia dotyczyły lewej nogi i prawej ręki. Jego oczy przeszły od moich stóp do wujka i z powrotem na środek. W końcu zamknął notes i skrzyżował ręce. Usiadłem na podłodze przed nim i zacząłem.

- Podaj imię.

Teraz do rytmicznych ruchów włączyła się głowa.

- Możesz narysować?

Ręka zwolniła, stukanie o podłogę ucichło, a kilka sekund później zaprzestał tych ruchów całkowicie. Postukałem w notatnik.

- Pokaż mi.

Wyjął ołówek zza ucha, otworzył notes i w ciągu trzech minut narysował mężczyznę od pasa w górę. Ciemne włosy,

wąsy, podwinięte rękawy, wielkie bicepsy, piwny brzuch, rozpięta koszula wyjęta ze spodni, papieros zwisający z ust. Na prawej ręce miał tatuaż z jakimś stworzeniem z głową węża, a na lewym przedramieniu kobietę owiniętą wokół jeszcze większego węża. Po bokach twarzy widać było długie bokobrody, a na klatce piersiowej jeszcze jeden tatuaż „Bo”. Wskazałem na imię.

- Czy „Bo” ci to zrobił?

Chłopiec nie odpowiedział, pozwolił, by rysunek mówił za niego.

- Czy „Bo” ma jakieś nazwisko? Znów bez odpowiedzi.

- „Bo” to twój tata?

Chłopiec odwrócił notes, chwycił ołówek i naciskając nim bardzo mocno, napisał NIE.

- Czy mama też tam mieszkała?

Użył końcówki ołówka, by jeszcze raz wskazać napisane przed chwilą słowo. Ja z kolei pokazałem rysunek impali z pierwszej strony.

- Mama mieszkała w samochodzie? Znów wskazał na NIE.

Wujek sięgnął w kierunku notesu i odwrócił kartkę. Wskazał na kobietę za kierownicą. Powoli zapytał:

- To była twoja mama?

Chłopiec patrzył na nasze stopy, raz w jedną, raz w drugą stronę jakiegoś sześć razy, aż w końcu zakreślił kółkiem słowo NIE. Usiadłem z powrotem na krześle, potarłem policzek i podrapałem się w głowę. Zbyt wiele rzeczy nie pasowało do siebie. Niewiele myśląc, klepnałem chłopca w kolano, na co się wzdrygnął, i zapytałem.

- Masz ochotę na pizzę?

Chłopiec rozejrzał się po pokoju, za siebie i znowu zaczął stukać nogą w podłogę. Spojrzał na mężczyznę w garniturze po drugiej stronie drzwi i powoli napisał w notesie: TAK.

- Pepperoni? Wskazał na TAK.
- Dodatkowy ser? Zakreślił TAK dwa razy.
- Zaraz wracam.

Wykręciłem numer Pizzy Nata, od której byłem uzależniony, gdy pisałem w nocy. Czekaając, aż ktoś odbierze, zastanawiałem się, dlaczego w czasie naszej konwersacji chłopiec nie wypowiedział ani jednego słowa. Pomyślałem, że nawet nie wiem, jaki kolor mają jego oczy. Powiedziałem Natowi, czego potrzebuję, a on obiecał mi to za piętnaście minut, co znaczyło trzydzieści. Potem zadzwoniłem do Reda, który odebrał komórkę po piątym dzwonku.

- Jesteś w szpitalu?
- A możesz mi powiedzieć, o co tutaj chodzi?
- To już twoje zajęcie. W gazecie podjęliśmy decyzję, że zrobimy to, co będzie w najlepiej pojętym interesie dziecka.
- Podjęliście, a dokładniej?
- No... dowiedzieć się, jaki jest jego adres, skąd jest, jaki szalenieć tak się nad nim znęcał.

Rozłączyłem się, wsunąłem telefon do kieszeni i stałem dalej w holu, zastanawiając się. Musiałem pogadać z kimś, kto już kiedyś miał kontakt z tym chłopcem. Może sanitariusz, pielęgniarka, lekarz, strażak. Wyjąłem z kieszeni mały czarny notes i zacząłem zapisywać. Właśnie wtedy pojawił się lekarz, tak koło trzydziestki, i zaczął czytać kartę chłopca. Klepnałem go po ramieniu i wyciągnąłem rękę.

- Chase Walker z gazety.

Pokiwał głową i odsunął się od drzwi, tak że stetoskop zabujał na jego szyi jak pukiel skręconych włosów.

-Tak... Paul Johnson. Czytałem pana artykuły. Robi pan kawał dobrej roboty. Pana historia z przemytem narkotyków na łodziach z krewetkami była fascynująca.

Dwa lata temu zająłem się plotkami, które donosiły, że łodzie do przewozu krewetek zacumowane w pobliżu Brunswicku służą jednocześnie do przewozu ecstasy z Miami do Myrtle Beach. Ponieważ za narkotykami idą pieniądze, sprawa nie była trudna do rozwiązania. Zrobiłem w nocy film, poszedłem z nim na policję, ona zrobiła resztę, a Red umieścił moją historię na pierwszej stronie.

- Dziękuję, że pan przyjechał. - Lekarz rozglądał się po korytarzu za pielęgniarką, technikiem albo innym lekarzem. - Pomyśleliśmy, że dobrze będzie mieć wsparcie mediów. Może moglibyśmy ustalić, kim jest chłopiec.

- Co się z nim stanie?

- No cóż, zaraz jak go wyprowadzimy z tej zapaści, przyjadą po niego służby stanowe i umieszczą albo w domu dziecka, albo w rodzinie zastępczej. Nie ma jednak wiele rodzin zastępczych w Glynn County i z tego, co już zdążyłem ustalić, albo mają już wystarczającą liczbę dzieciaków, albo nie chcą dziecka takiego... jak on.

Lekarz odwrócił się i wujek wyciągnął do niego rękę. - Jestem Willee McFarland. - Wskazał na mnie: - Jesteśmy razem.

Lekarz przywitał się i ciągnął dalej.

- Wiemy, że lubi lody i podoba mu się to, że ktoś uzbrojony pilnuje wejścia. Gdyby poprosił, żeby mu pokazać broń, pewnie oglądałby ją bez końca. Ale on tylko pokazuje.

Zwrócił się do mnie.

- Odezwał się do was?

- Nie. A do pana?

- On się nie odezwie.

- Nie chce czy nie może mówić? - zapytał wujek.

- Właśnie, zauważył pan tę subtelną różnicę? - Lekarz pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Kura, choć ma skrzydła, nie może latać.

Lekarz spojrzał zbity z tropu. Próbowałem mu pomóc.

- Pozory mogą być mylące.

Pokiwał głową na znak, że się ze mną zgadza, i znów przeglądał kartę.

- Wczoraj wzięliśmy niektóre z jego rysunków i jak mogliśmy z nich wyczytać, kiedyś miał zrobiony zabieg tracheotomii. Krtań mogła wtedy ulec uszkodzeniu. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z takimi dziećmi jak on, ale czytałem kiedyś w fachowym piśmie, że dzieci, które były molestowane, zwłaszcza w taki sposób jak on, cierpią na całkowitą utratę pamięci i czasami przestają mówić.

Otworzyłem czarny notes i zapytałem:

- Co pan przez to rozumie?

- To mechanizm obronny. Umysł stosuje blokadę, coś jakby inteligentny twardy dysk, z którego automatycznie usunięto najbardziej przerażające dane, by chronić resztę systemu.

-To znaczy, że on może jednocześnie rysować jak Michał Anioł i nie wiedzieć, jak się nazywa?

- Otóż to.

- A jego głos?

-To inny mechanizm. Ktoś, kto się nie odzywa, nie zwraca na siebie uwagi, ma nadzieję, że rzadziej go dostrzegając, prześladowca mniej go będzie bił. Zwykle takie dzieci, gdy tylko się odezwą, słyszą, że mają się zamknąć. Gdy dojdzie do tego uszkodzenie strun głosowych, mamy w rezultacie dziecko, które ma wszelkie powody, by milczeć.

- Myśli pan, że on się jeszcze kiedykolwiek odezwie? Lekarz pokręcił głową.

- Tego nie wiem. Z czasem krtań i struny głosowe będą mogły się zregenerować, ale reszta zależy od niego. To jednak wybieganie w przyszłość. Nie jestem psychologiem, ale wiem na pewno, że aby tak się stało, chłopiec musi zrozu-

mieć, że są na tym świecie ludzie, którzy chcą go usłyszeć. Jak dotąd niczego takiego nie doświadczył.

- To wyjaśnia, dlaczego posługuje się rysunkami. Lekarz skinął i zamknął kartę.

- Niesamowite. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z czymś takim. Rysuje z szybkością autora komiksów, a talent ma na miarę Normana Rockwella¹⁴.

Wujek pokiwał głową.

- Jak pan myśli, panie doktorze, ile on może mieć lat? Doktor Johnson przymknął oko i podrapał się w głowę.

- Może dziewięć. Na pewno nie dziesięć. Nie wszedł jeszcze w fazę dojrzewania.

Pogadaliśmy kilka minut i zapisałem wszystko, co tylko zdołałem zapamiętać, oraz pytania, które później chciałem zadać. Mniej więcej wtedy doszedł mnie zapach pizzy. Zapłaciłem chłopcu, który ją przywiózł, i w trójkę weszliśmy z pizzą do sali, gdzie wujek od razu rozłożył cztery talerze. Zdążyłem ugryźć swój kawałek trzy razy, zanim chłopiec podniósł swój do ust. Najpierw ją wachał, oglądał krawędzie, a potem spojrzał na drzwi i na mężczyznę w mundurze. Mężczyzna siedział w połowie drzwi na składanym krześle i czytał książkę Clive'a Cusslera w miękkiej oprawie. Chłopiec ześlizgnął się z krzesła i wtedy dopiero zobaczyłem, jaki jest chudy. Zebra mu sterczały, a w pośladkach miał wgłębienia. Wolnym i niepewnym krokiem, kołyszając się jak staruszka, podszedł do drzwi i zaproponował swój talerz z pizzą strażnikowi.

Trzy, może cztery razy większy od niego strażnik spojrzał najpierw na czubek głowy chłopca, a potem na talerz.

- Nie, dziękuję. Staram się odchudzić.

Ruchem podobnym do obrotowej tacy chłopiec odwrócił się, zatrzymał, a następnie znów odwrócił i wsunął talerz

¹⁴ Norman Rockwell - amerykański malarz i ilustrator.

z pizzą na kolana mężczyzny pod otwartą książkę. Strażnik odłożył książkę i powiedział:

- No, jeśli nalegasz. Dziękuję.

Wujek nałożył chłopcu następną porcję i ten zaczął powoli jeść, przeżuwając dokładnie każdy kawałek, jakby wymagało to specjalnego wysiłku, a następnie spojrzał na pudełko. Przez następne czterdzieści pięć minut chłopiec zjadł cztery kawałki pizzy i wypił trzy małe kartoniki mleka. Gdy skończył mleko, odwrócił głowę w kierunku mojego talerza i dwóch niezjedzonych kawałków.

- Możesz to zjeść, jeśli chcesz - podsunąłem mu talerz. -Ja już nie mogę.

Gdy pracowałem nad sprawą przemytu na łodziach z krewetkami, poznałem zabiedzonego psa, który pojawiał się wtedy, gdy chłopcy kończyli już pracę i szli do domu. Po trzech miesiącach karmienia go psimi biszkoptami wciąż nie pozwalał mi się pogłaskać. Podchodził do mnie jedynie po to, by powąchać, czy mam z sobą jedzenie. Jeśli miałem, czekał, aż położę je na ziemi i odejdę. Nie miał obroży. Sierść miał matową i zbitą we frędzle, mieszkał pod werandą trzy przecznice dalej. Pewnego dnia popełniłem błąd, podnosząc statyw, by przesunąć aparat w inne miejsce. Zobaczyłem go znowu dopiero po kilku dniach. Kiedy patrzyłem na chłopca, przypomniało mi się zachowanie tamtego psa.

Gdy postawiłem przed nim talerz, wziął powoli brzegi pizzy, patrząc przez ramię. On jadł, a ja notowałem w sobie tylko znany sposób, tak by nikt inny nie miał z moich notatek pożytku. Sądząc z tego, co zobaczyłem, jego wygląd typu „skóra i kości” nie był wynikiem braku apetytu. Chłopak wsuwał jak odkurzacz. Położyłem wizytówkę na jego notesie, mówiąc:

- Gdybyś czegoś potrzebował, poproś kogoś, żeby dał mi znać. Dobrze?

Wsunał wizytówkę pomiędzy ostatnie kartki notesu, ale się nie poruszył. Prawdopodobnie miał wiele takich wizytówek na wszelki wypadek. Gdy wychodziliśmy, usłyszałem szuranie jego piżamy o podłogę. Chłopiec stał za wujkiem i pociągał go za kieszeń. Gdy wujek schylił się do niego, dziecko otworzyło notes i wyrwawszy jedną z kartek, podało mu ją, nawet na niego nie spoglądając. Wujek Willee patrzył na rysunek przez kilka minut, przygryzając policzek od wewnętrznej strony. W końcu zdjął swoją beseballówkę i włożył ją na głowę chłopca. Czapka zachwiała się jak na huśtawce, zawisała nad jego uszami i zasłoniła część twarzy. Ponieważ nie nawykł do tego, by dostawać prezenty, stał zmieszany. Wujek przyglądał się temu, co wyrażała postawa chłopca, poprawił mu czapkę na głowie i powiedział:

- Teraz dobrze?

Twarz chłopca pozostała bez wyrazu, ale gdy spojrział kątem oka w lustro, policzek nieco się unióś.

Szliśmy korytarzem, moje japonki głośno klapały. Zatrzymał nas doktor Johnson.

- Proszę pana?

Odwróciliśmy się obaj, mając kciuki zatknięte w kieszonki džinsów - taki wspólny nawyk.

- Czy pan powiedział, że nazywa się Willee McFarland? - Tak.

Wujek westchnął, zsunął okulary z nosa i pozwolił, by zawisły mu na szyi.

- Jest pan krewnym któregoś z tych dwóch braci? - Lekarz spojrział na podłogę, a potem znowu na nas. Wskazał na zachodnie okno w kierunku Żuta.

- Taak. - Wujek założył z powrotem okulary.

- O rany, no dobrze. - Lekarz pokiwał głową i unióś brwi.

Też pokiwałem głową, bo wiedziałem, do czego zmierza.

- Hmm. - Musiał zapytać. - Którym bratem pan jest? Wujek uśmiechnął się i opuścił okulary do połowy nosa.

Patrząc ponad okularami, powiedział:

- Jestem tym, który siedział w więzieniu.

- Ach tak.

- Dlaczego nie daliście mu nowych okularów? - Wujek odwrócił się i wskazał na pokój chłopca.

- Nie wiedziałem, że nosił okulary. - Lekarz spojrział w tamtym kierunku.

- Odcisk na nosie wskazuje, że nosił. - Pokiwał głową wujek.

Wsiedliśmy do Vicky i pojechaliśmy w kierunku drogi numer cztery. Przejechaliśmy pod 1-95, pod postojem dla ciężarówek, a potem minęliśmy dziesięć tysięcy posadzonych w równych odstępach sadzonek sosny, w szeregach skierowanych w stronę drogi. Prowadząc w blasku zachodzącego słońca, widziałem każdy rząd drzewek jak jakiś magiczny korytarz prowadzący w kierunku celtyckiej katedry. Jechałem, mając w pamięci obraz tego chłopca. Wujek domyślił się, o czym myślę, i położył mi rękę na ramieniu, robiąc coś, co zaczął dwadzieścia lat temu, a co mówiło mi więcej o mnie samym niż jakaś karta informacyjna, czek z zapłatą czy stanowisko. Ta dłoń na ramieniu, choć nie odpowiadała na pytania, na które nie znałem odpowiedzi - skąd się wziąłem i kim jestem - mówiła do jakiejś części we mnie coś bardzo ważnego. I szczerze mówiąc, gdy demony budziły się i przypominały, że nie byłem dość dobry nawet dla własnych rodziców, którzy porzucili mnie gdzieś na rogu ulicy, ta ręka mówiła mi co innego.

- Słucham pana.

Odwrócił twarz do okna i oparł stopę o boczne drzwi.

- Dzieci są jak źródło albo jak Rozciągliwy Armstrong¹⁵. Bez względu na to, ile razy przejdą z rąk do rąk, są oddawane, przekazywane... odnajdują się.

Spojrzał w okno.

- Nadzieja, to je napędza. Pokiwał głową i zdjął coś z języka.

- Boże, nie pozwól, żeby nastąpił dzień, gdy jej zabraknie.

Gdy wujek Willee i ciocia Lorna po raz pierwszy przywieźli mnie do domu, powiedzieli mi coś, czego nigdy nie zapomnę.

- Chase... nasz dom i nasza rodzina to rodzina zastępcza. To znaczy, że możesz tu mieszkać jak we własnym domu, dopóki nie pojawią się twoi rodzice, żeby cię odebrać.

Wujek poklepał łóżko.

- To znaczy, że do tego czasu to jest twój pokój. Rozejrzałem się, nogi zwisały mi stopę nad podłogą.

- Ale chyba musimy jeszcze podjąć decyzję, jak będziesz nas nazywał.

Więc...

Wziął rękę cioci Lorny i przełknął ślinę.

- Może będziesz nas nazywał ciocia Lorna i wujek Willee, jeśli to ci się podoba.

Nic nie mówił przez kilka sekund.

- Żebyś, gdy wrócą twoi rodzice, mógł wciąż nazywać ich rodzicami: Mamą i Tatą.

Zwrot „gdy wrócą twoi rodzice” tak wtedy wpłynął na moją psychikę, że jego echo pobrzmiwa do dziś. Uwiarygodnił myśli, które kołatały się we mnie, odkąd pamiętam. Nadał wtedy znaczenie słowom *to jest możliwe*.

15 Rozciągliwy Armstrong (Stretch Armstrong) - zabawka z gumy, postać siłacza z ramionami, które można rozciągać we wszystkich kierunkach.

Wujek miał rację. Dzieci żyją nadzieją. Potrzebują jedynie, by ktoś dał im powód. Minęła dłuższa chwila, zanim znów się odezwałem. - Kiedy ją tracą?

Oparł głowę z powrotem na zagłówek. -To zależy... to zależy.

Rozdział 4

Historia braci McFarlandów w okolicy Żuta, w stanie Georgia, zyskała sobie status mitu. Upiększana przez całe pokolenie, zmieniała się jak kameleon na słońcu. Była przedmiotem niekończących się domysłów, zajęła całe tomy akt sądowych, spowodowała kilka dochodzeń służb federalnych dotyczących tego, jak doszło do trzech morderstw, jak też była przyczyną mojego pobytu w więzieniu przez ostatnie trzy dni. Również z jej powodu zostałem dziennikarzem.

Gdy byłem nastolatkiem, słyszałem jedynie plotki na temat nieporozumień pomiędzy Williamem McFarlandem i jego bratem. Jeszcze wcześniej, gdy miałem sześć lat i przyjechałem do ich domu, bardzo mądrze postępowali, trzymając mnie i inne dzieciaki, pojawiające się w naszym domu, z daleka od tego, choć czułem wtedy jakieś napięcie wiszące w powietrzu. Życie z wujkiem pod jednym dachem dawało mi zupełnie inny obraz tego człowieka niż ten, jakiego przedstawiały plotki. Ponieważ nic mi się tu nie zgadzało, zacząłem dociekać co i jak. Wkrótce potem ściany mego pokoju zaroily się od kolaży z różnymi przypadkowymi informacjami na ten temat, które miały pomóc mi ułożyć prawdziwy obraz. Moje ostatnie lata w collegeu były poświęcone pisaniu pracy magisterskiej. Wszyscy studenci dziennikarstwa jechali na tym samym wózku. Na początku studiów posadzili nas i przedstawili reguły gry. Wymagania były proste. Znajdź jakąś sprawę o zasięgu ogólnokrajowym, która nie została dotychczas rozstrzygnięta w wyniku ubieranych na

jej temat informacji lub została zaniechana jako nieciekawa. Po przeprowadzeniu własnego dochodzenia sprowokuj od nowa dyskusje na jej temat, wyciągając na światło dzienne nowe argumenty. Nie należało kierować się zebraniem dotychczas materiałem. Posługując się własnym talentem, trzeba było odkryć coś nowego. Poszukiwania miały być dogłębne. Wysoko oceniane było dotarcie do źródeł. Liczyły się tu trzy kryteria: sprawa miała być ogólnonarodowa, ciekawa i nowa. Wielu studentów miesiącami poszukiwało tematu, po to by spędzić następne dziesięć czy dwanaście miesięcy na doszukiwaniu się prawdy. Dla mnie to nie był problem.

Tillman Ellsworth McFarland urodził się w 1896 roku. Ów moment nie jest najlepszy, by zaczynać tę historię, więc musimy się cofnąć, i to sporo.

Nikt tak naprawdę nie wie, skąd dla tego terenu w Georgii wzięła się nazwa Golden Isles. Jedni stawiają na Hiszpanów, inni na Anglików, którzy chcieli promować tam osadnictwo. Oprócz tego, że jest to obecnie najdroższy adres w Stanach Zjednoczonych, droższy niż Beverly Hills czy Aspen w sezonie narciarskim, to jeszcze są tam łagodne zimy, chłodne lata i drogie plaże, co powoduje, że jest najbardziej pożądanym miejscem na Wschodnim Wybrzeżu. Małe ryzyko wystąpienia huraganu, w związku z oddaleniem od ośrodków występowania tego kataklizmu, zawdzięcza Golfsztromowi. Począwszy od trzystuletniego dębu pokrytego oplątwą brodaczki, przez różne rodzaje insektów w wodzie i w powietrzu, białe słoneczne plaże i połyskujące w wodzie szczęki rekinów, aż po „piaskowe dolary”, czyli larwy jeżowców, cały rejon jest kolebką jednego wielkiego ekosystemu zwanego bagnami. To ziemia niczyja z rozległymi terenami błotnistymi, z wystającymi z błota ostrzygami o ząbkowanych muszlach, porośnięta ostrą jak brzytwa

trawą, o zmieniających się co godzinę kolorach i dwukrotnych w ciągu dnia przyływach. Ale najgorszym efektem błota jest zapach. Podczas gdy turyści przejeżdżający przez groblę biorą pierwszy w tym miejscu wdech i zatykają nosy, miejscowi się budzą, wychodzą przed dom i przeciągają się, wdychając i napełniając swoje ciała powietrzem aż po koniuszki palców. Przez śmierć i gnienie do powstania z nawozu nowego życia. Bagno, tak jak cykl jego powstawania, jest codzienną, powtarzającą się kontynuacją zamkniętego koła życia i śmierci.

Jako pierwsi osiedli tu Indianie Creek. Poza śmieciami, jakie po nich zostały, i miejscami pochówku, o ich obecności świadczą jeszcze nazwy Satilla i Altamaha. W 1540 roku przywitani z zainteresowaniem hiszpańskiego konkwistadora Hernanda DeSoto. DeSoto postawił jedną nogę na plaży, ogłosił, że terytorium to należy do Hiszpanii, i odpowiedział na powitanie Indian gradem kul z muszkietów i przywleczonymi chorobami. Jeśli to cię poruszyło, to się nie przejmuj. Jego sukces był krótkotrwały, bo DeSoto zmarł w drodze powrotnej do domu w 1542 roku.

Hiszpanie w pewnym sensie jednak powrócili do St. Augustine, dając wcześniej sposobność Francuzom do stawienia czoła komarom i rozpoczęcia własnej kolonizacji. Niezlomny król Hiszpanii Filip II wysłał tam jezuitów, którzy od razu zostali wzięci do niewoli przez pozostałych na tych terenach Indian. Do roku 1570 większość jezuitów, zmęczona zmaganiem, przeniosła się do Meksyku, robiąc miejsce franciszkanom przybyłym w roku 1573.

Przeskoczmy jakieś sto lat i powróćmy przez ocean do ojczystej ziemi osadników. Po latach wojny w Anglii dłużnicy, często szanowani obywatele, którzy by opłacić podatki, zaciągnęli kredyty i nie byli w stanie ich spłacić, mając w perspektywie długą odsiadkę o głodzie, w śmierzających,

wilgotnych celach, gdzie zaczynała się rozprzestrzeniać epidemia ospy, z ulgą przyjęli możliwość osiedlenia się w Georgii. Na polecenie króla Jerzego II mieli ustanowić kolonię pomiędzy Karoliną Południową a Florydą „w imię Boga i na pożytek kraju”... oraz za umorzenie długów.

W listopadzie 1732 roku dwustutonowa fregata nazwana „Ann” przewiozła stu czternastu niedoszłych więźniów i ich rodziny do Nowego Świata. Prowadzony przez brytyjskiego bohatera Oglethorpe'a statek dopłynął do Charles Town, gdzie podróżnicy znaleźli swoje miejsce i zapuścili korzenie. W roku 1736 Oglethorpe postanowił pójść dalej w swoich podbojach niegościnniej ziemi: załadował statek i okrążył nim wyspę Cockspur. Mając zdolnych kowali, cieśli i farmerów, wylądował na St. Simons i zbudował podwaliny osady zwanej Frederica. Wiedząc, że jego trzódka będzie potrzebowała duchowego przywództwa, Oglethorpe zabrał z sobą dwóch braci - Johna i Charlesa Wesleyów, by nawracali Indian i zbudowali coś, co dziś nazywamy Kościołem Chrystusa. Hiszpanie, którzy swoje kwatery główne ulokowali właśnie w St. Augustine, odczytali to jako atak na koronę hiszpańską. Zorganizowali więc siły ofensywne i pomaszerowali na północ. Przewyższając liczebnie Anglików, byli pewni zwycięstwa, więc pozwolili sobie na odpoczynek po drodze - rozpalili ogniska i złożyli broń w kozły. Anglicy, dowodzeni przez szkockich góralskich, potrafili się skradać wśród palm niezauważeni, jak partyzanci, aż nie zwąchali zapachu jedzenia. Następnego dnia bagna Georgii splotły się krwią Hiszpanów, a Anglicy ogłosili zdobycie stanu. Dziś to miejsce nosi nazwę Bloody Marsh¹⁶.

W 1782 roku tłamszeni przez nowe podatki i opłaty mieszkańcy postanowili się nie dać i ogłosili się odrębnym

¹⁶ Bloody Marsh - Krwawe Bagna.

stanem, odrzucając dominację Anglików. W imię Boga i nowej ojczyzny.

Miejsce Georgii w historii utrwaliło się dzięki kilku kluczowym posunięciom. Ze względu na to, że mieszkańcy Karoliny Południowej nie rozumieli konieczności stosowania płodozmianu i z reguły prowadzili gospodarstwa w pojedynkę, eksploatowali ziemię, zaspokajając zapotrzebowanie na bawełnę, wkrótce wyjałowili glebę. Na zachód zaś od Golden Isles ziemia była urodzajna dzięki rzekom Satilla, Frederica i Altamaha. Plantatorzy z Karoliny Południowej pozyskali ją, zakładając skomplikowane systemy odwadniające, które służą do dziś, i rozpoczęli tam uprawę bawełny. Ale nie zwyczajnej. Rozwinęli produkcję specjalnej, wysokogatunkowej bawełny, której nasiona sprowadzane były z Indii Zachodnich, z wyspy Anguilla. To posunięcie okazało się prawdziwym sukcesem. Gdy jednak radykalnie zwiększono zbiory, pojawiła się potrzeba oczyszczania bawełny z torebek nasiennych. To mogły dokładnie i szybko zrobić jedynie zręczne ręce. W 1786 roku wdowa po Nathanielu Greenie, właścicielu plantacji w Mulberry, zatrudniła Eli Whitneya jako nauczyciela swych dzieci. Widząc, że Eli ma smykałkę do konstruowania urządzeń mechanicznych, poprosiła go, Iły wymyślił jakiś lepszy sposób na oddzielanie bawełny od resztek nasienia. Eli tego dokonał - udało mu się coś, co wraz z maszyną drukarską stało się jednym z najważniejszych i przynoszących ludzkości duże zmiany wynalazków w historii. Był on związany z wynalezionym w Anglii w tym samym czasie kołowrotkiem. Odziarniarka bawełny Eliego pozwalała plantatorom w Georgii i Karolinie Południowej zaspokoić w pełni zapotrzebowanie na bawełnę w Anglii.

To, co kiedyś było kolonią założoną przez więźniów, teraz siało się jęczyciem u wagi wobec innych stanów. Powstały ogromne plantacje: Hampton, Cannons Point, Retreat,

w których białe złoto było produkowane czarnymi dłońmi. Warunki życia były tak atrakcyjne, że wiceprezydent Aaron Burr schronił się tu po zabiciu Aleksandra Hamiltona¹⁷ w 1804 roku. I nie był to ostatni raz, gdy morderca szukał w tych stronach kryjówki.

Oprócz bawełny rejon ten stał się znaczącym producentem tarcicy. Pocięty rzekami, które docierały do wybrzeża i Golden Isles, obszar dawał możliwość spławiania całych połaci lasów z miejsc, gdzie były one sadzone, do miejsc, gdzie ładowano je na statki i odprawiano na wschód lub do Anglii. Większość dębów użytych do konstrukcji „Old Ironsides”¹⁸ została wycięta w Cannons Point. Ale tak jak wtedy gdy zaczęto eksploatować ziemię w Karolinie Południowej, tak i teraz wzrastało zapotrzebowanie na niewolników. Wśród tej zasobności i dobrobytu, które wielu kosztowały poranione plecy, ktoś w końcu się rozejrzył, stwierdzając, że niewolnictwo wykańcza nie tylko niewolników, ale i ich panów.

Przez jakiś czas pomysłowi ludzie uprawiali ryż, ale uprawa ta była zbyt skomplikowana i okazała się niezbyt opłacalna, gdy w roku 1898 przysłała fala burzowa i zalała bagna tak, że poziom wody podniósł się o siedem stóp. Po upadku zachwaszczonych i wyjałowionych plantacji rozwinęła się produkcja tarcicy. Po wojnie secesyjnej tartaki powstawały jak grzyby po deszczu i usiały całe wybrzeże. Pod koniec drugiej połowy XIX wieku tartaki w okolicy Brunswicku i St. Simons stały się firmami zajmującymi się pośrednictwem dla tych, którzy potrzebowali drewna. Sporą część mostu Brook-

¹⁷ Trzeci wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Aaron Burr wyzwiał swego politycznego rywala Aleksandra Hamiltona na pojedynek i ranił go śmiertelnie 11 lipca 1804. Był później formalnie oskarżony o morderstwo, ale do procesu nigdy nie doszło.

¹⁸ „Old Ironsides” to przydomek okrętu USS „Constitution”, który brał udział w wojnie w 1812 roku przeciwko Wielkiej Brytanii.

lyńskiego w Nowym Jorku zbudowano z drewna sprowadzonego z Brunswicku¹⁹.

Choć zasoby naturalne Golden Isles zostały praktycznie wyczerpane, wyspy wciąż miały wiele do zaoferowania. W 1886 roku pięćdziesięciu trzech członków czegoś, co nazywano wówczas First Name Club, nabyło od Eugene'a DuBignona wyspę Jekyll. Zajmowali oni równorzędne miejsca na liście, inni nie tytułowali ich inaczej jak „sir”. Wpłata członkowska została ustalona na milion dolarów, co miało pokryć dostarczanie jedzenia na wyspę. Członkami były takie postacie, jak J.P. Morgan²⁰, William Vanderbilt²¹, John D. Rockefeller²² i mój ulubiony Joseph Pulitzer²³. Na przełomie wieków, gdy pięćdziesięciu trzech członków spotkało się na wyspie, prawdopodobnie kontrolowali już jedną szóstą światowego majątku. Z tej wyspy przeprowadzono pierwszą międzykontynentalną rozmowę telefoniczną, a następnie powstał tu plan stworzenia systemu rezerwy federalnej.

W latach dwudziestych klub rozkwitał, przetrwał lata Trzydzieste, a następnie był zmuszony sprzedać wyspę stanowi Georgia, z powodu nałożonego podatku dochodowego. Dziwnie się czasem wszystko układa.

¹⁹ Most Brooklyński został przerzucony w 1883 roku nad East River i łączy w Nowym Jorku Manhattan z dzielnicami położonymi na Long Island. Wówczas był najdłuższym mostem na świecie.

²⁰ J.P. Morgan - amerykański finansista i biznesmen przełomu XIX i XX wieku. Założyciel m.in. J.P. Morgan & Company, General Electric i U.S. Steel. Jeden z najbogatszych ludzi na świecie swego czasu.

²¹ William Vanderbilt w chwili swojej śmierci był najbogatszym człowiekiem na świecie.

²² John D. Rockefeller dorobił się legendarnego majątku na ropie naftowej.

²³ Joseph Pulitzer - amerykański dziennikarz, publicysta, fundator nagrody swojego imienia.

Gdy klub wyniósł się z wyspy, natychmiast pojawili się tacy, którzy chcieli się tu osiedlić, a doprowadzenie linii kolejowej Srebrny Meteor sprawiło, że ściągnęły tłumy. Rozgłos, jakim w całym kraju cieszyły się Golden Isles, sprawił, że powstał tu nowy, pięciogwiazdkowy klub nazwany The Cloister. Pojawiały się tam takie postacie, jak Charles Lindbergh²⁴, który wylądował tu swoim samolotem na naprędcie utworzonym pasie startowym na wyspie Sapelo, i Eugene Price²⁵. Oboje wpisali się do książki gości.

W roku 1920 dwudziestoczteroletni weteran i bohater pierwszej wojny światowej Tillman Ellsworth McFarland, po zwolnieniu z wojska i otrzymaniu wielu medali za zasługi, wysiadł z pociągu na stacji Thalmann w Georgii. Miał niewielki bagaż, ale było w nim wszystko, czego potrzebował: kilka pił, młotków, siekiery ze styliskami z drewna orzecha, siedem dolarów, a w głowie pełno pomysłów. Nie wspominając o silnym postanowieniu, by więcej nie kopać żadnych okopów. Gdy niektórzy z pasażerów wsiadali do samochodów, by odjechać na wakacje nad morzem, Ellsworth zaczął pukać od drzwi do drzwi i oferować swoje usługi: cięcie drewna do kominka, sprzątanie posesji, budowanie stodół, cokolwiek. Ubrany w białą koszulę, krawat i wełniane portki, ścisnął dłonie swoim pracodawcom i mówił: „Jeśli nie będziecie zadowoleni z mojej pracy, nie zapłacicie mi”.

Ludzie czuli silny uścisk spracowanej dłoni, spoglądali w zapadnięte oczy i dawali mu spróbować. Szybko rozeszły się wieści o jego rzetelnej, ciężkiej pracy od świtu do zmierzchu i wkrótce, po paru miesiącach, mógł kupić akr ziemi. Zamienił drewno na zimę na starego konia i rozpoczął kon-

²⁴ Charles Lindbergh - jeden z pionierów amerykańskiego lotnictwa.

²⁵ Eugene Price - amerykańska pisarka pochodząca z Savannah w Georgii.

strukcję domu. Zaczął prowadzić własny interes, polegający na wycince drzewa i produkcji terpentyny. To dało mu trochę pieniędzy i sprawiło, że jego byt się polepszył, a on sam zwiedził każdy zakątek Glynn County. Przez osiem lat interes rozwinął się na tyle, że gdy inni skakali z okien na Wall Street, Ellsworth, który dotąd zachował pierwszego pensa, którego sam zarobił, wciąż żył marzeniami, jakie ściągnęły go na Południe. *Inwestuj w ziemię, a nigdy nie stracisz*. Do roku 1931 był w posiadaniu dwudziestu sześciu tysięcy akrów w mieście i w okolicy Żuta, jakieś dwadzieścia mil na północ od Brunswicku, które nazwał po prostu „The Żuta”.

Dla osiadłych tu ludzi Żuta była jedynie miejscem, gdzie wśród koniczyny rosły skarłowaciałe sosny i powykręcane dęby, a za nimi rozciągały się rozległe bagniste tereny zwane Buffalo - dziesiątki tysięcy akrów dziewiczych terenów zasobnych w budulec, na które nikt dotychczas nie miał odwagi się zapuścić. Ponieważ Buffalo było położone dość blisko rzeki Altamaha, po ulewnych deszczach, gdy rzeka występowała z brzegów, było zalewane. Ludzie z Thalmann, Popwellville, Jesup, Darien i Brunswicku słyszeli o jego zakupach i kiwali głowami. *Ten facet nie ma racji*. Rzecz w tym, że Tillman spędził całe lata na chodzeniu, obserwowaniu i uczeniu się tego, o czym oni zapomnieli.

Sto lat wcześniej tereny obecnej Żuta stanowiły południowo-wschodnią ćwiartkę większej plantacji zwanej Anguilla. Jej właściciele nie odnieśli sukcesu w uprawie bawełny, ponieważ ziemia była zbyt wilgotna i piaszczysta. Począwszy od 1856 roku, przez następnych dziesięć lat podejmowano wysiłki, by powstrzymać powodzie i osuszyć te tereny. Niewolnicy z mulami pracowali, wznosząc groble i kopiąc rowy odwadniające, po których można było pływać w canoe. Potem nadszedł rok 1865. W następnych latach ziemia pokryła się dziką roślinnością, powróciła woda, a z nią koma-

ry jak z czasów jury. Niektóre tereny stały się niedostępne, bo odcięła je woda, a w końcu wszystko dobre, co wiązało się z tą ziemią, odeszło wraz z tymi, którzy widzieli ją jako ostatni. Przez kilka dziesiątków lat sprzedawano kawałek po kawałku każdemu, kto tylko się nadarzył. Tak samo nikt nie chciał tej ziemi w późnych latach dziewięćdziesiątych, nawet dwie rywalizujące z sobą linie kolejowe zmieniły trasy, aby ominąć bagniste tereny. Tym sposobem z trzech stron, od północy, wschodu i zachodu, utworzone zostały niemal doskonałe granice, co zupełnie przypadkowo trzydzieści pięć lat później okazało się szczęśliwym trafem. Ellsworth skupił te ziemie - tworząc znów jedną całość - od rolników, którzy chętnie się ich pozbywali. Z ekonomicznego punktu widzenia oddawali grunty za bezcen.

Ellsworth dokonał oceny systemu wałów i kanałów odwadniających i odkrył, że wcześniejsze wysiłki właściwie tylko pogłębiły problem. System wprowadzał teraz więcej wody, niż wyprowadzał. Podrapał się w głowę i wymyślił rozwiązanie inżynierskie wymagające zastosowania ciężkiego sprzętu. Widział to tak: Buffalo było rozlewiskiem rzeki Altamaha, powstałym dzięki korkowi, tworzonemu tysiące lat przez zbierający się szlam, pozostałości odpływów, martwe drzewa i tamy bobrów. Gdy dodać do tego w połowie ukończoną pajęczynę rowów odwadniających, które dodatkowo ten teren nawadniały, Ellsworth zobaczył akwen o wielkości dwudziestu sześciu tysięcy akrów, z którego wystarczy wyjąć korek, zatkać dziurę i zainstalować rury.

Przez sześć miesięcy, poczynając od roku 1932, oczyszczał teren, usuwał tamy bobrowe, korygował przebieg kanałów i usuwał martwe drzewa z dna Buffalo. Aby poradzić sobie z przypiływami i rozlewiskami, korzystał z kanałów, którymi dało się dopłynąć do miejsc, gdzie pracował. Widząc postęp i perspektywy, jakie miał przed sobą, zaryzykował z pozosta-

łą częścią bagien. Siedem miesięcy później, korzystając z pomocy wywrotek, traktorów, dźwigów oraz ośmioosobowej brygady, stworzył system dróg i skończył w ten sposób dzieło rozpoczęte przez niewolników. W ciągu tygodnia osuszono sześćdziesiąt procent terenu. Po następnych sześciu miesiącach przemierzał swoją posiadłość na koniu i patrzył na żyłę złota, jaką odkrył. Drzewa.

Mając system dróg oraz autostradę w postaci rzeki Altamahy, w wieku czterdziestu lat Ellsworth otworzył Żuta Lumber Company produkującą tarcicę. Najbardziej interesujące w takiej posiadłości o obszarze dwudziestu sześciu tysięcy akrów jest to, że jeśli się nią dobrze zarządza i sadi więcej, niż wycina, nigdy nie zabraknie surowca do produkcji. Gdy wycinano jedno drzewo, na jego miejsce sadzono dwa nowe. Pracując dzień w dzień tak blisko natury, Ellsworth odkrył sześć źródeł słodkiej wody. Krystalicznie czysta, słodka woda przyciągała jak magnes dzikie stworzenia, a zwłaszcza dziko żyjące i dawno niewidziane na tych terenach krowy rasy brahman. Zjawiało się ich ponad sto. Ci sami sąsiedzi, którzy jeszcze niedawno wyśmiewali Ellswortha i nazywali go za plecami głupim Jasiem, teraz pukali do jego drzwi, zwracając się do niego „sir” i prosząc o radę. Do początku lat czterdziestych Żuta Lumber stała się potężną firmą na południowym wschodzie. Z dostarczanych przez nią materiałów budowano domy, mosty i drapacze chmur w Nowym Jorku. W ciągu dziesięciolecia, kiedy wielu ludzi straciło wszystko, Ellsworth stworzył coś z niczego. Gdy stawał się potężny, zyskiwał wielu przyjaciół i zwolenników. To także potrafił wykorzystać, bo gdy materace przestały mu wystarczać do przechowywania pieniędzy, postanowił otworzyć własny bank. Szóstego kwietnia 1945 roku klienci tłoczyli się w kolejce, by zdeponować pieniądze w nowym banku.

Ellsworth kupił, znajdujący się w odległości kilku domów od teatru Ritz, opuszczony kościół, którego architektura nadawała temu miejscu wymiar świętości. Był to wysoki budynek z szarego kamienia z tak wysoką wieżą, że dekarze musieli pracować w uprzęży. Gdy rosyjski Kościół ortodoksyjny stracił wyznawców na rzecz baptystów, administracja kościelna sprzedała budynek miastu, a dziesięć lat później odkupił go Ellsworth, przerobił wnętrze, zmienił zadaszony portyk we wjazd dla kasjerów i dodał strop nad parterem. Strop nie był zwyczajny. Był skonstruowany z grubej na trzy stopy warstwy betonu ze stalowym żebrowaniem. Bank miał także solidne, na stopę grube drzwi ze stali, których nie mogłaby sforsować najlepsza japońska bomba. Sława tego banku jako najbezpieczniejszego sejfu w Georgii szybko się rozprzestrzeniła i spowodowała, że spadło zaufanie do wszystkiego, co rządowe. Strop przyczynił się do rozwoju interesu. A interes rozkwitał. Powojenna gospodarka potrzebowała zarówno materiałów budowlanych, jak i pożyczek, co przyczyniło się do niesłychanej rzeczy w świecie bankowym: Żuta First National stał się rentowny już w drugim roku po otwarciu.

Ellsworth polubił bankowość. Podobały mu się kontakty z klientami, to że pomaga ludziom kupować domy, podobało mu się też, że mógł pomóc tym, którym nikt inny pomóc nie chciał. Gdy ci ludzie potem zalegali ze spłatą rat, wpadał do nich z porcją wołowiny, wypijał herbatę i pomagał im rozwiązywać trudne problemy. W 1948 roku Żuta First National miał największy procent zwracanych długów, najwyższy odsetek zatrzymanej własności, najniższy procent przejęć spośród wszystkich banków w Georgii.

Gdy za biurkiem w banku robiło mu się za ciasno, wymykał się stamtąd, jechał do domu, dosiadał konia i spędzał popołudnie na przejażdżce po Żuta. Bo chociaż bankowość

bardzo przypadła mu do gustu, jeszcze bardziej lubił sadzić drzewa. Bank się rozwijał, a tartaczny interes kwitł, więc Ellsworth zatrudnił właściwych ludzi, by się wszystkim zajmowali. Mając pięćdziesiąt dwa lata, zrobił podsumowanie dokonań swego życia i po raz pierwszy poczuł się samotny. Może właśnie dlatego dostrzegł trzydziestoosmioletnią nauczycielkę gry na pianinie o imieniu Sara Beth Samuelson, która pojawiła się w jego banku, by otworzyć konto. Było lato, ona miała na głowie słomkowy kapelusz, osłaniała się parasolką od słońca i wycierała usta haftowaną chusteczką. Ellsworth zakochał się równie mocno, jak szybko.

Trzy miesiące później byli małżeństwem. Wsiedli w Srebrny Meteor i pojechali na stację Grand Central, gdzie wysiedli i skierowali się prosto na Manhattan, by podziwiać piękno drapaczy chmur. Po tym wyjeździe, w czasie którego zobaczyli jeszcze Catskills, Finger Lakes, Adirondacks, a następnie Nową Anglię, wrócili do Żuta. Tam Ellsworth zbudował swojej wybrance dom, z tych co to stawiano na plantacjach w Georgii, z blaszanym dachem, werandą biegnącą wokół i podjazdem wysadzonym pięćdziesięcioma czterema orzechami pekan, jeden za każdy rok życia. Po roku Sarah urodziła pierworodnego dziedzica o imieniu Silas Jackson „Jack” McFarland. Ellsworth nigdy nie był bardziej dumny. Ale okazało się, że duma może go jeszcze bardziej rozpierać, gdy po roku urodził się drugi syn - William „Liam” Walker McFarland. To był jednak ostatni podarunek od Sary. Po pogrzebie posadził sobie chłopców na kolanach, każdego na jednym, i zaczęły się jego kłopoty.

Ellsworth całkowicie oddał się swoim synom. Każdemu z nich kupił kucyka. Pokazał im każdą piędź ziemi w Żuta oraz zarządził, by zrobiono dwa małe biurka i postawiono je obok jego miejsca pracy w banku. Na drzwiach kazał powiesić tabliczki z ich imionami. Rzadko zdarzało się, by ta trój-

ka nie była razem. Jednak Jack i Liam bardzo się od siebie różnili. Byli zdrowymi, jednakowego wzrostu chłopakami, ale tu kończyły się podobieństwa. Jack był zdolny, świetny z matematyki, był też głośny - słyszano go już z daleka. Poza tym rzadko się namyślał, zanim coś powiedział. Ważna była dla niego własność i z nią się identyfikował. Liam był spokojny, skupiony, potrzebował chwili namysłu, zanim coś powiedział, zwykle też więcej dawał, niż brał.

Rozdział 5

Byłem zbyt zmęczony, by jechać do domu na noc, więc przespałem się na podłodze w mieszkaniu nad stodołą. Obudził mnie przed świtem hałas wywołany przez oddalającą się po żwirze dwuosiową przyczepę wujka. Ten dźwięk słyszałem już tysiące razy. Ponieważ Willee wczoraj nie pracował, by spędzić ten dzień ze mną, dzisiaj musiał to nadrobić. Większość jego klientów mieszkała w zamkniętych osiedlach od Pawley's do Jacksonville. Mając świadomość, ile pieniędzy zainwestowali w konie, i znając emocje towarzyszące cotygodniowym zawodom, zrozumiałe było dla niego, że niecierpliwą się, jeśli go nie ma, gdy powinni założyć koniowi nowe podkowy. Jeden koń nierzadko wart jest ćwierć miliona, więc gdy życzą sobie dla niego nowych podków, to mają je mieć.

Tymczasem ja leżałem w swoim mieszkaniu na prowizorycznym pościeli i słuchałem, jak wujek odjeżdża. Plecy mnie nie bolały, ale biodra tak, był to efekt twardej podłogi i wieku. Drugi koc byłby mile widziany jako materac, ale była nim przykryta Tommye, zwinięta w kłębek na moim łóżku. Patrzyłem, jak śpi. Poruszające się pod powiekami gałki oczu świadczyły, że śni. Ręce podłożyła pod zarumienioną twarz. Linia bioder zarysowywała się pod kocem, a jedna stopa częściowo wysunęła spod nakrycia. Paznokcie pomalowane były na jaskrawoczerwony kolor.

Była mi winna rozmowę, przynajmniej tyle.

Wyszedłem i przymocowałem canoe na dachu Vicky, a potem wróciłem na górę i nalałem sobie soku pomarańczowego. Gdy się odwróciłem, Tommye mi się przyglądała.

- Ładne bokserki - zauważyła.

- Tak - przyznałem, podciągając nieco spodenki. - To wyposażenie więzienia.

- Co zrobiłeś tym razem?

- Dałem się złapać.

- Byłeś winny?

Skinałem głową. - Ale nie tak jak inni.

- Czyja cię niczego nie nauczyłam? - Uśmiechnęła się.

- Widocznie nie. - Ponownie wyjąłem z lodówki sok i nalałem nieco do szklanki.

- Znów przeszukiwałeś tę piwnicę? - Oparła głowę na kolanach.

Uśmiechnąłem się i nałożyłem czapkę Bravesow.

- Szukasz w niewłaściwym miejscu. - Tommye wyprostowała się i spojrzała przez okno.

- Nie byłbym taki pewien.

Podeszła do blatu i wypła duszkiem sok. Gdy nalewała drugą szklankę, równocześnie otworzyła torebkę, wyjęła trzy różne pigułki i łyknęła je jednocześnie. Obrąła banana i powoli go jadła, patrząc przez okno na Vicky. Uśmiechnęła się, pokiwała głową i powiedziała:

- Pierwsza idę pod prysznic.

- Spotkamy się na dole.

Gdy szwendałem się po stodole, szukając nie wiadomo czego, weszła ciocia Lorna z kubkiem kawy dla mnie. Spojrzała w górę, skąd dochodził odgłos lejącej się wody.

- Nie bądź dla niej zbyt surowy.

Trzymając kubek w obu rękach, westchnąłem ciężko.

- Nie będę.

Wytarła rękę w fartuch i spojrzała na podjazd, na świeże ślady opon wujka.

- Wiesz, on musiał pojechać i ją stamtąd zabrać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- No bo w zeszłym tygodniu, gdy ty poszedłeś do więzienia, zadzwoniła. Dwie godziny później wszedł do samolotu i poleciał po nią. Wrócili razem.

- Przywiózł ją z Los Angeles? Przytaknęła.

Spojrzałem w górę na coś, co było podłogą mojego prysznica, i nadśluchiwałem, jak woda z mydłem leci przez biegnące w tym miejscu po ścianie stodoły rury PCV, które następnie znikają gdzieś pod konstrukcją.

- Nie zapomnij! - Ciocia ruszyła w stronę kuchni. - Srebrny ekran czy nie, ona jest tylko małą dziewczynką. Dziewięć lat tego nie zmienia. - Gdy doszła do schodów na tylną werandę, dodała: - Ach, i Red dzwonił, prosił, żebyś się z nim po południu skontaktował.

Woda z prysznica przestała płynąć i usłyszałem, jak zaskrzypiały drzwi łazienki. Zapaliłem silnik, założyłem moje Costa del Mar²⁶ i czekałem.

Tommye odrzuciła włosy do tyłu, włożyła podkoszulek i szorty z odstającymi kieszeniami oraz japonki, które zaczęliśmy nosić, gdy jeszcze byliśmy dziećmi. Rzadko wtedy wkładaliśmy buty, a jeśli już, to takie, które można było nałożyć i zdjąć w jednej chwili. Dzięki tacie wujka, Ellsworthowi, system dróg w Żuta był lepszy niż w niejednym mieście, ale z drugiej strony były one bardzo zniszczone przez ciężarówki wożące w zeszłym roku bardzo ciężkie ładunki drewna. I (to tego roku było suche, więc kurz się wzbijał i opadał na drogę. Musieliśmy uważać i omijać co większe dziury. Vicky знаła tu wszystkie drogi - niemalże mogłem pozwolić jej

²⁶ Costa del Mar - marka okularów przeciwsłonecznych i do wędkowania.

samej prowadzić. Pojechaliśmy w kierunku pastwiska i kanału. Kanał był centralnym miejscem, główną drogą odprowadzającą wodę. Dzięki niemu osuszono ten teren, wyciągając korek z Buffalo. Poziom wody raz się wznosił, raz opadał - w zależności od pływów. Kanał miał trzydzieści stóp szerokości i dziesięć głębokości. To on sprawił, że Żuta była takim cennym terenem. Zatrzymaliśmy się na środku betonowego mostu, który przerzucono nad kanałem, i patrzyliśmy na nurt. Tommye wychyliła się przez drzwi samochodu i patrzyła na przepływającą wodę. W końcu wróciła na swoje miejsce i pokręciła głową. Wpatrywała się w wysokie drzewa i w puste tereny po wycince, które coraz bardziej zbliżały się do wysokich sosen.

- Jack dużo tu wycina.

Wymowa tego, co powiedziała, oburzyła mnie.

- Nie jestem przeciwny wycince, ale jestem za tym, żeby sadzić, bo w przeciwnym razie bierzesz, nie dając nic w zamian.

Skinęła głową, jednak bez widocznych emocji.

- On jest w tym dobry.

Jeszcze w szkole średniej Tommye zaczęła mówić o swoim ojcu per Jack. I wtedy, i teraz wydało mi się to dziwne, brzmiało, jakby pianino nie miało strun.

-Jak przebiega apelacja?

- Wyczerpaliśmy już wszystkie środki, ale poprosimy o uznanie przestępstwa za obronę konieczną - stwierdziłem. -Jednak z punktu widzenia prawa nie możemy już nic więcej zrobić aż do ostatnich dwunastu godzin przed ogłoszeniem wyroku, gdy podpis gubernatora będzie mógł zawiesić jego wykonanie.

- Jest aż tak źle? -Jack odrobił lekcję.

- Nikt nigdy nie mówił, że jest głupi.

- Wie, że jesteś po tej stronie Missisipi?

Potrząsnęła głową, pogrążona w myślach i wciąż wpatrzona w słonawą wodę. Na brzegu kraby skrzypki przechodziły z jednej dziury w piachu do drugiej. Na brzegu szop praczył muszlę ostrygi. Patrzyliśmy na jego łapki poruszające się z prędkością światła, gdy przewracał muszlę w kółko z jednej strony na drugą.

-Jak jeszcze trochę popracuje nad tą muszlą, to sam będę mógł ją zjeść.

Zaśmiała się, odchyliła do tyłu, oparła stopy o deskę rozdzielczą i ruszyliśmy przez most. Jechaliśmy przez starsze odcinki lasu i skręciliśmy w stronę Gibson Island. Zaparkowałem na brzegu, zdjąłem canoe i spuściliśmy je na wodę. Chciała wiosłować, ale zarządziłem, żeby oparła się wygodnie i zrelaksowała. Zrobiła to, tylko trochę protestując. Canoe gładko płynęło po wodzie, a my mijaliśmy wznoszące się nad nami cyprysy. Spojrzała w górę.

- Ciekawa jestem, kiedy zaczniesz? -Już zaczął.

- Dzieli Buffalo? - Spojrzała na mnie. Pokiwałem głową.

- Gdzie?

- Na południu. Niedługo będziemy wiosłować po jeziorze wielkości pola golfowego.

- Widziałeś plany?

Przytaknąłem, patrząc na kaczki podrywające się do lotu jak helikoptery, dolatujące do wierzchołków drzew, a następnie znikające jak odrzutowce.

- Byłem na ostatnim zebraniu, kiedy pokazywał plany trzech wielkich pól golfowych, dwóch zamkniętych osiedli, pasa startowego tak wielkiego, że pomieściłby Golfsztrom, wielkie centrum handlowe i szkołę K-12²⁷.

²⁷ K-12 - szkoła podstawowa i średnia, pierwsze dwanaście klas.

Zaśmiała się i położyła obie dłonie na brzegach canoe, chłonąc promienie słońca przenikające przez korony drzew. Po kilku minutach potrząsnęła głową.

-Jak myślisz, ile to jest „dość”?

Nie odpowiedziałem. Dopłynęliśmy do brzegu, zacumowałem łódkę i pomogłem jej wysiąść. Wsunęła mi rękę pod ramię i pomaszerowaliśmy po miękkim poszyciu sosnowego lasu. Poszliśmy starą ścieżką w kierunku starego bambusa, którego gałązki zwieszały się ku ziemi, dotykając naszych ud, jakby nas zapraszały do wędrówki. Też cieszyliśmy się z tej wizyty na łonie natury. Po piętnastu minutach doszliśmy do celu.

Sanktuarium było dwustupięćdziesięcioakrową wyspą w samym sercu Żuta, otoczoną ze wszystkich stron bagnem Buffalo. Na mapach topograficznych nazywa się to Du-Bignon Hammock, na cześć tego, który sprzedał Jekyll Island jej pierwszym właścicielom. Można się tu dostać jedynie canoe albo balansując po pniu któregoś z wysokich zwalonych drzew. Niezliczone dęby o rozrośniętych gałęziach przebijają się przez ziemię jak macki olbrzymiej ośmiornicy. Pnie niektórych z nich są szerokie jak ramiona rosnącego mężczyzny. Schylają się do ziemi, by następnie znów się podnieść, tworząc łuk. Rzadko rosną tu młode palmy i bambusy, których wierzchołki są zwykle obgryzane przez żyjące tu zwierzęta.

W północnym krańcu rosną drzewa posadzone tak, by z powietrza wyglądały jak stara europejska katedra. Siedemdziesiąt lat temu Ellsworth posadził je, specjalnie i starannie dobierając. W czasie wojny firma ukryta była w katedrze i tam też na kilka miesięcy schronił się Ellsworth. Niemcy zlokalizowali to miejsce, ale nie potrafili spenetrować ani ścian, ani podziemi. Gdy Ellsworth kupił Żuta, spędził sporo czasu, sadząc drzewa i odpowiednio je dobierając.

Palmy miały być odpowiednikiem ścian i zostały posadzone w dwóch idealnie równych rzędach, w odległości sześciu stóp jedna od drugiej, zaś dystans między rzędami wynosił trzysta stóp. Teraz większość z nich wyrosła na pięćdziesiąt stóp w górę i wyglądały jak kolumny podpierające nawę. W środku, imitując sklepienie, rosło szesnaście dębów wodnych, mocno rozgałęzionych ku górze i wysokich na jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stóp. Wyglądały jak grzyb po wybuchu jądrowym. Po jednej stronie, tworząc coś, co mogłoby stanowić ścianę frontową, rosło dwanaście japońskich magnolii i dwanaście chińskich wiązów. W środku zaś jakby nawę główną stanowiło dwanaście drzew pomarańczowych przemieszanych z ośmioma drzewami cytryny, a całość dopełniały dwa kumkwaty. Jeśli kumkwaty stanowiły wejście, to po przeciwnej stronie, w odległości jakichś czterystu stóp, posadzono osiem cyprysów stanowiących tylną ścianę. Rozłożyste przy ziemi, wyglądały jak szeroka spódnica kobiety z czasów wiktoriańskich, w chwili gdy dyga, by złożyć ukłon. W środku, gdzie zwykle staje ksiądz, rosła wielka magnolia o rozłożystych gałęziach, której konary jakby wydostawały się przez okna i chciały dosięgnąć wód Buffalo.

Wujek mówił, że zaczął tu przychodzić, gdy był jeszcze chłopcem. Gdy Ellsworth zmarł, wujek nadal tu przychodził. Sądząc z tego, jak zadbane było to miejsce: palmy równo przycięte, uprzątnięte suche liście, nic się nie zmieniło. Tommye rozejrzała się wokół.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego Jack nigdy nie lubił tego miejsca.

Wujek Jack nigdy nie był zainteresowany tym, co było w Żuta, oprócz zysków. Oboje dobrze o tym wiedzieliśmy.

- Cieszę się, że wujek Willee zatrzymał ten skrawek ziemi dla siebie. To chyba jedyne miejsce, gdzie nie dotarły działania twojego taty. - Uśmiechnąłem się.

- Co przez to rozumiesz?

- Cóż, jest to miejsce w samym centrum ogromnego terenu budowlanego, jakby był to fragment z innej bajki. Wujek nie chce tego sprzedać, twój tata musi, zgodnie z prawem, zapewnić mu dojazd. Zatrzymuje mu to inwestycje.

- Zabawne.

- Co takiego?

- Oto miejsce, którego kiedyś nie chciał, stało się najbardziej przez niego pożądane.

- Wszystko się zgadza.

Jakiś czas temu wujek urządził coś na kształt obozowiska w samym środku Sanktuarium. Dwie kłody stykające się z sobą tworzyły ławki. Było jeszcze wcześniej, gdy tam dotarliśmy, więc rozpałem niewielkie ognisko, zrobiłem kawę, usmażyłem kilka jajek i udało mi się ich nie przypalić. Podałem Tommye kubek z kowbojską kawą, a ona pochyliła się i spojrzała na płyn.

- Pewnego dnia będziesz bardzo dobrym mężem.

- To się nazywa zaspokajanie potrzeb. Pociągnęła łyk kawy, przemieszała jajka i zapytała.

- Masz dziewczynę?

- Mam nawet kilka, z którymi wychodzę.

- Tak, takie zawsze miałeś, ale nie o to pytam. - Uniosła brwi.

-Jestem dość zajęty.

- Hm, hm.

Nie przekonałem jej, mówił to jej uśmiech. Spojrzała na zegarek, wyjęła srebrne pudełeczko i wzięła następną tabletkę. Posmarowałem herbatnik dżemem i podałem jej. Polizała dżem, by go równomiernie rozprowadzić, i ugryzła ciasteczko. Na podkoszulku miała napis i LUV LA. Wskazałem na niego i powiedziałem.

- Wiesz, byłem tam raz.

- Gdzie?

- W Los Angeles... w Studio City.

- Kiedy?

- Jakies trzy lata temu. Policzyła sobie.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Zadzwoń.

- Moja koleżanka z pokoju nic mi nie przekazała.

- Bo nie rozmawiałem z twoją koleżanką.

- A z kim rozmawiałeś?

- Rozmawiałem z tobą, a raczej mówiłem do ciebie. Jakiś facet podniósł słuchawkę i podał ci ją. Wymamrotałeś coś, czego nie zrozumiałem, a potem się rozłączyliśmy.

Pokiwała głową i spojrzała w dół na swój kubek, nic nie mówiąc. Chciałem zachęcić ją do dalszej rozmowy.

- Czy to jest powód, dla którego bierzesz te wszystkie proszki?

- Robisz złe rzeczy pod wpływem narkotyków, śpisz z niewłaściwymi ludźmi, a potem staje się to częścią twojego życia - wzruszyła ramionami. Jej szczerość była bolesna.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Czy to dlatego mnie tu przywiozłeś? - Tak.

Uśmiechnęła się, próbując zmniejszyć napięcie. - To takie miłe, gdy jest się z facetem, który jedynie chce pogadać.

Położyła się na długim balu i zaczęła mówić do chmur.

- Znalazłam sobie zajęcie, nic wielkiego, jakieś reklamy. Kilka występów w operach mydlanych klasy B. A potem pojawiła się ta... okazja. Wydawała się niegroźna. Myślałam, że będą to tylne drzwi, którymi dostanę się do biznesu... ale była to raczej pułapka.

Dołożyłem do ogniska.

- Pewnego wieczoru, jakieś trzy lata temu, jadłam właśnie skrzydełka u Petea na dole na wodzie. Ten facet przyszedł, znałam go ze szkoły średniej. Poznałam jego twarz, ale nie mogłam przypomnieć sobie jego imienia. Śmiał się z kolegami przy sąsiednim stoliku, wyjął kieszonkowe DVD z teczki i podpiął do laptopa, przesunął ekran, żeby koledzy lepiej widzieli. Dzięki temu ja także mogłam zobaczyć. Zobaczyłam swoje imię i tytuł przetaczający się przez ekran. Potem ten facet szedł plażą w urodzinowym garniturze. Już wiedziałam, co jeszcze zobaczę. Wstałam, rzucając drobne na stół, bo nie chciałam widzieć już niczego więcej. - Zdjęła japonki i zaczęła przebierać palcami stóp w piachu. - Czy wujek mówił ci o tym, jak po mnie przyjechał?

Potrząsnąłem głową.

- Ciocia Lorna powiedziała mi dziś rano.

- Muszę ci coś wyjaśnić. - Usiadła. Nie chciałem jednak słuchać.

- Nie muszę wiedzieć wszystkiego.

- Znam cię lepiej.

- Mogłem kłamać wtedy i teraz.

- Znam cię dobrze.

Wstała ze swojej kłody i usiadła przy mnie, opierając głowę na moim ramieniu.

- Czytałam wiele twoich historii w Internecie. Aż dziwne, że jeszcze nie znalazł cię jakiś wielki wydawca.

- Dzwonili. Skinęła głową.

- Wujek Willee powiedział mi o tym w samolocie. Powiedział, że masz do opowiedzenia jeszcze jedną historię.

Tym razem ja skinąłem głową, zapatrzony w płomień.

- Dasz sobie z tym radę? Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Nie chcesz czy nie możesz? - Drażyla dalej.

- Jeszcze nie jestem gotowy, dochodzę powoli do prawdy. Jestem mu to winien.

- A co będzie, jeśli ta prawda ci się nie spodoba? - Znow położyła głowę na moim ramieniu i zamknęła oczy.

- Ale będę ją znał.

- Czasem prawda może być zabójcza.

Minęło kilka minut, nim jedno z nas znow się odezwało.

- Co chciałaś mi powiedzieć?

- To może poczekać. - Przymknęła oczy.

Położyła mi głowę na kolanach, a ja objąłem ją ramieniem, zdjąłem frotkę, rozpuszczając jej koński ogon, i wsunąłem rękę w ciągle wilgotne włosy.

Czy byliście kiedyś w cyrku i widzieliście tych wariatów na motorach przeskakujących przez małe otwory w metalowych okrągłych klatkach? Zwykle jest ich ośmiu i robią to tak szybko, że ułamki sekund decydują, iż nie wpadają na siebie. To byłaby dobra przenośnia, która pokazywała, w jakim stanie był w tym momencie mój umysł. Tommye usiadła.

- Muszę coś zrobić. - Wzięła moją dłoń i położyła sobie na kolanie. - Chciałabym, żebyś mi pomógł.

- Chcesz... czy potrzebujesz?

- Chcę i... potrzebuję.

Uśmiechnęła się delikatnie i wsunęła swoją dłoń w moją, głaszcząc mnie kciukiem po wierzchu dłoni. Jej szmaragdowe oczy jaśniały w cieniu drzew i pomimo bolesnych wspomnień zobaczyłem w nich iskierkę.

- To dlatego wróciłaś do domu? Odpowiedziała mi dopiero po minucie.

- Częściowo tak.

Rozdział 6

Podkuwanie koni nie było pierwszym zajęciem wujka Willee ego. Gdy wrócił do domu z Lorną, miał bardzo ograniczone możliwości. Środowisko biznesu w Brunswicku całkowicie go odrzuciło, musiał więc zająć się czymś, co wychodziło poza granice stanu i pozwoliłoby mu stanąć na nogi.

Tillman Ellsworth McFarland zawsze sam podkuwał swoje konie. Gdy to robił, zbliżał się do nich. Wujek opowiadał, że wiele razy ojciec czyścił koniom kopyta, trzymając końską nogę między swoimi kolanami, a także zdejmował podkowsy oraz zakładał nowe. Zanim jednak założył nową, oglądał kopyto w świetle słonecznym i sprawdzał, w jaki sposób zdarta była stara i w którym miejscu.

- Konie zawsze mówią. Zdjęta podkowa jest jak ekran prześwietlający płuca.

Wujek Willee wziął to sobie do serca i wkrótce umiał wyczytać więcej niż konie. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, równocześnie zobaczyłem, jak różni się od swego starszego brata Jacka. Było lato, nawet w cieniu było gorąco jak w piekle. Jakaś milę nad naszymi głowami kołowało sześć lub osiem myszołowów, aż serce rwało się do nich. Tommye i ja huściliśmy się na starej oponie, buzie mieliśmy lepkie od soku arbuzów i staraliśmy się trzymać z daleka od ulubieńca wujka, indyka o imieniu Bob. Wujek Willee właśnie wjechał na podjazd - pachniał końmi, kurzem i uczciwością. Pocałował Lornę i zabrał się za przepakowywanie przyczepy na następny dzień, gdy podjechał również wujek Jack. Przyje-

chał granatowym cadillakiem, ubrany w jedwabny garnitur w paski, szerokie spodnie, włoskie mokasyny, krawat od Armaniego, u mankietów koszuli błyszczały złote spinki. Dwa bieguny, jakby spotkały się dwa różne światy.

Wujek pracował wtedy od wypłaty do wypłaty, znany był w mieście jako człowiek rozrzutny, syn marnotrawny, który nigdy nie wrócił do domu, który okradł nie tylko swoją rodzinę, ale także pół miasteczka, które mu zaufało. Przeprosiny niewiele zmieniły. Zanim trafił do więzienia, został zwolniony najpierw z banku, a następnie z Żuta Lumber, wyrzucony z rady kościoła oraz z obu klubów, do których należał - Rotary i klubu sportowego. To wujek Jack był tym powszechnie szanowanym obywatelem, prezesem banku, szefem Żuta Lumber, miał swoje miejsce wśród starszyny kościoła, należał do członków założycieli Glynn County Rotary Club, nie wspominając o tym, że był raczej bogaty.

Przyjechał po Tommye.

Poprzedniego dnia o północy Tommye pojawiła się nagle w naszych drzwiach kuchennych. Ponieważ miała dopiero osiem lat, znaczyło to, że przebiegła całe Żuta, by się do nas dostać. Stojąc w łazience i przygotowując jej gorącą kąpiel, zastanawiałem się: *Przebiegła przez całe Żuta? Co mogło być gorszego niż pięć mil w ciemności wśród błyskawic?* Cokolwiek to było, miała to wypisane na twarzy. Gdy weszła do naszego domu, włosy opadały jej na policzki, stopy pokrywało błoto i glina, a jej flanelowa brudna i podarta piżama wskazywała, że nie raz i nie dwa podczas tej drogi musiała się przewrócić. Ciocia Lorna wykapała ją i dała jej zupeę, wujek położył ją do mojego łóżka, a dla mnie rozłożył materac na podłodze. Przez większą część nocy nie spałem, słuchając, jak drży i mamrocze przez sen.

Następnego ranka odwiedziła nas policja, posadzili Tommye na werandzie i zadawali masę pytań. Ona sie-

działa w milczeniu i patrzyła na mnie. Tego samego ranka wszystkie gazety na pierwszej stronie zamieściły zdjęcie jej nieżyjącego brata. Wydarzył się wypadek - kula przeszła mu głowę. W artykułach pisano, że Jack musiał pozostawać na środkach uspokajających. Świadkowie mówili, że był w strasznym stanie. Gazety pisały o nim jako o nieutulonym w żalu ojcu. Wkrótce potem wujek Willee zrobił piętrowe łóżko i Tommye spała tu częściej, niż nie spała. Nie wiem, czy to właśnie zaogniło relacje pomiędzy wujkiem i jego bratem, ale gdy znajdowali się z jakiegoś powodu w jednym pomieszczeniu, atmosfera stawała się tak gęsta, że można było powietrze kroić nożem. Myślę, że Willee i Jack po prostu zapomnieliby o sobie, gdyby nie to, że Tommye spędzała więcej czasu w naszym domu niż we własnym, co sprawiało, że stosunki między braćmi były coraz gorsze. Wkrótce po tym, jak Jack zbudował to więzienie zwane domem, nie mógł powstrzymać córki od wymykania się z niego. Ojciec i córka byli jak ogień i woda. Ona i jej starszy brat byli dziećmi jego pierwszej żony. Gdy poślubił cztery następne i udało mu się nie mieć więcej dzieci, nie bardzo przejmował się tym, że Tommye nie ma w domu. W miarę jak coraz więcej kobiet miało na chwilę status jego żony z kolejnym numerem, a następnie prosiły o rozwód, coraz mniej się przejmował córką. Może lepiej było nie tłumaczyć następnym starającym się, dlaczego córka ucieka z domu.

Nigdy nie widziałem żadnego śladu, który by wskazywał, że wujek Jack bił Tommye. Miał wiele wad, większość tajemniczych, ale przemoc nie była jedną z nich. Przyglądałem się temu tak samo jak wujek Willee i jestem pewny, że gdyby znalazł choć cień, podjąłby jakieś kroki, by zakończyć tę niezręczną sytuację.

Tommye była kimś wyjątkowym - cichutka, płaski nosek, wiejska dziewczyna z akcentem, który topił masło i sprawiał,

że strapieni zapominali o swoim nieszczęściu. Bez wysiłku zbierała najlepsze oceny, była znana w całym stanie jako miotacz w dziewczęcej drużynie softballowej, przez trzy ostatnie lata stała się jedną z kluczowych postaci w teatrze szkolnym, a w ostatnim roku wybrano ją królową balu. Jej życie prywatne było trzymane w tajemnicy, ale w życiu publicznym była wybrańcem. Niewiele mam wspomnień z dzieciństwa, które jej nie dotyczą. Prawda jest taka, że była bardziej córką Willee ego niż Jacka.

Czasem, gdy byłem już w college'u, docierało do mnie, że to ja byłem przybranym dzieckiem w domu jej wujka. Przeprowadziłem się więc do mieszkania nad stodołą i przestaliśmy żyć jak brat z siostrą. Nie miało to nic wspólnego z naszą fizycznością, ale chodziło mi cały czas po głowie to, jak myśleliśmy o sobie nawzajem. W chwili gdy to się stało, poczułem jakiś dystans, jakby coś namacalnego stanęło pomiędzy nami.

Tommye była zapraszana przez wszystkich na bal maturalny, ale wybrała mnie. Dziewczyna, z którą się wcześniej umówiłem, szła z kimś innym, więc byłem wolny.

I dopiero tam, na tym balu, uświadomiłem sobie, jak patrzą na nią inni faceci. Oczy błędziły po niej, jakby była autostradą międzystanową. Podobało jej się to i może nawet trochę się tym żywiła, mnie zaprosiła z konkretnego powodu. Dobrze się stało, że nie wiedziałem zbyt wiele o tym, jak się walczy, bo tamtej nocy przekonałem się, że wzrok może tak samo ranić jak ręce. Udało nam się wejście z pompą, tańczyliśmy, wyszliśmy wcześniej i poszliśmy na hamburgery, które jedliśmy na plaży w naszych strojach wieczorowych.

Rozdział 7

Zaparkowałem Vicky, wskoczyłem do canoe i powiosłowałem do mojej łódki. Wyładowałem torbę z zakupami i oparty o maszt wpatrywałem się w horyzont za bagnami. O czwartej po południu cienie zmieniały kolor, przechodząc od złota do barwy piwa imbirowego.

Jedną z najlepszych rzeczy, która wiąże się z mieszkaniem na łodzi, jest to, że trzeba z wyprzedzeniem myśleć o ewentualnych rozmowach przez telefon, chyba że mieszka się w dokach i jest się podłączonym do sieci. To trochę tak, jakby się odpływało i zawijało do portu. Używam canoe do przewozu zakupów. Jest wytrzymałe, stabilne i nie trzeba dawać napiwków za dowóz. W celu przemieszczenia się z miejsca na miejsce używam kajaka. Jest szybki, sterowny, łatwiej się nim manewruje, co przydaje się, gdy zmieniają się pływy.

W łódce niemal wszystko zasilane jest gazem z butli. Mam więc ciepłą wodę, gotuję też bez problemu. Ale wszystko, co wymaga prądu, jak komórka czy laptop, jeśli nawet chodzi na baterie, potrzebuje generatora. Włączyłem więc generator i podłączyłem komórkę, w tym samym czasie sprawdzając pocztę i rozwiązując kilka problemów online. O ile ja dobrze sobie radzę, Red nie znosi sytuacji, gdy nie jestem bez przerwy podłączony do sieci. Toteż kupił mi szerokopasmową, bezprzewodową kartę.

Jakaś godzinę później zadzwoniłem do niego.

-To ja.

- Byłeś dziś zobaczyć się z dzieciakiem?
- Teraz idę, ale chciałem najpierw do ciebie zadzwonić.
- Czego się dowiedziałeś do tej pory?
- Zadzwoiłem do Departamentu Pomocy Rodzinie Stanu Georgia.

Ponieważ znaleziono ślady stałego i długotrwałego stosowania przemocy fizycznej i dlatego że nie ustalono, czyje to dziecko, wypełniono podanie o przydzielenie mu w trybie pilnym rodziny zastępczej. Oznacza to, że znajdzie się w takiej rodzinie, jak tylko lekarze pozwolą mu opuścić szpital. To wszystko oznacza, że jest teraz pod bezpośrednią opieką stanu, co zapewni mu wszelkie świadczenia.

- Kiedy go wypiszą?
- Mogą w każdej chwili. To zależy od chłopca.
- Co jeszcze masz? - zapytał.
- Biuro prokuratora rozpoczęło własne śledztwo zmierzające do ustalenia tożsamości rodziców i odebrania im praw.
- Mogą to zrobić?
- Tak, jeśli jest powód.
- Rzut oka na jego plecy dostarczy im powodu.
- No tak. Jestem z nią umówiony w pokoju chłopca za godzinę.
- Z nią?
- Z prokuratorem.
- Informuj mnie.

Wyszedłem z windy na oddziale pediatrycznym. Na korytarzu siedział ten sam strażnik i czytał powieść Louisa LAmoura. Spojrzał na mnie i przesunął swe potężne barki, by zrobić przejście w drzwiach.

- Jest w środku i bazgrze.

Wszedłem, wzięwszy po drodze metalowe krzesło, jakich lekarze używają w izbie przyjęć. Przestał rysować już chwilę wcześniej i zsunął okulary na koniec nosa, by przyjrzeć się,

co prawda nie mojej twarzy, ale przynajmniej moim stopom. Wciąż miał na głowie czapczkę Bravesów od wujka. Zanim wszedłem, postanowiłem się do niego odezwać inaczej niż dotychczas: Snoot, dziecko czy hej ty. Każde dziecko powinno mieć imię. Przysunąłem się do niego, ale nie za blisko.

- Hej, Sketch!²⁸

Znieruchomiał, lustrował podłogę, jakby potrzebował czasu, by nowe imię trafiło do głowy, jakby czekało, aż dostanie pozwolenie. Spojrzał na pokój i napisał coś w szkicow-niku, nie patrząc ani na mnie, ani na to, co pisał. Następnie odwrócił kartkę w moim kierunku. Napisał tam „Cześć”.

Gdyby mój charakter pisma był choć częściowo tak czytelny jak jego, mógłbym do ludzi pisać listy.

-Ta czapka fajnie na tobie wygląda, lubisz Bravesów?

Pokiwał głową, nie podnosząc wzroku znad kartki.

- Gdzie nauczyłeś się tak ładnie pisać?

Jego ręka zaczęła się poruszać tak szybko, że nawet nie zdążył spojrzeć na kartkę. Narysował coś w rodzaju łóżka szpitalnego, w którym leżała starsza kobieta. Miała pomarszczoną twarz i rurki z tlenem w nosie, w jednej ręce trzymała ołówek. Na drugim końcu łóżka siedziało dziecko, patrząc, jak kobieta rysuje. Na kartce, którą trzymała w ręce, narysowane było pół alfabetu. Wskazałem palcem.

-To ty?

Pokiwał głową. Zauważyłem, że twarz mu się nieco zaokrągliła, jakby przytył funt lub dwa. Znów wskazałem palcem.

- Kim jest ta pani?

Pisał wyłącznie małymi drukowanymi literami, MISS MYRLENE.

- Czy ona jest twoją krewną?

Sketch - Szkic.

Właśnie w tym momencie do pokoju weszła dwudziestokilkuletnia brunetka w dżinsach, sportowych butach i w zapinanej z góry na dół białej bluzce z emblematem Oksfordu. Spojrzałem na nią, natomiast chłopiec znad okularów spojrzał jedynie na jej stopy.

Wstałem i wyciągnąłem rękę.

- Jestem Chase Walker.

- Mandy Parker. - Podniosła nieco brzeg bluzki i pokazała odznakę prokuratora przypiętą do paska, niewidoczną na pierwszy rzut oka.

Odsunąłem się trochę od chłopca, aby zrobić jej więcej miejsca. Podeszła do niego, pochyliła się szybko, obejrzała jego plecy i odkryte ramiona, a następnie położyła ręce na kolanach i powiedziała:

- Cześć.

Chłopiec szybko odwrócił kartkę w szkicowniku i narysował coś, co wyglądało na kardynała zwieszającego się z karmnika dla ptaków. Spojrzałem za okno i zobaczyłem karmnik, ale ptaszka nie było. Chłopiec nie podniósł głowy, ale skończył cieniować wystarczająco wcześnie, by patrzeć kątem oka. Kobieta dostrzegła moje krzesło w kącie przy łóżku.

- Rozmawiajcie dalej, nie chcę wam przeszkadzać. Przysiadłem się więc bliżej chłopca właśnie w chwili, gdy

złamał mu się ołówek. Na stoliku za nim znajdowała się paczka nowych ołówków 2B i elektroniczna zastrugaczka. Chłopiec włożył do niej ołówek i strugał go dotąd, aż był zadowolony z efektu, a następnie zaczął cyzelować detale wokół dzioba i oczu ptaka.

Wskazałem na przybory do rysowania.

- Ktoś podarował ci to wszystko?

Pokiwał głową, niepewny, czy nie zacznę go kasać, a następnie nie zabiorę jego skarbów.

- Ktoś musi cię bardzo lubić.

Lekko podniósł głowę, tak że zobaczyłem białka jego oczu. Ten gest pokazał mi, że myśli, iż wiem kto. Przeskoczył na czystą stronę i szybko narysował zarys twarzy wujka Willee ego i jego czapki.

- Wujek Willee ci to przyniósł? Szybko kiwnął głową.

- Kiedy?

Narysował tarczę zegara z małą wskazówką na szóstce, a dużą na jedynce. Usiadłem z powrotem i zacząłem mówić do niego i do siebie równocześnie.

- Tak mi się właśnie wydawało, że wyjechał dziś nieco wcześniej.

Chłopiec zamknął szkicownik i spojrzał przez ramię w kierunku Mandy Parker. Wskazałem więc na nią.

- Ta pani jest prokuratorem.

Sketch szybko naszkicował górną część spodni, dwie dziurki w pasku i oprawiony w skórę identyfikator wiszący między dwiema dziurkami. Rysunek był bardzo dokładny.

- Niewiele uchodzi twojej uwadze.

Pokiwał głową, zauważyłem, że niektóre łyse placki wśród jego włosów zaczęły powoli zarastać.

- Ona reprezentuje władze stanowe. Nazywają to biurem prokuratora.

W jednej chwili chłopiec podciągnął kolana, skrzyżował ręce, mocno przytrzymując szkicownik, aż kostki mu zbieleły. Odczytałem język jego ciała.

- Ona należy do ludzi, którzy są po twojej stronie. Przyciągnął kolana bliżej do podbródka. Nie wierzył mi

i Mandy Parker to zobaczyła. Wstała, mówiąc: -Wróć później.

Wyjęła z tylnej kieszeni płytkę z filmem DVD i położyła na łóżku.

-To jeden z moich ulubionych. Pomyślałam, że może też ci się spodoba.

Następnie spojrzała na mnie.

- Pójdę na kawę, poczekam na zewnątrz.

- Proszę mi dać jeszcze chwilkę - odparłem, skinąwszy głową.

Spojrzałem na DVD. To była *Księga dżungli* Disneya.

- Widziałeś to już? Zaprzeczył.

- Chcesz zobaczyć?

Zamarł na chwilę, jakbym mu zadał podchwytliwe pytanie. Wsunąłem płytkę do odtwarzacza pod telewizorem i nacisnąłem PLAY. W chwili gdy pojawił się obraz, chłopiec wpełzł pod łóżko i wcisnął się w najdalszy kąt. Strażnik za drzwiami usłyszał łoskot i natychmiast się pojawił. Nie wiem, który z nas był bardziej zdziwiony, chłopiec, strażnik czyja. Przykucnąłem i spojrzałem pod łóżko, gdzie chłopiec siedział w najbezpieczniejszej dla niego pozycji, z rękami na głowie. Strażnik spojrzał na mnie i wyszeptał:

- On zrobił to już wczoraj. Gdy ktoś na korytarzu włączył telewizor, nie wychodził przez kilka godzin.

Mandy stała na korytarzu i obserwowała wszystko przez drzwi.

Wczołgałem się pod łóżko, tak by być jak najbliżej jego uszu, i odezwałem się półgłosem:

- Naprawdę bardzo cię przepraszam. Powinienem być cię zapytać. Nie musisz tego oglądać, jeśli nie chcesz.

Wyłączyłem telewizor i położyłem pilota obok chłopca.

- Proszę, ty decydujesz, dobrze?

Dzieciak patrzył przez szparę między rękami i klatką piersiową, jak odkładałem pilota na podłogę. Wycofałem się i powtórzyłem raz jeszcze.

- Przepraszam. Już dobrze?

Strażnik nieco się odsunął.

- Nic nie zrobiłeś. Daj mu trochę czasu.

To było jakieś pocieszenie. Jeśli nawet zrobiłem w ciągu tych dwóch dni jakieś postępy, teraz zostały zniweczone.

- Dziękuję.

Wyszedłem z sali i poszedłem z Mandy Parker do kafejki na parterze. W windzie pierwszy rozpocząłem rozmowę.

- Nie mam doświadczenia w takich sprawach. Patrząc na numery pięter nad naszymi głowami, odpowiedziała:

- Dzieci tak molestowane zwykle zacinają się i nie jesteśmy w stanie do nich dotrzeć, dopóki nie znajdziemy sposobu, by je odblokować.

Zamówiliśmy kawę i usiedliśmy na zewnątrz, gdzie owionął nas słonawy zapach bagna. Mandy uśmiechnęła się.

- Jest pan stąd?

-Tu się urodziłem i wychowałem - zrobiłem krótką przerwę. - Właściwie to tylko wychowałem. Dostałem się do rodziny zastępczej, zanim zdołałem cokolwiek zapamiętać. Tak naprawdę to nie wiem, gdzie się urodziłem. Myślę, że gdzieś na południu i w pobliżu oceanu, moja wiedza w tym względzie jest jednak tak marna, że prawdopodobnie może być nawet Seattle. A pani?

- Dziewczyna z Florydy. Z Panhandle. - Zmieniła temat. - Zadzwoił do mnie pana wydawca. Powiedział, że wyznaczył pana do napisania o tym chłopcu.

Kiwnąłem głową.

- Tak, będę wdzięczny za każdą informację.

- Czego dowiedział się pan do tej pory? Powiedziałem jej wszystko, co byłem w stanie wydedukować z rysunków, z kontaktu, jaki z nim nawiązałem, z rozmów z lekarzem i ze strażnikiem. Nie było tego jednak

za wiele. Nie znaleźliśmy jego imienia, nie wiedzieliśmy, skąd pochodzi, kim jest jego rodzina ani jak się dostał w pobliże torów.

- Jego pamięć jest wybiórcza. Czasem pamięta detale z fotograficzną precyzją, a czasem ma luki.

Pokiwała głową.

- Pracuję w biurze prokuratora od pięciu lat. Prowadziłam sprawy około setki dzieci. W najgorszych przypadkach tak właśnie się dzieje z ich pamięcią. Trauma powoduje blokadę.

- Jak się pani z nimi porozumiewa?

- To trudne i wymaga czasu.

- Była pani w stanie czegoś się dowiedzieć?

- Niestety. W naszej bazie danych mamy mnóstwo molestowanych dzieci w jego wieku i podobnej postury, ale żadne nie było aż tak maltretowane i żadne nie jest nieme. Poza tym, sądząc po jego umiejętnościach rysowania, musi milczeć już od dłuższego czasu.

- O czym to świadczy?

- Nikt nie zgłosił jego zaginięcia. -Jakie kroki zostaną teraz podjęte?

- Zgłosiliśmy go do opieki w rodzinie zastępczej. Przekonam sąd, by jego sprawę załatwić w trybie pilnym, odbierając rodzicom prawa. - Zamilkła na chwilę. - Władze stanu Georgia, tak jak i innych stanów, zakładają, że żadna opieka nie jest lepsza niż opieka własnych rodziców, dlatego też staramy się ich odszukać i doprowadzić do pojednania w rodzinie. W każdej sprawie, nawet dotyczącej okrutnego molestowania, system prawny nastawiony jest na ludzką umiejętność poprawy własnego zachowania. Zgadzam się z takim założeniem... ale istnieją wyjątki. - Podniosła palec do góry. - Jak John Doe #117.

- Tak go nazwaliście?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

-To etykieta przypisywana sprawie przez komputer. Nie podoba mi się to, ale tak działa system, a ja jestem w stanie stoczyć jedynie kilka bitew dziennie.

Podobała mi się Mandy Parker, mówiliśmy tym samym językiem.

- Ile trwa cały proces?

- W najlepszym razie miesiąc, ale to rzadkie przypadki. Poszukiwania i powiadomienie to długa droga. Dajemy ogłoszenia do gazet, informacje pojawiają się wśród najnowszych wiadomości w dziennikach telewizyjnych oraz kontaktujemy się z wojskiem, by mieć pewność, że ktoś z rodziców nie jest żołnierzem, nieświadomym tego, co się dzieje. W najgorszym przypadku zabiera to więc nawet koło roku. To zależy od wielu czynników. Jeśli w jakiś cudowny sposób pojawią się rodzice i zechcą odzyskać dziecko, rozpoczynamy plan pomocy dla dobra dziecka, który określa, na jakich warunkach mogą je odzyskać. Trwa to od dwunastu do osiemnastu miesięcy, a postępy są sprawdzane co pół roku.

Znałem te procedury, ale nie chciałem z nią o tym rozmawiać.

- Załóżmy na chwilę, że rodzice w ogóle się nie pojawiają, co wtedy?

- Wówczas wypełniamy oświadczenie o dokonaniu starannych poszukiwań, wyszczególniając to, co zrobiliśmy, co służy nam jako zabezpieczenie przed sądem i świadczy, że zrobiliśmy wszystko, by znaleźć rodziców. Jeśli nasze argumenty przekonają sąd, wówczas dziecko dostaje numer ubezpieczenia społecznego oraz nadajemy mu nowe imię i nazwisko lub wybiera sobie własne imię, a sędzia nadaje sprawie moc prawną. Od tej chwili dziecko jest pod kuratelą władz stanowych, rodzice nie mają już żadnych praw i zostaje

ono długoterminowo oddane pod opiekę rodziny zastępczej, najczęściej tej samej, która zajmowała się nim wcześniej.

- To znaczy, że do tego czasu każdy może starać się o opiekę nad dzieckiem?

Przytaknęła.

- A na razie znajdzie się w rodzinie zastępczej na krótko?

- Tak. Cóż, sędzia może wyrazić zgodę... jeśli znalazłby się odpowiedni dom. Obecnie jednak w naszym hrabstwie jest o to niełatwo, ale nawet gdyby tak nie było, większość rodzin nie chce brać pod opiekę dzieci z takimi problemami.

Wyjęła z teczki plik dokumentów i rozłożyła przede mną na stole.

- Zna pan tego człowieka? Zakrztusiłem się.

- To musi być William Walker McFarland. Znany też jako wujek Willee.

Przytaknęła.

- Przyszedł do mnie dziś rano i oświadczył, że on i jego żona zastanawiają się nad ustanowieniem rodziny zastępczej dla tego chłopca.

-Ico?

- Miał dosyć burzliwe życie.

- Można by tak powiedzieć.

- Czy on kiedykolwiek opowiada, co robił, zanim poszedł do więzienia?

- Nie bardzo, ale nie dlatego, że to nieciekawe. Przekartkowała papiery.

- Z tego, co dostałam, wynika, że miał jakby dwa zupełnie różne życia.

- Myślę, że jeśli w ciągu sześciu miesięcy musi się pogrzebać ojca, żonę i syna, to jakkolwiek szczęśliwe byłoby życie, zostaje pochowane razem z nimi.

Przyznała mi rację.

- Przeszli już specjalną procedurę dla domów zastępczych i rozmowę kwalifikacyjną.

- Oni już wcześniej przeszli przez to wszystko.

- Władze stanowe chcą przenieść chłopca. Chcą działać zapobiegawczo. Zastanawiają się nad jego sytuacją. Pana osoba ma tu także znaczenie.

- Rozumiem.

- W rezultacie jego kandydatura czeka na rozpatrzenie.

- Co zdecyduje?

- Moja rozmowa z panem - uśmiechnęła się. Przewróciła kilka kartek.

- Mają już doświadczenie. Ten dom i jego obojście robiły wrażenie.

- Można tak powiedzieć.

- Już dziesięć lat temu skończył pan osiemnaście lat, a wciąż ma pan mieszkanie nad stodołą. Jak to jest?

- To coś w rodzaju darmowego lokum - zaśmiałem się. - Może nie tyle je mam, co mogę tam spać, gdy jestem zbyt zmęczony, żeby wracać do siebie.

Też się zaśmiała, ale jeszcze czekała.

- Odrobiła pani dokładnie swoje lekcje.

- To nic trudnego. Większość informacji jest w komputerze, jeśli się wie, gdzie szukać. Jeśli natomiast wie się, jak właściwie zadać pytanie, to ludzie po drugiej stronie kabla telefonicznego powiedzą resztę. - Wzruszyła ramionami.

- Trudno byłoby pani znaleźć lepszą parę niż tych dwoje. Napisałem jej mój numer telefonu na serwetce i wstałem, wyrzucając kubek do śmieci.

- Lepiej już pójść na górę. Jeśliby pani czegoś się dowiedziała, proszę dać mi znać.

- Rozumiem, że pan zrobi to samo.

- Umowa stoi - wyciągnąłem do niej rękę.

Wyszła przez drzwi wahadłowe, kierując się w stronę volkswagena stojącego na parkingu. Był to nowy model

z kwiatkami na desce rozdzielczej. Poszedłem na górę i zastałem zgaszone światła i włączony telewizor. Wujek siedział na moim miejscu, nogi w skarpetkach opierając o łóżko. Chłopiec siedział na łóżku z oczami wlepionymi w ekran i obaj zajadali popcorn. Na ekranie Baloo śpiewał piosenkę *The Bare Necessities*. Gdy oderwał gałązkę i zaczął drapać się w plecy, wujek głośno się zaśmiał. Chłopiec spojrzał na niego, potem na mnie, a potem z powrotem na ekran telewizora.

- Dziękuję. - Poklepałem wujka po plecach. Rzucił we mnie popcornem.

- Najszybsza droga do serca wiedzie przez żołądek. Wycofałem się z pokoju i pomachałem dzieciakowi na

do widzenia. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Wsiadłem do Vicky, odwróciłem czapkę tyłem do przodu i rozważałem to, co powiedział wujek. Myślałem o tym całą drogę do domu, ale coś mi nie pasowało. Wjechałem do stodoły i zgasłem silnik. Czy to była prawda? Czy naprawdę do serca dociera się przez żołądek? A może istnieje inna droga? Zostawiłem ten problem nierozwiązany, bo istniał jeszcze jeden, jakby pilniejszy. Jeśli nie potrafisz mówić, to jak możesz się śmiać? A jeśli nie potrafisz się śmiać, to w jaki sposób płaczesz? Miałem materiał do opisanía.

Rozdział 8

Ellsworth McFarland wychowywał swych synów tak, by znali wartość pieniądza. Jeśli chcieli dolara, musieli go zarobić. Jedyna różnica polegała na tym, że kiedy Jack wydawał, Liam oszczędzał. Była jednak jedna korzyść z upodobań Jacka do hazardu. Zrozumiał, jak wielka jest siła perswazji. Stale miał jakieś układy i bez przerwy tonął w długach. Przeważnie był zadłużony u Liama. Jack jednak nie był głupi czy lekkomyślny. Przeciwnie: był bystry.

Chłopcy spędzali lato, pracując jako obsługa w okienku bankowym. W każdym roku w szkole średniej awansowali. Na przykład na młodszego specjalistę od kredytów, więc gdy kończyli szkołę w odstępnie roku, obaj wiedzieli więcej o funkcjonowaniu banku niż niejeden profesor Uniwersytetu Stanowego Georgii. Obaj studiowali inżynierię, praktykowali w biznesie i dziękowali Bogu za gazetę studencką. Obaj ożenili się rok po roku i dołączyli do ojca, by z nim pracować. I wtedy przyszła burza 1979 roku.

Chociaż geograficznie Brunswick leży poza zasięgiem działania huraganów, czasem i tam zdarzają się tornada i burze, zwłaszcza w czerwcu. O trzeciej po południu Ellsworthowi zrobiło się za ciasno w banku, więc zostawił chłopców i pojechał do domu, by zapalić cygaro Arturo Fuente²⁹

i zrobić sobie przejażdżkę na swym koniu Big Bubbie wokół

²⁹ Cygara Arturo Fuente - cenione i poszukiwane cygara produkowane w Dominikanie.

Żuta, a następnie zjeść obiad w towarzystwie swego prawnika. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat odkrył, że niektóre rzeczy stały się bardzo proste. Jego dziedzictwo pozostawało nienaruszone. Do szóstej trzydzięci kasjerzy rozliczyli się ze swojej pracy i wyszli, pozostawiając synów Ellswortha, by zamknęli sejf i pogasili światła - zwykła codzienna rutyna.

Drzwi sejfu były zabezpieczone na trzy różne sposoby przed różnymi rodzajami włamań: przed dynamitem, narzędziami - włączywszy w to młot pneumatyczny - a trzecie zabezpieczenie chroniło przed oboma poprzednimi sposobami oraz łyżką spychacza. Nigdy nie zdarzyło się jednak nic z tych rzeczy, więc w ciągu dnia drzwi sejfu pozostawały otwarte, by klienci widzieli jego wnętrze. Dla bezpieczeństwa była tam jeszcze stalowa poprzeczka. Miejscowa reklama banku, posiłkując się wyłącznie wizerunkiem tak zabezpieczonych drzwi, głosiła na czerwono: JEDYNE MIEJSCE W MIEŚCIE, GDZIE TWOJE PIENIĄDZE SA NAPRAWDĘ BEZPIECZNE.

Na początku tego roku wyceniono bank na pięćdziesiąt siedem milionów dolarów, co sprawiało, że był to co prawda bank lokalny, ale mający siłę regionalnego. W tym właśnie czasie zaszło coś niezwykłego w historii bankowości. Pomijając fakt, że Jimmy Carter³⁰ był producentem fistaszków z Georgii, jego polityka finansowa na dłuższą metę okazała się porażką, co uwidoczniło się w oprocentowaniu lokat. Do wiosny 1979 roku zwykłe lokaty były oprocentowane na piętnaście procent. Dwa lata później oprocentowanie osiągnęło szczytowy poziom dwadzieścia i pół procent. W tym momencie prezydent Carter stał się cudem na jedną chwilę. Szukając bezpiecznych sposobów na ulokowanie pieniędzy, ludzie z południowych stanów zaczęli inwestować w obliga-

¹⁰ Jimmy Carter urzędował jako trzydziesty dziewiąty prezydent I JSA od 1977 do 1981 roku.

cje na okaziciela. Miały stałe oprocentowanie i wypłacano za nie dywidendy regularnie dwa razy do roku. Posiadacz obligacji mógł odciąć kupon, wysłać go i otrzymywał odsetki, których wysokość wahała się od sześciu do ośmiu procent.

Był tylko jeden problem. Inaczej niż w przypadku akcji imiennych, obligacje były wydawane na okaziciela. Nie były podpisane niczym nazwiskiem. To oznaczało, że jeśli zostały skradzione, nie było możliwości ich odzyskania. Nie można też było ich unieważnić. Kradzież jednej obligacji mogła oznaczać utratę studolarowego banknotu lub banknotu o wartości stu tysięcy dolarów. To wyjaśnia, dlaczego rząd zabronił wydawania tego rodzaju obligacji od 1982 roku.

Zakładając, że sejf w banku Ellswortha był nie do okradzenia, ludzie przyjeżdżali do jego banku z dwóch powodów. Jeden z nich to zwyczajne bezpieczne przechowywanie pieniędzy. Poza tym dwa razy do roku przyjeżdżali, odbierali z sejfu kupony odcięte od obligacji i wysyłali je, by otrzymać należną im kwotę oprocentowania. Jego wysokość w tym czasie podskoczyła do dwudziestu punktów i ludzie chcieli wykorzystać tę okazję, by zarobić.

Posiadacze obligacji brali pod ich zastaw, najczęściej w wysokości dziewięćdziesięciu procent ich wartości, pożyczki i wkładali je na lokatę na wysoki procent, zwykle uzyskując lepszy dochód niż na zwykłych lokatach bankowych. To oznaczało około szesnastu procent. Różnica od ośmiu do dziesięciu procent oznaczała czysty zysk. W roku 1979 była to powszechnie stosowana praktyka. Wszystko to spowodowało, że tej nocy, gdy rozpętała się burza, bank przechowywał obligacje w wysokości sześciu milionów dolarów, będące zabezpieczeniem pożyczek. Obligacje były przechowywane w specjalnej komodzie na segregatory na tyłach sejfu.

Inna sprawa, że ludzie nie ufali rządowi, ponieważ amerykańscy chłopcy wciąż jeszcze pozostawali zaginionymi w Wiet-

namie. Ludzie w południowej Georgii powiewali flagami Konfederatów, wskazywali na Biały Dom, wykrzykiwali nazwisko Reagana³¹ i takie rzeczy, których tu nie mogę przytoczyć.

Ryzyko było następujące. Dopóki FDIC³² zabezpieczała jedynie depozyty bankowe, nie zabezpieczała pożyczek wziętych pod zastaw obligacji. Nie zabezpieczała także kosztowności przechowywanych w bankowych sejfach. Jednak mieszkańcy Florydy, Alabamy i Georgii południowej wiedzieli, że ich pieniądze są bezpieczniejsze w sejfie Ellswortha niż pod ich własnym materacem. By ludzie spali spokojnie, Ellsworth ubezpieczył zawartość sejfu. To nie wymagało geniusza. Pozostał jednakże jeden problem.

Bracia zamykali właśnie sejf, gdy nad Żuta zebrały się chmury burzowe. Liam i Jack wspięli się na trzecie piętro i obserwowali błyskawice rozdierające niebo. Gdy zadzwonili do Ellswortha, a on nie odebrał telefonu, Liam powiedział:

- Lepiej sprawdźmy, co z tatą.

- Ja nie, ty jedź. Stary głupiec i tak nie używa za wiele prądu. - Jack spojrział na zegarek. - Kończą grę w karty za dwadzieścia minut.

Bez namysłu wskoczył do kabrioletu i skierował się w kierunku plaży do pubu, pomieszczenia, gdzie w środowe noce grano w pokera. Co prawda był dopiero poniedziałek, ale przez ostatnich kilka miesięcy środa była codziennie.

Pomimo padającego gradu Liam pędził wzdłuż podjazdu wysadzanego orzechami pekan aż przed dom. Zobaczył stłoczone w stodole wystraszone pawie, kryjące się przed wiatrem i gradem wielkości piłek do baseballu, powodującym niezły hałas. Big Bubba stała w stodole, w domu nie

³¹ Ronald Reagan sprawował urząd jako czterdziesty prezydent USA od 1981 do 1989 roku.

³² FDIC - Federal Deposit Insurance Corporation - instytucja rządowa zabezpieczająca depozyty bankowe.

było nikogo, a ciężarówki Ellswortha nigdzie nie było widać. Usłyszawszy w radiu, że w mieście szaleje tornado, Liam zawrócił do banku, by tam przeczekać. Gdy podszedł do głównego wejścia, zobaczył, że szyba we frontowych drzwiach jest wybita, a w środku jakiś człowiek w masce, ubrany na czarno, przeszukuje szuflady z pieniędzmi.

Ponieważ Ellsworth przeżył już wojnę światową, czas kryzysu i nieustanne próby napadu na bank, nosił przy sobie broń - colta 1911. Dał także po jednym pistolecie każdemu ze swych synów, gdy skończyli szesnaście lat. Pistolet ten miał więcej naboju niż rewolwer i gdy spojrzano się na niego z biznesowego punktu widzenia, zwracając uwagę na średnicę lufy, lepiej było przemyśleć to, co zamierzało się zrobić. Chłopcy wyrastali, ucząc się, jak strzelać, i strzelali dobrze. Gdy już skończyli naukę na uczelni i wrócili do pracy w banku, oczywiście się stało, że będą nosili przy sobie broń, zwłaszcza przebywając w pobliżu banku. Liam nosił swojego colta w teczce, więc gdy zobaczył mężczyznę w czerni, sięgnął do niej. Następnie przystawił pistolet do głowy Jamesa Browna Gilberta, który od razu podniósł ręce do góry i przyznał się do wszystkich zbrodni, jakie kiedykolwiek planował popełnić.

I wtedy właśnie rozpętało się piekło. Tornado uderzyło w bank i Liam miał tyle szczęścia, że zdążył schować się w sejfie, zanim wiatr zerwał dach. Zamknął drzwi do sejfu i obaj mężczyźni siedzieli w ciemnościach, w czasie gdy świat był rozrywany na strzępy.

Część dachu spadła tuż przed sejfem, blokując do niego dostęp, inne jego fragmenty blokowały drogi dojazdowe w mieście. Liam razem z Jamesem Brownem zostali znalezieni i uwolnieni dopiero po zmroku. Lista oskarżeń wobec Browna miała już trzy strony, gdy odrzucono resztki dachu, odgruzowano drzwi i uwolniono duet siedzący w sejfie.

Wkrótce potem pojawił się Jack z wygraną po całonocnym pokerze. Następnie przybyli ludzie z gazety, którzy zdążyli zrobić zdjęcie Jamesowi w kajdankach wchodzącemu do samochodu policyjnego oraz Liamowi, którego policjant klepie po ramieniu. Tytuł brzmiał: SYN ŻUTY RATUJE BANK.

Pamiętacie, jak to mówią: Zwycięstwo uskrzydla.

Zauważono, że w czasie całego tego zamieszania nie było Ellswortha. Gdy nie pojawił się i nadal nie odbierał telefonu, Liam pojechał do domu, gdy tymczasem Jack pracował nad tym, by otworzyć bank. Pomimo ogromnych szkód, jakie wyrządziło tornado, wewnątrz budynku pozostało nieuszkodzone, oszczędności były nienaruszone, a gotówka pozostawała zabezpieczona w sejfie. Nie było innych strat poza zerwanym dachem i zniszczonymi meblami, toteż Jack zamówił namiot cyrkowy i wkrótce zorganizował prace banku na wolnym powietrzu, co też miało swój urok.

Gdy Liam dojechał do domu, wszystkie światła były pozapalane. Ciężarówka ojca była zaparkowana w stodole, a brązowy lincoln town car, kabriolet z białym wnętrzem, stał przed wejściem. Należał do Perryego Kennera, radcy prawnego banku od chwili jego otwarcia, drugiego co do ilości posiadanych akcji właściciela oraz najlepszego przyjaciela taty. Miał oko na zabezpieczenia banku i odpowiadał za jego ubezpieczenie w FDIC. Świadkowie twierdzą, że ci dwaj byli przyjaciółmi z rodzaju tych do grobowej deski. Często organizowali spotkania w sprawach zawodowych, które więcej miały wspólnego z końmi, wędkowaniem i cygarami niż z biznesem. Gałęzie i liście, jakie leżały na samochodzie, świadczyły o tym, że stał tam dużo dłużej niż od rana. Liam położył rękę na masce - była zimna. Wszedł po schodach na werandę i otworzył drzwi.

- Tato?

Nie było odpowiedzi.

- Tato?

Jedynym słyszalnym dźwiękiem było dziwne i niesamowite pojękiwanie wiatru. Zauważył, że zegar bije w dziwny sposób. Spędził kilka minut na rozplątywaniu zapętlonych wahadeł, a następnie przeszedł przez tylne drzwi do kuchni. Tutaj znów zawołał. Drzwi frontowe były szeroko otwarte i wiatr hulał po domu, wpadając do jadalni. Zamknął drzwi i zaczął mopem wycierać mokrą podłogę. Wtedy zauważył, że drzwi do gabinetu ojca są otwarte i stamtąd także wypływa woda. Starł podłogę w holu i na kolanach prześlizgnął się w kierunku kałuży wypływającej z gabinetu. Zaczął wycierać, ale spostrzegł, że plama jest lepka, jakby ktoś rozlał tam coca-cole. Wyszedł na zewnątrz, by opróżnić wiadro, i w świetle dnia zobaczył, że woda jest czerwona.

Liam zastał ojca leżącego twarzą do biurka z postrzałem w głowę. Pod kątem prostym do ojca leżał Perry Kenner, a jego ręka, która stała się już niebieska, wciąż ścisnęła pistolet, którym prawdopodobnie zastrzelił ich obu. Na biurku leżał testament Ellswortha, być może owoc pracy wczorajszego wieczoru. Ale szokujący widok nie skończył się na tym. Na podłodze za biurkiem Ellswortha zobaczył jeszcze jedno ciało. Pistolet Perry ego zabił jeszcze kogoś. Liam odwrócił ciało i ujrzał twarz swojej młodej żony Suzanne.

Liam i Jack pochowali Ellswortha i Suzanne obok Sary Beth na trawiastym wzgórzu w Sanktuarium, skąd można było zobaczyć wschodzące słońce.

Pojawiło się mnóstwo niejasności w związku z burzą i morderstwem. Liam przełknął swój ból i zrobił to, co zrobiłby jego ojciec, by uspokoić klientów. Zatrudnił audytorów. Pojawili się po dwóch dniach, a trzeciego dnia bank został zamknięty i opieczętowany. Po dwóch tygodniach Liama obudziło światło flesza w samym środku nocy, kiedy spał obok przytulonego do niego trzyletniego syna. Został aresz-

towany i zakuty w kajdanki. Tym razem tytuł w nagłówku głosił SYN ŻUTY KRADNIE MILIONY. Dokładnie chodziło o siedem milionów. Siedem milionów w obligacjach na okaziciela, które były nie do znalezienia.

Ponieważ przestępstwo, o jakie był oskarżany, należało do przestępstw federalnych, prokurator okręgowy polecił osadzić go w więzieniu federalnym w Fulton County. Czekał tam na proces, jaki miał się odbyć w Atlancie. W swoim testamencie Ellsworth McFarland chciał równego podziału majątku pomiędzy swych dwóch synów, przy czym obaj mieli zarządzać bankiem, a Żuta Lumber pozostać miało pod zarządem Jacka, jego starszego syna. Kiedy Liam przyzwyczajał się do oglądania światła dziennego przez kratki, Jack zarządzał całym majątkiem.

W miesiącach poprzedzających proces Jack dokonał dwóch rzeczy. Publicznie wyparł się Liama i zdystansował od jego sprawy oraz zakasał rękawy i zabrał się do zarządzania bankiem, którego musiał się nauczyć. W mediach rozżew pomiędzy braćmi rósł jak Wielki Kanion. Ponieważ Liam został pozbawiony dóbr, nikt nie wystąpił o przyznanie opieki nad jego trzypółletnim synem. Jack mógłby odciąć się od długów i pozostawić miasteczko, by samo się z nimi zмагаło. Nikt nie miałby mu tego za złe. W sytuacji, gdy znikły obligacje na wielką sumę, regulacje prawne wskazywały, że bank w takim razie jest niedofinansowany i nie jest już bezpieczny. Jack dowiedział się, że musi albo zainwestować kilka milionów, albo zamknie bank, ale cóż to był za problem? Należało jedynie poszukać odpowiedniego banku, aby pożyczyć pieniądze. I tutaj Jack zaskoczył większość mieszkańców Georgii południowej. Pojechał mianowicie do Atlanty i znalazł pożyczkodawcę, który dał mu kredyt w wysokości dziesięciu milionów dolarów, żądając Żuty jako zabezpieczenia. Z kredytem w kieszeni Jack spotykał się oso-

biście z każdym, kto posiadał obligacje, anulował dług, jaki miał wobec banku, i wypłacał rekompensatę z pożyczonych pieniędzy. To oznaczało, że jeśli ktoś miał zabezpieczenie pożyczki w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy obligacjami o wartości stu tysięcy, Jack zapominał o dziewięćdziesięciu i wypłacał dziesięć z własnych zasobów lub, dokładniej mówiąc, z pieniędzy pożyczkodawcy. Gdy ludzie się o tym dowiedzieli, zaczęli mówić, że Jack ma charakter po ojcu i że to dobrze, bo z pewnością drugi brat go nie odziedziczył. Rozeszła się fama o uczciwym bankierze i wkrótce pod bankiem zaczęły parkować samochody z rejestracją spoza stanu. Zmieniło się postrzeganie Jacka w mieście. Przez ostatnie lata nie widziano w nim nic dobrego, a jedynie hazardzistę -teraz zaś ludzie czapkowali mu z drugiego końca ulicy. Jack jednak nie był głupi, zdawał sobie sprawę, ile pracy wymaga zamiana porażki w sukces. W ciągu dwóch lat liczba pożyczek podwoiła się i bank zaczął zarabiać więcej niż przed katastrofą. Nie można było tego zrobić szybciej. Przed firmą pożyczkową, jaka udzieliła Jackowi kredytu, było dwadzieścia pięć lat najlepszej prosperity. Ścieżką sukcesu, jaka otwierała się przed bankami, był księżyc i strzał, którym stał się amerykańsko-rosyjski wyścig w kosmosie. W ciągu najbliższych kilku lat imię Jacka szeptało w jednym zdaniu wespół ze słowem „burmistrz”, a nawet „gubernator”. Jack wydawał się nieporuszony i skupiony w obracaniu na dobre tego, co jego brat popsuł.

Sześć miesięcy po napadzie William Walker McFarland został oskarżony o zagarnięcie siedmiu milionów dolarów w obligacjach na okaziciela. Miejsca dla widzów zajęli w sądzie niezadowoleni klienci, co oznaczało, że znalazł się tam niemal każdy mieszkaniec Brunswicku, Sea Island, St. Simons Island i Glynn County. Sześciu różnych kasjerów, kładąc dłoń na niewielkiej Biblii, przysięgało: „Tak mi

dopomóż Bóg", twierdząc, że obligacje na pewno były tego popołudnia w sejfie, zanim go zamknięto. Czterech różnych policjantów i dwóch w cywilu przysięgało na tę samą Biblię, że obligacji nie było, gdy weszli do sejfu następnego dnia rano, po burzy. Po przeprowadzonym śledztwie okazało się, że jedynymi ludźmi, którzy mieli dostęp do sejfu, byli Liam i jego najlepszy kumpel James Brown Gilbert. Jediną osobą, która jeszcze mogłaby mieć dostęp do sejfu, był Jack, ale jego możliwości były ograniczone. Sześć osób, w tym dwie wysokie rangą w starszyźnie kościelnej, które nie miały ochoty stawiać czoła swoim owieczkom zasiadającym w ławach sędziowskich, zeznało pod przysięgą, że Jack był z nimi przez całą noc i grał w karty.

Kiedy śledczy postawili przed sądem Jamesa Browna Gilberta, wyszło na jaw, o czym większość w miasteczku dobrze wiedziała, że z trudem potrafi dodać dwa do dwóch. Gdy więc powiedział: „Ja nic nie wiem o żadnych ligacjach”, sędziowie spojrzeli na Liama i zamarli. Sprzysięgli się i podjęli decyzję. Była to zbrodnia dokonana przy udziale współnika, ale Liam i tylko Liam był w sejfie, więc tylko on miał do czynienia z obligacjami. Gdy wyszedł z sejfu, zabrał je z sobą. Z powodu pogody nikt inny nie mógł tego zrobić, nikt nie miał dostępu do sejfu i nikt nie mógł do niego wejść i wyjść. To wyjaśnia, dlaczego proces trwał krótko, a wyrok był surowy. Czterdzieści siedem lat więzienia oraz dwieście procent kary. Gdy wyrok został odczytany, na sali sądowej zrobiło się radośniej. Udziały Liama zostały rozdzielone pomiędzy obecnych akcjonariuszy. To jednak załatwiło zaledwie połowę długów, jakie miał wobec banku. Ponieważ były to wczesne lata siedemdziesiąte, a stopa procentowa była na dobrej drodze do osiągnięcia dwudziestu punktów, w obiegu nie było zbyt wiele gotówki i nie było zbyt wielu chętnych na zakup obszarów, z których można by eksploatować drewno,

zarabiając przy tym miliony. By spłacić resztę długów, Liam sprzedał połowę swoich udziałów w Żuta Jackowi, który jednakże sam będąc zadłużony, zapłacił mu jedynie pięćdziesiąt centów za dolara. Rezultaty tej transakcji były dwa. Po pierwsze Jack miał sześćdziesiąt jeden procent udziałów w banku i siedemdziesiąt pięć w Żuta, po drugie Liam miał czterdzieści siedem lat, by sobie wszystko przemyśleć.

Najdziwniejsze było to, że skradzionych obligacji nie znaleziono.

W tym samym czasie Liam musiał podjąć jeszcze jedną, trudną w swoim przegranym życiu decyzję. Patrząc w lustro i myśląc o swojej niesławie, o tym, że większość ludzi w miasteczku chciała jego głowy i nikt nie zamierzał ofiarować domu jego synowi, całkowicie teraz pozbawionemu rodziny, oddał prawo do opieki nad dzieckiem władzom stanu Georgia, „na zawsze i nieodwołalnie”, chcąc, by jego syn uniknął wstydu i niesławy, jaką „cieszył się” uwięziony ojciec. Gdy to zrobił, położył się w celi i przestał przyjmować posiłki przez następane dziewiętnaście dni, aż zabrano go na oddział szpitalny i podłączono zemdlonego do kroplówki. Gdy obudził się po dwóch dniach, był pod silnym działaniem środków uspokajających. Stwierdził, że niestety nie stoi przed obliczem Boga, a nad sobą ma jedynie sufit, i nie znalazł się w niebie, ale nadal tkwi w piekle.

Lokalna społeczność więzienna zorientowała się, że ten w czepku urodzony chłopiec zszedł na złą drogę i do całej masy nieszczęść współwięźniowie dodali jeszcze coś od siebie - przemianowali go na Williama Liama Walkera. W ciągu kilku miesięcy został nazwany Wil - Lee.

Pięć miesięcy po wydaniu wyroku do więzienia przyjechał Jack z niezapowiedzianą wizytą. Było to pierwsze spotkanie od rozprawy, w czasie której tych dwóch widziało się i rozmawiało. Strażnicy przyprowadzili Willeeego i kazali

mu usiąść. Pokój był zimny, z betonu, wypełniony stolikami ze stali i krzesłami pomalowanymi na stalowoszary kolor. Każde wulgarnie słowo, jakie istniało w słowniku, albo i nie istniało, zostało tam wyskrobane w grubej warstwie farby. Strażnicy patrzyli na cały ten spektakl zza szyby i zajadali się skórkami wieprzowymi.

- William - Jack potarł jedną rękę o drugą. - Coś się stało.

Liam pochylił się w jego stronę i słuchał, jakby nie chciał uronić ani jednego słowa.

- Chodzi o twojego syna... ktoś... ktoś się o nim dowiedział i... cóż...

Jak pies, który się nad czymś zastanawia, Liam kręcił głową i rozważał to, co usłyszał.

- Zostawili to. - Jack rozwinął na stole list.

List był napisany na maszynie: CZTERY MILIONY W NIE-OZNAKOWANYCH BANKNOTACH STUDOLAROWYCH ZAPAKOWANE WODOSZCZELNIE, ZOSTAW NA GROBIE CLIFFORDA WILLOWSA NA CMENTARZU KRZYŻA CHRYSZTUSOWEGO JUTRO O PÓŁNOCY, ŻADNEJ POLICJI ALBO WYŚLEMY CI TWOJEGO CHŁOPAKA W PUDEŁKU Z TWOICH WŁASNYCH DESEK.

Jedynie środki, jakimi dysponował Liam, to dwudziesto-pięcioprocentowy udział w Żuta. Sześć i pół tysiąca akrów było wycenianych na siedem milionów dolarów. Pięć minut później sprzedał je Jackowi za cztery miliony, zachowując jedynie dwie rzeczy, z których żadnej nie chciał Jack: dom, w którym wyrastał i w którym zginął jego ojciec i żona, oraz DuBignon Hammock.

Korzystając ze swych znajomości w sektorze bankowym, Jack zdobył gotówkę, zanotował numery banknotów i zapakował je w dwie nieprzemakalne torby, po czym zostawił je na umówionym grobie. By chronić siebie i zabezpieczyć się przed oszustwem, Jack zabrał z sobą szeryfa i adwokata, by

przy nich zapakować pieniądze oraz by wraz z nim śledzili całą operację. Zostawił pieniądze na grobie, usiadł w samochodzie z zapalonym silnikiem na parkingu i czekał. Porywacze się nie pojawili. Jakaś godzinę później trzech mężczyźni rozeszli się, by szukać chłopca. Nie było jednak ani chłopca, ani pieniędzy.

Następnego dnia ktoś podrzucił spalone ciało chłopca na schody sądu, a jeszcze następnego jeden ze strażników podrzucił Liamowi gazetę z informacjami na temat tego, co się stało. Władze stanu Georgia pozwoliły Liamowi wyjść na krótko z więzienia, by mógł pogrzebać syna. Został przewieziony do kostnicy, pozostawiono go na piętnaście minut z ciałem, następnie został przewieziony do Buffalo, gdzie przepłynął canoe do DuBignon i wykopał tam grób cztery, na dwie, na sześć stóp, obok grobu żony. Kilka godzin później został odwieziony do Atlanty, by odsiedzieć pozostałe czterdzieści sześć i pół roku więzienia. William wrócił do więzienia, zamknął się w sobie, odciął swój umysł i serce, zaś wewnątrz kołnierzyka koszuli i wewnątrz spodni wpisał sobie Willee McFarland. Egzystował jakoś przez dwa lata. Czytał książki, uczył się o storczykach i rozmawiał z rękami, które karmiły go w stołówce. Ręce w rękawiczkach należały do kobiety i chociaż ona go widziała, on nigdy nie widział jej. Aż do następnego roku, gdy z niewiadomych przyczyn gubernator Georgii podpisał pełne ułaskawienie. Willee McFarland wyszedł z więzienia. Nie miał już ojca, żony, dziecka ani pieniędzy, ale był wolny. W uzasadnieniu napisano: „Z powodu ciężkich doświadczeń, zmienionych okoliczności oraz dowodów, które w czasie procesu nie zostały przedstawione”. Jakby trochę słabe uzasadnienie. I nie, nikt nie znalazł tych dodatkowych dowodów.

Willee przeszedł prawie milę w kierunku miasta, gdy zatrzymał się obok niego stary mustang kabriolet. Kierowca

wyciągnął w jego kierunku rękę w rękawiczce i Willee po raz pierwszy zobaczył jej twarz. Lorna Sanchez była Meksykan-ką, seksbombą, kimś pomiędzy Madeline Stowe a Elizabeth Taylor.

Zanim Lorna spotkała Willeeego, była już dwukrotnie rozwiedziona kelnerką, pracowała także na pół etatu jako sprzątaczką oraz w stołówce zakładu karnego Fulton County. Tak więc gdy wujek mówi, że spotkał swoją żonę w więzieniu, nie żartuje. Spotkali się jakoś w pierwszym miesiącu i przez następne trzy lata poznawali przez szybę. Lorna twierdzi, że zauroczył ją swoim wdziękiem i tym, w jaki sposób układa usta, mówiąc. Wujek mówi, że ona usidliła go swoim spaghetti. Jeśli to prawda, to usidliła kilka setek mężczyzn.

- Możesz wsiąść do tego samochodu, jeśli będziesz mówił mi zawsze i do końca prawdę i tylko prawdę.

Willee przykucnął obok samochodu, zarzucając swój worek na plecy.

- Lorna, ojciec powiedział mi, że jedyne co mam i co mogę kontrolować na koniec każdego dnia, to moje słowo - obejrzał się na więzienie. - I do dzisiaj udało mi się tak postępować.

Wujek obiecał jej życie w ubóstwie, pełne trudności i napastliwych plotek. Pobrali się i przenieśli do jego rodzinnego domu w Brunswicku. Gdy Lorna weszła przez główne drzwi i zobaczyła plamę na podłodze, zapytała, co to jest.

-To długa historia, która nie zaczyna się tutaj.

Zabrał ją do Sanktuarium, posadził obok grobów, pochylił się nad marmurowym grobem ojca i zaczął od początku. Minał rok, a ciało Lorny nie dało im dziecka. Zarejestrowali się więc jako rodzina zastępcza, przechodząc wszystkie procedury.

Po przeprowadzeniu przeze mnie dochodzenia i napisaniu wniosków na papierze pozostały trzy niewyjaśnione

kwestie: Po pierwsze: Kto okradł bank i gdzie są obligacje. Dlaczego William Walker McFarland miałby je kraść? Co miałby na tym zyskać? Po drugie: Sędzia śledczy ustalił, że Perry Kenner nie miał wystarczającej władzy w prawej ręce. Nie mógłby użyć rewolweru kaliber czterdzieści pięć, mając taki niedowład. Jeśli więc nie Perry Kenner zastrzelił Ellswortha McFarlanda i Suzanne, to kto to zrobił? A jeśli to on, to kto zastrzelił jego? Ostatnia wątpliwość to kto porwał Williama Walkera McFarlanda Juniora. W jaki sposób ktoś go odnalazł, skoro jego dokumenty były zabezpieczone przez władze stanowe? Dlaczego wymiana się nie udała, kto go zabił, co się stało z gotówką? Czy po dwudziestu latach niektóre z tych zapisanych numerów nie weszły do obiegu?

Aha, no i co to za dowód, który spowodował uniewinnienie, i gdzie on jest?

Rozdział 9

Wziąłem prysznic i ogoliłem się po ciemku. Jednak w moim starym mieszkaniu trudno się schować, a Tommye zawsze spała bardzo czujnie. Skończyłem się golić i upuściłem jedną z maszynek jednorazowych, na co dziewczyna usiadła na łóżku i przetarła oczy. Wyglądała blado. Przeciągnęła się.

- Uwielbiam ten zapach.

- Tak - uśmiechnąłem się. - Trudno pokonać old spice'a. Jeszcze raz poklepałem policzki. - Nic nie służy lepiej mojej twarzy.

Trzymała w zębach gumkę do włosów i robiła coś takiego z włosami, co tylko dziewczyny potrafią, by związać je w koński ogon - przeciągnęła, związała, przeciągnęła. Na wpół śpiąc, wytaszczyła się z łóżka, wyszczotkowała zęby, połknęła garść proszków i przeszła na drugi koniec pokoju, gdzie zdjęła z siebie wszystko, co miała. Tego się nie spodziewałem. Myślę, że stałem tam z otwartymi ustami, ponieważ odwróciła się i zaczęła iść w kierunku garderoby, gdzie trzymałem wszystko, co było potrzebne do prasowania. Zobaczyła mnie, na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, a dwie sekundy później zobaczyła też siebie, zatrzymała się, przymknęła oczy i powiedziała:

- Przepraszam, stare nawyki.

Potrząsnęła głową. Złapałem kluczyki, włożyłem czapkę i wsunąłem japonki. Zamykając drzwi, powiedziałem jeszcze:

- Deszcz, który padał przez kilka ostatnich nocy, prawdopodobnie podniósł poziom bagna. Pomyślałem, że może popłynę do Gibson Island i sprawdzę, czy nie wpłynęły leszcze. Chciałabyś też popłynąć?

Usłyszałem plaskanie stóp o podłogę i głowa wyjrzała przez drzwi.

- Tak, chętnie.

- Wujek i ciocia Lorna prawdopodobnie też się wybiorą.

- No to byłoby fajnie.

Uśmiechnąłem się i nasunąłem czapkę bardziej na czoło.

- Nie wiem, jak się łąwi w Los Angeles, ale tutaj trochę się zakrywamy. Słońce tak nie pali i komary nie gryzą. Chociaż nie jestem pewien, czy komary widziały kiedyś coś takiego jak ty.

Pokiwała głową, starając się zetrzeć z twarzy resztki snu.

- Myślę, że i to muszę przeżyć. To na razie.

Wujek i ciocia Lorna mieli w domu jeden telefon, który wisiał w kuchni, poślótkły, z wytartymi cyframi. Nie było nic dziwnego w tym, że klienci dzwonili do wujka o tak wczesnej porze. Siedziałem blisko niego i gdy zadzwonił, od razu odebrałem. W tle usłyszałem, jak wzywają kogoś przez interkom i kilka dźwięków dzwonka, a następnie kilka uderzeń w widełki. Dodałem do kawy kilka łyżeczek śmietanki w proszku i zapytałem:

- Halo! - Kilka uderzeń.

- Sketch, czy to ty? Więcej uderzeń.

Wtedy właśnie obudziłem się do końca. Trochę byłem zakłopotany.

- Poczekaj, jedno na tak, dwa na nie.

Po sekundzie jedno uderzenie. Upiłem kawę i poparzyłem wargi.

- Wszystko w porządku? Jedno uderzenie.
- Chcesz ze mną pogadać? Jedno uderzenie.
- Czy to może poczekać jeden dzień? Cisza, a potem jedno uderzenie.
- Przyjadę, jak tylko będę mógł.

Odwiesiłem słuchawkę, w chwili gdy pierwsze promienie słońca pojawiły się w czubkach drzew. Jeden z pawi cioci Lorny kroczył dumnie pod kuchennym oknem. Na pastwisku poniżej domu pasło się kilka krów rasy brahman, a trzy lub cztery indyki maszerowały w rzędzie wzdłuż ogrodzenia. Wujek przełknął ślinę i uniósł brwi, przywołując mnie do rzeczywistości.

- Och - powiedziałem, wskazując kubkiem w kierunku telefonu. - To był ten dzieciak. Powiedział, że chce ze mną rozmawiać - potrząsnąłem głową. - Właściwie to tylko stukał w widelki.

Wypiłem kawę do końca, opłukałem kubek nad zlewem i skierowałem się w stronę drzwi. Otworzyłem je, ale stojąc w progu, odwróciłem się jeszcze.

- Wczoraj spotkałem twoją znajomą. Wujek podniósł brwi, ale nie głowę. -Tak?

Uśmiechnąłem się.

- Mandy Parker, pracuje w biurze prokuratora. - Czekałem na jego reakcję, ale się nie doczekałem. - Ma twoje stare zdjęcie - zrobiłem przerwę, żeby zyskać na czasie. - Takie, na którym masz zmierzwiłone włosy i stoisz na tle podziałki narysowanej na ścianie - uśmiechnąłem się. - Powiedziała, że za dzień lub dwa zechcą umieścić dzieciaka w rodzinie zastępczej.

Wujek spojrział na Lornę, a następnie oboje spojrzeli na mnie. Złożył gazetę.

- Nie masz nic przeciwko? - zapytał.

- Nigdy przedtem nie potrzebowałeś mojej zgody, dlaczego teraz jej oczekujesz?

- Ten przypadek jest inny. - W jakim sensie?

Usiadł, poprawił kapelusz, spojrział przez okno w kuchni.

- Dwadzieścia siedem lat temu, pięć miesięcy i sześć dni mój trzyletni syn przechodził przez to samo... Znalazł się sam wśród ludzi, których nie znał, czekając, by ktoś uwolnił go od świata, jaki go przerażał. - Wujek złożył serwetkę i wytarł nią kąciuki ust. - Żadne dziecko nie powinno przez to przechodzić. - Wokół oczu pojawiły mu się zmarszczki, jak wtedy gdy świeci ostre słońce. - Lorna i ja pomyśleliśmy, że zaopiekujemy się nim, zanim wyjaśnicie historię tego dzieciaka.

Ciocia Lorna sięgnęła przez stół, by potrzymać go za rękę. Zamknąłem siatkowe drzwi i spojrzałem na człowieka, który dźwigał na barkach ogromny ciężar przez całe swoje dorosłe życie. Gdy dorosłem na tyle, by zamiast pojedynczych drzew widzieć cały las, dostrzegłem to ogromne brzemie.

- Dobrze, proszę pana, dla mnie może być. Zatrzymałem Vicky, zjechawszy z podjazdu na szosę:

moją uwagę przykuł błysk szyn. Przez chwilę stałem tam jak ktoś, kto wpatruje się w ognisko - szukając ducha Srebrnego Meteora.

Przypomniał mi się młody Tillman McFarland, który wysiadł z pociągu zaopatrzonej jedynie w pudełko z narzędziami i nadzieją. Pomyślałem też o tym wszystkim, co zapoczątkował. Nie chodziło mi jednak o dźwięk opon na żwirze czy odgłos lotu kaczek frunących nad głową z prędkością czterdziestu mil na godzinę, dźwięk pociągu w oddali

lub zagubiony głos mojego ojca. Chodziło raczej o dźwięk głosu Tommie. Nie było wątpliwości, że była piękna, a nawet zniewalająco piękna. Każdy, kto to stwierdzi, będzie miał rację, ale jeszcze piękniejszy był jej śmiech.

Rozdział 10

Ze szpitala zniknął strażnik, choć krzesło pozostało. Przed drzwiami do pokoju chłopca stał pielęgniarz, wypełniając leżącą na blacie wózka kartę pełną zaordynowanych leków. Były tam też porzucane gazety otwarte na stronach sportowych. Spojrzałem na jedną z nich: - Smoltz był miotaczem wczoraj wieczorem?

- Jakiś nowy. Oddał zaledwie dwa uderzenia. Chipper trzy razy dobiegł do bazy domowej w szóstej rundzie. Bravesi wygrali pięcioma punktami - zreferował mi pielęgniarz.

- Jest kandydatem do Cooperstown³³. Pokiwał głową.

- Coś mi mówiło, że to będzie dobry dzień.

Wszedłem do pokoju chłopca, ale był pusty, a łóżko zaścielone. Rozejrzałem się za jakimś śladem wskazującym, że wciąż tam jest, i zwróciłem się do pielęgniarza.

- Gdzie jest chłopiec?

- Został wypisany.

Nic dziwnego, że Sketch dzwonił do mnie.

- Gdzie go zabrali?

- Tego nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- Zostawił coś?

- Proszę zapytać o to lekarza.

³³ Cooperstown - miasteczko w stanie Nowy Jork znane z rozgrywek młodzieżowych baseballu i z muzeum tego sportu (National Baseball Hall of Fame and Museum).

- Dzięki.

Podszedłem do stanowiska pielęgniarek i zagadnąłem kobietę, która chyba mnie poznawała.

- Ten chłopiec, z tamtego pokoju... gdzie go zabrano?

- Dziś rano lekarz odesłał go do domu. Wskazała długopisem windę na końcu korytarza.

- Do domu? Czyli gdzie dokładnie?

- Pan jest jego krewnym? Zaprzeczyłem.

- Nie, jestem z prasy. Próbujemy ustalić... Podniosła rękę do góry.

- Nie mogę panu pomóc.

- Dziękuję.

Z parteru zadzwoniłem do Mandy Parker.

- Mandy, mówi Chase Walker.

- Wiedziałam, że zadzwonisz. Jesteś w szpitalu?

- Tak, a gdzie dzieciak?

- W domu dla chłopców należącym do Glynn County.

- Proszę, nie mów takich rzeczy. Kiedy?

- Dziś wcześniej rano. Ciężko westchnąłem.

- Dzięki, będziemy w kontakcie.

Przez pierwsze sześć lat życia mieszkałem w różnych rodzinach zastępczych i domach dziecka. Wydawać by się mogło, że ktoś bardzo się starał, by jak najczęściej mnie przenosić z domu do domu. Gdy tylko zagrzałem miejsce, zaraz przyjeżdżał samochód i zabierał mnie gdzieś indziej. Nie zrozumcie mnie źle, domy dziecka są potrzebne, ale przypominają nieco czyściec. Po co przedłużać cierpienie, zamiast zakończyć je raz na zawsze?

Całe życie dziecka, jakim ja byłem, jest poświęcone dwóm sprzecznym celom. Z jednej strony zdajesz sobie sprawę, że

cię porzucono, odrzucono, wyrzucono na ulicę. W przeciwnym razie byłbyś z rodzicami. Z drugiej jednak strony masz nadzieję, że rodzice się opamiętają, zmieniają zdanie, w każdej chwili mogą więc przyjść i zapukać. Z tego powodu śpisz bardzo czujnie, jakby z jednym okiem zawsze otwartym. Bo gdy przyjdą, chcesz, żeby wiedzieli, że byłeś na warcie, że czekałeś, że miałeś nadzieję. Problem polega na tym, że w wieku sześciu lat powieki same zaczynają opadać.

Wszedłem do domu dla chłopców i wpisałem się do rejestru odwiedzających.

- Przyszedłem zobaczyć się z chłopcem, który został przywieziony dziś rano z Regionalnego Centrum Medycznego Stanu Georgia. Nadano mu imię John Doe.

Pani sprawdziła w czymś, co wyglądało jak książka meldunkowa, i wskazała na korytarz za sobą.

- Drugi korytarz na prawo, trzecie drzwi na lewo.

- Dziękuję.

Drzwi były podrapane, mocne światło migotało po drugiej stronie. Zapukałem delikatnie i popchnąłem drzwi. Pokój był mały, przypominał rozmiarami łazienkę. Może kiedyś był popielaty, ale z biegiem czasu kolor stał się bardziej zielonkawy. Nie było książek, telewizora, radia ani okna. Jedynym kolorowym akcentem był plakat z instrukcją na wypadek pożaru. Wstrzymałem oddech, by zatrzymać powracające wspomnienia, których raczej nie chciałem przywoływać. Otrząsałem się. Sketch siedział przy małym biurku obok łóżka. Jedyna lampka z jedną żarówką, skierowana na jego notes, dawała zielonkawę światło. Był ubrany w dzinsy, za duży podkoszulek i japonki. Gdy wszedłem, obejrzał się w moim kierunku, ale na jego twarzy nie odmalował się żaden wyraz.

- Cześć, Sketch! - Usiadłem na łóżku i rozejrzałem się po pokoju. - Wygląda na to, że przenieśli cię w inne miejsce.

Rozejrzał się, jakby to, co oczywiste, było oczywiste także dla niego.
-Jak się czujesz?

W tym momencie przez korytarz przeszedł dozorca, wioząc na wózku kilka kontenerów z pustymi butelkami po wodzie mineralnej. Gdy Sketch to zobaczył, zsunął się ze swojego krzeselka i wyszedł na korytarz. Poszedł za dozorcą, a jego małe japonki klapały, uderzając go w pięty. Skreślił w lewo w kierunku toalety, gdzie wszedł mężczyzna, zostawiając wózek na korytarzu. Gdy dozorca zniknął w środku, chłopiec ukląkł przy pustych butelkach.

Dzięki opiece sióstr i antybiotykom plecy na tyle mu się wygoiły, że nic już nie przeciekało przez koszulkę. Miał też dobrze dopasowane okulary. Pochylił się, czytając etykietę i pokazując palcem. Rozstawiłem dłonie, jakbym opowiadał historię o złowionej rybie, a następnie przysunąłem je do siebie.

- Duże czy małe słowo?

Potrząsnął głową, jakby nie miał czasu na głupoty, i znów wskazał na butelkę. Przyjrzałam jej się, ale nic mnie nie zastanowiło. Pokazałem palcem w górę, w powietrze.

- Pierwsze słowo, pierwsza litera, od czego zacząć?

Przewrócił oczami i otworzył szkiełko. W dwie sekundy naszkicował zarys i pokazał mi go. Wyglądało to jak butelka wody sodowej. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem dwie ćwierćdolarówki.

- Masz ochotę na wodę?

Znów potrząsnął głową, wskazał ołówkiem na kartkę, jakby chciał powiedzieć: „Skup się!”. Podsunął mi kartkę i tym razem zobaczyłem ciężarówkę, taką z rolowanymi bocznymi drzwiami, którą wozi się skrzynki z wodą. Tym razem to ja kiwnąłem na boki głową, że nie rozumiem. Chłopiec spojrzał w stronę drzwi łazienki. Nie widząc mężczyzny, wyjął

jedną z butelek z niebieskiego kontenera i pokazał mi, zmuszając, bym dokładniej się przyjrzał. Powoli ją obracał, pokazując nazwę firmy produkującej butelki wytłoczoną w szkłe. Przeczytałem ją głośno.

- Jesup Brothers Bottlers.

Spojrzałem na chłopca, a on patrzył na mnie. Przeczytałem ponownie.

-Jesup Brothers Bottlers?

Pokiwał głową. Trzymając butelkę, zapytałem:

- Czy to ma coś wspólnego z tobą?

Chłopiec wskazał na butelkę i otworzył notatnik na rysunku mężczyzny, który kiedyś zrobił, tego od pasa w górę. Dodałem dwa do dwóch.

- Czy Bo jeździ takimi ciężarówkami?

Pokiwał głową, odwrócił stronę i pokazał tę, na której ręka trzymała obcęgi. Jeszcze raz podniosłem butelkę.

- Tymi właśnie ciężarówkami Bo jeździ.

Spojrzał przez ramię, szybko kiwnął głową i jeszcze szybciej podreptał przez korytarz do swojego pokoju.

- Bingo!

Poszedłem za nim do pokoju, gdzie próbował wdrapać się na łóżko. Prawa stopa ześlizgiwała mu się z materaca i jedyne, co mu się udawało, to ściąganie w dół prześcieradła. Uklęknąłem i podłożyłem zaplecione dłonie tak, jak to się robi, pomagając komuś wsiąść na konia. Zawahał się. Wskazałem mu na ręce.

- No dalej, mam w tym trochę doświadczenia. Wstawił stopę w moje dłonie, jakby to była paszcza lwa.

Pomogłem mu się podnieść. Pomogłem mu też ułożyć poduszki i wskazując na drzwi, zapytałem:

- Masz ochotę na wodę sodową? Potrząsnął głową.

- Jesteś pewien?

Potaknął.

- Ja stawiam. Potaknął.

- Cole?

Potrząsnął głową, po czym napisał coś na kartce. Pokazał mi to. MOUNTAIN DEW. Uśmiechnąłem się, stwierdzając, że mamy podobne upodobania. Kupiłem kilka butelek wody Mountain Dew i ciasteczka Moon Pies. Usiadł na łóżku i jadł ostrożnie, nie roniąc ani okruszka. Ja siadłem na krzeselku koło biurka, rozsypując okruchy po całej podłodze. Gdy skończyłem, ruszyłem w stronę drzwi. Kiedy to zrobiłem, przestał na chwilę jeść i wpatrywał się we mnie, a jego wzrok mówił więcej, niż wyraziłby uśmiech.

- Idę teraz porozmawiać z administratorem, a potem muszę iść do pracy. Dasz sobie radę?

W zasadzie powinienem to wiedzieć lepiej niż on. Wypił ostatnie krople wody i cichutko odstawił butelkę na stolik obok łóżka. Gdy to zrobił, uderzyło mnie ogromne podobieństwo między nami i tą butelką. Próbowałem się uśmiechnąć.

- Przyjdę jutro i może przyniosę szachy, to zagramy. Chłopiec zadrzał.

- Nie lubisz tej gry? A karty? Moglibyśmy zagrać w wojnę albo w dwadzieścia jeden.

Odwrócił czystą stronę. Ręce przez chwilę poruszały się po kartce, a potem podniósł ją, by mi pokazać, jak ustawić szachy w porządku.

- Grasz w szachy? Kiwnięcie głową.

- Jesteś w tym dobry? Kiwnięcie głową.

- Ale ja nie za bardzo gram.

Pomyślał przez chwilę, a następnie oba kąciki ust mu się lekko poruszyły. Resztę wyczytałem z jego twarzy.

- Dobra, jutro szachujemy.

Odwróciłem się, chcąc wyjść, ale on zaczął stukać ołówkiem w butelkę. Kiedy znów na niego spojrzałem, trzymał w górze swój notes. Przeczytałem napis, CHASE.

- Do jutra.

Gdy to powiedziałem, podniósł prawą rękę, przesunął do góry okulary, aż spoczęły mu na nosie, a następnie uniósł prawy kącik ust, co sprawiło, że podniosły się jeszcze wyżej. Wyszedłem na korytarz, klapiąc japonkami. Echo tego dźwięku przywiodło mi na myśl wizerunek Sketcha, jego pokój i całe to miejsce. Rozejrzałem się za biurem administratora. Cała sprawa zmieniła się ze złej w jeszcze gorszą. Zrobiłem coś, czego nie robi się takiemu dziecku: dałem mu fałszywą nadzieję. Zobaczyłem to w jego twarzy. Fałszywa nadzieja jest jeszcze gorsza niż brak nadziei.

Mandy Parker podniosła słuchawkę, ale wyglądało na to, że jest bardzo zajęta.

- Mandy... tu Chase Walker. Mam informację, która może pomóc naszemu chłopcu. Masz chwilę?

- Tak. Tylko zostawię dokumenty w sądzie i możemy się spotkać w Starbucks za piętnaście minut. Potrzebuję kofeiny.

Przyjechałem wcześniej, zamówiłem dwie podwójne małe latte i nie musiałem czekać nawet dwóch minut, zanim przyszła. Miała na sobie szary kostium w paski, taki ze spódnicą i wysokimi obcasami w komplecie, białą bluzkę i rajstopy. Gdy wstałem, by zaproponować jej miejsce, musiałem spojrzeć w górę. Była o cal wyższa ode mnie.

- Byłaś dziś w sądzie?

- Tak, kilka dziwnych przesłuchań. Opowiedziałem jej o mojej wizycie w domu dla chłopców i jak bawiłem się w zgadywanek z butelką wody sodo-

wej w roli głównej, zanim zrozumiałem, co Sketch chciał mi powiedzieć. Piła powoli kawę i starała się czytać z mojej twarzy.

- Co zamierzasz zrobić?

- Pomyślałem, że pojedę do Jesup Brothers Bottlers i zapytam, czy ktoś zna Bo.

- Nie potrzebujesz towarzystwa?

Rozdział 11

Przenoszono mnie z domu do domu, aż w końcu wylądowałem w Augustacie w domu dla chłopców, którego ściany obstawione były piętrowymi łózkami, śmierdziało brudnymi skarpetkami i stało tam wiele par takich samych butów. Pamiętam, jak budziłem się, czując zapach świeżo skoszonej trawy i słysząc dźwięk kosiarki. Przez okno obserwowałem mężczyzn w zielonych uniformach i żółtych słuchawkach na uszach jeżdżących czerwonymi maszynami do koszenia trawy. Jednakże pomiędzy nimi a mną było bardzo wysokie ogrodzenie z siatki. Niemal dwa razy dziennie wyobrażałem sobie, że pokonuję to ośmiostopowe ogrodzenie i jadę do domu na jednej z tych maszyn. Napotykałem przy tym jednak dwa problemy. Jeden z chłopców powiedział mi, że jestem jeszcze za niski, by je uruchomić, ale odparłem, że jeśli tylko udałoby mi się wydostać za ogrodzenie, to coś wymyślę. Drugi problem był jednak trudniejszy do przeskoczenia.

We wtorek rano pewien człowiek w dżinsach wypisał mnie i zabrał do domu. Przyglądałem mu się i myślałem, że to tylko następny przystanek w mojej wędrówce, która nazywała się życiem. Ten człowiek był inny niż ci, którzy kręcili się w okolicy. Był wysoki i szczupły. Miał brudne buty, a dżinsy wypłowiałe i wystrzępione na brzegach. Okulary przeciwsłoneczne wyglądały jak te, które noszą gracze baseballu - z podnoszonymi szklami. Miał na sobie starą baseballówkę, a ręce spracowane, z odciskami. Na palcu lewej ręki nosił złotą obrączkę, spod koszuli wyjętej ze spodni

wystawał biały podkoszulek, a włosy były ostrzyżone bardzo krótko, zwłaszcza na szyi i z boków, tak że prześwitywała skóra, zaś pośrodku były nieco dłuższe. W odróżnieniu od innych mężczyzn, którzy zawsze mówili mi, co mam robić, ten był milczący, ale chętnie słuchał mnie. Gdy po raz pierwszy uściskał mi rękę, pomyślałem, że pachnie jak koń. Poszliśmy do jego ciężarówki, a on zapytał, czy jestem głodny. Przytaknąłem.

- Lubisz bary Krystal? Wzruszyłem ramionami.

- Dobrze. - Włączył migacz i zjechał z podjazdu. - Spróbujemy w Krystal, a jak ci się nie spodoba, to poszukamy czegoś innego.

Spojrzałem w tylne lusterko, zobaczyłem chmurę białego dymu i poczułem zapach, jak się później dowiedziałem, palonego oleju. Zwrócił się do mnie, podnosząc okulary.

- Tak będzie dobrze?

W ciągu bardzo krótkiego czasu zrobił coś, czego nikt wcześniej nie robił. Aż dwa razy zapytał mnie, czego bym chciał, i czekał na moją odpowiedź. Zjedliśmy „kieszonki” w Krystal, a potem zatrzymaliśmy się w przydrożnym sklepie na gotowy deser. Zostawił włączony silnik w ciężarówce i wrócił po kilku minutach, niosąc dwie brązowe butelki i dwie okrągłe rzeczy, które wyglądały jak krążki hokejowe owinięte w plastik. Odkręcił jedną z butelek i podał mi ją.

- To jest yoo-hoo. - Otworzył swoją butelkę i dodał: -Coś jak mleko czekoladowe, tylko lepsze.

Potem odwinął swój krążek i włożył go do buzi, a nie mogąc nic powiedzieć, pokazał mi gestem, żebym zrobił to samo. Pociągnąłem za opakowanie i kawałki tego, co było w środku, rozsypały się we wszystkie strony. Chcąc je złapać, wylałem swój napój. Patrzyłem zeszywniały na rozsypane kawałki i plamy z czekolady na siedzeniu, czekając na

uderzenie. I że zawróci. Widziałem to już wcześniej. Jakaś para zabrała małą dziewczynkę.

Przyprowadzili ją z powrotem, zanim jeszcze wsiedli do samochodu. Ale on tylko ugryzł następną kęs i powiedział:

- To ciastko nazywa się Moon Pie - zakrztusił się. - Zupełnie nie wiem dlaczego. - W chwili gdy delektował się swoim kawałkiem, patrzył przez przednią szybę. — Chyba dlatego, że jak zjesz ich zbyt dużo, to zrobisz się okrągły jak księżyc w pełni.

Jechaliśmy trzy albo cztery godziny, aż skręciliśmy do Brunswicku w stanie Georgia. Gdy wjechaliśmy do miasta, zapytał:

- Chcesz się przejechać, zobaczyć miasto? Przytaknąłem.

- Nie chce ci się pić? Przytaknąłem i zwiesiłem głowę.

- Chcesz siusiu? Zaprzeczyłem kilka razy.

-Jak się wysiusiasz, to będzie ci się chciało pić?

Uśmiechnąłem się i spojrzałem na plastikowe opakowanie na podłodze. Czekał na mnie przy stajni, gdy robiłem swoje, a potem kupiliśmy jeszcze dwa yoo-hoo i dwa moon pies. Weszliśmy z powrotem do samochodu i z pełnymi ustami zrobiliśmy sobie przejażdżkę po mieście, które od tamtej pory stało się moim domem. Przejechaliśmy koło domu pogrzebowego, gdzie chyba właśnie odbywała się ceremonia, bo zsunął czapkę z głowy. Potem było kino.

- To kino Fox, prowadzone przez dwóch braci: Ruperta i Ronalda. Ronald jest księgowym, a Rupert zajmuje się biletami. Ronald jest dość ostry, za to Rupert ma trochę nierówno pod sufitem.

Spojrzałem na niego z wyrazem zaniepokojenia na twarzy.

- No... bo... koń go kopnął w głowę, gdy był jeszcze dzieckiem.
Pokręcił palcem w okolicy ucha.

- Coś się pokręciło z jego myśleniem. Jest silny jak wół i jest najpogodniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałem. Jadąc dalej ulicą, minęliśmy dom z białym napisem SMITH AND SMITH. Wciągnął czapkę głębiej na czoło i trochę w nią postukał.

- Adwokaci. - Wychylił się przez okno i splunął. - Bracia Smith zmarli kilka lat temu. Teraz to miejsce przejęli brzuchaci buddyści, jednak siedzą tam sami, bo nie mają za wielu wyznawców. - Wskazał na okno, w którym widać było mężczyznę w białej szacie rozpartego na krześle, ze stopami na biurku i telefonem przyciśniętym do ucha. - Uhu, właśnie obdarza kogoś kilkoma pochlebstwami i mnóstwo obiecuje.

Przejechaliśmy dalej, a on jeszcze głębiej naciągnął czapkę na głowę.

- Pewnie rozmawiał z moim bratem. Spojrzałem na niego.

- O, tak! Mam brata. Ma na imię Jack i jest o rok starszy, nie przyznaje się do mnie, ale wciąż łączą nas więzy krwi. - Zaśmiał się. - On myśli, że słońce wstaje tylko po to, żeby go zobaczyć.

Machnął ręką przed przednią szybą. - Niestety większość mieszkańców tego miasta podziela jego opinię. Wskazał ręką wielki, wyglądający jak zamek budynek po lewej stronie.

- Jest właścicielem tego banku. - Pokazał mi wielki biały kościół po prawej. - Ludzie jednak mówią, że jest bardziej godny pożałowania niż najbiedniejszy żebrak.

Mówił do siebie i do mnie jednocześnie.

- Kiedyś pracowałem w tym banku i... chodziłem do tego kościoła. Dziwne, jak się w życiu układa. - Musiałem wyglądać na coraz bardziej zaskoczonego, bo spojrzał na mnie

i znowu pokiwał głową. - Brat nauczył mnie paru rzeczy. Pierwsza, to że nikt nie staje się nędzarzem w ciągu jednej nocy. Druga...

Zamilkł na chwilę i opuścił szkła okularów.

- Druga jest taka, żeby nie chować urazy. Trzeba wybaczać swoim wrogom. To bardzo im maści w głowach.

Potem głośno się zaśmiał i poklepał siedzenie.

- Może jest jeszcze coś. - Śmiał się z łatwością, głębokim śmiechem, który wiele o nim mówił. Uderzył się w piersi. - Nigdy nie oceniam ludzi po ich rodzinie. - Chcesz zobaczyć, gdzie mieszka? - Spojrzał na mnie.

Wzruszyłem ramionami i skręciliśmy na wschód wzdłuż alei nerkowców. Wtedy po raz pierwszy poczułem zapach bagna. Przejechaliśmy przez bramę z ochroną: gdy pomachał do strażnika, brama została otwarta i przejechaliśmy dalej. Postukał w szybę od środka.

- Mam taką naklejkę na szybie, która pozwala mi tu wjechać, kiedy chcę. Łatwiej mi dostać się do koni, których właściciele tu mieszkają. Prawda jest jednak taka, że jestem tu tak mile widziany jak skunks na garden party.

Jechaliśmy przez rozległe tereny sportowe i po prawej stronie usłyszałem dziwny dźwięk. Po przejechaniu jakiejś mili dotarliśmy do wielkiego domu zbudowanego na wzniesieniu i zwróconego ku wschodowi. Wskazał na budowlę.

- On tu mieszka z tą kobietą, z którą się ożenił i która... cóż, spotkaliśmy się, ale nie zostaliśmy sobie jeszcze przedstawieni. - Potrząsnął głową. - Mówią, że nie potrafi utrzymać języka za zębami i że konsumują kolację, zanim zmówią modlitwę dziękczynną.

Tym mnie zaskoczył.

- Tak, tak, wprowadziła się do jego domu i zaraz byli małżeństwem, ale założę się, że jest druga, ale nie ostatnia.

Kiwnąłem głową. Zawróciliśmy, pojechaliśmy na południe, w kierunku bramy. Dźwięk, który teraz dochodził z le-

wej strony, nie dawał mi spokoju, ale nie mogłem go zlokalizować. On to zauważył, przyjrzał mi się i powiedział po minucie: -Och!

Zwolnił, skręcił w lewo w ślepią uliczkę i zaparkował tuż przed rosnącą tam wysoką trawą, wyższą niż nasza ciężarówka. Weszliśmy na wzgórze, przedzierając się przez trawę, i gdy rozejrzałem się stamtąd, świat wydał mi się o wiele większy. To właśnie zrobił dla mnie wujek na samym początku, pokazał mi, że świat jest większy. Stałem na brzegu, mając ocean u stóp, i wsłuchiwałem się w odgłos fal uderzających o brzeg. W końcu usiadł, zdjął buty i skarpetki, dziurawe na pięcie i na palcu, i podał mi rękę.

- Nie przekonasz się, jak to jest, dopóki tam nie wejdiesz.

Poprowadził mnie piaszczystą wydumą w dół ku wodzie. Stałem w niej po kolana, a fale obijały mi się o nogi. Nigdy nie zapomnę tej siły. Niemal nie mogłem oddychać. Wujek też wszedł do wody, a potem posunął się jeszcze dalej. Nachylił się i nabrał jej trochę na dłoń, i wciągnął do ust. Kosztował przez chwilę, a potem wypluł długim strumieniem z dala od nas.

- No dalej, zrób to samo. To nie boli. Ale raczej nie pij. Spróbuj tylko odrobinę.

Zrobiłem tak jak on. Woda była słonawa, z piaskiem i bąbelkami powietrza. Wyplułem ją tak, jakbym ją chciał rozpylić niż pozbyć się jej jednym strumieniem. Zaśmiał się.

- Mnie też nie smakuje, ale czasem trzeba sobie ten smak przypomnieć.

Staliśmy w wodzie prawie po pas, spodnie nam się zmoczyły, ale nie przejmowaliśmy się tym. Wpatrywaliśmy się w intensywny błękit. Wujek wskazał na ogromne czarne chmury, które poruszały się od lewej do prawej strony bar-

dzo wysoko na niebie, razem z małymi chmurkami przypominającymi psy i koty. Błyskawica rozdarła niebo. Wujek pokiwał głową.

- Zaraz będzie tu prało zabami.

Grzmot rozległ się tuż nad naszymi głowami, ale on się nie bał. Tylko ja zadrzałem i skrzyżowałem ramiona, wpatrując się w piasek.

- Och, tym się nie przejmuj, to tylko Pan Bóg przestawia meble.

Uśmiechnąłem się.

- A poza tym - mówił przed siebie jakby do kogoś innego - gdy raz było się już martwym, nic nie wydaje się straszne.

Pobiegliśmy przez wodę na piasek i wracaliśmy przez trawę, w momencie gdy pierwsze krople wielkości piłki pingpongowej zaczęły dosięgać ziemi. Wujek jedną ręką złapał buty, a drugą przytrzymał mnie i ześlizgnęliśmy się po wydmie. Gdy dotarliśmy do ciężarówki, zdjął kapelusz i podniósł głowę do góry, jakby chciał w otwarte szeroko usta złapać nieco kropel. A one spadały mu na twarz i na język. Potrząsnął głową i otworzył drzwi auta od mojej strony.

- Darmowa woda, nigdy jej nie przegap. Siedzieliśmy w ciężarówce, próbując się osuszyć, a deszcz

łał jak z cebra. To była największa ulewa, jaką widziałem. Wycieraczki nie dawały rady. Przez przednią szybę z trudem mogliśmy dostrzec przód ciężarówki. Uśmiechnął się i zbliżył do okna. Musiał mówić, przekrzykując łoskot kropli uderzających o dach.

- Leje jak wół do karety.

Błyskawica rozcięła powietrze w pobliżu ciężarówki i zawtórował jej odgłos grzmotu.

Podskoczyłem i złapałem klamkę u drzwi, aż kostki zrobiły się białe. Wujek spojrzał przez szybę na spodnią stronę chmur i wyszeptał:

- Człowiek się czuje, jakby miał zaraz popuścić w gacie. Nie całkiem wiedziałem, co miał na myśli, ale ton jego

głosu i śmiech, który później nastąpił, wystarczył, bym usłyszał to, co potrzebowałem. Kilka minut później, tak nagle, jak się zaczął, deszcz ustał. Wyszło słońce i błyskawicznie osuszyło ulice. Przejechaliśmy przez wartki strumień, tereny sportowe, bramę wjazdową i dalej drogą przez groblę. Dwadzieścia minut później zjechaliśmy z szosy na coś, co stało się drogą wjazdową mojego życia. Była to szutrowa droga wysadzana orzechami pekan obrośniętymi hiszpańskim mchem, a wśród nich buszowały wiewiórki. Trawa ryżowa, zielona jak owoc awokado, tworzyła piękny dywan błyszczący wilgocią i rozciągała się od domu aż do drogi szybkiego ruchu. Naliczyłem sześć wielkich ptaków z ogonami we wszystkich kolorach tęczy, usadowionych na rozłożystych gałęziach.

- To pawie cioci Lorny. - Pokiwał głową. - Robią taki jazgot jak pokój pełen bab.

Tuż za rzędem drzew rozciągało się pastwisko, a na nim widać było krowy o rogach tak wielkich jak podłokietniki fotela. Zwolniliśmy na podjeździe, omijając dziury. Wujek zatrzymał na chwilę samochód, wysiadł i schylił się po coś. Idąc w moim kierunku, rozłupał to swymi wielkimi rękami i podał mi kawałek. Był to pierwszy pekan, który widziałem, wyjęty prosto z łupiny. Do tej pory byłem pewien, że pochodzą w woreczków foliowych. Był słodki. Wysiadłem z samochodu i zobaczyłem biały, dwupiętrowy dom z werandą okalającą go ze wszystkich stron i wystarczająco szeroką, by mógł spać tam pies.

Wysoka, szczupła kobieta wyszła, by przywitać nas w drzwiach. Miała długie, czarne, proste, wyszczotkowane włosy, które spadały aż do bioder. Uklękła, wytarła ręce i pocałowała mnie w policzek. Pamiętam to, bo miała miękkie i blade usta, co kontrastowało z czarnymi włosami.

- Cześć! - spojrzała na mężczyznę w dzinsach. - Jestem Lorna.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do kuchni. Stół zarzucony był kuponami i odcinkami z loterii. Podała mi talerz, zaprowadziła tam, gdzie stał gliniany garnek, i wzięła do ręki chochelkę. Podniosłem talerz, a ona napełniła go kawałkami bekonu, ziemniakami, groszkiem i grzankami. Gdy usiedliśmy, wskazując swoim widelcem na mój talerz, powiedziała:

- Nie wiedziałam, co lubisz, więc zapytałam Liama, a on powiedział, że może będzie ci smakowało to samo co jemu. Postukała w swój talerz.

- To znaczy to.

Niepewny, przeniósłem swój wzrok z niej na niego.

- Co do niego... to nazywam go Liam. Wszyscy inni nazywają go Willee.

Uśmiechnął się, ale na twarzy miał wyraz bólu, a oczy mu zwilgotniały. Wyciągnął ręce przez stół i chwycił jej dłonie. Żadne z nich się nie odezwało, tylko schylili głowy. Kilka razy próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Ręce mu drżały, kapnęło kilka łez, wstrząsnęły się ramiona. W końcu powiedział „Amen”. Wyjął z kieszeni spodni chusteczkę i wytarł oczy, po czym złożył ją i włożył z powrotem do kieszeni. Po raz pierwszy zobaczyłem, jak płacze dorosły mężczyzna.

Po obiedzie Lorna postawiła mały taboret przy zlewie i pomagałem jej wycierać naczynia. Później pozwoliła mi usiąść na werandzie, a sama szukała czegoś w głębi lodówki. Potem wujek wyszedł z trzema pojemnikami budyniu czekoladowego Jell-O. Zdjął przykrywki i podał każdemu z nas kubeczek. Błyskawicznie zjedliśmy budyń, choć wujek jeszcze zdążył mi pokazać, jak przepuścić go przez zęby, żeby zrobiły się brązowe i wyglądały jak zepsute.

- Liam, to obrzydliwe, nie ucz go tego - prosiła Lorna.

Zaśmiał się tym swoim głębokim śmiechem, odrzucił głowę do tyłu i zaczął wylizywać wnętrze kubka. To było naprawdę zabawne.

Gdy nadeszła pora snu, zaprowadzili mnie do pokoju na piętrze, którego okna wychodziły na front domu, po przeciwnej stronie korytarza niż ich pokój. Stało tam małe łóżko i komoda. Na suficie wisiał wielki wentylator i można było zobaczyć wewnętrzną stronę cienkiego dachu. Nie chciałem jeszcze iść do łóżka, ale mnie do niego położyli, zgasili światło i zostawili na wpół otwarte drzwi. Musiał rozmawiać o mnie z kimś w moim ostatnim domu. My, znajdy, nie sypiamy za wiele. W ciągu dnia jakoś jest, ale w nocy przychodzą wszystkie te myśli i wspomnienia. Usłyszałem trzaśnięcie frontowych drzwi. Wspiąłem się i wyjrzałem przez okno. W świetle księżyca wujek przypiął zraszacz węża ogrodowego, włączył wodę i skierował strumień w róg domu, który zajmowałem. Woda trysnęła wysoko i zaczęła bębnić o dach. Trzy minuty później już spałem. Dziesięć godzin później obudziłem się z głębokiego snu.

Rozdział 125

Resztę popołudnia spędziłem w swoim redakcyjnym pokoju, patrząc na schody budynku sądu, z telefonem przyklejonym do ucha, wykorzystując własne źródła informacji. W krótkim czasie miałem dość materiału na jedną kolumnę tekstu. Red wybałuszył oczy, zrobił trzy poprawki, kiwnął głową i powiedział:

- Wracaj do pracy. W przyszłym tygodniu chcę mieć drugą część.

Następnego ranka, zanim jeszcze się rozjaśniło, wymknąłem się z mieszkania, pozostawiając śpiącą Tommye, do głównego budynku, do kuchni, w której siedzieli już wujek i ciocia Lorna, pijąc kawę. Wujek był ubrany do pracy, a ciocia jeszcze w pantoflach i szlafroku. Książeczka czekowa leżała otwarta, ciocia lizała znaczek, a wujek kruszył cynamonową bułkę na gazetę. Włożył resztę bułki do ust, odwrócił gazetę o sto osiemdziesiąt stopni, podsunął mi i uniósł brwi.

NIEMY JOHN DOE, CUD I ZAGADKA

Cztery dni temu miejscowa policja znalazła na poboczu drogi szybkiego ruchu, dziewięćdziesiątki dziewiątki, na skrzyżowaniu z linią kolejową Thalmann chłopca, którego nazwano w kartotekach John Doe #117. Chłopiec nie miał na sobie nic oprócz pary dżinsowych szortów, był kompletnie zdezorientowany, a na jego ciele widać było ślady po ukąszeniach mrówek.

Kilka godzin wcześniej straż pożarna została wezwana do wypadku: zielony Chevrolet impala z 1972 roku zderzył się z pociągiem. Auto zostało zmiażdżone i spłonęło. Władze nie

traktują tego wypadku jak samobójstwa, ponieważ nie znaleziono listu pożegnalnego. Chłopca zauważono następnego ranka, stojącego na środku drogi. Wygląda na to, że został wypchnięty z samochodu na kilka sekund przed tym, nim samochód wjechał pod pociąg. Lekarze uważają, że ma osiem do dziesięciu lat. - Na ciele ma wiele znaków, co pozwoliłoby go zidentyfikować - twierdzi jeden z lekarzy. - Najbardziej charakterystyczną cechą chłopca jest to, że nie mówi. By jednak móc się porozumiewać z otoczeniem, wykorzystuje notes i z niezwykłą starannością, szybko i z detalami rysuje obrazki. Jedna z pielęgniarek twierdzi, że chłopiec ma wyjątkowy talent i potrafi rysować jak Da Vinci.

Szeryf współpracujący z prokuratorem okręgowym ustalił, że kobieta kierująca samochodem nie była matką chłopca, i nadal pracuje nad ustaleniem jej tożsamości. Mandy Parker z biura prokuratora nie znalazła nic na temat tego dziecka w rejestrze krajowym. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia. To wiele nam o nim mówi, skoro minął już tydzień od znalezienia go. Wydział do spraw dzieci i rodzin wraz z biurem prokuratora wydały już prośbę o jak najszybsze umieszczenie chłopca w rodzinie zastępczej.

Blizny, ślady po przypalaniu papierosami oraz ślady innych zranień pokrywają całe jego ciało i świadczą, że był obiektem molestowania. Przeżycia owe prawdopodobnie wywołały taką traumę, że chłopiec nie pamięta, jak się nazywa, skąd jest ani nic, co mogłoby pomóc władzom w ustaleniu jego ostatniego miejsca pobytu lub znalezieniu rodziny. Pytany o imię, chłopiec pisze w notesie SNOOT.

Badania wykazały urazy w okolicy krtani, pozwalające przypuszczać, że fakt niemówienia nie jest jego wyborem. Lekarz dodaje: - To determinuje jego zdolność do mówienia czy pełnego wyzdrowienia w przyszłości. Miejscowy przedstawiciel prawa, chcący zachować anonimowość, powiedział: — Ktoś potwornie znęcał się nad tym dzieckiem, i to niejednym razem. Działo się to regularnie przez dłuższy okres. Współczuję temu głupcowi, jeśli go dopadniemy, ponieważ w więzieniu nie są łaskawi dla tych, co molestują dzieci.

Na dole strony Red napisał notatkę edytorską, w której obiecuje, że gazeta będzie kontynuować ten wątek i następna część artykułu ukaże się w przyszłym tygodniu.

Rozdział 128

Droga szybkiego ruchu numer dwadzieścia pięć łamane przez trzysta czterdzieści jeden omija północną część Brunswicku przez Sterling i prowadzi prosto do Jesup - to około pół godziny jazdy. Zwykle na tej trasie nie ma zbyt wielkiego natężenia ruchu, jeśli nie liczyć pędzących w obie strony ciężarówek.

Gdy wujek Jack uzyskał pełną kontrolę nad Żuta i bankiem, wybudował na północnym krańcu posiadłości dom, jeśli to w ogóle można nazwać domem. Nigdy w nim nie byłem, ale mówiono mi, że jest tam dziesięć lub piętnaście sypialni i wystarczająco dużo miejsca, by pomieścić niewielkie plemię afrykańskie. Chociaż nie jeździ na koniach, posiada ich około piętnastu. Wybudował im stajnię, wspaniałą zwłaszcza dla zwycięzcy potrójnej korony. Co kuriozalne -stajnia ma klimatyzację.

Zredukowałem bieg na światłach w Sterling, złapałem zielone i znów jechałem sześćdziesiąt mil na godzinę, czego Mandy nie miała mi za złe. Jedyny problem przy samochodzie z otwartym dachem jest taki, że przy tej prędkości nie da się rozmawiać. Jechaliśmy więc w milczeniu, a wiatr mierzwił nam włosy. Wkrótce mijaliśmy Żuta po lewej stronie. Po dwunastu miesiącach nieustannej wycinki miejsce to wyglądało, jakby ktoś zrzucił tu napalm. Po lewej zobaczyliśmy monstrum, które wujek Jack kiedyś nazwał domem. Stało w odległości pół mili od drogi. Było otoczone jedynie spalonymi pniami i wyglądało jak żałosny, opuszczony gro-

bowiec. Mandy zauważyła, że to dziwne, iż ktoś, mając piękny dom otoczony wspaniałymi drzewami, potem je wycina. Pokiwałem głową, ale nic nie powiedziałem, bo powiedzenie całej prawdy zajęłoby zbyt wiele czasu.

Jesup Brothers Bottlers było niewielką hurtownią na obrzeżach miasta, otoczoną siatką i drutem kolczastym. Wzdłuż ogrodzenia stało kilka brudnych i zaniedbanych ciężarówek, a za nimi nijaki budynek butelkowni. Dawno temu nad drzwiami biura wisiał wielki napis z nazwą firmy, ale teraz pozostał jedynie SUP BOTTLERS. Na bramie zaś wisiała tabliczka głosząca: CO TAM PIES. STRZEŻ SIĘ

WŁAŚCICIELA.

Brama była co prawda zamknięta, ale łańcuch zwisał luźno. Lekko trąciłem ją przodem Vicky i otworzyła się. Zaparkowałem tuż przed drzwiami biura i zapukałem, ale nikt się nie odezwał. Obszedłem zakład, kierując się w stronę jedynych otwartych drzwi, i zagwizdałem. Nikt się nie pojawił. W końcu zatrąbiłem dwa razy i stanąłem obok Vicky.

Mandy spojrzała na mnie, zastanawiając się.

- Może nie ma tu nikogo. Rozejrzałem się i odrzekłem:

- Wątpię.

Jakieś dwie minuty później zarośnięty siwy facet, mający około pięćdziesiątki, ale wyglądający, jakby miał siedemdziesiąt lat, wyszedł z zaułka na pełne słońce. Wycierał zatłuszczone ręce w pomarańczową szmatę i mrużył oczy z powodu ostrego światła. Miał na sobie niebieskie spodnie i jaśniejszą od nich koszulkę z wprasowanym nazwiskiem. Był bardzo podobny do człowieka, którego narysował Sketch, ale każdy mechanik w stroju służbowym tak mógł wyglądać.

Przeczytałem jego wizytówkę i odezwałem się, machając do niego.

- Witam, panie Ruskin.

- Ruskin to moje imię, na nazwisko mam Skinner. Mama wołała mnie Rusky, a dzieci już mnie nie wołają. - Dalej wycierał ręce.

- Ja nie mam dzieci, mamy nigdy nie miałem, a przyjaciele wołają na mnie Chase. - Wyciągnąłem rękę w jego kierunku.

Ujął moją dłoń, potrząsając nią. Kiedyś musiał mieć silne ręce, ale teraz skóra straciła sprężystość i delikatność, a na dłoniach pojawiły się odciski.

- W czym mogę pomóc?

Przyszło mi do głowy, żeby skłamać, ale jednak zdecydowałem postawić na uczciwość.

- Panie Skinner, szukam faceta, który kiedyś tu pracował. Wszystko, co o nim wiem, to to, że miał na imię Bo i że być może mieszkał w przyczepie.

Przymknął jedno oko. -Jesteście z policji? -Nie.

- Przedstawiciele władzy?

- Też nie.

-To szkoda. Lepiej gdybyście byli.Ten facet jest mi winien masę forsy. Jeśli w ogóle mówimy o tym samym koleśiu.

- Gdzieś takiego wzrostu? - Podniósł rękę na wysokość moich oczu.

- Tego nie wiem, widziałem tylko jego portret. - Wzruszyłem ramionami.

- Miał masę tatuaży na plecach.

- Tego też nie wiem, nie widziałem go.

- Nie wiesz zbyt wiele, chłopcze, co?

- No fakt. Chcę zrobić komuś przysługę i szukam jakiegoś tropu. - Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się.

- No to kim właściwie jesteś? - Wskazał na mnie. -Jestem dziennikarzem i pracuję dla „Brunswick Daily”.

- Piszesz historię o Bo? Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Nie, ale mógł znać pewnego dzieciaka, którego ostatnio poznałem. Ruskin potaknął.

- Nie widziałem tego dzieciaka, ale Bo o nim opowiadał, jeśli oczywiście to ten sam dzieciak.

Pochylił się nad pięciogalonową beczką, wytarł z niej kurz i usiadł, opierając się o ścianę budynku, gdzie było trochę cienia. Przerzucił ścierkę przez ramię i spojrzał na bramę.

- Mieszkała z nim ta kobieta. Oboje pili. Nic dobrego dla żadnego z nich z tego nie wynikło. Pracował tu tylko przez krótki czas. Może z rok. Nie można było na nim polegać, rzadko przychodził na czas, ale - wyciągnął obie ręce - potrafił wszystko naprawić. Był wszechwiedzący, jeśli chodzi o silniki czy coś mechanicznego.

- Wie pan, gdzie on może być teraz?

- No jasne - pokiwał głową i zamilkł na chwilę - w więzieniu.

To mnie nie zdziwiło i szczerze mówiąc, nawet ucieszyło.

- A wie pan w którym?

- Zdaje się, że na Florydzie, ale trochę czasu już minęło. Odwróciłem się i zrobiłem kilka kroków w kierunku

Vicky, a potem znów zawróciłem.

- Wie pan może, gdzie on mieszkał? Pokiwał głową.

- Jasne! - Wskazał szutrową drogę za budynkiem. - Jakaś milę stąd w tamtym kierunku. Nie można tego nie zauważyć. Tylko to tam stoi.

- To jego ziemia?

- Nie, ale właściciel pozwolił mu tu zostać. - Podniósł ręce i zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. - Dla bezpieczeństwa.

- Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym się tam rozejrzał?

- Niech pan jedzie.

Pojechaliśmy z Mandy szutrową drogą, aż ukazała się pojedyncza biała przyczepa. Rósł tam trujący bluszcz oplatający poręcze, a dzikie wino kudzu obrastało dach. Na podwórku stał grill na węgiel zrobiony z beczki, razem z trzema różowymi flamingami, rowerek dziecięcy bez tylnej opony, tylna część samochodu bez kół. Trawa wyrosła na stopę, wszędzie porozrzucane były puszki po piwie Coors Light, jak muszelki na plaży. Na betonowych bloczkach w cieniu rozłożystego dębu stały trzy samochody. W każdym brakowało chociaż jednej opony, w większości okien lub drzwi. W przyczepie okna albo były wybite, albo przestrelone, a drzwi wisiały na jednym zawiasie. Mandy zauważyła, jak cały drzę, i powiedziała:

- Niedobrze. Wyobrażasz sobie, że jesteś dzieckiem i tutaj mieszkasz?

Mówiła to półgłosem, jakby wypowiedzenie tego głośno bolało jeszcze mocniej.

- Nie bardzo.

Popchnąłem drzwi wejściowe i wszedłem do środka. Skrzypienie zawiasu wypłoszyło kilka kotów. Uciekły w ośmiu różnych kierunkach, a we mnie uderzył zapach. Wyglądało na to, że niechętnie wychodziły na zewnątrz. Wnętrze przyczepy podzielone było na sypialnię, łazienkę, salon i kuchnię, wszędzie panował półmrok. Inaczej niż na zewnątrz, tutaj nie było śladów dziecka ani śladów, że tu kiedykolwiek mieszkało. Mandy weszła za mną, trzymając się za nos, z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Stałem w saloniku, gdzie jeden z kotów patrzył na mnie wzrokiem mówiącym „weź mnie do domu”.

- Gotowa?

Potaknęła. Stojąc w drzwiach, jeszcze raz przebiegłem przyczepę wzrokiem. Zacząłem mówić zarazem do Mandy i do siebie.

- Gdybyś była dzieckiem, które tu mieszkało, i gdyby mówiono ci, żebyś niczego nie ruszała, a ty chciałabyś wszystko narysować, to gdzie byś się schowała, żeby rysować przez nikogo niezauważona?

Rozejrzała się po pokoju.

- Dobre pytanie.

Rozeszliśmy się, próbując myśleć jak dziecko, które nie chce dostać batów. Nie zabrało mi to zbyt wiele czasu. Wciśnięty w kąt stał stolik na pięciu nogach, a na podłodze obok - lampka. *Dlaczego na podłodze?* Wróciłem do Vicky po latarkę i wszedłem z powrotem do przyczepy. Uklęknałem i oświetliłem spód stołu. Jedna rzecz natychmiast mi się z tym skojarzyła: kaplica Sykstyńska. Spód stołu był czymś w rodzaju kolażu myśli i rzeczy widzianych przez chłopca. Od mężczyzny, który rzuca puszką w kobietę, po kota łapiącego mysz - było tam wszystko.

Gdy wjechaliśmy z powrotem na drogę trzysta czterdzieści jeden, poczuliśmy świeże i pachnące powietrze. Żadne z nas przez chwilę nie powiedziało ani słowa. Minęliśmy Mt. Pleasant i pojechaliśmy, pozostawiając za sobą światła w Everett i tory kolejowe, w kierunku północnego krańca Żuta. Dwie mile dalej przejeżdżaliśmy obok północnej bramy przy drodze głównej. Była otwarta, co było niezwykle, ale gdy się weźmie pod uwagę liczbę opuszczających to miejsce załadowanych ciężarówek, to może nie aż takie dziwne.

- Spieszysz się? - zapytałem.

- Nie muszę już dziś wracać do sądu. A dlaczego pytasz?

Zawróciłem i przejechałem przez główną bramę, na której wielgaśnymi czerwonymi literami napisano ZAKAZ WJAZDU. DO INTRUZÓW STRZELAMY BEZ OSTRZEŻENIA.

Mandy wskazała znak.

- Widziałeś to, prawda? Kiwnąłem głową.

- Ojciec mojego wujka kupił tę posiadłość jakieś siedemdziesiąt lat temu. - Zatoczyłem ręką ponad deską rozdzielczą. - Wujek i jego brat Jack odziedziczyli to wszystko: od tych ciężarówek aż po ziemię na południe od Thalmann, na wschód od Sterling i na zachód od Everett.

Mandy podliczała.

- To szmat ziemi.

- Dwadzieścia sześć tysięcy akrów.

- Czyją są teraz własnością?

- Jacka.

Myślała przez chwilę.

- To musi być niezła historia.

Potaknąłem. Pomyślałem o utracie Żuta, a co więcej -

o utracie Sanktuarium na rzecz Jacka. Przerazało mnie to. Nie mogłem się z tym pogodzić, nigdy nie mogłem. Jack chciał pozbawić wartości całą ziemię, pozbawić ją jej piękna i pozostawić odartą ze wszystkiego, jak każdą rzecz, którą posiadał, a na którą nie zasługiwał. Potem sprzedałby ziemię deweloperom, oni zaś postawiliby tu kondominia, zaprojektowali pola golfowe lub wielkie wille. Gdy w moich rozważaniach dochodzę do tego momentu i wściekłość miesza mi rozum w głowie, a uczucia w sercu, przypominam sobie, że życie nie jest fair i że nikt mi nigdy nie obiecywał, że będzie. Ta myśl mi jednak pomaga i sprawa robi się prosta. Nienawidzę wujka Jacka za to, co chce zrobić mojemu wujkowi - chce go pozbawić czegoś, co jest dla niego najdroższe, i jedyne, co mu pozostało.

Są przecież rzeczy będące świętością. Bez względu na to, ile się ma pieniędzy.

Przejechaliśmy pod linią wysokiego napięcia ciągnącą się od wybrzeża do centralnej części stanu Georgia, a przecinającą północny kraniec posiadłości. Główna droga też prowadzi przez jej środek, rozcinając ją jakby na dwie części, pominawszy część w kierunku zachodnim, gdzie trzeba zakręcić, by ominąć Buffalo. Vicky trzęsła się, jadąc do domu po wyboistej drodze. Całą drogę opowiadałem Mandy o tym, co się tu zdarzyło. Najpierw o tym, jak Ellsworth zaryzykował swymi ciężko zapracowanymi pieniędzmi i jak udało mu się potem osuszyć to miejsce, a potem jak wycinał drzewa, by sprzedawać je od Ameryki aż po Orient. Wyczytałem z jej twarzy, że historia jej się podoba. Adwokaci zawsze lubili sięgać do przeszłości i wsadzać stopę w drzwi. Mniej więcej w środku posiadłości droga skręcała w prawo, na zachód, i zaczynała okrążyć Buffalo. Po lewej stronie mogliśmy zobaczyć wierzchołki drzew wystające ponad okalające je sosny. Po mili droga znów zakręcała w lewo, przecinając Buffalo i pozostawiając DuBignon Hammock po naszej prawej stronie.

Gdy Ellsworth osuszył posiadłość, musiał wybudować drogę, która nie przeszkadzałaby przepływającej wodzie. Most byłby zbyt dużym wydatkiem, a zapora nie miała sensu przy tym przedsięwzięciu. Wsiadł więc na konia i drapiąc się po głowie, zadał sobie pytanie: Co byłoby dostatecznie mocne, aby można po tym jeździć, a jednocześnie pozwałałoby wodzie płynąć? Znalezienie odpowiedzi zabrało mu kilka dni, ale w Żuta pomysły bez trudu przychodziły mu do głowy. Jedna z linii kolejowych porzuciła trzy wagony towarowe na nieużywanych bocznych torach na zachodnich obrzeżach Żuta. Na odcinku dwóch mil położona została platforma, tak by pociągi, jeśli jadą zgodnie z planem, mogły się minąć. Gdy zaprzestano używania platformy, zaczęła

służyć jako miejsce, gdzie składano stare wagony. Trzy z nich stały tam na tyle długo, że zaczęły już rdzewieć. Ellsworth „pożyczył” je, zatopił jeden obok drugiego we wcześniej nieco pogłębionym bagnie, wyciągnął z nich drzwi i połączył je za pomocą zespawanych prętów. Na wierzchu przykrył wagony drzwiami, zamykając ostatecznie odstęp pomiędzy nimi. Potem zasypał wszystko żwirem, tak by przejeżdżając drogą, nie można było zobaczyć wagonów kolejowych. W sumie było to bardzo pomysłowe. Przez siedemdziesiąt lat woda płynęła dołem, a konie, powozy i samochody przejeżdżały górą.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie były zatopione wagony, i patrzyliśmy na Buffalo, które cicho się nad nami zamykało. Wysokie cyprysy wyrastały wprost z wody na obu brzegach, a pod nimi rosły fioletowe irysy, które teraz zaczynały kwitnąć. Po deszczu poziom wody się podniósł i w okolicy mostu widać było ryby. Zjechaliśmy na Arnette Field, w kierunku chatki terpentynowej, gdzie spało się w czasie zbierania żywicy. Poniżej znajdował się teren na pikniki, a po drugiej stronie Gibson Island przecięta kanałem, potem pastwisko na tyłach domu i stodoła. Krowy rasy brahman pasły się na naszej części pastwiska, a dalej słychać było krzyki pawi cioci Lorny. Mandy, która cały czas milczała, zapytała w końcu:

- Czy to paw?

- Tak, ciocia Lorna uważa, że są piękne.

- Zawsze myślałam, że żyją jedynie w zoo. Podjechałem tam, gdzie było mniej drzew i dzięki temu

lepiej widoczny był dom.

- Witam w zoo McFarlandów.

- Muszę wiedzieć, że to w porządku, iż tu jesteśmy. Nie czuję się na siłach, żeby mnie ktoś zastrzelił.

Zaśmiałem się.

-Tutaj mieszkają wujek i ciocia Lorna.

Wskazałem stodołę, gdzie w oknie świeciło się światło, klimatyzator pracował, a krople wody kapały na dachówki pod nim.

- To jest mój drugi dom. Tutaj mieszkam, gdy nie czuję się na siłach, by wracać do siebie na łódkę albo po prostu się wałęsać.

Dwieście jardów od drogi Bob, nasz indyk, wkroczył dumnie na środek trawnika, rozłożył ogon i obchodził pawia, pusząc się przed nim. Na zakończenie wskoczył na ogrodzenie i zagulgotał. Mandy patrzyła z zachwytem, a potem zatoczyła ręką, pokazując cały obszar.

- Żyrafy i słonie też tutaj macie?

- Jeszcze nie, ale wspomnę o tym wujkowi.

Słońce już zachodziło i mój nos mówił mi, że ciocia Lor-na przygotowała pieczeń, a pora lunchu minęła już dawno temu.

- Jesteś głodna? - zapytałem.

- Mogłabym coś zjeść.

- Jadasz mięso?

- Tak, jak już nie żyje.

Weszliśmy do kuchni, gdzie ciocia, stojąc w fartuchu przy kuchni, robiła puree z ziemniaków. Wyszła do nas spoza blatu, wycierając ręce w fartuch, i przedstawiłem sobie obie panie.

- Ciociu, to Mandy Parker, jest prokuratorem okręgowym.

- Liam opowiadał mi o pani. - Ciocia pokiwała głową. Mandy spojrzała zakłopotana.

- Liam?

- Przepraszam - ciocia wskazała na wujka, który właśnie wchodził tylnymi drzwiami. - Willee.

Wujek wszedł, powiesił kapelusz na kołku obok tylnych drzwi, pocałował ciocię i podał rękę Mandy.

- Pani Parker, miło panią znowu widzieć! Ma pani ochotę na coś do jedzenia?

Mandy kiwnęła głową.

- O, tak, poproszę.

Nakryłem do stołu. Wujek się umył i uczesał. Mniej więcej w chwili gdy siadaliśmy, tylnymi drzwiami weszła Tommye. Była wykąpana, miała na sobie dzinsy i tenisówki. Wyglądała, jakby się gdzieś wybierała. Pomachała nam ręką.

- Cześć wszystkim.

Wujek wstał i pocałował ją w policzek.

- Cześć, kochanie. - Poglądził ją po policzku i usiadł z powrotem.

- Tommye - powiedziałem - to jest Mandy Parker. Tommye wyciągnęła rękę.

- Tommye McFarland.

Ciocia Lorna wstała, by dostawić jeszcze jeden talerz.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodna. Wpadłam tylko, żeby zapytać... - zauważyła ciasto cytrynowe na paterze stojącej na kredensie - ... ale z przyjemnością zjem kawałek tego.

Podniosła szklaną pokrywę i ukroiła cieniutki kawałek ciasta. -Au!

Tommye skaleczyła się w palec i krew kapnęła na blat kredensu. Chwyciłem ręcznik papierowy i sięgałem, by wytrzeć krew, ale Tommye złapała moją rękę, wzięła ręcznik, po czym owinęła sobie nim palec, czekając, aż przestanie krwawić. Sięgnąłem więc do szuflady po plaster i odkleiłem jeden z lepkich końców, gdy ręka Tommye wysunęła się po niego, by mnie wyręczyć. Uśmiechnęła się i próbowała coś mi powiedzieć pomimo konwersacji przy stole.

- Naprawdę sobie poradzę.

- Spadaj! Ja też potrafię założyć plaster na palec. - Ofuknąłem ją.

Uśmiechnęła się i schowała krwawiącą rękę za siebie. -Jedź kolację.
Mandy odezwała się z drugiego końca stołu:

- Tommye, czy dorastaliście razem z Chaseem? Zajęta swoim palcem dziewczyna potaknęła.

- Tak, był ze mną na balu maturalnym - zaśmiała się. - Był żaloszny. Nie potrafił zaprosić dziewczyny, choćby nie wiem jak się starał.

Mandy się roześmiała, a ja rzuciłem w Tommye moją serwetką.

- Ty nawet nie potrafisz zakleić sobie palca.

- Mieszkasz w pobliżu? - znów zapytała Mandy. Tommye skończyła już wycierać blat kredensu i usiadła przy stole ze swoim kawałkiem ciasta.

- Tak jakby, przez pewien czas mieszkam nad stodołą. Jestem w domu tylko przejazdem.

Mandy myślała, że rozmowa sama się rozwinie, ale ja wiedziałem, o co jej chodzi.

- Pracujesz gdzieś niedaleko?

Tommye otworzyła już usta, ale jej przerwałem.

- Jest aktorką.

Oczy Mandy zrobiły się okrągłe.

- Nie żartuj.

Tommye pokiwała głową.

-Tak, ale...

Znów się wtrąciłem.

- Ostatnie dziesięć lat spędziła w Los Angeles, a teraz wpadła na zasłużone wakacje.

- Grałaś w czymś, co mogłam widzieć? Tommye pokręciła głową.

- Wątpię, na początku kariery nakręciłam kilka reklam, niektóre z bielizną, ale przez osiem lat pracowałam, kręcąc filmy dla dorosłych.

Głowa Mandy lekko się obracała, w czasie gdy słowa „filmy dla dorosłych” zapadały w jej pamięć.

- Ach tak.

- Gdy byłam małą, wujek Willee i ciocia Lorna wzięli mnie do siebie i dali mi pokój - rozejrzała się dookoła.

- Więc gdy postanowiłam wrócić do domu, tu właśnie zawiodło mnie serce.

Wujek się uśmiechnął i pokiwał głową. Mandy popatrzyła na niego.

- Zrobił to pan dla wielu dzieciaków.

Wujek przesunął ziemniaki na drugi koniec talerza i spojrzał w górę.

- Wiele lat temu straciłem syna. Został porwany i... zabito go. W więzieniu miałem masę czasu na przemyślenia dotyczące chłopca, który na pewno był przerażony i pragnął, by tata go uratował - oczy wujka zwilgotniały - więc gdy wyszedłem na wolność, zdecydowałem, my zdecydowaliśmy, że otworzymy nasz dom dla dzieci, bez względu na ich pochodzenie i stan, w jakim są. Przeczytaliśmy o nim artykuł

- wskazał na mnie. - O tym, że dorasta w zapomnieniu, i od tej pory nie możemy się go pozbyć, mimo że dokładamy wszelkich starań.

- Dzięki, możesz teraz sam pozmywać — odgryzłem się. Tommye zastukała w stół.

- Hej, mogę pożyczyć Vicky na godzinę?

- Jasfte.

Powiedziała wszystkim dobranoc i wyszliśmy w ciemność, która tymczasem zapadła, a księżyc zastąpił słońce. Wyjąłem z samochodu skórzaną teczkę Mandy i zabrałem mój notes z tylnego siedzenia. Tommye objęła mnie ramieniem i wyszeptała prosto do ucha:

-Jest bardzo ładna.

Odwróciłem się do niej.

- To prokurator okręgowy. Została wyznaczona do sprawy tego dziecka, o którym ja piszę. W torebce prawdopodobnie ma broń.

-Jest ładna.

- Ma trudny zawód, więc bądź dla niej miła - potrząsnąłem głową i wskazałem na teczkę.

Pokiwała głową, robiąc jedną ręką to swoje „kucyk, gumka, przełożenie włosów”, a potem powoli zjechała podjazdem na utwardzoną drogę. Gdy tylne światła znikły mi z oczu, wróciłem powoli do kuchni. Mandy stała przy zlewie w fartuchu zawiązanym w pasie, ręce miała zanurzone w pianie. Wujek siedział przy stole, popijając kawę. Spojrzał na mnie, a potem na Mandy.

- Wiesz, Chase, ona może wrócić w każdej chwili. Mandy opłukała talerz i położyła go na suszarce.

- Jeśli sędzia Thaxton wyda pozytywną opinię, może to być nawet jutro po południu.

Wujek pożyczył mi Sally, bym odwiózł Mandy do domu. Usiadła na przednim siedzeniu i powiedziała:

- Zawsze uważałam, że moja pierwsza przejażdżka takim autem będzie też moją ostatnią.

- Cóż - skręciłem prosto na drzewo, otarłem się o trawę, a potem znów wróciłem na drogę - jeszcze nie wiesz, jak prowadzę.

- Czy on naprawdę tym jeździ? -Tak... takie ma poczucie humoru.

- A dokładniej?

- Chodzi o jego przeszłość. Już dawno temu przestał dbać o to, co świat o nim może pomyśleć.

Rozdział 14

Dwie przecznice od Main Street w kierunku doków, gdzie cumują łodzie do połowu krewetek i gdzie stołują się mewy, jest stary sklep Kilroya z militariami, prowadzony raczej z myślą o turystach. Wygląda trochę jak sklep, a trochę jak muzeum i przypomina sztab dowództwa z drugiej wojny światowej. Jest tam terenówka Willys Jeep³⁴ i czołg Sherman, krótkofalówki, a z sufitu zwisa siatka maskująca gęsto pokryta liśćmi. Sprzedają wszystko - od ciężkiego sprzętu po detale z tamtego okresu, jak kamizelki kuloodporne, puste łuski po nabojach oraz wełniane ubrania niemieckie, aż po kompletną zbroję dla rycerza i konia. Można też dostać miniaturki do kolekcji. To, co chciałem kupić, stało na wystawie, więc wstąpiłem, kupiłem i pojechałem prosto do Sketcha.

Gdy tam dotarłem, nie było go w pokoju. Usłyszałem, jak chłopcy, głośno hałasując, grają w piłkę, położyłem więc pakunek na łóżku i poszedłem przez drzwi wahadłowe na podwórko. Dozorca zobaczył mnie i powiedział:

- Ori tutaj nie jest - oparł się na mopie i wskazał na stołówkę. - On... ten chłopiec, co nie mówi... niezbyt towarzyski.

Pomachałem do niego i podziękowałem. Zabrałem pakunek i poszedłem do stołówki. Sketch siedział sam przy stole. Wciąż miał na głowie czapkę od wujka Willee ego - ukła-

³⁴ Willys Jeep to samochód osobowo-terenowy konstrukcji amerykańskiej z okresu II wojny światowej.

dał puzzle. To były puzzle z pięcioma tysiącami elementów, z których każdy był nie większy niż ćwierćdolarówka. Postawiłem pakunek na stole i usiadłem naprzeciwko niego, a gdy na mnie spojrzał, uśmiechnąłem się. Przyglądał się i pakunkowi, i mnie.

- No dalej, otwórz to.

Położył fragmencik puzzla, który trzymał w ręce, i nadal przyglądał się pakunkowi. Wsunął palec pod taśmę klejącą i powoli odwinął papier. Gdy zdjął również folię bąbelkową, ukazało się pudełko. Chłopiec spojrzał na mnie, potem na pudełko i znów na mnie. Odpiął zapięcie zabezpieczające pokrywę, a potem powoli ją podniósł. Oczy zrobiły mu się okrągłe, gdy ujrzał blask bijący od ołowianych figurek. Powoli wyciągał każdą z nich i przypatrywał się detalom. Najpierw było coś, co wyglądało jak wieża zamku, potem coś na kształt końskiej głowy, a potem dwie następne figury, król i królowa. Zamknął pudełko, wziął ręcznik papierowy znad umywalki i wytarł starannie każdą figurkę. Następnie ustawił figurki na szachownicy i spojrzał na mnie.

Wzruszyłem ramionami. - Nigdy w to nie grałem... nigdy.

Unióś jedną brew, sięgnął do szachownicy i przesunął jedną z figurek w moją stronę. Gdy to zrobił, wsunął stopę pod pośladki, dzięki czemu znalazł się trochę wyżej, a potem sięgnął na moją stronę szachownicy, by przesunąć jeden z moich pionków do siebie. Gdy już to zrobił, spojrzał na mnie i znów na szachownicę. Spróbowałem się wciągnąć, wykonując swoje ruchy, ale rezultat był taki, że przegrałem w ciągu trzech minut. Gdy jego wieża pokonała mojego króla, postawił go przed sobą i unióś brwi dwa razy do góry. Spojrzałem na jego połowę stołu udekorowaną moimi pionkami i powiedziałem:

-Jesteś dobrym nauczycielem.

Otworzył szybko swój notatnik i napisał coś, nawet nie patrząc na kartkę, a potem przesunął papier w moim kierunku. JESTEŚ BEZNADZIEJNY.

Zaśmiałem się.

- Dziękuję.

W stołówce było cicho. Zauważyłem kobiety krzątające się po kuchni, ale właściwie byliśmy sami. Dzieciak lubił rywalizację - lubił wygrywać, ale dobrze czuł się w moim towarzystwie. Gdy pokonał mego króla po raz piąty, zapytałem:

- Jak twoje plecy?

Na stole przede mną leżało kilka figurek, które zbiłem. Wziął jedną z nich, postawił przede mną i skrzyżował ramiona. Nauczyłem się już, że chociaż jego usta nie wypowiadały słów, potrafił się świetnie porozumieć. Aby dowiedzieć się, co ma do powiedzenia, trzeba się było nauczyć go słuchać.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

Wzruszył ramionami. Rozejrzałem się wokoło.

- Podoba ci się tutaj?

Spojrzał na mnie, jakbym spadł z księżyca.

- No dobrze, niewłaściwe pytanie - przerwałem na chwilę, ważąc słowa. - Chciałbyś opuścić to miejsce i pójść do rodziny zastępczej?

Znow pisał, nie patrząc, ale pomagając sobie lewą ręką.

TO ZALEŻY.

- Od'czego?

Napisał, patrząc przez ramię: OD TEGO, KTO JEST TĄ RODZINĄ. Dzieciak był bystry.

- Pamiętasz mojego wujka Willeeego? Wskazał na czapkę.

- A gdyby to wujek Willee zabrał cię do siebie do domu, zanim odkryją, gdzie mieszkasz, i poszukają twojej prawdziwej rodziny?

Wskazał na mnie. Kiwnąłem głową i odpowiedziałem:

- Ja już tam nie mieszkam, ale często się pojawiaam. Myślę, że zamieszkałbyś w moim dawnym pokoju.

Spojrzał na szachy i wskazał na nie.

- Są twoje, gdziekolwiek pójdziesz, zabierzesz je z sobą. Znow wytarł każdą figurę i ułożył je w przypisanych im

miejscach w pudełku, zamknął pokrywę i zarówno pudełko, jak i swój notes wpakował pod pachę, jakby to była sarta książek. Gdy tak siedzieliśmy, czekając, który z nas się pierwszy odezwie, jedynym dźwiękiem było stukanie jego butów o podłogę, które brzmiało, jakby strzelał karabin maszynowy.

Rozdział 15

Usiadłem na dziobie łodzi i patrzyłem na mokradła. Łódka była kiedyś wilkiem morskim, ale po strzelaninie, kiedy omal nie zatonięła, należałoby w nią zainwestować więcej, niż miałem, żeby mogła wrócić na szerokie wody. Broń automatyczna robi więcej szkód niż bąbelki na wodzie. To nie znaczy, że nie mogła dryfować na wodach wewnętrznych i utrzymywać się na powierzchni dla jednego chłopaka, który chciał w niej spać.

Gdy załatałem już wszystkie dziury po kulach, wydałem masę pieniędzy, by uruchomić całą mechanikę. Mechanizmy działają więc bez zarzutu, ale jeśli chodzi o urodę, można by jej wiele zarzucić. Myślałem o tym, siedząc na dziobie w spodenkach kąpielowych i patrząc na zachód słońca. Właśnie jakaś nowa myśl przyszła mi do głowy, gdy usłyszałem, że ktoś od strony brzegu woła mnie po imieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem Mandy Parker stojącą nieopodal i machającą do mnie jakimiś papierami. Wstałem.

- Poczekaj chwilę, zaraz tam będę.

Podpłynąłem do brzegu, wyciągnąłem canoe na piasek porośnięty trawą i zastanawiałem się, jak Mandy mnie tu znalazła. Wyczytała to pytanie z mojej twarzy.

- Twój wujek Willee i Google Earth.

- Ach tak.

Musiała stać na palcach, bo jej wysokie obcasy zapadały się w błocie. Zaśmiała się.

- Nie żartowałeś, gdy mówiłeś, że mieszkaś na wodzie. Sędzia wyraził zgodę. Chłopiec może się jutro do nich wprowadzić.

- Powiedziałaś im to już?

- Przed chwilą skończyłam rozmawiać z nimi przez telefon. Powiedzieli, że jego pokój będzie gotowy z samego rana. - Przerwała na chwilę i uniosła brwi. - Myślałam, że może zechciałbyś pojechać ze mną po niego.

- Dobrze, pojedę. Dzięki.

Patrzyła na otaczający nas krajobraz i zauważyła, że nie mam tu żadnych sąsiadów.

- Jak ty tu żyjesz, nie odbija ci?

- Chodź, to ci pokażę. Spojrzała na moje canoe.

- Co? W tym?

- Chyba że potrafisz chodzić po wodzie.

Weszła do łódki i spojrzała na mnie surowym wzrokiem.

- Jeśli to wywrócisz i zniszczysz mój nowy kostium, to cię chyba...

- To co?

Spojrzała na wodę dookoła nas i na oddalający się brzeg, a potem złapała się burt łódki.

- To wyślę ci rachunek z pralni chemicznej. Przybiliśmy, przywiązałem canoe do łodzi, pomogłem jej wejść na pokład. Obejrzała mój dom, a potem rozciągający się dookoła krajobraz.

- No tak, to trudno byłoby przebić.

Zachodziło słońce i barwy wody właśnie się zmieniały od złotawego koloru korzennego piwa do płomiennej czerwieni poprzetykanej fioletem oraz cieniutkimi smugami czarnego i żółtego. Siedząc na dziobie, zrzuciła buty.

- Jesteś głodna?

Przeciągnęła palcem po kilku zaklejonych dziurach po kulach. Nie wyglądała na zaskoczoną.

- Możesz tutaj gotować?

- Są pewne ograniczenia, ale jeśli lubisz grillowaną rybę, to coś wymyślę...

- Może tym razem spróbuję.

Kiełbie sunęły w górę rzeki, kłębiąc się tuż pod powierzchnią wody jak mali pływacy na zawodach. Wielkie ławice, trzy lub cztery razy większe od łodzi, żerowały na kępach wodorostów, które przywiodły je na odległość rzutu od nas. Zwinąłem w ręce sieć, założyłem na jednym jej końcu ołowiany obciążnik, by lepiej się rozwinęła, a potem wyrzuciłem ją za rufę. Pozwoliłem, by zatoneła, a następnie pociągnąłem linę i wyciągnąłem sieć pełną kiełbi, każdy wielkości palca. Mandy wpatrywała się we mnie, gdy opróżniałem sieć na tyle łodzi.

- Wygląda na to, że masz wprawę.

Wpuściłem mniej więcej tuzin rybek do pływającego przy łodzi wiaderka na przynętę, a resztę wypuściłem. Wziąłem dwa drągi z haczykami, nabiłem na nie przynętę, rozlokowałem spławiki w odległości około sześciu stóp jeden od drugiego i wyrzuciłem z siecią za burtę. Drągi ustawiły się zgodnie z prądem, a spławiki tańczyły wraz z nim. W ciągu kilku sekund spławiki znikły pod wodą. Wręczyłem Mandy hak i krzyknąłem:

-Wyciągaj!

Aby uniknąć poplątania sieci, sam poszedłem na rufę, pozostawiając Mandy miejsce do wyciągania ryb z sieci. To oznaczało, że na chwilę odwróciłem się do niej plecami. Wujek robił tak ze mną tysiące razy, w ten sposób nauczyłem się łowienia. Myśląc, że jej pomagam, robiąc jej miejsce, kątem oka spostrzegłem co innego.

Chwyciła wyciągarke, pociągnęła tak, jak ja to robiłem. Wystąpiły tu jednak trzy inne okoliczności. Jej ryby były jednak cięższe niż moje, znacznie cięższe, jej naciąg był za

mocny, a rajstopy świetnie się ślizgały po dnie łodzi, więc gdy ryba pociągnęła w swoją stronę, pociągnęła też i Mandy. Nie mając oparcia pod stopami i nie chcąc wypuścić ryby, została wciągnięta przez ciężką sieć do wody. Usłyszałem chlupnięcie i pierwsze, co pomyślałem, było: *Proszę, powiedz mi, że to nie ona właśnie wypadła za burtę.* Włożyłem swoją linę do trzymaka, otworzyłem sieć, by ryby popłynęły wolno, i odszukałem Mandy, walczącą, by utrzymać się na powierzchni po przeciwnej stronie łodzi. Podpłynąłem nieco, wyciągnąłem do niej rękę i pociągnąłem ją, walcząc z prądem, do drabinki na rufie. Głębokość pod łodzią w chwilach przyływów osiągała jakieś dwanaście do czternastu stóp, ale w czasie odpływu, tak jak teraz, było najwyżej sześć. Jednak pod łodzią zgromadziło się masę ostryg i gdyby Mandy kopnęła mocniej, mogła sobie ostrymi krawędziami ich muszli rozciąć stopę na pół.

Próbując się wydostać z wody, Mandy zaplątała się w sieć. Oznaczało to, że z każdą chwilą coraz trudniej jej było się wyplątać i mogła się utopić. Gdy dosięgła drabinki, błyskawicznie się podciągnęła i stanęła na pokładzie mokra i ociekająca wodą, z przerażeniem w oczach. Posadziłem ją i owinąłem ręcznikiem, sprawdziłem też jej stopy, by się upewnić, że ich nie poprzecinała. Nie widząc krwi ani na stopach, ani na rękach, odsunąłem się trochę i czekałem, aż rzuci się na mnie ze złością.

Właśnie wtedy zaczęła się śmiać. Dopiero teraz zauważyłem, że ciągle ściska w rękach linę. Myliłem się. To nie lina ją pociągnęła, to ona mimo wszystko wyciągnęła tę rybę. Po chwili śmiała się tak szczerze, że aż się popłakała. Wręczyła mi to, co trzymała w ręce, i powiedziała:

- I niech to będzie naprawdę gruba ryba.

Miała szczęście, bo sieć była wciąż połączona z liną. Ryba, którą ścigała, była już zmęczona. Miałem ją w sieci tuż przy

burcie, wyjąłem więc na pokład i pokręciłem głową. Był to karmazyn długi na trzydzieści cali, ważący prawdopodobnie osiem lub dziewięć funtów. Może dla kogoś, kto się nie zna na łowieniu, to nie brzmi zbyt imponująco, ale dziewięćfuntowy karmazyn może walczyć jak trzydziestofuntowy pstrąg. Wyjąłem moją rybę i położyłem koło jej zdobyczy. Tymczasem Mandy zdołała odzyskać równowagę. Odgarnęła włosy z twarzy, starła rozmyty tusz z policzków.

- Moja większa - powiedziała, mierząc ryby w powietrzu - chyba ze dwa razy.

Zostawiłem ryby na później, otworzyłem właz i zaprowadziłem ją na dół.

- Tam jest prysznic, tylko trzeba wypróbować wodę, bo bywa gorąca. Tu w szafie znajdziesz ubrania, coś powinno pasować. To dobrze, że twoja ryba jest większa niż moja, inaczej bardzo źle bym się czuł - pokiwałem głową.

Wyfiletowałem ryby i zapaliłem gazowy grill. Zanim wyszła po dziesięciu minutach, zdążyłem zrobić placki z sera, pokroiłem pomidory i ryba była już prawie gotowa. Mandy wynurzyła się spod pokładu wiedziona zapachem i usiadła naprzeciwko mnie, przyglądając się, jak pracuję.

- Ty naprawdę potrafisz gotować.

Spojrzałem na bałagan, jaki zrobiłem, i wolno podałem jej talerz.

- To zasługa wujka Willee ego.

- Zdaje się, że jedna z wielu.

- Z niepokojem myślę, co by się działo, gdyby było więcej takich jak on. Świat mógłby tego nie wytrzymać.

Zobaczyła dwa kawałki ryby na grillu i zapytała:

- Który jest mój?

- Ten mniejszy. - Wskazałem widelcem.

- Niemożliwe! - Wycelowała we mnie widelec z nabitym plackiem serowym.

Zrobiłem unik i zacząłem się śmiać.

Wyciągnąłem dla niej rozkładane krzesło i usiedliśmy, trzymając gołe stopy na relingu, z talerzami na kolanach. Jedliśmy, wolno przeżuując i obserwując mewy lecące pod wiatr. Bliżej w stronę oceanu jakieś dziesięć lub dwanaście morświnów płynęło w górę rzeki, błyskając płetwami jak delfiny i polując na kielbie.

Mandy wskazała na moją prawą stopę.

- To blizna?

Pokazałem jej bliznę, która biegła od spodu stopy aż do podbicia.

- Tak... nadepnałem na szkło, gdy miałem trzy lata.

- To musiał być spory kawał szkła. - Przyglądała się uważnie sześciocalowej bliznie.

- Kiedyś chciałem się tego pozbyć, ale teraz, kiedy jestem dorosły... - zamarłem na chwilę - ...gdybym tego nie miał... mógłbym zapomnieć.

- Co zapomnieć?

- Mojego tatę. Mam tylko jedno wspomnienie z nim związane i ta blizna świadczy o tym, że jest prawdziwe, że to nie mój wymysł.

Opowiedziałem jej o tym, o czym opowiadałem innym już tysiąc razy, i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wskazała na miejsce, z którego wyrzuciłem przynętę.

- Zawsze tak łatwo tu złapać rybę?

- Nie zawsze. Teraz pod nami jest może sześć do ośmiu stóp głębokości, ale tam dno opada jak półka skalna i głębokość się zwiększa nawet do czternastu stóp w porze przyływu. Ryby tam się chowają. Są bezpieczne, bo w płytkiej wodzie zawsze coś na nie czatuje.

-Jak się tego wszystkiego nauczyłeś?

- Wszystko, co wiem o łowieniu, wiem od wujka Willee'ego. - Wzruszyłem ramionami.

- Jest w tym dobry?
- Naprawdę czasem myślę, że ten facet ma skrzela.
- Wiesz, większość facetów, z którymi pracuję, nigdy nie mówi o innych mężczyznach w ich życiu, a jeśli im się to zdarzy, to zawsze są to opinie mało pochlebne. Mam wrażenie, że bez przerwy rywalizują, próbują zniszczyć się nawzajem, wyeliminować.
- My też walczyliśmy z sobą.
- Tak, mogę to wyczuć po sposobie, w jaki o nim mówisz. Szanujesz go. Spędzasz z nim czas i to lubisz. Kiwnąłem głową.
- Gdy byłem mały, wujek miał łódkę, a właściwie całkiem spore canoe. Jakieś pięć koni mocy z tyłu. Gdy się płynęło za szybko, mogła nabrać wody. Pamiętam jedną z naszych pierwszych wypraw. Obudził mnie na długo przed wschodem słońca, wręczył mi herbatnika, nasmarował mnie kremem z filtrem przeciwsłonecznym, nabił przynętę i nauczył cierpliwości. Od tamtej pory złapaliśmy we dwóch sporo ryb.
- To chyba istota takich wypraw, że jest się razem. - Potrząsnęła głową. - W pracy jestem otoczona przez mężczyzn, którym na tym nie zależy i ich synowie ponoszą później konsekwencje.
- Przyglądałem się jej kątem oka i zastanawiałem, jak to się stało, że od skoku za burtę jak Jonasz zaszliśmy do rozważania problemów tego świata jak dr Phil³⁵. Poruszyłem widelcem.
- Zły dzień w biurze?
- W biurze prokuratora powinna być komora dekompresyjna, odstresowująca. - Spojrzała na talerz i przesunęła placek, dotykając jego brzegu.

³⁵ *Dr. Phil* to bardzo popularny w Ameryce program na żywo, podobny do *Oprah Winfreys Show*, dotyczący analizy osobowości i tego, jak postrzegają nas inni.

-Jak dostałaś sprawę tego dzieciaka?

- Zapytałam szefa, czyby mnie do niej nie przydzielił.

- Florence Nightingale?³⁶

- Nie, chodziło o to, jak wyglądał. Siedział z tyłu w karetkce, sam, bez ubrania, pokaleczony, trzął się i dygotał. Za wszelką cenę chciałam się dowiedzieć, kto mógł dziecku zrobić coś takiego. I chciałam się upewnić, że ta osoba do końca życia nie wyjdzie z za krat. - Uśmiechnęła się.

- Więc kierowałaś się chęcią zemsty?

- Nie zemsty, ale sprawiedliwości. Jest różnica. - Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nauczyli cię tego na studiach?

- Nie... na podwórku w szkole podstawowej.

- Może zechciałabyś mi o tym opowiedzieć?

- Gdzieś w czwartej klasie bawiliśmy się we wspinaczkę w dżungli. No wiesz, na drabinkach. Gdy wisiałam na rękach, a nogi spuściłam swobodnie w dół, podszedł taki byczek i ściągnął mi majtki. - Wstrząsnął nią dreszcz. - Przez resztę dnia nie myślałam o niczym innym, tylko o tym, jak go dopaść. Siedział za mną i przez kilka tygodni obserwowania go zwróciłam uwagę, że ma podobne oceny do moich.

- Miał dobre oczy? - Zaśmiałem się. Kiwnęła głową.

- Pod koniec roku mieliśmy obowiązkowe testy, które kwalifikowały do następnej klasy. Powiedziałam nauczycielce, że nie mogę przyjść w dniu testu, i poprosiłam ją, by pozwoliła mi pisać dzień wcześniej. Tak się stało. Gdy przyszedł test... cóż, musiał powtarzać czwartą klasę.

Oparłem się wygodniej.

- To mi uświadamia, że nigdy nie powinienem występować przeciwko tobie w sądzie.

³⁶ Florence Nightingale (1820-1910) - angielska pielęgniarka i działaczka społeczna.

- Oczywiście byłam wściekła, ale to było załatwione fair. Wpadł we własne sidła. - Zamilkła na chwilę, by skończyć rybę. - Teraz, gdy widzę takie dzieci, przestraszone do nieprzytomności, w karetce, przypomina mi się moje szkolne podwórko i to, jak ten byczek dostaje za swoje.

- Miejmy nadzieję. A propos byczków, jest coś o Bo?

- Chyba tak. Jeśli to ten sam facet, to już jest w więzieniu. Chcę się z nim jutro zobaczyć. - Spojrzała na mnie. - Jedziesz ze mną?

Nawet się nie zastanawiałem.

-Jasne... o ile nie powiesz wujkowi Willeemu o naszej przygodzie z łowieniem ryb. Nigdy nie przestałby mi tego wypominać.

Gdy Mandy podzieliła się ze Sketchem nowiną, że przeprowadza się do wujka Willeego, nie zrobiło to na nim wrażenia. Wiele osób ciężko pracowało nad tym, by ta przeprowadzka mogła się ziścić, i o ile go znałem, zdawał sobie z tego sprawę. Ta reakcja wiele mi o nim powiedziała. Znaczyło to, że wiele razy się przeprowadzał i za każdym razem tracił coraz bardziej nadzieję. Wiem, bo sam przez to przechodziłem.

Zanim Willee i Lorna zabrali mnie do siebie, byłem przerzucany z miejsca na miejsce. Przez pierwszą rodzinę, u której się znalazłem i otworzyłem przed nią serce, byłem bity i stawiany do kąta. Oprócz karmienia mnie i brania stanowych pieniędzy nie robili dla mnie absolutnie nic. Zrobiłem się zimny, jeśli chodzi o uczucia. Dlaczego? Bo kogoś oziębłego nie da się skrzywdzić. Bo jeśli masz masę uczucia dla każdej nowej rodziny, która cię bierze, i za każdym razem przekonujesz się, że są wobec ciebie tak samo obojętni, to szybko się uczysz, że będąc równie obojętnym, staniesz się kimś nie do zranienia. W każdym razie możesz sobie

wmówić to kłamstwo. Gdy więc siedziałem na dziobie mojej łodzi, zdałem sobie sprawę z kłamstwa Sketcha. Jego twarz była tak samo bez wyrazu jak moja. Coś mi mówiło, że już raz dobrze trafił do ludzi, którzy go chcieli, ale z jakiegoś powodu nie mogli zatrzymać. Nie wiem, o co mogło chodzić, ale mój nos mówił mi, że był już ktoś, kto go chciał.

Pamiętam swoje pierwsze lato z ciotką Lorną i wujkiem Willeem. Trzydziestego pierwszego lipca obchodziliśmy moje urodziny, z okazji których dostałem dwie rzeczy: Timex - wodoodporny zegarek na rękę, który świecił w ciemności, i obietnicę wujka, że nauczy mnie łowić ryby.

Wujek spryskał nas środkiem na komary i wyszliśmy minutę po piątej, wiem, bo sprawdziłem. Niosłem pudełko z naszym lunchem, a on taszczył wędkę i latarkę. Wyszliśmy tylnymi drzwiami, przeszliśmy przez pastwisko za domem i okrążyliśmy Żuta. O ile pamiętam, nie świecił księżyc i było tak ciemno, jak tylko może być w lesie. Weszliśmy w gęstwinę w pobliżu bagna. Pamiętam, że wtedy zapytałem:

- Czy nie powinniśmy poczekać, aż zrobi się jasno? Wujek potrząsnął głową i wszedł w bagno. Zapamiętałem

to, bo zrobił wtedy coś, czego nigdy nie zapomnę. Zamiast oświetlać drogę przed sobą, trzymał latarkę z tyłu i oświetlał ją za sobą, tak bym ja mógł coś widzieć. Szliśmy przez jakąś milę, omijając pnie cyprysów, rozstępy w bagnie i rowy odwadniające. Gdzieś tak w połowie drogi pociągnąłem go za nogawkę i spytałem:

- Wujku, czy ty widzisz?

Rozejrzał się, wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Nie muszę widzieć.

- Ale dlaczego?

Nachylił się nade mną uśmiechnięty, powierzając mi swój sekret.

- Bo wiem, gdzie idę.

Odwrócił się, żeby kontynuować marsz, ale ja znów pociągnąłem go za spodnie.

- Ale... nie boisz się?

Zatrzymał się, rozejrzał dookoła i wzruszył ramionami po raz drugi.

- Czego miałbym się bać?

- No - obejrzałem się przez ramię w ciemność - różnych rzeczy.

Przykucnął i wskazał na bagna i na nasze dwie wędkę.

- Nie ma tam nic, co mogłoby cię skrzywdzić.

- Skąd wiesz?

- Bo tutaj się wychowałem i dorastałem.

- A węże?

- No pewnie, że są tu węże, ale one bardziej boją się ciebie niż ty ich.

- A pająki?

- Są i pająki, ale są małe i łatwo je rozgnieść.

- A... a potwory?

- Takie, jakimi się straszy dzieci? Potaknąłem.

- Posłuchaj... możesz się tego równie dobrze nauczyć teraz. -

Przyciągnął mnie mocno do siebie. Jego oddech pachniał kawą, a skóra płynem przeciwko owadom. - Jedyne potwór, którego mógłbyś się obawiać, to ten, który co rano patrzy na ciebie w lustrze. Oswajasz go, zaprzyjaźniasz się z nim, a wtedy z wszystkim innym możesz sobie poradzić.

- Rozumiem.

Do momentu kiedy dotarliśmy do canoe, nabrałem przekonania, że wujek ma rentgen w oczach. Zapakowaliśmy się do łódki i powiosłowaliśmy do Buffalo. Dopłynęliśmy do Sanktuarium Ellswortha. Różowe kwiatki lagerstremii indyjskiej wpadały do wody za każdym razem, gdy wujek wyciągał wiosło. Wyciągał je z kwiatami, a gdy je zanurzał,

ześlizgiwały się na powierzchnię wody. Do wpół do jedenastej złapaliśmy prawie pięćdziesiąt ryb o nazwie bluegill³⁷ i tuzin zwanych warmouth³⁸. Nasz pojemnik na ryby był już pełny i ciągnął się za nami jak wstążka za damskim kapeluszem. Łowiliśmy do siedem po wpół do dwunastej, a potem otworzyliśmy pudełko z lunchem, w którym były kanapki z masłem orzechowym i dżemem oraz ciasteczka Oreo na deser. Przywiązaliśmy łódkę do korzenia cyprysu i pozwoliliśmy, by prąd nas omijał. Ostatnio dużo padało, więc rzeka Altamaha wezbrała i prąd był wartki. W niektórych miejscach, gdzie na dnie leżał piasek, pojawiały się zawirowania, zwłaszcza gdy cofała się woda morska. Wujek wskazał na wiry i powiedział z pełnymi ustami:

- Uważaj na nie, zawsze trzymaj głowę na powierzchni, jak pływasz. Nie są zbyt silne, ale gdy będziesz próbował wyjąć głowę, by nabrać powietrza, zabierze ci to tyle czasu, że pożałujesz, iż się tam znalazłeś.

Patrzyłem na wiry to z jednej, to z drugiej strony canoe.

- Wujku, a na jak długo potrafisz wstrzymać oddech?

- Nie wiem, może na minutę? Przyglądał się wirom.

- Jeśli kiedyś znajdziesz się w czymś takim, nie panikuj. One znikają tak szybko, jak się pojawiają. Pozwól się ponieść, najwyżej wir zostawi cię na dnie, gdzie sam zniknie, i wtedy wypłyniesz. Tak się z nimi dzieje. Mój brat Jack i ja... gdy jeszcze byliśmy inni... jeździliśmy na nich dla zabawy.

Gdy skończyliśmy jeść, wujek poprosił, żebym pokazał mu swoją wędkę. Podałem mu ją, on odciął mój spławik

³⁷ Bluegill (*Lepomis macrochirus*) - gatunek słodkowodnej ryby żyjącej w wodach Ameryki Północnej.

³⁸ Warmouth (*Chaenobryttus gulo sus*) - gatunek słodkowodnej ryby z rodziny okoniowatych.

i haczyk i zastąpił je przynętą w kształcie bąka. Uśmiechnął się i powiedział:

- W popołudniowym słońcu ryby robią się leniwe, więc musisz je czymś pobudzić. To - wskazał przynętę - jest za dobre dla nich, na pewno je zainteresuje. Nie jestem jednak pewien, czy widząc to, robią się głodne, czyje to złości i dlatego atakują z taką zaciekłością.

Miał rację, złapaliśmy na to coś rybę po trzecim rzucie. Potem pokazał mi kilka ogromnych pni.

- Widzisz je? Dawno temu, gdy mój tata wycinał drzewa w swojej posiadłości, wyciął i te, oczyścił z gałęzi i spławił rzeką do Brunswicku, a tam trafiły do tartaku. Cięli je na deski i rozwozili po całym świecie.

Opowiadał mi także o moście Brooklyńskim, jak powstał z drzew rosnących na tym bagnie.

- Co to jest most Brooklyński?

- Ach, to most w Nowym Jorku.

Zamoczyłem rękę tuż przy burcie, gdzie wir właśnie się przemieszczał.

- A gdzie płynie ta woda?

- Do Oceanu Atlantyckiego - przełknął ślinę. - Jeśli jesteś silnym mężczyzną, to możesz powiosłować stąd w każde miejsce na świecie.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Może na oceanie potrzebna byłaby większa łódka, ale mając ją, jedyną trudnością tego zadania pozostaje pokonanie własnych słabości.

- Zrobiłeś to kiedyś? - Co?

- Powiosłowałeś stąd do oceanu? Znowu spojrzał gdzieś w dal.

- Tak... wiele razy.

Znowu płynęliśmy, ale tym razem prąd pchał nas ze sporą prędkością. Wujek zaczął sterować wiosłem i skierował nas

na rozgałęziony pień leżący częściowo w wodzie. Drewno było mocno nasiąknięte wodą. Wujek przywiązał do niego linę i rzucił tak, aby pień ciągnął się za łódką. Kłoda zatoneła i ciągnęła się za nami pod wodą.

- Trochę za szybko płyniemy, szybciej, niżbym chciał - powiedział. - Kłoda spowoduje, że trochę zwolnimy - uśmiechnął się. - Tutaj jest dobre łowisko, z którego szkoda byłoby zrezygnować.

Patrzyłem na wiry, na kłodę, która podążała za nami, i nie czułem się już tak bezpiecznie jak rano. O trzeciej siedem po południu skręciliśmy, by znaleźć tę wielką zwaloną sosnę, która upadła w poprzek rzeki. Byłaby dobrym mostkiem, gdybyśmy byli na wędrówce i chcieli przepłynąć się przez rzekę. Wujek znów zaczął sterować wiosłem i powiedział:

- Chciałbym, żebyś położył się płasko na dnie i wyciągnął ręce wzdłuż siebie. Powiem ci, kiedy będziesz mógł wstać, rozumiesz?

Kiwnąłem głową i położyłem się. Niestety zostawiłem wędkę sterczącą na sztorc. Wujek przeprowadził nas pod pnem, ale haczyk z przynętą w kształcie bąka zaczepił się o gałąź i zaczął działać jak kotwica. Bez namysłu wstałem

i sięgnąłem po haczyk.

- Nie, Chase, mam go! - krzyknął wujek.

Ale było już za późno. Mój ciężar sprawił, że łódka straciła równowagę w miejscu, gdzie nurt był najszybszy, a poziom wody wysoki. Po sekundzie byliśmy w wodzie, a łódka przewróciła się do góry dnem. Prąd złapał mnie jak wielka łapa, wir wciągnął pod wodę, zaciągnął aż na dno, jak zabawkę, a potem nagle puścił i zobaczyłem rdzawy kolor wody, przez którą przebijało słońce. Sięgnąłem stóp, przekoziółkowałem i zacząłem błyskawicznie zbliżać się do powierzchni, jak Superman. Wujek miał rację, to była frajda.

Szybki nurt rzeki ciągnął mnie jednak w dół na powalone drzewa i korzenie. Wyglądało to jak żeremia, ale naprawdę było jedynie kłębowiskiem nagromadzonych przez rzekę kłód. Pnie zatrzymały się na wielkim korzeniu cyprysu, który pod wodą rozdzielał się na wiele mniejszych korzonków podobnych do macek ogromnej ośmiornicy. Niektóre korzenie były grubsze, inne cieńsze, ale wszystkie rozczapierzone i wrosnięte w dno rzeki. W tej plątaninie zatrzymały się pnie innych drzew. Prąd znosił mnie na te kłody, wciskał pomiędzy nie, a one zaczepiały się o ubranie, aż w końcu lewa noga uwięzła mi wśród korzeni. Szarpałem się, ale tylko pogarszałem sprawę. Próbowałem krzyczeć, ale woda mi nie pozwoliła. Złapałem gałąź nad głową i podciągnąłem się tak mocno, jak tylko potrafiłem, natrafiając na coś w rodzaju wodospadu pomiędzy korzeniami. Z powodu deszczu poziom wody podniósł się ponad normę dla tego miejsca i część wody przelewała się przez korzeń. Działo się to tylko wtedy, gdy przybór był tak duży. Wsadziłem głowę w miejsce, gdzie było powietrze, i złapałem wielki haust, zakrztusiłem się, dławiłem się wodą, a wartki prąd napierał na mnie. Wtedy poczułem ręce wujka na stopie. Pień napierał na moją piszczel i ból był coraz dotkliwszy. Bardziej jednak martwiłem się tym, że zaczynały mi mdleć ręce. Robiłem wszystko, by się trzymać. Odbiłem się mocno od korzenia i udało mi się wziąć oddech. Oparłem głowę na jednej ręce i wpatrywałem się w zegarek. Minęło trzydzieści sekund, a wujek odsuwał kłody, które trzymały mnie jak imadło. Po minucie ramiona zaczęły mi drżeć. Po dwóch minutach lewa stopa była bez czucia, ale wujek nie odpuszczał. Po dwóch i pół minuty puściłem gałąź i zacząłem zsuwać się powoli do wody. Po trzech, gdy wodospad zakrył mi twarz i odciął powietrze, zrezygnowałem.

Gdy się obudziłem, leżałem na brzegu obok wujka. Kaszlał i dławił się jak stary zepsuty silnik. Twarz i usta miał

sine, a oczy zaczerwienione. Łapał wielkie hausty powietrza. Spojrzałem w dół na kostkę - skóra na niej była przecięta i krwawiła, ale stopa wciąż była na miejscu. Poruszyłem palcami w bucie i położyłem się z powrotem na ziemi. Wtedy się rozplakałem. Wujek objął mnie mocno ramionami i przyciągnął do siebie. Serce mu biło tak szybko, że nie potrafię tego do niczego porównać, i wciąż z trudem łapał oddech.

- Wujku - szarpałem go i płakałem - wujku Willee... mogłeś... mogłeś umrzeć.

Chciał się zaśmiać, ale to spowodowało jeszcze silniejszy napad kaszlu.

-Wiesz... ja już raz byłem martwy, po raz drugi mi się to nie może zdarzyć.

- Ale... byłeś pod wodą przez trzy minuty.

- Naprawdę?

Pokazałem mu zegarek i potaknałem.

- Cóż - otarł ślinę postrzepionym rękawem koszuli - to w takim razie jest mój nowy rekord.

W kilku domach dla chłopców, gdzie mieszkałem, czy w rodzinach zastępczych mężczyźni byli strażnikami i opiekunami. Byli różni: wysocy i niscy, grubi i chudzi, i łamali obietnice, zanim jeszcze zdążyłem zapuścić korzenie. Po prawdzie to przychodzili i odchodzili i tyle ich obchodziłem co guma przyklejona do podeszwy buta; nigdy nie mówili wiele i nie robili wiele, aż do teraz.

- Ale... dlaczego?

Znów mnie przytulił. Jego twarz była tuż przy mojej, pogładził mnie po głowie i starł łzy z policzków ręką umazaną błotem. Próbował się uśmiechnąć, ale nierówny oddech wciąż mu na to nie pozwalał. Zakaszłał, wypluł wodę i zobaczyłem oczy złamanego, skołatanego mężczyzny. W końcu się odezwał.

- Bo nic, Chase... nic, żadna rzecz na świecie... nie jest tak ważna jak ty.

Wtedy, na brzegu rzeki, ociekając wodą, rozkoszując się słońcem, leżałem w ramionach mężczyzny, marząc, by mój tata nigdy się nie pojawił i mnie stąd nie zabrał.

Rozdział 16

Z wnętrza łodzi słyszę odległy ruch samochodów, fale uderzające o burty i wiatr trzepoczący żaglami, poza tym jest cicho. Odgłos czyichś kroków na pokładzie zerwał mnie na równe nogi. Wyskoczyłem z łóżka, zdjąłem mego remingtona osiemset siedemdziesiątkę z półki nad łóżkiem i schowałem się w maszynowni, skąd miałem dobry widok na całe wnętrze. W oknie pojawił się cień, następnie czyjaś dłoń spróbowała, czy zasuwka jest zasunięta, podniosła ją i opuściła. Długa noga wsunęła się do środka po drabinie, odciągnąłem spust i czekałem. Wkrótce pojawiła się druga noga. Buty zastukały o szczeble drabiny. W końcu ktoś zszedł na dół. Gdy wyszeptała „Chase”, nogi się pode mną ugięły i o mało się nie posikałem. Zapaliłem światło i zobaczyłem Tommye stojącą pośrodku mojej kabiny. Opuściłem lufę i zaciągnąłem zabezpieczenie.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że omal nie odstrzeliłem ci głowy?

- Cóż... taka śmierć na pewno byłaby lepsza niż alzheimer - stwierdziła, zdejmując kaptur.

- Co tu robisz?

Była opatulona w swetry, chociaż był środek lipca na Golden Isles. Prawdopodobnie jakieś siedemdziesiąt stopni w skali Fahrenheita.

- Nie jest ci za gorąco? Rozejrzała się po wnętrzu.

- Raz kręciliśmy film na takiej łodzi, ale... była trochę ładniejsza. Należała do chirurga plastycznego z Beverly Hills, wszystko tam było ze skóry i...

- Za dużo tych informacji. - Pokręciłem głową i odłożyłem broń z powrotem na półkę.

- Inne życie i cieszę się, że już tak nie żyję. - Wzruszyła ramionami.

Zdjęła z szyi sznureczek i położyła na dłoni, potem wzięła mnie pod ramię i pociągnęła, bym usiadł. Położyła swoją dłoń na mojej i sznureczek znalazł się u mnie.

- Chcę, żebyś to dla mnie przechował.

Na sznureczku wisiały dwa klucze. Popatrzyłem najpierw na klucze, a potem na nią.

- Co ty znowu kombinujesz?

Pochyliła się w moją stronę, serce biło jej szybko. Była umazana słodkim pasztecikiem i w dalszym ciągu nie przeszkadzało jej, że ma na sobie trzy warstwy ubrań.

- Nie teraz.

Chwilę oddychała z trudem, a potem powiesiła mi klucze na szyi, tak jak robią to dzieci. Klucze ułożyły się na samym środku mojej klatki piersiowej. Poklepała je i powiedziała:

- Świetnie, w samym środku twojego splotu słonecznego.

- Dziękuję.

Poderwała się i szybkim krokiem poszła po drabince na pokład. -

- No, chodź.

- Nigdzie nie idę, zanim mi nie powiesz, co to za klucze i czy nie zostałem wmieszany w jakieś przestępstwo.

- Nie teraz, ale wkrótce. - Zaśmiała się. Stała, patrząc na wschodzące słońce.

Wyszedłem do niej na pokład.

- A co mam robić do tego czasu?

Spojrzała na mnie, wzruszyła ramionami, skrzyżowała ręce i rozejrzała się, podziwiając żółte i delikatnie zielone kolory.

- Po prostu przechowaj je dla mnie, Chase... zrób to dla mnie. - Oczy jej błyszczały, w kącikach pojawiły się łzy, a głos zamienił się w szept. - Możesz to dla mnie zrobić?

Tommye zawsze miała swój czas na wszystko i swoje powody, a ja wiedziałem, że nie zmusiłbym jej do wyjawienia mi teraz niczego. Powie mi, jak będzie gotowa. Wyjęła z kieszeni ciasteczka Moon Pies, rozerwała opakowanie i zaczęła jeść, krusząc na pokład.

- *Śniadanie mistrzów* - powiedziałem z uśmiechem.

- Miałeś to na przednim siedzeniu. - Ruszyła ku brzegowi, gdzie obok Vicky stała zaparkowana Sally.

Połknęła ostatni kawałek, wcisnęła puste opakowanie do kieszeni swetra i wskoczyła do mojego kajaka, którym przyплыnęła tu od brzegu.

- Lepiej już wróć, powiedziałam mu, że nie będzie mnie tylko godzinę.

- Wpadnę dzisiaj, chociaż jeszcze nie wiem kiedy, to sprawdzę, co słychać.

Wciągnęła kajak na brzeg i znikła mi z oczu.

Przyjechałem wcześniej do redakcji, to znaczy około siódmej. Rzadko przyjeżdżam o tej porze, bo mało kiedy mam coś do zrobienia czy powiedzenia przed dziesiątą. I to nie dlatego, że nie jestem w stanie, ale Red rzadko to drukuje, więc nauczyłem się najpierw przemyśleć wszystko, a potem pisać, zwykle około południa. Załatwiłem kilka telefonów, wysłałem kilka e-maili i wszedłem na czat dla uczących się gry w szachy. Jedna z opcji pozwalała obserwować na żywo prawdziwą grę toczącą się bez przerwy. Przyglądałem się, jak jakiś Portugalczyk daje w kość Amerykaninowi, a potem

jakiś facet z Australii ledwo radził sobie z kimś z Anglii. Oba mecze przekonały mnie, że na uczelni zmarnowałem za dużo czasu na wygłupy. Nauczyłem się co prawda podstaw, takich jak to, że w szachy gra się na szachownicy osiem na osiem kwadratów, co w sumie daje sześćdziesiąt cztery pola, że gdy spojrzysz na nią z góry, to dolny lewy kwadracik jest czarny. Są dwa zestawy figur: białe i czarne, i każdy zestaw ma wieżę, skoczkę, hetmana, gońca, króla i osiem pionków. To nie warcaby, gdzie każdy pionek może poruszać się jedynie do przodu, tutaj każda z figur ma sobie tylko przypisany rodzaj ruchu. Niektóre wędrują do przodu, niektóre po przekątnej, a niektóre mogą przeskoczyć inne figury. No i w końcu, jeśli twój przeciwnik powie „szach mat”, to nie jest dobrze.

Wyłączając komputer, nie znałem wszystkich reguł, bo jest ich wiele i są skomplikowane. To, że chłopiec nie mówi, nie oznacza, że jest głupi. Sketch prawdopodobnie jest genialny. O ósmej na parkingu za budynkiem sądu spotkałem się z Mandy. Ponieważ mieliśmy przejeżdżać blisko Żuta, zostawiłem Vicky i zabraliśmy się służbowym samochodem Mandy, Toyotą Camry, do oddalonego o jakieś dziewięćdziesiąt mil więzienia stanowego w Bennersville. Gdy wjechaliśmy już na drogę szybkiego ruchu, Mandy sięgnęła do swojej teczki i wyjęła jakieś zawiniątko.

- Na obiad.

Zważyłem pakunek w ręce - był dość ciężki. Zerwałem papier; okrywał książkę pod tytułem: *Nauka łowienia dla opornych*. Mandy włączyła migacz i zjechała na sąsiedni pas.

- Pomyślałam, że może przydadzą ci się jakieś pomoce naukowe.

Odwróciłem okładkę i przeczytałem dedykację: „*Chase -nie porzucaj swojego codziennego zajęcia*”. Położyłem książkę na desce rozdzielczej.

- Dziękuję bardzo! Niedoczekanie twoje, żebym znów zabrał cię na ryby.

Więzienie stanowe Bennersville otoczone było siatką wysokości dwudziestu stóp, zwieńczoną drutem kolczastym. Na czterech rogach ustawiono cztery wieże, każda mieściła kilku uzbrojonych strażników. W tym miejscu wszystko zdawało się krzyczeć: *Nie chcesz tutaj być!*

Mandy przedstawiła przy wejściu swoje dokumenty i czekaliśmy, aż strażnik sprawdzi nas na liście odwiedzających. Wręczył nam naklejkę do umieszczenia na przedniej szybie samochodu i skierował do wielkiego ceglanego budynku po lewej stronie. Budynek miał pięć pięter, a na dachu zainstalowana była wysoka siatka - pomyślałem, że może się tam znajdować na przykład boisko do koszykówki.

Zaparkowaliśmy i weszliśmy do środka. Jeden strażnik przekazywał nas drugiemu, a tamten zabierał nas do następnego, który z kolei przeszukał teczkę Mandy, a następnie wprowadzono nas do pomieszczenia, w którym stały dwa krzesła i stolik oddzielone grubą szybą od miejsca, gdzie siedział niezbyt szczęśliwy facet. Mandy usiadła i zdjęła mikrofon wiszący na ścianie. Wskazała więźniowi, by zrobił to samo. On jednak się nie ruszył.

Mandy pierwsza odezwała się do mikrofonu:

- Czy nazywa się pan Reuben Maynard?

Facet popatrzył na Mandy, potem na mnie i znów na Mandy. Pełne odcisków ręce spoczywały na biodrach. Na pomarańczowym ubraniu, które miał na sobie, wypisano numer 74835. Gdy tak się jej przyglądał, gapiąc na jej twarz, piersi i znowu na twarz, sam się drapał. W końcu bez żadnych wyjaśnień skinął głową i powiedział: - Bo.

Jeśli onieśmiał Mandy, to nie dała tego po sobie poznać. Wyjęła zdjęcie Sketcha z teczki i oparła o szybę, żeby mógł je zobaczyć.

- Widział pan kiedyś tego chłopca?

Reuben spojrział na zdjęcie i zaprzeczył ruchem głowy. Mandy uniosła lekko brwi, sięgnęła do teczki i wyjęła kamerę. Włączyła ją, wcisnęła nagrywanie, skierowała na Reubena i oddalając mnie.

- To teraz zaczniemy od początku, zadam jeszcze raz to samo pytanie. Ten chłopiec... - Wskazała jeszcze raz zdjęcie na szybie, potem pokazała je do kamery, a zoom automatycznie dostroił ostrość. Po chwili znów przytknęła je do szyby. - Czy kiedykolwiek widział pan chłopca, który jest na zdjęciu?

- Nie. - Splunął pod stół.

- No to ciekawe, bo gdy jemu zadaliśmy to samo pytanie, powiedział nam, że mieszkał z panem w przyczepie na końcu szutrowej drogi w pobliżu Jesup Brothers Bottlers. - Mandy oparła się o krzesło.

- Ciekawe, jak wam to powiedział, skoro on nie mówi? - Zakrztusił się.

- A ja się zastanawiam, skąd pan to wie, jeśli go pan nigdy nie spotkał.

- Mandy skrzyżowała ręce.

Jedna brew Bo zmarszczyła się. Przebiegał wzrokiem od Mandy do mnie. Mandy nie dała mu czasu na odpowiedź. Sięgnęła do teczki i wyjęła z niej obcęgi, jakie można dostać w sklepach z narzędziami.

- A to pan kiedyś widział?

Bo zaczął się wiercić i oglądać niespokojnie na drzwi za sobą. Mandy nie poddawała się, trzymała zdjęcie przy szybie jedną ręką, a obcęgi drugą.

- Reuben, czy używał pan tego narzędzia, by wyrywać kawałki skóry z pleców tego chłopca?

Reuben zaczął się pocić, znowu obejrzał się za siebie na drzwi i powiedział:

- Chcę adwokata.

Mandy wrzuciła obcęgi oraz zdjęcie do teczki i wstała.

-Tak rzeczywiście byłoby dla pana najlepiej.

Sięgnęła do teczki i wyjęła z niej akta sprawy. Na naklejce napisano: WIEZIENIE STANOWE w BENNERSVILLE, REUBEN MAYNARD, NR 74835. Otworzyła teczkę i wysypała z niej dokumenty dotyczące jego sprawy.

Reuben zaczął panikować.

- Hej, wychodzę stąd za siedem miesięcy, chcę tylko to odsiedzieć i odzyskać wolność.

Zamknęła szybko akta i usiadła z powrotem na krześle, krzyżując ręce.

- O tak, odsiedzi pan swoje, i nawet więcej. Podniosła się, wzięła swoją teczkę, wsunęła krzesło pod

stolik i ruszyła w kierunku drzwi. Ja wciąż wszystko filmowałem, zastanawiając się, kiedy przestać. Reuben wyprostował się na krześle i krzyknął:

- Zaczekaj! - Jego twarde dłonie stukały o stolik. Mandy odwróciła się, uniosła brwi i czekała. Reuben otworzył obie dłonie, jakby przychodził z prośbą. - Tak, no może byłem trochę dla niego za ostry... - Spojrzał na mnie i zdał sobie sprawę, że powiedział to do kamery. Przełknął ślinę - ...ale to nie ja zabrałem go z tamtego miejsca i nie wiem, gdzie jest naszyjnik tej starszej kobiety, naprawdę.

Ja nic nie wiedziałem o żadnej biżuterii, ale bladość, jaka pojawiła się na twarzy Bo, przekonała mnie, że mówił prawdę. Mandy była doskonała.

Uwaga na przyszłość: nigdy nie grać w pokera z Mandy. Ona potrafi błefować jak najlepszy.

Mandy usiadła, położyła ręce na stole i kiwając głową, czekała. Reuben poruszył głową, przełykając ślinę, i starał się mówić dalej, ale zaschło mu w ustach. Wyglądało na to, że potrzebuje czegoś do picia. Mandy zadzwoniła na strażnika i poprosiła o szklankę wody dla Reubena. Gdy funkcyjona-

riusz postawił wodę na stoliku, mężczyzna wypił ją duszkiem, jakby ostatnie trzy dni spędził na pustyni, a potem zaczął mówić.

- Pracowałem na nocnej zmianie dla policji w hrabstwie Fulton, naprawiając dla nich samochody. Pracowałem dla glin, czy to nie ironia?

Mandy spokojnie odezwała się do mikrofonu.

- Reuben, pan zeznaje.

- I spotkałem tę dziewczynę, Sonyę. Nie była specjalna, ale była dziewczyną i... - spojrzał na mnie i Mandy -...no w każdym razie szło nam dobrze i dowiedziałem się, że pracuje w domu opieki, wiecie, w jednym z tych miejsc, co śmierdzą moczem. W każdym razie stale mówiła, co ci ludzie jej opowiadają o diamentach i szmaragdach, które nosili, gdy byli młodszy. - Wzruszył ramionami. - Byliśmy już razem od kilku miesięcy, gdy pokazała mi niektóre rzeczy. Mówiła, że to łatwe, bo oni nawet nie pamiętają, co mają, i nie szukają tego. Spodobał mi się pomysł, więc zaczęliśmy obrabiać dzielnicę i żyć na poziomie. Łatwe pieniądze, darmowy seks. Tak jak Bonnie i Clyde. Właśnie wtedy zaczęliśmy na całego obrabiać staruszków. Ona od środka, obrabiała ich z tego, co mieli oraz co pamiętali, że mieli, a ja obrabiałem domy, gdy nikogo nie było. Pewnego dnia spotkała tego chłopca, a ponieważ piła dużo i nie mogła mieć dzieci, odezwał się jej instynkt macierzyński i zaczęła mówić, że moglibyśmy być rodziną i takie tam bla, bla, bla. Cokolwiek by o niej mówić, była dziewczyną, a ja potrzebowałem dziewczyny, no to się zgodziłem. Sonya przestała pić, zaczęła się zachowywać bardzo nobliwie i ani się obejrzałem, a podpisała papiery i adoptowała to głupie dziecko. Nawet nie mogłem się odezwać. Co to w ogóle za dziecko? Nazwałem go Snoot. No cóż, nie zależało mi tak długo, jak długo miałem... w każdym razie ona, wiedząc, że ta stara ma słabość do

dzieci i kamień wielkości pastylki miętowej, użyła dzieciaka jako wabika, zwinęła kamyk i następna rzecz, jaką pamiętam, to jak jadę z Sonyą i jej dzieciakiem, a Sonya wiezie z sobą dziedzictwo jakiejś bogatej rodziny - usiadł wygodniej, opowiadając dalej. - Dojechaliśmy nad morze i byliśmy tam z rok, a ona połowę pieniędzy przepiła, a połowę wydała na zakupy i ciągle nie miała dość. Zahaczyłem się wtedy w tej butelkowni.

Mandy usiadła prosto.

- Kiedy to było?

- Może ze trzy lata temu.

Mandy sięgnęła do teczki ze sprawą Reubena i wyjęła z niej zdjęcie kobiety z rejestru policyjnego, która równie dobrze mogła mieć czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Przytrzymała zdjęcie przy szybie.

- To jest ta kobieta? Potaknął.

- Sonya - zaśmiał się. - Jak ją spotkacie, powiedzcie jej, że musi mi oddać moją impalę.

Mandy wyjęła drugie zdjęcie z teczki i spojrzawszy na nie szybko, pokazała Reubenowi. Było to zdjęcie zwęglonego ciała kogoś, kto prowadził samochód. Samochód, który był tak rozgrzany, że opony wypaliły się z obręczy koła. Palce kierowcy wciąż opierały się na kierownicy, ale większa część skóry, włosów i ubrania się spaliła. Mandy przytrzymała zdjęcie przy szybie.

- Powiem jej, ale obawiam się, że nie będzie w stanie mnie usłyszeć... a pan raczej nie odzyska swojego samochodu.

Bo odwrócił głowę, przyswajał sobie sytuację ze zdjęcia, aż w końcu zaklął.

- Wiedziałem, że nigdy nie powinienem był się z nią zadawać - znów splunął. - To był dobry samochód i niekradziony.

Mandy wstała, wrzuciła wszystko do teczki ostatni raz i skierowała się do drzwi.

- Będę w kontakcie. Reuben też wstał i krzyknął.

- Ale wciąż nie wiem, gdzie podziała się ta przeklęta biżuteria! I powiedz temu pokręconemu dzieciakowi, że chcę odzyskać moją kartę baseballową - uderzył w szybę. - Nie pozwólcie, by ten dzieciak robił was w konia... on jest lepszym złodziejem niż my wszyscy razem wzięci.

Wyszliśmy stamtąd na słońce i na wolność. Musiałem głęboko nabrać powietrza, którego potrzebowałem od dwudziestu minut. Przejechaliśmy przez bramę strażniczą i znów znaleźliśmy się na drodze szybkiego ruchu. Wtedy odezwałem się do Mandy.

- Przypomnij mi, żebym nie zrobił nic, czym cię wkurzę.

- Słucham? - Spojrzała we wsteczne lustro i zlizwała szminkę z zębów.

- Jesteś zawzięta.

Uśmiechnęła się i włączyła klimatyzację.

- Mam już doświadczenie z wszystkimi Bo tego świata. Jeśli potrafisz zadać im właściwe pytanie, tak by ich trochę wystraszyć i zająć im za skórę, zaczynają gadać. Reuben nie jest inny niż cała reszta. Wszyscy oni kierują się taką samą zasadą: „Jak ja idę na dno, to kogoś z sobą zabieram”.

- Myślisz, że mówił prawdę? Uniosła głowę.

- Raczej tak, ale musimy wszystko sprawdzić. Myślisz, że gazeta dałaby ci zlecenie, żeby trochę powęszyć w Atlancie?

- Pytanie nie brzmi, czy gazeta pozwoli mi powęszyć, ale czy grają Bravesi, a jeśli tak, to czy dostanę bilet i czy wejdzie on w koszty reportażu.

Zaśmiała się i podniosła palec do góry, starając się zachować poważny ton.

- Jest jeszcze jedna rzecz.
- Co takiego?
- Dzieciak musi jechać z nami. Uśmiechnąłem się.
- Tylko kilka rzeczy jest lepszych od hot doga za dziesięć dolarów z Turner Field. Każde dziecko powinno go spróbować.
- Tylko baseball ci w głowie?
- Gdy Bravesi prowadzą w zawodach, to tak.
- Mandy jechała ze stałą prędkością, stukając w kierownicę ośmioma palcami, co świadczyło, że jej mózg intensywnie pracuje.
- Aby wyjechać z chłopcem poza granice stanu, muszę napisać podanie do sędzi, ale myślę, że się zgodzi.
- Kto prowadzi jego sprawę?
- Thaxton.
- Jej lepiej nie wspominać, że ja też jadę. -Tak... też czytałam twoje akta.- Zaśmiała się, pokiwała głową i spojrzała na mnie podejrzliwie.
- Chyba trochę za dużo czasu spędziłeś w śródmiejskich ruderach.
- Studiuję architekturę.
- A do czego ci to potrzebne?
- Dobre pytanie.
- Nie grasz w otwarte karty.
- Czasem tak trzeba.
- Słuchaj, ja tu nie dorastałam, ale mam dwoje uszu. Trzeba być głuchym, żeby nawet krótko tu mieszkając, nie usłyszeć tej historii.
- Jest w końcu mocno związana z tym miejscem.
- Nie mów mi, że słuchasz plotek. Kiwnąłem głową. Mandy się wzdrygnęła.

- No proszę cię, naprawdę? Po takim czasie i przy tak mocnej konstrukcji, masz nadzieję, że to jeszcze tam jest?

- Było tam i wierzę, że jest nadal.

- Nawet przy poziomie wody, który sięgał tylko kilka stóp poniżej powierzchni?

- Nawet.

- Cóż, chyba jesteś jedyny, który w to wierzy.

- To nie pierwszy raz - odpowiedziałem, uśmiechając się szeroko.

- Wiesz, gdybym badała twoją sprawę, najpierw sprawdziłabym zdjęcia satelitarne i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie chcesz przeszukać tam każdego kamienia.

- Jestem pewien, że mój wujek wierzy w to samo, i dlatego jest w posiadaniu nieruchomości w promieniu trzech przecznic w każdym kierunku, a ja... mam sądowy zakaz podchodzenia na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt stóp do jego banku.

- To nie ma sensu.

- Ma, jeśli masz coś, co jest zakopane, i musisz zapewnić sobie wokół tego barierę ochronną.

- To brzmi jak teoria spiskowa.

- Czasem najtrudniej uwierzyć w prawdę. Skinęła głową.

- Słuszna uwaga, ale jeśli to jest twój cel, to jesteś odcięty od jego realizacji. Nie sądzisz jednak, że przez tyle lat ktoś złapałby go na czymś podejrzanym? No bo te papiery są nic niewarte, jeśli ich nie zamienisz na gotówkę. Czy nie pojawiłyby się gdzieś?

-Jeśli w ogóle je wymienił.

- Dlaczego miałby kraść papiery wartościowe i nigdy ich nie wymienić na gotówkę?

- A może celem nie były pieniądze?

- A co w takim razie?

- Ty mi powiedz, co jest warte tyle, by za to umrzeć.

- Zwykle pieniądze.

Pokiwałem głową. Mogła skończyć studia z najlepszymi wynikami i być teraz jednym z najlepszych prawników na naszej planecie, ale ja miałem całe życie na przemyślenia.

- Pieniędzy mu nie brakowało.

- Co w takim razie?

- Zastanów się jeszcze, jesteś adwokatem. Praktycznie rzecz biorąc, to miasto skazało Williama McFarlanda za morderstwo, którego nie popełnił. Za zamordowanie ojca, żony i kradzież milionów w obligacjach na okaziciela, których nigdy nie znaleziono i nie wykazano, że on je zabrał, i nie ma żadnych dowodów, że kiedykolwiek je zamienił na gotówkę. Szukali kogoś, kogo można by o to wszystko oskarżyć, a on był dobrym, słabym celem. W końcu, jeśli ukradł te obligacje, to czy nie zachowuje się teraz dziwnie, mając je w ręku?

- No dobrze, przyjmijmy, że całą sprawę ukartował Jack, bo chciał zdobyć władzę. Ale nad czym?

- Nad całością Żuta. Dwadzieścia sześć tysięcy akrów dziewiczych terenów, nieruchomości w Georgii południowej. W porównaniu z tym majątkiem bank to betka. To nie tajemnica, że w moim przekonaniu Jack jest mordercą, ale nigdy nie twierdziłem, że głupim mordercą.

- Ale dlaczego tak uważasz? Wzruszyłem ramionami.

- Na podstawie tego, co wiem o Jacku McFarlandzie. Ty najlepiej zdajesz sobie sprawę, jak myląca może być powierzchowność.

- To prawda, jeśli ta praca czegokolwiek mnie nauczyła, to tego, że ludzie potrafią doskonale ukrywać swoją prawdziwą twarz. No dobrze, ale co się tyczy Williama, nikt do tej pory nie wyjaśnił, dlaczego został ułaskawiony. Wielu ludzi

stąd było naprawdę wściekłych. Uważali, że nie dostał tego, na co zasłużył. Niektórzy wciąż w to wierzą. Załóżmy przez chwilę, że podziemie i tunel, nazwij go, jak chcesz, rzeczywiście istniały. Co ta wiedza ci daje?

- Dowodzi, że Jack miał dostęp albo wiedział o wejściu do sejfu.

- No i co z tego, skoro William McFarland wiedział to samo?

- Oczywiście, ale dotychczas wszystkie oczy skupione były na Williamie.

- Powiedzmy, że Jack wiedział. Czym się kierował? Zaczynamy kręcić się w kółko.

- Witaj w moim życiu.

-Już dwa razy złapano cię na węszeniu w domach w okolicy banku, zatrzymano i przesłuchiowano.

- To są te dwa razy, gdy ktoś się dowiedział - odrzekłem z uśmiechem. Przewróciła oczami.

- Nie słyszałam tego. Za trzecim razem sędzia wsadzi cię do więzienia, dopóki nie zdecyduje, co z tobą zrobić. -Wzruszyła ramionami.

- Co nie jest warte tego, by szukać czegoś w zrujnowanym, pustym domu.

-Wiesz, mój wujek Jack jest w tym dobry.

- W czym?

- W takim przeszukiwaniu.

- On twierdzi, że robi renowacje dla towarzystwa historycznego.

- No tak, szanuje i chce ocalić historię, dobrze. Jeśli w to wierzysz, to kup ode mnie most, który chciałbym ci sprzedać.

- Nie lubisz go, i to bardzo.

- No cóż, na początek powiem, że to jeden z najbardziej szanowanych biznesmenów w południowej Georgii. Nie

wspominając o jego zaszczytnej funkcji w Kościele i... lista kłamstw jest długa.

Przypatrywałem się jej.

- Masz chłopaka?

- A cóż to za pytanie?

- No bo jeśli postępujesz tak z każdym chłopakiem, którego spotkasz, trudno byłoby umówić się z tobą na drugą randkę.

- Przepraszam za to przesłuchanie, trochę mnie poniosło. Ale tak serio...

- Widzisz, znów to robisz. -Ja nie żartuję.

- Nie ufasz ludziom zbyt łatwo. - Popatrzyłem na nią kątem oka.

- W moim zawodzie to zaleta. - Westchnęła.

- A co z twoim życiem?

-Już wcześniej miałam z tym kłopoty, naprawdę... - Nie otwierała się, co uznałem za siłę jej charakteru. - ...bo patrząc na zdjęcia satelitarne, widzę, że omijałaś bank w swoich poszukiwaniach.

- Może wcale nie chodzi mi o bank.

- Naprawdę wierzysz, że ktoś wszedł przez podziemia z czasów hiszpańskiej władzy, których nikt nie może odnaleźć, i dostał się przez grubą warstwę betonu do starego sejfu, gdzie wówczas znajdowały się skradzione obligacje: każdy pakiet w osobnym schowku bankowym, do każdego z nich dostać się można było, jedynie mając dwa klucze, z których jeden był w posiadaniu właściciela schowka?

- Odrobiłaś lekcje.

- Tego mnie nauczyli w szkole.

- W tej samej, w której nauczyli cię, że nie należy ufać ludziom?

- Nie, tego nauczyłam się, wykonując swoją robotę.

- Czy ty przypadkiem nie przeżyłaś czegoś ostatnio albo nie zerwałaś z chłopakiem?

Zaśmiała się, potrząsając głową.

- Nawet jeśli te podziemia wciąż istnieją, czy nie zostały zatopione? A co z poziomem wody?

Nie chciałem wyklądać kart na stół. Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

- Mogły, ale niekoniecznie.

- To jak wytłumaczysz nowy, zaopatrzony w elektroniczne cuda sejf, który widzi się, wchodząc?

- Nie wytłumaczę. Mnie interesuje jedynie to, w jaki sposób dostali się do starego.

- I czego tam właściwie szukasz? Chyba nie spodziewasz się, że Jack McFarland jest na tyle głupi, by trzymać tam coś, co ma jakąś wartość?

- To zależy, co dla kogo ma jakąś wartość. - Spojrzałem na nią sponad swoich przeciwsłonecznych okularów.

- Brzmi ciekawie.

- Ta... ale jeszcze nie jestem gotów, by przelać tę opowieść na papier.

Jest wiele rzeczy, których nie wiem o własnym życiu. Nie wiem, jak się nazywam, nie wiem, skąd pochodzę, kim są moi rodzice ani dlaczego porzucili mnie pod drzwiami domu dla chłopców. No i nie wiem nic o człowieku, który mnie wychował, poza jednym. Całe moje życie byłem rozdarty pomiędzy pustką a nadzieją i jedyną osobą, która wraz ze inną się z tym zmagala, był wujek. To mi wystarczy.

Rozdział 17

Tego samego popołudnia, gdy spotkała mnie przygoda, którą można określić „człowiek za burta”, oporzędzaliśmy z wujkiem ryby i większość z nich włożyliśmy do zamrażarki w specjalnie zamykanych workach. Ponieważ potrzebowaliśmy trochę mąki kukurydzianej na panierkę i chrzanu do sosu, pojechaliśmy do miasta. Wracaliśmy drogą numer dziewięćdziesiąt dziewięć i natrafiliśmy na akcję straży pożarnej. Wszędzie było mnóstwo migających „kogutów”: stało aż dziewięć wozów strażackich, sześć policyjnych i cztery samochody policji do kierowania ruchem drogowym oraz karetka, wszystkie zaparkowane w luźnym kręgu wokół studni na pobliskim pastwisku.

Wujek nigdzie w mieście nie był mile widziany, ale gdy zobaczył te wszystkie światła, zatrzymał samochód i zapytał kierujących ruchem, co się dzieje. Policjant wskazał miejsce, mówiąc:

- Nic dobrego. Dzieciak wpadł do studni, zaklinował się i nie są w stanie go wyciągnąć.

Wujek rozejrzał się, patrząc na panujący tam chaos, a potem na mnie. Włączył migacze i podjechał bliżej na pastwisko. Podeszliśmy do ratowników, którzy zebrali się wokół studni. Wujek, przeciskając się łokciami, szybko dodał dwa do dwóch. Większość farmerów w Glynn County poiła stada wodą, jaka wypływała na powierzchnię ziemi. Wykopano też kilka płytkich studni, bo woda była blisko pod poziomem gruntu. Zdarzały się jednak wyjątki i ta studnia była jednym

z nich: jej głębokość wynosiła pięćdziesiąt stóp, wykuta była w wapieniu coquina, pochodzącym ze skamieniałych koralowców. Chłopiec schodził do wnętrza studni po uchwytach, ale gdy był już blisko dna, zawiesił się do góry nogami, trzymając w ręce latarkę. Nie zdołał się jednak utrzymać w takiej pozycji i spadł. Znając rozmiary szybu i płataninę uchwytów w jego wnętrzu, nie miało się wątpliwości, że żaden z ratowników nie jest tak drobny, by dostać się do chłopca, który nie dość, że wisiał do góry nogami, to jeszcze był półprzytomny i nie był w stanie niczego złapać, żeby samemu podciągnąć się do góry. Nie można też było naruszyć konstrukcji studni - przez lata kamień skruszał i odłamki mogły spaść na chłopca. Wszystko wskazywało na to, że potrzebny jest ktoś drobny, kto zszedłby na dół po śladach chłopaka, zabierając z sobą linę, i precyzyjnie się między uchwytami, zawiązał ją ewentualnie wokół jego ciała. Trzeba było działać szybko. Wtedy wszyscy spojrzeli na mnie. Jeden ze strażaków ukląkł przede mną i dokładnie, tak bym dobrze zrozumiał, wytłumaczył, co mam robić. Gdy skończył, dodał jeszcze:

- Synu, daj ci latarkę i założymy specjalne szelki. Gdyby coś się działo, natychmiast cię wyciągniemy.

Uniósł brodę i zmierzył mnie wzrokiem.

- Myślisz, że dasz sobie radę?

Dotychczas podjęli już próby opuszczenia najmniejszego z nich, karła niewiele większego ode mnie. Był usmarowany błotem i ubrany jedynie w bokserki. Jeśli on sobie nie poradził, to znaczy, że zadanie nie było żartem. Spojrzałem na wszystkich tych ludzi zgromadzonych wokoło, patrzących na mnie, a potem znowu na strażaków. Ich czoła były zachmurzone.

Co prawda miałem już dość nerwówki jak na jeden dzień, ale chyba nie było innego wyjścia. Co mogło pójść źle? Pokiwałem głową i wskazałem na wujka.

- Dobrze, ale to on będzie trzymał linę.

Tamtej nocy, gdy wujek i ciocia zgasił już u siebie światło, wstałem i napisałem list do taty. Teraz, wspominając początki mojej kariery pisarskiej, wracam myślami do tamtego listu.

Drogi Tato,

dziś omal nie utonąłem. Przewróciłem łódź w czasie wyprawy na ryby. Pod wodą przytrzymało mnie drzewo i wujek Willee przez trzy minuty próbował uwolnić moją stopę. Udało mu się, ale twarz miał całkiem czerwoną, potem siną, a wieczorem mocno kaszlał. Myślę, że on też omal nie umarł.

Popołudniu zszedłem do studni i pomogłem wyciągnąć chłopca, który zawiesił się wewnątrz do góry nogami i też był już siny. Wpadając tam, złamał rękę i nie mógł się wydostać. Strażacy powiedzieli, że nagrodzą mnie za to, a ludzie z gazety, że moje zdjęcie ukaże się jutro na pierwszej stronie. Ale się bałem. Zrobiłem to tylko dlatego, że to wujek, stojąc na górze, trzymał linę.

Odkąd tu jestem, naprawdę wiele się zdarzyło.

W dniu, w którym tu przyjechałem, ciocia Lorna upiekła dwa ciasta: czekoladowe i waniliowe, bo nie była pewna, które lubię bardziej. Wcześniej byłem w wielu miejscach i byłem odsyłany z domu do domu. Dzieciaki w szkolnym autobusie nazywały mnie podrzutkiem. Myślę, że tak się określa kogoś, kto nie ma własnego domu. Ale wujek Willee i ciocia Lorna dali mi pokój i pozwolili pomalować na taki kolor, jaki tylko mi się spodoba, a ja zmieniłem zdanie trzy razy w ciągu trzech następnych miesięcy. Kilka miesięcy temu zrobiła mi się dziura w bucie i wujek kupił mi nową parę. W święta Bożego Narodzenia wujek i ciocia zabrali mnie do Disneylandu i tam siedem razy płynąłem statkiem piratów. A gdy zapragnąłem roweru, wujek Willee pracował nocami, żeby móc mi go kupić. Cały był z chromowanej stali, marki Schwinn Mag Scrambler, z grubymi oponami i hamulacami typu Bendix. A gdy kilka miesięcy później ktoś w szkole mi go ukradł, znów pracował nocami, by dołożyć do moich oszczędności i pomóc mi kupić nowy.

Odkąd tutaj jestem, niczego mi już nie brakuje.

Większość czasu zastanawiałem się, czy nie byłem jakąś pomyłką. Po co Bóg mnie stworzył? Czy na pewno jestem tym, za kogo

uważają mnie dzieciaki w autobusie? Myślę, że mam ten specyficzny wyraz twarzy, bo gdy wujek Willee kładzie mi rękę na ramieniu, czuję, jakbym miał motyle w żołądku. Wujek Willee mówi, że to nadzieja. A ja na początku myślałem, że to robaki, jakie kiedyś miałem w jednym z domów. Sam nie wiem, co to jest, ale to lubię. Bo jak on kładzie mi rękę na ramieniu, to wydaje mi się, że ze mną wszystko w porządku. A może to nie chodzi o mnie? Może jednak Bóg nie pomylił się w moim przypadku. Wujek ma ręce pełne odcisków, pomarszczone, często niezbyt czyste i pachnące jak końskie łajno. Zwykle też są pokaleczone, bo wujek mówi, że narzędzia, którymi się posługuje, są ostre i czasem mu się ześlizgują.

Nie będę cię okłamywał, ale często płaczę w nocy. Wciskam twarz w poduszkę, żeby nikt nie słyszał, wujek ma jednak dobre uszy. Przychodzi, siada obok i gdy na niego patrzę, on też płacze. Nie wiedziałem, że dorosłym także się to robi, ale i jemu wtedy cieknie z nosa. Myślę, że to dlatego zawsze ma przy sobie, w tylnej kieszeni, tę białą chusteczkę. Wujek bardzo dobrze potrafi opowiadać różne historie o swoim tacie i jak kiedyś im się żyło. To ciekawe i lubię tego słuchać. Gdy skończy, idziemy do kuchni i nakładamy sobie lody. Ale nie mówimy o tym nikomu, bo ja i tak myślę, że płkanie jest tylko dla maminsynków. Gdy po raz pierwszy tam przyjechałem, długo w nocy siedziałem przy oknie i czekałem, że może skreśisz tutaj i po mnie przyjedziesz. Wpatrywałem się w światła na autostradzie. Patrzyłem, jak samochody podjeżdżają, a potem odjeżdżają, ale żaden z nich nigdy nie skręcił w stronę naszego podjazdu. Piszę ten list, żeby Ci powiedzieć, że tej nocy będę spał spokojnie i skończyłem już z wypatrywaniem Twojego auta na podjeździe.

Z poważaniem,

Twój syn

Chase Walker

Następnego ranka włożyłem list do koperty i zaadresowałem go „Do Taty Chase'a Walkera”, ciocia Lorna pomogła mi nakleić znaczek, a potem włożyłem kopertę do skrzynki pocztowej. Poczekalem, aż mleczarz zabierze list. Zrobił to.

Rozdział 18

Tego ranka, gdy odwiedziliśmy Bo, w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w domu dla chłopców. Recepcjonista oglądał właśnie w telewizji reality show i machnął na mnie czipsem ziemniaczanym, że mogę wejść. Sprzątano stołówkę i w powietrzu czuło się zapach środków czystości i spalonego ciasta czekoladowego. Zarówno wiadro, jak i mop były suche i ustawione przy ścianie poplamionej od ciągłego ustawiania ich w tym miejscu.

Otworzyłem drzwi do pokoju Sketcha i zobaczyłem coś, co wcześniej zauważyła ciocia Lorna - chłopiec siedział po turecku na łóżku i uczył wujka, jak przegrywać w szachy. Wujek siedział na krześle, mając oparcie z przodu, szeroko rozstawiając nogi, jakby siedział w siodle. Głowę opierał na rękach, a te spoczywały na oparciu krzesła. Zagryzał wargę, co oznaczało, że przegrywa. Większość figur wujka leżała na kołdrze po stronie chłopca, a większość figur chłopca stała na szachownicy w całkiem zgrabnym półkolu otaczającym króla.

Gdy wszedłem, wujek poprawił kapelusz i stwierdził:

- Jak dobrze, że się pojawiaasz, właśnie prawie już poległem... kolejny raz.

- U mnie nie szukaj pociechy. Mnie pobił od razu w pierwszej partii.

Wujek pokręcił głową.

- Posyłałem cię do szkoły, kupowałem książki, a ty i tak dajesz się rozłożyć na łopatki na dzieciennym łóżku.

Mandy weszła za mną do pokoju. Chciała się widzieć nie tyle z chłopcem, co właśnie z wujkiem. Odkąd wróciliśmy do miasta, przestępowała z nogi na nogę z niecierpliwości.

- Masz - wujek podsunął mi krzesło. - Zajmij moje miejsce, gorzej i tak być nie może.

- Dzięki, twoja wiara we mnie jest bardzo inspirująca. Pstryknąłem palcem w jego baseballówkę, tak że spadła

na podłogę, odsłaniając łysinę na głowie i włosy, które dopasowały się kształtem do czapki. Wyszedł do holu, obracając czapkę w dłoniach i słuchając Mandy. Próbowałem podsłuchiwać, gdy chłopiec się koncentrował na grze, ale prawdopodobnie on i tak słyszał więcej niż ja. Przez szparę pomiędzy zawiasami widziałem, jak Mandy mówi, gestykulując.

- Chcę się tylko upewnić, że pan zdaje sobie sprawę, w co się pan pakuje.

- Tak, wiem.

- No bo minęło już trochę czasu, odkąd oboje opiekowaliście się dzieckiem.

- Tak, wiem.

- Rodzice tego chłopca w każdej chwili mogą się pojawić i to, co pan wtedy zobaczy, może się panu nie spodobać, ale nie będzie pan miał nic do powiedzenia. Zgodnie z prawem będą mogli zabrać go do samochodu i odjechać.

- Tak, wiem.

- Prawda jest taka, że... - Mandy zniżyła głos, co znaczyło, że chce powiedzieć coś, co tylko wujek usłyszy.

- ...w tym kraju jest ponad pięć tysięcy dzieci w takiej sytuacji jak on i jesteśmy pewni, że dla chłopca w tym wieku

- on ma chyba ponad osiem lat - szanse na znalezienie mu rodziny zastępczej innej niż dom dla chłopców, zanim nie ukończy osiemnastu lat i nie stanie się dorosły, wynoszą jakieś trzydzieści procent. Gdy zaś skończy dziesięć lat, a on być może już skończył, szanse na adopcję są zerowe.

Wujek dalej obracał czapkę, potakiwał i odzywał się bardzo cicho.

- Tak, wiem.

- Czy pan w ogóle mnie słucha, bo słyszę tylko to pańskie „Tak, wiem”, a nie jestem pewna, co ono naprawdę znaczy.

- Mandy położyła rękę na biodrze, jednocześnie kręcąc głową. - Panie McFarland, doceniam to, co pan robi. Jesteście dobrymi ludźmi, a ten chłopiec zasługuje na szansę. Myślę też, że zdążył zaprzyjaźnić się z Chaseem, ale...

- Pani Parker? -Tak.

- To, co pani robi, jest godne podziwu, ale już wystarczy.

- Proszę?

- Doceniam to, co pani robi, i rozumiem, czym się pani kieruje, naprawdę. Gdybym był na pani miejscu, robiłbym to samo. I ma pani całkowitą rację, zdarzenia, jakie może przynieść przyszłość tego chłopca, mogą sprawić nam przykrość. Może nas to zboleć. Ale dla mnie to nie nowina - popatrzył na Sketcha. - Takie cierpienie ma sens... dla niego warto to zrobić - wciągnął powietrze przez zęby i włożył czapkę.

- Poza tym... nie jestem w tym nowicjuszem. Róbmy to, co potrafimy najlepiej.

- Dobrze, proszę pana. - Mandy uśmiechnęła się i skrzyżowała ręce. Nasze oczy się spotkały przez szczelinę w drzwiach.

Rozdział 186

Ubrany w fartuch z napisem QUICHE AND FONDUE ME, wujek łuskał ziarna z kolb kukurydzy, przez ciocię Lornę obrane z łusek. Wujek dostał ten fartuch na ich dwudziestą rocznicę i zawsze, gdy go wkładał, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Tommye gryzła paznokcie, a ja zmagalem się z chińskim jaśminem, który oplatał poręcz ganku. Uporałem się już z częścią oplatającą filar, w czasie gdy cała nasza czwórka czekała na telefon. To nie to, że byliśmy jakoś specjalnie przygotowani, raczej motywowała nas myśl, że żebyśmy nie wiem jak byli niedoskonalimi i bez względu na to, jak niewiele wiedzieliśmy o tym chłopcu, to u nas będzie mu i tak lepiej niż w jakimkolwiek innym domu, w jakim znajdował się do tej pory.

Gdy wujek skończył ze stertą kukurydzy w swych stóp, wstał i oparł ręce na biodrach. Rozejrzał się po polach, gdzie wznosił się kurz pokrywający zwierzęta.

- Jest tak sucho, że wszystko wyschło na pieprz.

Mandy zadzwoniła dopiero w porze obiadu. Jako przedstawiciel prawa oświadczyła, że pojedzie z nami do domu dla chłopców i dokona aktu przekazania. Większość popołudnia spędziliśmy na sprzątaniu domu i upiększaniu mojego dawnego pokoju. Było już po trzeciej, gdy przyjechała Mandy. Wsiadliśmy w piątkę do tahoe cioci Lorny i ruszyliśmy w kierunku Brunswicku. Ponieważ nie bardzo wiedzieliśmy, czego się spodziewać, nikt nic nie mówił.

W czasie gdy Mandy i wujek Willee podpisywali w biurze jakieś papiery, ja poszedłem do pokoju Sketcha. Drzwi były niedomknięte i zobaczyłem go, jak siedzi na brzegu łóżka z podwiniętą jedną nogą, wpatrzony w okno. Przyglądałem mu się z tej odległości i dotarło do mnie mgliste poczucie, że to się już zdarzyło. *Przydarzyło się mnie.*

Tommye zauważyła, że wróciły moje wspomnienia z przeszłości, więc poklepała mnie po ramieniu i powiedziała:

- Chodźmy.

Dziesięć minut później wyjeżdżaliśmy z parkingu. Chłopiec siedział pomiędzy mną a Tommye. Zdawało mi się, że przekazanie dziecka zabiera więcej czasu, powinna być jakaś ogólna ceremonia z anielskimi trąbami, wielkości całych Włoch, pojawiającymi się z nieba, które grałyby naprawdę głośno i poinformowałyby wszystkich, każdy naród i każdą rasę ludzką, że dziecko przenosi się do domu. Chciejstwo. Dwie sekundy trwa podrzucenie dziecka pod obce drzwi, więc nasza procedura była proporcjonalnie dość długa.

Jechaliśmy przez stary Brunswick w takiej ciszy, że słysząc byłoby upadającą szpilkę. Nikt nie wiedział, jak zacząć. Jedyne dźwięki to było „łup, łup” niewyważonej prawej przedniej opony i „ting, ting, ting” czegoś, co brzmiało jak kawałek żwiru, który utkwiał w bieżniku.

Zostawmy to wujkowi.

Przejechaliśmy obok Krispy Kreme³⁹ i świecącego na czerwono neonu HOT NOW⁴⁰.

W filmie Disneya *Księga dżungli* jednym z bohaterów jest wąż o imieniu Kaa, obdarzony mocą hipnotyzowania. Gdy chce kogoś zniewolić, zaczyna śpiewać głupią piosenkę, a w oczach ofiary zaczynają się pojawiać wirujące kółka. Od

³⁹Krispy Kreme — miejsce, gdzie sprzedają pączki i kawę.

⁴⁰HOT NOW - sieć amerykańskich restauracji fast food.

tej chwili ofiara jest całkowicie w jego mocy. Zwykle był nią sierota Mowgli. Gdy wujek zobaczy ten napis, jego oczy przypominają oczy Mowgliego.

Wujek przejechał linię środkową jezdni, zawracając w miejscu, gdzie było to niedozwolone, tak gwałtownie, że ci, którzy siedzieli z tyłu, poobijali się o siebie, a ciocia, upominając go, krzyknęła:

- Liam!

Jedyną odpowiedzią było wskazanie nam neonu i wzruszenie ramionami.

- Hej, to ja jestem tutaj ofiarą.

Tommye zaśmiała się, a ja pokiwałem tylko głową. Wjechaliśmy na parking i wujek odwrócił się do Sketcha, żeby zapytać.

- Lubisz Krispy Kremes? Sketch wzruszył ramionami.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie wiesz? - Oczy wujka się zwięzły.

Sketch spojrział przez szybę w kierunku sklepiku i jeszcze raz wzruszył ramionami. Wujek pokręcił głową.

- Musimy to naprawić. Chodź.

Wyciągnął rękę, którą ujął chłopiec, i obaj weszli do środka. Zanim my wszyscy wytaszczyliśmy się z samochodu, wujek, w czasie krótkiej wycieczki rozpoznawczej, pokazał Sketchowi, jak powstają pączki. W oczach chłopca widać było zachwyt. Wyszliśmy stamtąd z dwoma tuzinami pączków i torbą „dziur”⁴¹. Niosłem pudełka z pączkami i zwróciłem się do Tommye, żeby się upewnić, czy mamy ich dość. Wsiadliśmy do samochodu, wujek wręczył chłopcu lukrowanego pączka i powiedział:

⁴¹ Amerykańskie pączki mają na środku dziurkę, a z ciasta z dziurki smaży się maleńkie pączki zwane doughnut holes.

- Spróbuj tego i potem powiedz mi, czy nie jest to najlepsza rzecz, jaką miałeś w ustach.

Sketch wgrzyzł się w pączka, a wujek spytał:

- Oho, dobre, co?

Sketch, wpychając drugą połówkę do ust, wpatrywał się w pudełko. Wujek wręczył mu dwa inne: jeden posypany cukrem pudrem, a drugi z polewą czekoladową. Chłopiec przełknął, a potem ugryzł po kawałku każdego pączka. Liam czekał na pochwały. Oba pączki błyskawicznie zostały wchłonięte. Wujek odwrócił się na siedzeniu, zapiął pas i spojrzał na Lornę.

- Widzisz?

Trzy przecznice dalej liczba zjedzonych pączków wzrosła do pięciu, a Sketch wpatrywał się w torbę z „dziurami”. Wyjechaliśmy z miasta i przejeżdżaliśmy koło cmentarza, gdzie mieszkańcy Brunswicku albo już są, albo będą pochowani. Dwa lata temu napisałem o rodzinie, której przedstawiciele są od dawna właścicielami cmentarza, teraz już w trzecim pokoleniu. Gdy robiłem wywiady, chodziliśmy po bardzo szybko rosnącym trawniku, który wymagał nieustannego koszenia przez mężczyzn z kosiarkami i chłopców z elektrycznymi kosami ścinającymi duże chwasty. Powiedziano mi wtedy, że ładne przystrzyżenie trawnika na takim obszarze wymaga pracy przez dobry tydzień.

Gdy byłem na studiach i wciąż głupio uważałem, że w sobotę obowiązkowo jedzie się na ryby, wiele razy narzekałem, ile to czasu zabiera mi skoszenie pastwiska za pomocą trak-torka, i że w zależności od przyływów zabiera mi ta praca najlepszą część dnia, którą mógłbym poświęcić na łowienie. Wziąłem tę moją mądrość życiową na uczelnię i ponieważ czytanie nie leczy z głupoty, wróciłem razem z tą wiedzą do domu. Gdy więc napisałem artykuł, wciąż cierpiełem na tę samą chorobę. Wujek przeczytał go i zostawił na stole

w kuchni z jedną uwagą zakreśloną na czerwono. Na marginesie napisał: „Czas pomalować rogi na biało i zacząć biegać z antylopami”, co po angielsku znaczyło: „Przestań się kłócić i zacznij robić tak, jak ci się radzi”. Miał rację, zwłaszcza w kwestii ciężkiej pracy, znał te sprawy ze swojego życiowego doświadczenia, ale komuś, kto właśnie zdobył wyższe wykształcenie, trudno cokolwiek wytłumaczyć.

Jedną przecnicę za cmentarzem wujek wypatrzył zgromadzonych wzdłuż drogi ludzi. Zjechał na pas zapasowy, włączył migacze i wszyscy wysiedliśmy. Tak też zrobili inni, którzy tędy przejeżdżali. Wujek zdjął kapelusz, a cała nasza szóstka stanęła cicho przed samochodem. Pogrzeb był eskortowany przez policjantów na motorach, a kondukt posuwał się dostojnie, dopóki nie skręcił na wschód w kierunku cmentarza. Sketch patrzył na samochody, potem na nas. Gdy spojrzałem na niego, trzymał w jednej ręce pączka, a w drugiej swój notes, a ponieważ i ja, i wujek staliśmy z rękami założonymi do tyłu, on zrobił to samo. Zobaczyłem, że Tommye i Mandy robią wszystko, by się nie roześmiać. Ani wujek, ani ja nie znaleźmy zmarłego, ale widocznie wszyscy inni w mieście go znali, ponieważ szpaler ludzi stojących przy drodze ciągnął się przez jakąś milę. Gdy kondukt nas minął, wsiedliśmy z powrotem do samochodu i wmieszaliśmy się w tłum innych, którzy zrobili to samo. Wujek zauważył zdziwione spojrzenie chłopca i niepewność na jego twarzy.

- Tu w okolicy - zatoczył ręką, mając na myśli stan Georgia - ludzie oddają tak cześć zmarłemu, to taki nasz zwyczaj.

Sketch potaknął ze zrozumieniem i dokończył pączka.

Wjechaliśmy w końcu na szutrową drogę prowadzącą do domu, omijając slalomem dziury. Na pierwszym drzewie pekanowym wisiała stara namalowana ręcznie przez wujka

dwadzieścia lat temu tablica. Jej dolna część trochę zbutwiała przez ten czas, ale całość jeszcze się trzymała. Informowała ona, że: JEŚLI POSTAWISZ CHOĆ STOPE W GRANICACH TEJ POSIADŁOŚCI, ODSTRZELE CI TYŁ... Chłopiec przeczytał napis, a jego treść nieco wykrzywiła mu twarz. Myślę, że nie było to coś, co pomogłoby zrobić dobre pierwsze wrażenie, i chyba właśnie dlatego wujek się odwrócił.

- Ta tablica w żaden sposób nie odnosi się do ciebie -powiedział, wskazując napis.-Jakiś czas temu przychodziło tu sporo ludzi, którzy nie bardzo mnie lubili i zadawali masę pytań. Ale to było dawno temu. Nie zwracaj uwagi ani nie przejmuj się tym.

Sketch wyprostował się, oparł o fotel i wolno pokiwał głową. Ciocia Lorna kuksnęła wujka pod żebra i dodała:

- Mówiłam ci, żebyś zjął tę głupią tablicę. On teraz pomyśli, że jesteśmy bandą świrusów.

Wujek pokiwał głową i szepnął:

- Cóż, łatwiej wypuścić kota z worka, niż go tam na powrót zagonić.

- Możesz to jeszcze raz powtórzyć? - Zaśmiała się głośno Tommye.

Mandy otworzyła drzwi od strony pasażera i Sketch wyszedł z auta. Stał, przyciskając do piersi swój notes i pudło szachów, wpatrując się w otaczający go świat, jakby właśnie wylądował na Marsie. Jego twarz wyrażała strach i kontrolowane podniecenie.

W footballu amerykańskim jeden z obrońców nazywany jest strong safety - silny zabezpieczający, i pełni rolę kogoś pomiędzy true safety - zabezpieczającym, a linebackerem

⁴²Strong safety - w footballu amerykańskim zawodnicy z linii obro-

- wspomagającym. Gdy wspomagający szarżuje na rozgrywającego, zabezpieczający bronią pola przed podaniem. Silni zabezpieczający mają za zadanie robić obie rzeczy naraz. Zwykle stoją w odległości około pięciu jardów od linii końcowej i skrzydłowych na tej części boiska, na której w danej chwili jest więcej graczy. Gdy piłka zostanie złapana, muszą zwrócić uwagę na wiele rzeczy w tym samym czasie: powinni kontrolować rozgrywających, liniowych, skrzydłowych, a nawet tych, którzy biegną po piłkę. Trenerzy lubią mówić, że muszą mieć oczy dookoła głowy. Przeciwnikiem zabezpieczającego jest skrzydłowy, który zwykle ustawia się za nim. Czasem zastawia pułapkę, a czasem jest celem podania albo musi blokować. W przypadku gdy blokuje, zabezpieczający musi mieć się na baczności. Gdy piłka zostanie złapana, skrzydłowy wybiera dla zabezpieczającego, który ma kask z wymalowanymi niewidocznymi byczymi oczami, najkrótszą drogę. Zawodnik z linii obrony, skoncentrowany na grze, nie widzi wtedy skrzydłowego, który zbliża się do niego z którejś strony, i na to właśnie skrzydłowy liczy. Z tego powodu takie zagranie nazywa się crackback⁴³. Silny zawodnik z linii obrony przeczuwa nadejście skrzydłowego, nawet jeśli go nie widzi. To uczucie ma podłoże w rozbudzonym instynkcie samozachowawczym.

Patrząc na Sketcha stojącego na podjeździe, pomyślałem sobie, że gdy nabierze jakieś sto pięćdziesiąt funtów wagi, mógłby grać w obronie. Tymczasem wujek wyjął szmacianą torbę z bagażnika, a my staliśmy i przypatrywaliśmy się mu. Podszedł do chłopca i wyciągnął do niego rękę. Sketch spojrział na rękę i na nas wszystkich i spokojnie wsunął dłoń

ny, mający odpierać atak, w odróżnieniu od free safety, którzy biegają za piłką.

⁴³ Crackback - wyłamanie na tylnej linii.

w wyciągniętą rękę wujka. Weszli obaj po schodach i znikli w kuchni, gdzie ciocia Lorna już wcześniej nakryła do stołu, a teraz szła za nimi. Mandy, Tommye i ja staliśmy wciąż na podjeździe, słuchając odgłosów lodu wrzucanego do szklanek. Chwilę później wujek i Sketch wyszli na zewnątrz, tyle że nie mieli z sobą ani szachów, ani notesu. Przeszli przez podwórko, przez stodołę w kierunku ogrodzenia, gdzie pasły się krowy, i w końcu przez podwórko i winnicę do szklarni. Mandy spojrzała na szklarnię i zapytała:

- Dlaczego on go tam zabiera?
- Żeby przemówiły storczyki.

Rozdział 20

Przeszliśmy wszyscy w kierunku szklarni, gdzie świeciło się światło i na przerobionym stołku barowym siedział Sketch. Nogi dyndały mu dwie stopy nad ziemią. Wujek, stojąc po drugiej stronie blatu do sadzonek, opowiadał mu o storczykach: jakie są leciwe i jak rosną. Nie wiem, ile ich tam było, ale myślę, że około dwóch setek.

- Jest chyba trzydzieści gatunków storczyków i niezupełnie można nazywać je roślinami, bo nie wszystkie rosną w gruncie. Storczyki zwykle rosną na drzewach i w innych niespotykanych miejscach. Aby rosnąć, potrzebują kory, a nie ziemi. Potrzebny jest im stały dostęp do wody, ale nie muszą jej mieć wiele. Zbyt wiele wody powoduje, że korzenie toną, a za mało, że wysychają. Potrzebują światła, ale nie palącego słońca. Czasem trzeba je zacieniać. Potrzebują nawozu - tak śmiesznie określa się jedzenie dla roślin. I potrzebują powietrza. Jeśli spełnisz te wszystkie warunki, to mogą rosnać wszędzie, na korze drzewa, na dachu domu. Storczyki mogą być bardzo delikatne albo twarde jak płytka paznokcia.

Wujek poszedł na drugi koniec szklarni i przywiązał maleńką linkę do jednej z roślinek, która za bardzo odstawała od swego bambusowego podłoża.

- Najbardziej jest im potrzebne rozsądne postępowanie. Wrócił i oparł się o blat.

- Lubią umiarkowaną temperaturę, żadnych wahań w kierunku zimna lub ciepła. - Nachylił się niżej. - Niektóre nawet pachną... jak czekolada, maliny, bez, cytrusy.

Odkręcił kurek znajdujący się pod blatem. Woda popłynęła rurkami PCV rozprowadzonymi na kształt skomplikowanej sieci po całej szklarni. Rurki zakręcały i skręcały tak, by dopasować się do konturów szklanych ścian. Co jakiś czas od większych rurek odchodziły mniejsze, a od tych jeszcze mniejsze, gumowe, które zasilają w wodę system korzeniowy roślinek. Gdy więc kurek był odkręcony, woda zasilala korzenie małymi dawkami.

- Bez względu na to, co na ten temat usłyszysz, woda jest najważniejsza. Im cieplej, tym więcej wody, im zimniej, tym mniej.

Przeszedł w kierunku drzwi, gdzie poustawiał wszystkie te orchidee, które akurat kwitły. Można było podziwiać w tym miejscu obfitość fioletowych, czerwonych, białych, a nawet jasnoniebieskich kwiatów przeróżnych kształtów i wielkości.

- Jeśli spędzasz z nimi więcej czasu, troszcz się o korzenie, postaw je w odpowiednim miejscu, gdzie poczują się bezpieczne, zasil je też odpowiednią ilością wody - przesunął dłoń nad szypułkami z dwudziestoma czy trzydziestoma kwiatami. - Wtedy zakwitną kolorami, które cię zachwyca. Bo to jest ich zadanie - zakwitnąć. Ptaszek w lesie zje ziarenko, potem wydali je z siebie na liść drzewa, nad którym przelatuje, ono zagnieździ się gdzieś pomiędzy liściem a korą, sto jardów nad ziemią, i wypuści korzenie. Zapuszcza korzenie, żeby się utrzymać, rośnie, a potem zakwita tak, żeby wszyscy mogli je zobaczyć.

Wujek usiadł koło Sketcha.

- Teraz musimy rozwikłać jedną zagadkę. Nie znamy twojego imienia ani ty go nie znasz, ale to nic, bo jakieś imię ci nadamy.

Sketch pokręcił głową na boki.

- Ale musimy jakoś się do ciebie zwracać, inaczej niż „hej, ty!” albo „dzieciaku”. Jak inni nazywali cię w przeszłości?

Sketch otworzył bloczek i szybko coś napisał.

- Snoot? Tak cię nazywali? Podoba ci się to imię? Sketch spojrział na to, co napisał, i zaprzeczył ruchem głowy. Wujek się z nim zgodził.

- Mnie też nie. Brzmi, jakbyś coś majstrował przy nosie. Wujek wyjął ołówek z kieszeni i położył notes na blacie do sadzonek na wprost nich.

- A co byś powiedział na... - zrobił przerwę, czekając, aż Sketch coś zaproponuje. Przeczytał słowo i pokiwał głową z aprobatą. - Michael to dobre imię. Jeden z archaniołów tak się nazywa. Podoba ci się Michael?

Sketch wzruszył ramionami. Wujek znów spojrział na kartkę, trzymając ołówek tuż nad nią.

- A co byś powiedział na...

Sketch szybko coś napisał, a wujek to przeczytał. -To imię też jest dobre.

Sketch spojrział na wujka, na mnie i postukał wujka ołówkiem po klatce piersiowej. Wujek odsunął nieco czapkę i przyklęknął tuż przy barowym stołku.

- Cóż... William to też dobre imię, takie imię dał mi mój tata... - Wujek chciał się zaśmiać, ale to był tylko kamuflaż tego, co czuł naprawdę. - Ale gdy byliśmy tylko we dwóch, nazywał mnie Buddy.

Sketch napisał coś, spojrział na to i pokazał wujkowi. Wujek skinął głową.

-W takim razie zostaje Buddy.

Wstał, coś strzeliło mu w kolanach, a po karku spływała strużka potu. Sketch wpatrywał się w swój notatnik, potem go zamknął i zeskoczył ze stołka. Gdy stał, wydawał się o dwa cale wyższy. Mandy pokiwała głową w jego stronę.

- Cześć, Buddy.

Odwrócił się, jakby był na karuzeli. Tommye, która przez cały wieczór prawie się nie odzywała, kucnęła, wyciągnęła

ręce przed siebie i podniosła zgięty łokieć. Jąkając się - nigdy nie słyszałem, żeby tak mówiła - powiedziała:

- B-Buddy. To zawsze było jedno z moich najulubień-szych imion.

W dniu, w którym wujek opowiadał mi o storczykach, powietrze było przesycone wilgocią, ciężkie od zapachów bzu i malin. Gdy skończył, pamiętam, jak otworzyłem dostęp do płuc i po raz pierwszy odetchnąłem naprawdę głęboko. Poczulem je wtedy aż w palcach stóp i zrozumiałem, że mogę wstrzymać oddech nawet na tydzień. Sketch rozejrzał się po cieplarni, potem spojrzął na nas, a następnie zamknął oczy i nappełnił klatkę piersiową powietrzem jak zeppelin.

Rozdział 21

Gdy skończyło się lato, wujek i ciocia Lorna zapisali mnie do trzeciej klasy. W czasie pobytów w wielu domach dla chłopców doświadczyłem już prześladowania ze strony różnych mięśniaków, ale ten tutaj był inny. Ten był synem bogacza, który mieszkał jeszcze dalej niż ja, i jeździliśmy tym samym popołudniowym autobusem. Zaczął od przezywania mnie.

- Hej, sieroto, co się stało ze staruszką McFarlanda? Twój wujek Willee go zastrzelił? - Nie rezygnował i ciągnął dalej: - A gdzie są pieniądze? Zakopaliście je w ogródku, w słoikach po dżemie?

Myślę, że mając takie imię - Rupert - chłopak wyrobił sobie posłuch. Ignorowałem go, ale gdy widział, że nic nie robi na mnie wrażenia, zaczął klepać mnie po potylicy. Kierowca autobusu, kobieta, widziała to, ale chyba z nim sympatyzowała, bo niewiele zrobiła, żeby go powstrzymać. Krzyknęła na niego może ze dwa razy, w czasie gdy on uderzył mnie w głowę chyba ze sto. Trasa autobusu przebiegała tuż obok wjazdu na nasz podjazd, tak że wysiadając, byłem w zasięgu wzroku kogoś wyglądającego przez kuchenne okno. Mój przystanek był ostatni przed przystankiem Ruperta. Moje kłopoty zaczynały się w chwili, gdy Rupert, okłamując kierowcę, wysiadał na moim przystanku, prawie milę od swego domu.

Pewnego popołudnia wszystko się rozstrzygnęło. Rupert pchał się na mnie, w chwili gdy drzwi się otworzyły, i wy-

padliśmy jeden po drugim. Kiedy drzwi się zamknęły, leżeliśmy na sobie. Myślę, że Rupert chciał pokazać innym chłopakom w autobusie, jaki jest twardy. Najpierw podstawił mi nogę, a kiedy wpadłem do błotnistej kałuży, ściągnął mi plecak i zaczął kopać w żebra. Gdy się wreszcie uwolniłem, zacząłem zmykać w kierunku domu. Wpadłem na werandę i o mało nie urwałem klamki. Był tylko jeden problem: drzwi były zamknięte. A przecież nasze drzwi wejściowe nigdy nie bywały zamknięte. Wujek zwykle mawiał: „Niech przyjdą. Wszystko, co było cokolwiek warte, zostało mi już odebrane”. Słyszając odgłos kroków Ruperta, pobiegłem dookoła domu do drzwi od kuchni. Te też były zamknięte. Waliłem w nie, jednocześnie kogoś wypatrując. Sześć cali ode mnie stanął wujek Willee z założonymi rękami, patrząc na mnie. Wrzeszczałem.

- Wpuśćcie mnie!

Ciocia Lorna stała przy blacie kuchennym, bardzo się starając na mnie nie patrzeć. Wujek pokręcił głową i powiedział:

- Chase, musisz się nauczyć podejmować walkę - spojrzał na Ruperta nadchodzącego z tyłu domu. - Zaczynasz od tej. Wyjdź do niego i zacznij się bronić.

Rupert wbiegł po stopniach na werandę, z moim plecakiem w ręce.

- Hej, kurczaku, czas na odrabianie zadania domowego. Trzymał go jak pęczek marchewki i skakał dookoła, udając ni to kurczaka, ni to indora. Zacząłem płakać, odwróciłem się do drzwi i wyjąkałem:

-Wujku Willee.

On jednak pokręcił głową. Odwróciłem się, wytarłem łzy i nos rękawem i zrobiłem krok w kierunku Ruperta. Ani nie mogłem się cofnąć, ani nie chciałem iść do przodu. Wiedziałem, że żadne prośby do niczego nie doprowadzą, więc

zaciśnięciem zębów i podjąłem decyzję. To miała być walka na śmierć i życie. Gdy podszedł do mnie na długość wyciągniętego ramienia, kucnąłem i wyprostowałem lewą nogę, kopiąc w powietrze. Rupert przewrócił się do tyłu, upuścił mój plecak i wylądował na ziemi pod naszymi schodami. Ważył jakieś czterdzieści funtów i mierzył chyba sześć cali więcej niż ja. Przysiadłem i zacząłem walić go w brzuch i w twarz. Odskokczyłem, poczekałem, aż wstanie, i trzasnąłem go z całej siły między oczy. Krew pociekła mu z nosa i z ust, a potem zobaczyłem, jak uciekał do domu, krzycząc coś, co brzmiało jak „mama”.

Gdy Rupert pobiegł do domu, wujek wyszedł, usiadł koło mnie na werandzie i objął ramieniem.

- Chase, jesteś na mnie zły? Potaknąłem. On objął mnie jeszcze mocniej.

- Chcę, żebyś posłuchał, co mam ci do powiedzenia. Spojrzałem na niego.

- Nie chciałbym, żeby to była recepta na pokonanie wszystkich chłopców w klasie. Zawsze znajdzie się ktoś większy od ciebie. - Pokiwał głową nad moimi stopami. - Najlepsza rzecz, jaką dał ci Bóg, to te dwie stopy. Bóg nie żartował, gdy mówił „nadstaw drugi policzek”, ale nadstawienie policzka to nie to samo co bycie chłopcem do bicia.

Wstał i przebiegł przez werandę prosto na trawnik. To nie była łatwa lekcja. Była jednak jedną z najlepszych. Następnego dnia Rupert przyszedł do szkoły z podbitym i zapuchniętym okiem, którego prawie nie było widać. Po południu w autobusie nie odezwał się do mnie ani słowem i wysiadł na swoim przystanku.

Rozdział 22

W czasie gdy ciocia Lorna poprawiała poduszki w pokoju Sketcha i wkładała jego rzeczy do szuflad komody stojącej przy łóżku, Tommye i Mandy sprzątały w kuchni. Tommye zmywała, zanurzając ręce w wodzie z pianą, a wujek i chłopiec wyszli tylnymi drzwiami. Gadając z Mandy, Tommye nie zwracała zbytnio uwagi na to, co robi, i gdy ponownie wsunęła rękę do wody, syknęła i szybko ją wyjęła. Wzięła ręcznik kuchenny i zawinęła palec, ale krew prawie natychmiast zaczęła przeciekać. Starając się traktować to lekko, podniosła palec do góry i powiedziała: „E.T. dzwoni do domu”⁴⁴. Wzięła następny ręcznik, ale była już ostrożna przy wsadzaniu ręki do poobiednich resztek. Ciocia Lorna wyjęła z kredensu apteczkę pierwszej pomocy, a z niej bandażę, plastry i kawałki gazy. Wujek przyglądał się temu, natomiast Sketch podszedł do Tommye i pociągnął ją za rękaw podkoszulka. Dziewczyna spojrzała na niego i powiedziała:

- To nic, rozcięłam go o nóż, który leżał na dnie zlewu - przygryzła wargę. - Był trochę ostry.

Sketch pociągnął jej rękę i wyciągnął szyję, żeby lepiej zobaczyć ranę. Ona jednak trzymała rękę z dala od niego, przeniosła ją nad zlew i mocniej zawiązała ręcznikiem.

- Buddy, lepiej sama sobie z tym poradzę.

⁴⁴ E.T. (Extra Terrestrial) - stwór pozaziemski z filmu Stevena Spielberga o takim właśnie tytule. Kontaktował się z domem, podnosząc palec do góry, a wtedy jego opuszek zaczął świecić.

Odsunął się i zwiesił głowę, jakby coś przeszkrobał. Tommye przykłęknęła przy nim, ciągle dociskając ręcznik, i złapała z nim kontakt wzrokowy.

- Jesteś słodki. Dziękuję ci. Na pewno wiesz niejedno o takich sprawach. Ale... ja mam wszy.

Wujek poklepał go delikatnie po ramieniu i podszedł do dziewczyny.

- Wszyscy usiądźcie, to nie potrwa długo. - Zdjął jej z palca gazę, odkręcił tubkę z maścią antybiotykową.

- Ty też nie jesteś mile widziany - syknęła Tommye przez zaciśnięte zęby.

Posmarował jej palec wskazujący maścią, potem potrzymał gazę, a ona owinęła ją wokół przeciętego palca.

- To skaleczenie może wymagać założenia szwu.

Tommye przyjęła pomoc, gdy zdała sobie sprawę, że jednak była potrzebna, ale patrzyła z dezaprobatą. Gdy palec został zabandażowany, wujek objął ją ramieniem i mocno przytulił, tak jak robią to ludzie sobie bliscy. Pokiwała głową.

- Wiesz, że nie jesteś za stary, żeby złapać wszy. Przytaknął.

- Tak, ale kiedy raz się już było martwym, nic nie jest straszne.

Sketch wziął prysznic, a wujek posmarował mu plecy tą samą maścią antybiotykową, jaką położył na zranionym palcu Tommye, i chłopiec od razu poszedł do łóżka. Lorna dała mu piżamkę Spidermana, która chyba mu się spodobała. Co prawda krótkie rękawy sięgały mu za łokcie, a spodenki za kolana, ale Lorna uśmiechnęła się do niego.

- Dorośniesz do niej.

Wujek zgasił światło, zostawił otwarte drzwi i zdjął z nich krowi dzwonek. Usiadł na łóżku chłopca, trzymając go w rękach.

-To jest dla krowy. Wiesz się go jej na szyi, jeśli chce się wiedzieć, gdzie jest, choć się jej nie widzi - zadzwonił delikatnie. Dzwonek wydał niski metaliczny dźwięk. - Może on służyć również za dzwonek o północy, gdybyś potrzebował czegoś ode mnie albo od cioci Lorny. - Położył dzwonek na nocnym stoliku. - Po prostu go użyj, jeśli trzeba, dobrze?

Sketch pokiwał głową, ale jego oczy były szeroko otwarte i nie było w nich zbyt wiele ochoty na sen. Tommye, Mandy, ciocia Lorna i wujek usiedli na tarasie, cicho rozmawiając, mając nadzieję, że Sketch będzie na tyle zmęczony, iż sam uśnie. Pół godziny później poszedłem zajrzeć do jego pokoju, ale oczy miał tak samo szeroko otwarte jak wcześniej. Wróciłem więc na taras i zdałem relację. Wujek kiwnął głową i wyszedł głównym wejściem, uśmiechając się.

- Co on zamierza zrobić? - zapytała Mandy.

- Odprawi taniec deszczu z południowej Georgii.

Jakaś minutę później usłyszeliśmy dźwięk kropli uderzających w cienki metalowy dach nad pokojem Sketcha i dach werandy. Odgłos stawał się coraz głośniejszy. Gdy wujek wrócił na taras i usiadł z nami, miał przemoczone czubki butów.

- O co tu chodzi? - dopytywała się Mandy.

Tommye usiadła na kanapie z podwiniętymi nogami i powiedziała:

- Wujek Willee nie potrafi śpiewać kołysanek, więc improwizuje.

Dwie minuty później znów skradałem się za róg, by zajrzeć do pokoju Sketcha. Wyglądał jak jedno z tych dzieci, które matki pchają w wózku przez trzy godziny przed sobą po centrum handlowym. Jedna stopa sterczała mu spod kołdry, a ślina ciekła z kącika ust. Podciągnąłem kołdrę, aż przykryła ramiona i ręce, które złożone były w pozycji obronnej, zakrywając brzuch i notatnik.

Następnego ranka Sketch wcześniej się obudził i zastał mnie samego w kuchni. Wszedł, szurając nogami, z zaspanymi oczami i usiadł przy stole, przerzucając kartki swojego notesu. Popchnąłem pudełko z płatkami w jego kierunku, a potem postawiłem przed nim miskę. Wsypał sobie trochę cheerios, pomieszał z rodzynkami i nalał mleko. Potem podszedł do szuflady, wyjął łyżkę i jedliśmy w ciszy, co chyba mu odpowiadało.

Rozdział 23

Zbliżała się pierwsza Gwiazdka, odkąd mieszkałem z ciocią i wujkiem. Ponieważ dzieci lubią marzyć, spędziłem masę czasu, wyobrażając sobie, że pojawia się mój tata, teraz zredukowany jedynie do głosu, w przebraniu Świętego Mikołaja, niosąc paczki, uśmiechając się, i że już tu zostaje. Wujek powiedział mi, że rozprawdzili od Charlotte do Miami ogłoszenia mówiące o moim zaginięciu. Wiedziałem, że musiał je przeczytać. On też to wiedział.

W dzień Bożego Narodzenia, tuż przed obiadem, ktoś zapukał do drzwi. Stałem na krzeselku przy blacie, pomagając cioci Lornie kroić ziemniaki i marchewkę. Usłyszałem pukanie, twarz mi się rozjaśniła i pobiegłem do drzwi, o mały włos nie wywracając po drodze wujka. Otworzyłem je szeroko i zrobiłem wielkie oczy, zobaczywszy stojącą na progu starszą kobietę z okularami zwisającymi na sznurku. Stała tam z papierem do pakowania pod pachą i uśmiechem przyklejonym do twarzy. Otworzyłem szerzej drzwi i rozejrzałem się wokół.

- Gdzie on jest?

Spojrzała, trochę speszona, i sięgnęła po moją rękę, by ją uścisnąć.

- Cześć... ty musisz być Chase.

- Gdzie on jest? Czy on się schował? - Wybiegłem na werandę, stanąłem na schodach i przyłożyłem rękę do ust. - Tato! - Nikt nie odpowiedział, więc krzyknąłem znowu: -Taaaaatoooooo!

- Czy jest tu pan McFarland?

- Jestem William McFarland. - Wujek pojawił się w drzwiach.

- Witam, jestem...

Nie słyszałem, co powiedziała. Biegałem w kółko, szukając jego półciężarówki, bo wiedziałem, że mój tata nie przyjechał po mnie żółtym buickiem. Tymczasem oni cicho rozmawiali. Wujek wciąż kiwał głową. Pobiegłem do domu, żeby spojrzeć na podwórze z pewnej odległości, i usłyszałem, jak ona używa słowa „zakończenie”. Potem uścisnęli sobie ręce i kobieta wyszła, wsiadła do swojej żółtej łodzi podwodnej i odjechała. Wujek usiadł na najwyższym stopniu schodów i pokazał mi miejsce koło siebie. Usiadłem po przeciwnej stronie niż leżący obok niego plik papierów, który przyniosła kobieta. Wujek położył mi rękę na ramieniu.

- Chase, pamiętasz, jak mówiliśmy ci o tym ogłoszeniu we wszystkich gazetach?

- Tak, pamiętam.

Wyciągałem szyję, żeby zobaczyć, co takiego blokuje mi widok na podjazd.

- Cóż - podrapał się po głowie i westchnął - w przypadku, gdy nikt nie odpowie na ogłoszenie, stan staje się twoim rodzicem z ramienia prawa.

- Dlaczego? Ale...

- Dokładnie oznacza to...

Wiedziałem, co to znaczyło, i nie chciałem tego słuchać. Zbiegłem z werandy, przeskoczyłem przez ogrodzenie pastwiska, a potem przez pastwisko w ciemność, w kierunku autostrady. Gdy dotarłem na drugą stronę pastwiska, wskoczyłem na ogrodzenie i siadłem na nim jak na krześle obrotowym. Mogłem stamtąd patrzeć na wschód i na zachód, ale autostrada była ciemna, a nocne powietrze chłodne. Otuliłem się ubraniem, a mój pot zamienił się w lód. Kilka minut

później przyszedł wujek i oparł ręce na ogrodzeniu. W jednej trzymał pusty słoik z dziurkami w zakrętcie. Stał tak dobrą chwilę, obracając go. Wewnątrz pojedynczy światełko poderwał się do lotu. Co pięć, sześć sekund zapalał latarenkę. Wujek obracał słoik w ręce.

- Naukowcy powiadają, że te owady wytworzyły taką umiejętność w ciągu milionów lat - pokiwał głową. - A ja myślę, że to bzdura. Nie wierzę w to, że zwierzę może tak sobie zechcieć nagle, że będzie mu się teraz świeciło światełko umieszczone na zadku. Co to za nonsens? Zwierzęta nie świecą, Bóg tak - wskazał na gwiazdy. - Nie wiem jak i dlaczego, ale jestem przekonany, że tak właśnie jest i że to nie przypadek. To nie zabawa, którą się zajmuje w wolnym czasie.

Spojrzał na mnie i wyraz jego twarzy zmienił się z lekkiego zdziwienia w całkowitą pewność.

- Chase, nie wierzę w przypadki. - Podniósł słoik do góry. - To przecież nie przypadek, nie są nim też gwiazdy.

Cierpiałem wewnętrznie. Nawet w świetle padającym na moją twarz nie można było zobaczyć jak bardzo. Wujek poklepał mnie delikatnie po piersi.

- I ty też nie jesteś przez przypadek. Jeśli więc twój umysł ci podpowiada, że Bóg się pomylił, pomyśl wtedy o światełku tego robaczka.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, który ogarnął mnie całego - od żołądka po zębra - i w końcu wydostał się ustami, zabierając z sobą cały mój ból. Wujek był w tym dobry: rozśmieszył mnie i ból zniknął.

Wracał przez pastwisko, na rozgrzewkę robiąc szerokie ruchy rękami. Powietrze nad nim rozświecłały pomarańczowe i żółte gwiazdki. Co kilka sekund jedna rozbłyskiwała wyrzucona w powietrze, robiąc kółka, a potem zniknęła zastępowana przez następną. Wujek gonił te kółka, odkręcając

zakrętkę, podstawiając słoik i zakręcając zakrętkę. Parę minut później był z powrotem, niosąc niebo w słoiku. Dał mi je. Mój własny kawałek Mlecznej Drogi. Postawiłem słoik na ogrodzeniu i usiadłem wygodniej, przyglądając się świetlikom przez szkło. Wujek przez kilka minut milczał. Przyglądał się autostradzie, aż gdzieś daleko ukazały się pojedyncze światła, które zbliżały się w naszym kierunku. To był frachtowiec zawijający o jedenastej piętnaście do portu w Brunswicku. Usłyszeliśmy też odgłos podobny do dźwięku rogu, głuchy, złowieszczy. Wujek wyjął z tylnej kieszeni poskładane papiery i zapalił zapalniczkę, pocierając nią o ogrodzenie, na którym siedziałem. Przytrzymał ją pod papierami i odwrócił tak, aby płomień dostał się pomiędzy kartki. Położył mi rękę na ramieniu, rozpuszczając lodową warstwę w tym miejscu. (My papiery zaczęły go parzyć, upuścił je na trawę i patrzył, jak powoli zamieniają się w popiół. Odwrócił mnie do siebie, położył mi ręce na kolanach i spojrzał na mnie.

- Chase... to nic nie znaczy.

Ogień na moment rozpałił się intensywnie i papier zamienił się w popiół, który został szybko rozwiany przez wiatr, jak pyłek ze skrzydeł motyla.

- Absolutnie nic - dodał.

Tamtej nocy, leżąc w łóżku, patrzyłem na gwiazdy zamknięte w słoiku, które rozświetlały mój pokój krótkimi rozbłyskami. Zanim wujek zgasił światło, kucnął obok mojego łóżka, a że zrobiło się zimno, opatulił mnie i odgarnął mi włosy z twarzy.

-Jestem najzupełniej pewny, że gdyby twój tata przeczytał ogłoszenie, odpowiedziałby na nie. Jeśli chodzi o mnie, to bez względu na to, co mówią władze stanowe, zawsze może to zrobić. - Postukał w zakrętkę. - Jeśli Bóg jest w stanie stworzyć świetliki, których pupa świeci jak gwiazda, to myślę, że wszystko inne też jest możliwe. Wszystko.

Rozdział 24

By trochę pomóc w aklimatyzacji Sketcha, zaproponowałem wujkowi, że będę w pobliżu, a może nawet zabiorę go z sobą do pracy, jeśli zechce ze mną pojechać. Przyglądałem mu się, jak je płatki śniadaniowe, gdy do kuchni weszła trochę zaspana Tommye. Wyjęła sok pomarańczowy z lodówki, nalała sobie do szklanki i usiadła przy stole, opierając się o mnie ramieniem. Odezwała się, wcale na mnie nie patrząc.

- Podoba mi się Mandy.

Wyprostowała się i skrzyżowała nogi. Twarz miała bladą, a oczy jakieś szkliste.

Położyłem jej rękę na przedramieniu, ale ona się odsunęła. Wciąż miała gorączkę.

- Jak się czujesz? Wzruszyła ramionami.

- Muszę pojechać dzisiaj do miasta i chciałam cię zaprosić na lunch, wchodzisz?

- Odpowiesz na moje pytanie czy będziesz udawać, że nie słyszałaś?

- Zabierzesz mnie na ten lunch czy mam o to poprosić obecnego tu Spidermana?

Chłopiec, którego głowa podczas naszej rozmowy kręciła się z jednej strony w drugą, spojrział na mnie, unosząc brwi. Chciał wiedzieć, czy dobrze zrozumiał, co Tommye powiedziała.

Zapytałem go, czy lubi barbecue. Spojrział na Tommye, która pokiwała głową za niego, a potem napisała tajemniczą

wiadomość na serwetce i podsunęła mu ją. Przeczytał, pokiwał głową, odwrócił serwetkę i przesunął ją w moją stronę, a potem zastukał dwa razy. Wiedziałem, co tam było. Odkąd Tommie i ja byliśmy na tyle duzi, by nawzajem podwozić się do szkoły, ponieważ oboje gustowaliśmy w barbecue, chodziliśmy czasem do Hawg Heaven. Chłopiec spojrzął na serwetkę i znowu zastukał dwa razy.

- Dobrze, dobrze, za pierwszym razem cię słyszałem.

Usiadł prosto. Tommie uśmiechnęła się do niego i puściła oko. W jednym momencie chłopiec urósł o dwa cale. Gdy wychodziliśmy, nagle jak spod ziemi pojawił się wujek i zawołał:

-Hej!

Sketch spojrzął na niego.

- Mam dziś trochę roboty i myślałem, że mi pomożesz. Sketch zerknął na mnie, prosząc o pozwolenie pozostania

w domu, a jednocześnie chciał wiedzieć, czy zabiorę go do Hawg Heaven innym razem. Uśmiechnąłem się.

- Dobra, pojedziemy innym razem. Wujek położył rękę na ramieniu Sketcha.

- To dobrze, bo oni muszą odbyć rozmowę dorosłych.

Hawg Heaven położone jest na północ od drogi wyjazdowej z Brunswicku w kierunku St. Simon Island. Restauracja słynie z dań z wieprzowiny i frytek, jest popularnym miejscem spotkań. Usiedliśmy w zacisznym kącie nieco z boku, Tommie tyłem do reszty i wciąż mając okulary przeciwsłoneczne na nosie, nawet gdy podano nam mrożoną herbatę. Nachyliłem się w jej stronę.

- Niezbyt tu jasno. Pokiwała głową. -Aha.

Gdy już zamówiliśmy dania, zauważyłem pięciu facetów w koszulach i krawatach siedzących przy stoliku na środku sali, którzy szeptali coś, patrząc w naszą stronę. Zauważyłem też, że i wcześniej, i teraz któryś z nich wydawał z siebie odgłosy podobne do śmiechu hieny. Kalka minut później najwyższy i najlepiej zbudowany z nich podszedł do naszego stolika i usiadł obok Tommye, przytykając ramię do jej ramienia. Rzucił na środek stołu swoją wizytówkę. Był zdenerwowany - zdradził go głos.

- Założyłem się z kolegami o sporą sumkę, że przyjdę tutaj i powiem ci, że widziałem sporo twoich filmów, i proponuję, byś wystąpiła ze mną w jednym z podobnych.

Tommye spuściła okulary do połowy nosa, lekko się odwróciła i zauważyła obrączkę na palcu tego kolesia. Miała na sobie sweter, a i tak wyglądała na zmarzniętą. Cienie pod oczami stały się jeszcze ciemniejsze. Patrzyła na mnie, ale mówiła do niego.

- Był czas, że uznałabym to za komplement, ale to tylko świadczy o tym, jak nisko się wtedy ceniłam. - Poklepała palcem jego obrączkę. - Idź do domu, do żony i spal te filmy.

Odwrócił się, spojrział na kolegów, którzy chichotali przy stoliku, a potem zwrócił się do Tommye, kładąc jej rękę na biodrze.

- Och, lubię, gdy mówisz mi takie świństwa. Przeczytała jego wizytówkę i spojrzała na stolik za nami.

- Robert... masz pieniądze?

Rzucił na stół spięty klipsem plik banknotów. Zwitek był lepki, Thomas Jefferson pojawił się na wierzchu. Spojrzała na parking.

- Masz samochód? -Mam.

Położyła ręce na jego ramionach.

- Chodźmy.

Przesunęła okulary z powrotem na garbek nosa i powiedziała do mnie:

- Zaraz wracam.

Robert poderwał się, jakby właśnie wygrał stanowe mistrzostwa piłkarskie, i przepuścił ją przed sobą - jakiś pokręcony południowy odruch gentlemana. Ześlizgnęła się z ławki, zabrała moje kluczyki, podała mi okulary i powiedziała:

- Potrzyj to dla mnie.

- Na pewno wiesz, co chcesz zrobić...

- Spoko, panuję nad sytuacją. - Machnęła na mnie.

Wsunęła kluczyk od stacyjki pomiędzy wskazujący i środkowy palec, uśmiechnęła się sztucznie i dźgnęła Roberta tym prowizorycznym sztyletem w delikatne miejsce poniżej jabłka Adama. Facet, dławiąc się, chwycił się ręką za krtań. To umożliwiło dalszy perfidny atak. Jego jedna ręka zasłaniała teraz krtań, a druga przyrodzenie. Zgiął się wpół. Cztery jego kolesie wstali i patrzyli z szeroko otwartymi oczami, przewracając krzesła. Tommie usiadła okrakiem na Robercie, jakby chciała związać cielę, złapała go za jądra i zgmiotła je, używając kciuka, by wzmocnić efekt. Jedynym krzykiem głośniejszym niż krzyk kelnerki był krzyk Roberta, ale o oktawę wyższy. Tommie pochylila się nad nim i powiedziała tak głośno, że wszyscy zgromadzeni mogli usłyszeć:

- Zrobiłam kilka setek filmów i żałuję... każdego... z nich. Nie obchodzi mnie, czego się naoglądałeś albo o czym marzysz, ale jedyną osobą bardziej pokręconą niż ja jesteś ty.

Jednym brutalnym szarpnięciem podniesionych rąk Tommie spowodowała, że Robert odruchowo zwymiotował jak gejzer.

- Może moglibyście się przez chwilę zastanowić nad tym i zrozumieć, że to wszystko jest sztuczne, wszystko jest kłamstwem, jest złe dla was i dla mnie, wy, śmieci. - Mówiła przez zaciśnięte zęby, powstrzymując łzy, które napływały

jej do oczu już od dłuższego czasu. - Wiecie co? To zło jest gorsze w was niż we mnie.

Spojrzała przez okno na bagno i ocean.

- Jesteście jeszcze gorsi ode mnie.

Rozejrzała się po restauracji, a potem kopnęła Roberta, który uniósł się na kolana. Ponieważ trafiła w żołądek, zgiął się i upadł. Tommye podniosła ze stołu okulary i opadła na ławkę, ześlizgnąwszy się po ścianie. Oparła się o nią i zamknęła oczy. Ciężko oddychała, jej twarz była trupioblada, a ona sama spocona. Usta miała zaschnięte i blade, a język siny. Robert czołgał się po dywanie tylko po to, żeby zastać przy swoim stoliku kucharza z dość długim nożem, pytającego, czy nie odprowadzić go do wyjścia. Chichoczący chłopcy wyszli, kelnerka roznosiła jedzenie. Podała nasze talerze, mówiąc:

- Lunch na nasz koszt.

Upłynęło trochę czasu, zanim dotarło do mnie, co powiedziała Tommye. Jej drzemki, gorączka, cienie pod oczami, przeraźliwa chudość, opryszczka, która stale ją męczyła - wszystko zaczęło składać się w jedną całość. Jedyne, na co było mnie teraz stać, to wpatrywanie się w nią. Czując na sobie spojrzenia wszystkich w restauracji i uświadamiając sobie, że może nadużyliśmy gościnności, Tommye poprosiła kelnerkę, by zapakowała nam nasze porcje na wynos. Potem wyszliśmy, wsiedliśmy do Vicky i położyłem stopę na sprzęgle. W chwili gdy wyjechaliśmy na główną drogę, ruszając w kierunku wyspy, aby potem zygzakiem dojechać do latarni morskiej, wybuchnąłem płaczem, a łzy kapały mi spod okularów na podkoszulek. Tommye oparła się o zagłówek, zmęczona, płytko i miarowo oddychając. Gdy zobaczyła moje łzy, nachyliła się i wytarła je dłonią.

- Hej! - złapała mnie za podbródek. - Każdy musi kiedyś umrzeć. Ja tylko...

Pokręciła głowę, zbladła i wyłączyła się.

Obeszliśmy latarnię, dochodząc do deptaka wiodącego w miejsce, gdzie Altamaha wpada do oceanu. Słońce pięknie błyszczało w lustrze wody. Gdzieś w oddali na płytkiej wodzie, pod samą jej powierzchnią, ostroboki polowały na kielbie. Usiedliśmy na ławce i obserwowaliśmy to poruszenie. Wpatrzony w horyzont zapytałem:

-Ale jak?

Oparła się wygodniej na ławce i położyła mi głowę na ramieniu.

- No dobrze, mam ci powiedzieć całą prawdę czy chcesz, żebym ją trochę podkolorowała? — Przyjrzała się mojej twarzy i stwierdziła: - No dobrze, spróbujmy prawdy. - Skrzyżowała ręce, usiłowała głębiej oddychać, a ja po raz pierwszy usłyszałem świst i gulgotanie.

- To w sumie dość proste. Śpi się z wieloma nieodpowiednimi facetami, zażywa sporo narkotyków, używa nieodpowiedniej igły. Robi się to przez wystarczająco długi czas, no i... gotowe.

- A kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? Wzruszyła ramionami.

- Zamierzałam dzisiaj, ale może niezupełnie w takich okolicznościach. Minęła chwila.

- Ale dokładnie co ci jest? Długa przerwa.

-Trzy różne rodzaje HIV plus hepatitis A, B i C. Są jeszcze inne choroby, ale te są najpoważniejsze.

- Jak długo? Zaśmiała się.

- Już mnie tu nie powinno być.

- A co na to lekarze, nie mogą... Pokręciła głowę.

- Za długo czekałam.

- Cóż, teraz jesteś tutaj. Dlaczego nie mielibyśmy spróbować?

- Bo wirus... albo raczej wirusy... są za silne i konkurują z sobą. Jeśli zaatakujesz jeden rodzaj, drugi się wzmocni i cały proces nabierze tempa.

- Myślałem...

Położyła palec na moich wargach. -Hej!

- Ale dlaczego do tego dopuściłaś?

- Gdy pojechałam do L.A., znalazłam miejsce, gdzie mnie szanowano i poznawano, aczkolwiek była to pokrecona i chora wersja takiego miejsca. Nie musiałam ukrywać tam moich... siebie.

-Ale...

Zarzuciła mi ramiona na szyję i przerzuciła swoje nogi przez moje. Przemawiała do mnie spokojnym głosem.

- Zranione dusze szukają innych zranionych dusz. Gdy się odnajdą, mogą żyć razem. My tam... koiliśmy nawzajem czarne dziury w nas samych. Znalazłam tam rodzinę, ale utrzymanie jej razem wymagało sporo drągów.

Jeszcze jedna łza potoczyła mi się po policzku.

- Chase, to... - Pociągnęła palcem wzdłuż żyły na swojej ręce. - ...to... jest dar.

- Nie dla mnie - zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Chase, mam dość uciekania - spojrzała na północ w kierunku wyspy.

- On już mnie nie może skrzywdzić. Ta dziewczyna, którą kiedyś znałeś... sprzedawałam ją dawno temu za coś, czego nawet nie pamiętam. Robiłam rzeczy... - otrząsnęła się. - Nie chcę już nią być ani nie chcę już dłużej żyć w jej skórze. To skończone.

- Przecież cię odzyskałem.

Pocałowała mnie w policzek, po którym znowu potoczyła się łza.

- Wiem.
- No to dlaczego... Następna długa przerwa.
- Powinnam była... - Odwróciła moją twarz do swojej. - Chase, wróciłam do domu dla ciebie. Nie chcę odejść, żałując czegoś. Światło słońca odbijające się na wodzie było ostre i bolesne. Wstała, ciągnąc mnie za ramię.
- No chodź, zabierz mnie na przejażdżkę.

Rozdział 25

Tommye zawsze miała głowę do liczb. W pierwszej klasie pierwsza kończyła sześciosekundowy quiz z matematyki. W czwartej była dobra, gdy weszła algebra, a w szkole średniej napisała wielki test z matematyki na piątkę. Gdy my dodawaliśmy liczby, ona je widziała jak kawałki w trójwymiarowej układance.

Dorastałem, czytając artykuły sportowe na temat wzlotów i upadków zawodników i ich drużyn. Tommye czytała te same wiadomości i wyłuskiwała z nich takie informacje, na które ja w ogóle nie zwracałem uwagi. Znała wyniki pałkarzy, zdobyte bazy w procentach, wygrane i przegrane - całe tabele wyników. Mogła wymieniać je z pamięci, nie ucząc się, a tylko rzucając okiem.

W czasie śniadania przypominałem historie o upuszczonej piłce przez najlepszego gracza ligi albo mecz z dziewięcioma rundami, albo niespodziewane zwycięstwo miotacza, który zaliczył stumetrowy bieg na olimpiadzie. Tommye siedziała po turecku, jej płatki śniadaniowe robiły się miękkie, a gdy tylko dałem jej dojść do głosu, uzupełniała i poprawiała, ile to zaliczeń bazy upuścił przyjmujący, ile razy pałkarz uderzył, zdobywając później bazę domową, i jak od sekund zależało trzecie i czwarte miejsce. Drugi w kolejności po jej fotograficznej pamięci był jej entuzjazm. To, że zna te informacje i w razie potrzeby może uzupełnić luki naszej wiedzy, dawało jej tyle zadowolenia co mnie zajęcia z dramatu. Często wieczorami, gdy wujek i ciocia oglądali mecz, pozwalali nam ściszyć głos telewizora i sami zostawialiśmy prezentera-

mi rozgrywki. Ja komentowałem każdy szczegół, a Tommy mówiła slangiem kolorowych. Nie pamiętam, żeby wujek kiedykolwiek lepiej się bawił.

Dla niektórych chłopców Turner Field⁴⁵ był lepszym miejscem niż Disney World. Na pewno był taki dla nas, dla wujka i dla mnie. Kiedyś nazywał się Fulton County Stadium - to ten sam stadion, tam grali Bravesi. W 1991 roku po długim czasie, który wujek nazwał okresem „wysysania mądrości z cycka”, Bravesi wreszcie poskładali wszystko w jedną całość. Cała Georgia wołała o głowę Bobby ego Coxa, kiedy przehandlował Dale'a Murphy ego do Philadelphia Phillies. Szybko mu jednak wybaczyliśmy, gdy do drużyny zostali wprowadzeni Tom Glavine, Steve Avery i John Smoltz, którzy wygrali w pięćdziesięciu rozgrywkach. Na boisku też się zaczęło dobrze dziać: postarali się o to Dave Justice, Ron Gant, Francisco Cabrera, Mark Lemke, Gregg Olsen, Sid Bream i najcenniejszy gracz i mistrz pałkarzy Terry Pendleton. Bravesi zaczęli ten sezon powoli, ale uzyskali wynik pięćdziesiąt trzy do dwudziestu ośmiu w ostatnich trzech miesiącach sezonu i wygrali osiem z ostatnich dziewięciu meczów, dystansując Los Angeles Dodgers o jeden mecz.

Po pokonaniu Piratów⁴⁶ w siedmiu meczach w NLCS⁴⁷ Bravesi znaleźli się razem z Minnesota Twins w rozgrywkach World Series⁴⁸. ESPN⁴⁹ orzekła, że zawody będą się

⁴⁵ Turner Field - stadion sportowy w Atlancie w stanie Georgia.

⁴⁶ Pirates - zespół z Orlando na Florydzie.

⁴⁷ NLCS (National League Championship Series) - Mistrzowskie Rozgrywki Ligi Narodowej.

⁴⁸ World Series - jest to trofeum baseballowe, o które walczą zwycięzca National League (Narodowej Ligi) oraz American League (Amerykańskiej Ligi).

⁴⁹ ESPN (Entertainment and Sports Programming Network) — amerykańska całodobowa stacja telewizyjna poświęcona sportowi.

zaliczały do najlepszych rozgrywek, jakie kiedykolwiek miały miejsce, bo pojedynczy bieg miał rozstrzygnąć o wyniku pięciu z siedmiu meczów. Obejrzelśmy wszystkie dziesięć rund siódmej rozgrywki i rozpaczaliśmy przez tydzień po jej zakończeniu.

Potem nadszedł cud roku 1992.

To był sezon Kopciuszka.

Bravesi rozegrali sześć meczów z Piratami i sprawili, że rozgrywki powróciły do Atlanty. Gdyby wygrali, mieliby zapewniony powrót do World Series, a gdyby przegrali... cóż, nosiłbym się na czarno przez następny miesiąc.

W jakiś sposób wujek zdobył cztery bilety na ten mecz i nigdy nie zapomnę gościa, który siedział obok mnie i rozmawiając przez telefon komórkowy, powiedział komuś po drugiej stronie, że zapłacił dwa tysiące osiemset dolarów za dwa bilety. Wujek nie zdradził, skąd miał bilety, wiedzieliśmy jedynie, że zdobył je legalnie i że nie zapłacił za nie ani centa. To nawet dobrze, bo inaczej nieźle by mu się dostało od cioci Lorny.

Rankiem 14 października 1992 roku spojrzałem w lustro i uśmiechnąłem się do siebie jak kot z Cheshire⁵⁰, a potem włożyłem na siebie wszystko, co miałem, a co dotyczyło Bravesów. Nie poszedłem tego dnia do szkoły. Pojechaliśmy do Żuta, do wujka Jacka, żeby zabrać Tommye. Wyszła w dzinsach, pogniecionym podkoszulku z długimi rękawami, jej oczy zaciemniał makijaż. Założyła czapkę, która nie miała nic wspólnego z baseballlem. To powinna być dla mnie pierwsza wskazówka.

Przyjechaliśmy na miejsce wcześniej, wzięliśmy program, przyglądaliśmy się rozgrzewce przez ogrodzenie, a tuż przed rozpoczęciem gry wspięliśmy się do naszych foteli, które

⁵⁰Kot z Cheshire — postać z *Alicji w krainie czarów* Lewisa Carrolla.

znajdowały się czterdzieści rzędów ponad miejscem, z którego pałkarz wybija piłkę. Kluczowe było to, że mieliśmy doskonałą widoczność na bazę-metę. Wcinaliśmy hot dogi, corn dogi, popcorn, colę, precle i lody, wszystko, co przynosił wciąż pojawiający się roznosiciel. Zanim zaczął się mecz, byłem umazany musztardą od ucha do ucha, miałem wysoki poziom cukru i kofeiny w organizmie, a brzuch tak wzdęty, że się w nim przelewało i robił okropny hałas. Gdzieś około czwartej rundy zorientowałem się, że Tommye nic nie jadła. Początkowo pomyślałem, że tak wszystko przeżywa, buja w obłokach, ale przechodziły następne rundy i ja o mało nie wyskakiwałem z emocji ze skóry, ona zaś coraz bardziej zasklepiiała się w swojej skorupie. Tego wieczoru, który był dla wszystkich historycznym wydarzeniem związanym z Brave-sami, Tommye nie podała z własnej woli nawet jednej liczby. Nie była to z jej strony złośliwość czy złość i odpowiadała, gdy ją o coś zapytałem, ale często nie wiedziałem, jak zapytać, by uzyskać informację. Gdy przyszła pora na przerwę w trakcie siódmej rundy⁵¹, Tommye nie śpiewała z nami.

Piraci uzyskali przewagę dwa do zera, doprowadzeni do dziewiątej rundy przez swego asa, miotacza Douga Drabka. Spojrzałem na tablicę wyników i pokręciłem głową z niedowierzaniem. Piraci byli trzy auty od przejścia do finału, a my tyle samo, ale od... powrotu do domu. Wtedy siła napędowa Bravesow - Terry Pendleton, zaliczył drugą bazę. David Justice zaliczył bazę po błędzie łapacza, a potem Drabek obszedł bazy. Zauważywszy problem, manager Piratów Jim Leyland ściągnął Drabka z boiska i zastąpił go Stanem

⁵¹ The seventhinning stretch (przerwa w trakcie siódmej rundy) to tradycja w baseballu i ma miejsce w połowie tej rundy. Dla graczy to krótki odpoczynek, a dla widzów chwila na rozprostowanie kości i przekąskę.

Belindą. Belinda odpuścił bieg po ofiarnym locie Rona Ganta, ale przyczynił się do uzyskania przez Piratów dwóch autów.

W poprzedniej rundzie kupiłem i zjadłem drugiego loda na patyku. Do czasu gdy do gry wszedł trzeci z kolei łapacz Francisco Cabrera, zgryzłem patyk na miazgę. Nie miałem wtedy nadziei, do czego się już przyznałem, i prosiłem setki razy o przebaczenie, ponieważ okazało się, że Cabrera doprowadził do wyniku dwa do jednego po rzucie Staną Belin-dy na lewe pole i zaliczeniu punktu przez Davida Justice'a.

Napięcie sięgnęło zenitu, gdy Sid Bream dobiegł do trzeciej bazy i konieczne były dodatkowe rundy. Wtedy stało się coś niezwykłego. Sid Bream był wysoki i ciężkawy jak na gracza i jak mawiał wujek, mógł biegać cały dzień, ale w cieniu drzew. Tak było, dopóki nie zdobył trzeciej bazy. Piraci zostawili gracza lewego pola i ewentualnego kandydata do tytułu najlepszego gracza ligi Barry ego Bonds, który wybił piłkę ze swojego pola, gdy Bream rzucił się do biegu w kierunku bazy domowej. Cały stadion wstrzymał oddech, trzymając kciuki, by Sidowi się powiodło. Zarówno rzut Bonds, jak i bieg Sida były jak wystrzał rakiety. Sid i piłka dotarli do bazy jednocześnie. Łapacz Mike LaValliere złapał piłkę, wyciągnął rękę i Sid rzucił się, by dotknąć bazy. Ten rodzaj ruchu dotąd znany jest w świecie baseballu jako ślizg.

Komentator Bravesów Skip Caray, stojąc w swoim stanowisku dla prasy, podniesionym głosem krzyczał:

- Wymach, piłka leci z lewego pola! Jeden bieg zaliczony. Nadchodzi Bream! Rzucił się na ziemię! Jest uratowany! Bravesi wygrywają! Bravesi wygrywają! Bravesi wygrywają!

Widownia oszalała. Ludzie się ściskali. Zawodnicy z ławki rezerwowych otoczyli Sida w bazie domowej, a potem zaczęli się ściskać, rzucając na siebie, aż powstał stos kotłujących się ludzi. Obaj z wujkiem długo krzyczeliśmy z radości.

Ucieszeni fani biegali po zewnętrznym pasie boiska, a nad głowami zaczęły nam rozbłyskiwać fajerwerki. Nigdy w życiu nie widziałem tylu szczęśliwych ludzi w jednym miejscu. Oprócz Tommye. Ona znikła. Pojawiła się dwadzieścia minut później, mówiąc, że była kolejka do toalety.

W drodze powrotnej dałem dojść do głosu tej części mnie, która zadawała pytania. Miałem dwa: kto o zdrowych zmysłach wychodzi do toalety w takim momencie gry, zwłaszcza że Tommye nic nie jadła ani nie piła, od chwili gdy zabraliśmy ją rano z domu. Dlaczego tak pilnie potrzebowała łazienki? Spojrzałem w ciemnościach na tylne siedzenie i obserwowałem ją. Gdy mijaliśmy światła uliczne albo mijał nas samochód, cienie ją zdradzały. Pomiedzy tymi błyskami zobaczyłem twarz małej dziewczynki, która uciekła do nas z Żuta w nocy w nocnej koszuli.

Rozdział 26

Pojechałem z Tommye na północ wyspy, przez chronioną bramę na Sea Island i tereny klubu sportowego. Gdy dotarliśmy do domu wujka Jacka, powiedziała:

- Zaraz będę z powrotem.

Otuliłem się kapturem, gdy Tommye otworzyła drzwi i pobiegła na górę pomimo głośnych protestów nieznanej mi sprzątaczkii, a trzy minuty później zbiegła na dół. Miała z sobą worek z rzeczami. Uśmiechnęła się. Pomachała przez ramię wciąż krzyczącej pani, wsiadła do Vicky i zarządziła:

- Jedźmy.

Byłem pewien, że zatrzymają nas przy bramie, i miałem rację. Strażnik wyszedł z domku, wyciągnął przed siebie wielką rękę i powiedział:

- Przepraszam, ale czy zechciałby pan wysiąść z samochodu?

Gdy to zrobiłem, podszedł do auta od strony Tommye i dodał:

- Pani także.

- Kochany, powinieneś się bardziej postarać - odparła na to Tommye.

Otworzył drzwi i sięgnął po nią.

- Właściciele zaraz tu będą wraz z policją i z tego co wiem, chcą was oskarżyć o włamanie i kradzież.

- Ach, tak - Tommye uśmiechnęła się i kiwając głową, zadzwoniła mu przed nosem kluczami i prawem jazdy. - Jak

mogłabym być oskarżona o włamanie do własnego domu? A skoro jest mój, to o jakiej kradzieży mówimy?

- Czy mogę prosić?

Podawała mu prawo jazdy, a on sprawdził, że nazwisko i adres zgadza się z nazwiskiem i adresem ojca.

- No, dobrze.

- Wsiadaj do samochodu, Chase - zwróciła się do mnie Tommye.

Strażnik nieco się odsunął, a ja zrobiłem to, co chciała. Mężczyzna oddał jej prawo jazdy i klucze.

- Proszę powiedzieć mojemu tacie, że zostawiłam kilka rzeczy. Wkrótce wrócę - rzuciła.

- Dobrze, proszę pani.

- A teraz może pan otworzyć bramę. Otworzył bramę i przejechaliśmy.

- Czy możesz mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytałem.

- Jeszcze nie, ale przyjdzie na to czas. Teraz jedźmy do starego domu - odrzekła i roześmiała się.

- To znaczy gdzie?

- No, do domu w Żuta.

- Do niego też masz klucze?

- Albo coś innego. - Znów się uśmiechnęła.

Wujek Jack wyprowadził się z Żuta wkrótce po odejściu Tommye. Wybudował dom na Sea Island i dom w Żuta stał od tamtej pory pusty. Trzymano tu jedynie konie, ale teraz został tylko stary koń o imieniu Little Bubba, syn Big Bubby, który musiał mieć ze dwadzieścia lat i nie było w nim nic małego. Miał jakieś siedemdziesiąt cali w kłębie i nosił na czterech kopytach ciężar tysiąca dwustu funtów. Mieszkał na pastwisku, patrzył na samochody przejeżdżające stąd do Jesup i z powrotem i pewnie marzył o dniach, gdy Tommye i ja jeździliśmy na nim na oklep przez Żuta. Nie wiem, dlaczego

wujek Jack dotąd go trzyma, ale ma to chyba coś wspólnego z wujkiem Willeem.

Podjechaliśmy z Tommye do zardzewiałej bramy. Pchnąłem ją lekko zderzakiem. Rdza posypała się, a brama otworzyła. Wzdłuż podjazdu rosła zachwaszczona trawa wysoka po pas, a dom dopraszał się o malowanie. Wszędzie widać było osypujące się płatki farby. Drzwi wejściowe od dołu przegniły od zbierającej się pod nimi wody.

- Masz latarkę? - zapytała.

Wyjąłem latarkę ze środkowego schowka w samochodzie i podałem jej. Tommye włożyła ją do kieszeni i długo wpatrywała się w dom. Nie odwracając się do mnie, zapytała:

- Pamiętasz mojego brata?

Peter był jeszcze jedną zagadką. Nigdy go nie widziałem, bo postrzelił się w głowę niedługo po moim wprowadzeniu się tutaj. Czasem o niego pytałem, ale nikt nie miał nic do powiedzenia, jedynie wzruszano ramionami.

Wskazała na okna piwnicy.

- Umarł w tamtym pokoju.

Tommye zwracała się do mnie, ale nie oczekiwała odpowiedzi. Nasuwały mi się kolejne pytania, ale to nie był dobry moment, by być dziennikarzem. Podeszła pod ścianę i podniosła cegłę leżącą pod jakimś rozbitym naczyniem, następnie skierowała się do drzwi, zajrzała do środka przez szybę i wprawnym ruchem rzuciła cegłę, rozbijając szkło. Włożyła rękę przez otwór, otworzyła drzwi i weszła do środka. Ze skrzyżowanymi ramionami rozglądała się wokół. W środku czuło się wilgoć, a na ścianach widać było czarne, duże ogniska pleśni. Tej niezdrowej, której nie powinno się wdychać. Tommye zakryła usta, naciągając sweter, i podeszła pod schody. Otworzyła wielkie, ciężkie drzwi, zapaliła światło i zeszła na dół. Czuć było stęchliznę, pompa ściekowa przestała pracować w tym domu już dawno temu.

Betonowa podłoga zalana była wodą. Tommie stała na podeście schodów oparta o ścianę. Zapaliła latarkę i rozglądała się po pomieszczeniu, a ja usłyszałem, jak coś ucieka do dalszej części piwnicy. Półki na wino były wypełnione. Leżało tam chyba ze dwieście butelek nachylonych tak, by korki nie wysychały. Usiadła na najwyższym stopniu schodów i oparła głowę o ścianę. Usiadłem za nią. Czekała. Zapaliła latarkę, podświetlając stary, rozlatujący się skórzany fotel. Większa jego część była albo zjedzona, albo zgniła.

- Jack zwykle przychodził tu i próbował swoich win. Peter był starszy ode mnie o jakieś cztery lata. Był cichy i słabego zdrowia. Miał astmę. Jack kazał mu tu przychodzić i masować sobie stopy, gdy popijał swoje cabernet czy pinot noir. W każdym razie tak się zaczęło. Po jakichś trzech szklankach zostawiał Petera tutaj na dobrą chwilę, a sam szedł na górę. Nie wiedziałam, co się tu dzieje, zanim nie skończyłam ośmiu lat. Nie byłam nawet jeszcze na etapie dojrzewania. Zazgrzytała zębami i otrząsnęła łzy.

- Gdy znudził się Peterem, dobrał się do mnie... Trwało to jakiś rok. Przyprawiał nas oboje tu na dół. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy. Pewnej nocy Jack znów nas tu przyprowadził i gdy on zajmował się mną, Peter wziął jego pistolet i zastrzelił się. - Pokiwała głową. - Policja stwierdziła, że to był wypadek. Wszyscy, cała lokalna społeczność, władze kościelne, biznesmeni i wszyscy inni, bardzo mu współczuli. Jeden z nagłówków w prasie głosił: *Jeszcze jedna tragedia w tragicznym życiu*. Pisali też, jak bardzo cierpiał po stracie żony - westchnęła. - Niektóre kłamstwa głęboko się zakorzeniają.

Odwróciła się i położyła mi rękę na kolanie.

- To właśnie tamtej nocy przybiegłam do was przez całe Żuta.

Wyszliśmy z piwnicy i przeszliśmy przez kuchnię do tylnych drzwi na werandę. Basen był zielony, pływał w nim

szlam. Trawa poprzerała pęknięcia w podłodze tarasu, a płytki powyżej poziomu wody poodpadały. Tommye spojrzała w stronę stajni, skąd Little Bubba spoglądał na nas przed otwór w drzwiach. Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Wiesz co, sprawdź może, co u Bubby, a ja zaraz do was przyjdę.

- Jesteś pewna? Kiwnęła głową.

Poszedłem przez pastwisko do stajni. Bubba powitał mnie obślizgłymi pocałunkami.

- Hej, duży kolego, jak ci się wiedzie?

Był zadbany, wyszczotkowany, kopyta świeżo podkuto. Wujek Willee troszczył się o niego. Wskoczyłem do jego boksu, chwyciłem za widły i zabrałem się za wyrzucanie mierzwy, a on trącał mnie głową. Dorzuciłem mu trochę świeżej słomy, dosypałem kubełek owsa i wyczyściłem samonapełniający się pojemnik na wodę. Kilka chwil później usłyszałem dźwięk silnika Vicky i zobaczyłem, że wysiada z niej Tommye, a potem oparta o maskę samochodu przygląda się domowi. Wtedy i ja dostrzegłem smużkę czarnego dymu. Wspiąłem się wyżej i zobaczyłem, że dym snuje się przez okno w kuchni, wspina, a chwilę później wydobywa się również przez poszycie dachu. Tommye nadal stała oparta o samochód z założonymi rękami, ramiona jej opadły.

- Ty to zrobiłaś? Przytaknęła.

- Nie sędzę, żeby twój tata był z tego zbyt zadowolony.

- Jeszcze niczego nie widziałeś. - Zaśmiała się. Wkrótce dom wyleciał w powietrze, wystrzeliwując

w przestrzeń okna i przesuwne drzwi tarasowe. Szkło rozsypało się po tarasie, wpadło do basenu, a jego ostre fragmenty latały w powietrzu jak bumerangi. Druga eksplozja nastąpiła w głębszej części domu i spowodowała zniszczenie jednej

ściany. Płomienie objęły całą tylną część budynku i w ciągu kilku sekund coś, co wcześniej nazwalibyśmy południowo-georgiańskim dworem, zmieniło się w kulę ognia. Tommye stała niewzruszona, jakby nie obchodziły jej konsekwencje tego, co zrobiła. Ja natomiast miałem już dość niespodzianek jak na jeden dzień. Spojrzałem na autostradę.

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy się tam teraz znaleźć?

- Dlaczego?

- No cóż, twój tata mógłby...

Wsiadła do samochodu i oparłszy się o siedzenie, zamknęła oczy.

- To nie jego dom.

Gdy usłyszeliśmy syreny, włączyłem silnik i zjechaliśmy drogą prowadzącą na tyłach stajni w zarośla Żuta. Spomiędzy drzew patrzyliśmy, jak płomienie sięgają coraz wyżej. Wiatr roznosił popiół, który opadał na nas jak czarny pył wrózek. Płatek spadł Tommye na udo, strzepnęła go tylko i spokojnie obserwowała, jak wali się piętro domu, przygniatając parter.

- Długo czekałam na tę chwilę.

Ponieważ odgłos syren słychać było coraz bliżej, wrzuciłem czwórkę i zjechałem pomiędzy drzewami. Jadąc wzdłuż głównej drogi, przejechaliśmy przez Buffalo, a potem kręciliśmy się bez celu, aż w południowej Georgii zapadł zmrok. Zanim dojechałem do głównej drogi, Tommye już spała.

Zaparkowałem obok stodoły, zaniósłem ją na górę i położyłem do łóżka. Gdy naciągałem jej kołdrę na ramiona, jej skóra była rozpalona. Przyciągnęła moją głowę do swojej i pocałowała mnie w czoło.

- Kocham cię, Chasie Walker.

Wcześniej nigdy nie słyszałem, żeby mówiła takim tonem, ale serce odpowiedziało mi, co ten ton znaczył. Wyłą-

czyłem klimatyzację, zamknąłem drzwi i zszedłem po schodach na dół. Wyszedłem ze stodoły i oddalając się od domu, szedłem w kierunku pastwiska. Gwiazdy rozjaśniały nocne niebo. Zapadła ciemność na zewnątrz i w środku. Dłużej nie mogłem już tego wytrzymać. Oparłem się o ogrodzenie, ukryłem twarz w dłoniach i osunąłem na kolana. Kilka minut później poczułem dłoń na ramieniu. Wytarłem oczy.

- Dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Wujek spojrział w kierunku okna Tommye.

- Ona sama chciała to zrobić, wiedziała, że cię to bardzo dotknie.

- A co... mówią na to lekarze? Wszystkie te nowe leki, o których się słyszy. Nie możemy czegoś zrobić?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Gdy polecałem, żeby ją tu zabrać, lekarze powiedzieli, że już powinna była umrzeć. Z medycznego punktu widzenia jest niezrozumiałe, że to jeszcze nie nastąpiło. Jej system odpornościowy nie jest w stanie zwalczyć nawet kataru.

- Ale przecież nie możemy tak siedzieć... no bo, wujku, pomyśl tylko, siedzimy tutaj teraz i czekamy, aż ona umrze.

- Chase, to dorosła kobieta. Sama o sobie decyduje. - Odwrócił się i wytarł twarz w rękaw, obrócił kapelusz. - Musimy się z tym pogodzić. Pytanie nie brzmi, kiedy to nastąpi, ale jak wykorzystać czas, który nam został.

- To... to jest do dupy!

- Hej! - Ton głosu wujka mnie obudził. - Mamy tam przerażoną dziewczynę, która nas potrzebuje. Naprawdę bardzo nas potrzebuje.

Kiedy w niedzielny poranek słońce wdarło się do pokoju i oświetliło twarz Tommye, ja już nie spałem. Myślę, że w ogóle nie mogłem zasnąć. Mijała godzina za godziną. W końcu Tommye mrugnęła i otworzyła oczy. Żadne z nas

się przez jakiś czas nie odzywało. Wyciągnęła rękę spod kołdry w kierunku mojej głowy.

- Nie powinnam była ci mówić.

Musiałem się dobrze postarać, by odszukać jej oczy.

- Jest wiele rzeczy, których nie powinniśmy robić. Usiadła, wyprostowała się i spytała:

- Pomożesz mi pójść do łazienki?

Pomogłem jej dojść do umywalki, wycisnąłem pastę z tubki, a ona trzymała szczoteczkę. Opuściłem klapę sedesu, by usiadła, a ja umyłem jej zęby. To, co wypluła, miało czerwony kolor.

- Gdyby moje życie było ciągle jeszcze filmem, ta scena powinna się zakończyć upadkiem na podłogę. - Spojrzała w lustro. - Wszyscy jesteśmy jedynie uczestnikami niekończącej się opery mydlanej. Aktorzy się zmieniają, ale historie nie za bardzo. Na pewno nie zmienia się akcja.

Wstała, zarzuciła mi ramiona na szyję, próbując ustabilizować oddech i emocje. Trwała tak przez chwilę i po raz pierwszy w naszym skomplikowanym życiu powiedziała coś, czego ja w swoim egoizmie i ślepym współczuciu nie rozważałem.

- Wiesz, nie tylko ty zostałeś mocno zraniony przez życie. Dziewczynom też się to zdarza, tylko one inaczej sobie z tym radzą. - Przetarła oczy, ujęła moją twarz w dłonie i próbowała się uśmiechnąć. - Teraz kiedy się przekonałam, że choćbym nie wiem co robiła, i tak nie przybioreę na wadze, mogę w zasadzie jeść, co tylko zechcę. A teraz właśnie chcę czekolady.

Czasem mi się śni, że utknąłem w bagnie i że nad moją głową przepływa czarna woda, a całe powietrze zgromadzone w płucach wkrótce eksploduje. Mijają minuty, a światła samochodu wujka nie pokazują się i auto nie wjeżdża na

podjazd. Tuż zanim pochłonie mnie czarna dziura, budzę się, sapiąc, spocony, zwinięty w kłębek przy samym zagłówku i omotany prześcieradłem. Jeszcze w okryciu ze strachu i potu zauważam jednak, że moja głowa wydostała się z wody, a powietrze ma słodki smak. Napętnia mnie. Leżę tak do samego rana, pławiąc się w nim. Sycąc się. Ale żaden jego haust nie jest już tak słodki jak ten pierwszy, złapany zaraz po wydostaniu się na powierzchnię.

Przytknąłem czoło do czoła Tommye i poczułem, że woda zaczyna dosięgać jej głowy. Nie trzymała się dobrze na nogach. Przeszliśmy powoli przez podwórko, ramię w ramię. Stapała lekko, nawet figlarnie.

- Czasem czuję, jakbym stapała po potłuczonym szkle. Przy kuchennym stole siedzieli wujek, ciocia Lorna

i Sketch. Chłopiec jadł płatki z miski i jednocześnie dawał mata wujkowi. Ciocia wstała i podeszła do kuchenki. Miała w rękach łapki do chwytania gorących gamków. Wyjęła z piekarnika funtowe ciasto⁵². Wujek zwrócił się do mnie.

- Dzwoniła Mandy, powiedziała, że wpadnie rano. -Spojrzał na Sketcha. - Jakieś urzędowe sprawy.

Skinąłem głową. Za moimi plecami ciocia Lorna wetknęła świeczki w ciasto i powoli niosła je do stołu. Wujek uprzątnął szachownicę, a ciocia postawiła ciasto przed Sketchem. Dzieciak spojrzał na nią. Ciocia wyjęła zapalki z kieszeni fartucha i zapalając świece, stwierdziła:

- Skoro nie znamy dokładnej daty twoich urodzin, wujek i ja zdecydowaliśmy, że to będzie dzisiaj, pierwszego sierpnia. - Pocałowała go w czoło.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Buddy.

⁵² Funtowe ciasto (pound cake) to tradycyjne ciasto upieczone z funta każdego z czterech składników: mąki, masła, jajek i cukru.

Sketch aż podskoczył na krześle. Patrzył to na ciasto, to na nas.

- Happy birthday - zaintonował wujek, a my się do niego dołączyliśmy. - Happy birthday.

Świecezki rozjaśniały twarz chłopca i wypisany na niej wyraz rosnącej niepewności. Gdy skończyliśmy śpiewać, czekaliśmy, aż zdmuchnie świecezki. Nachyliłem się w jego stronę i szepnąłem:

- Możesz je teraz zdmuchnąć.

-1 pomyśl życzenie - dodała Tommye.

Sketch zamknął oczy, nabrał głęboko powietrza, co sprawiło, że się wyprostował, a potem powoli zdmuchiwał ogień z wierzchołka ciasta. Gdy chłopak opróżnił płuca do końca, z każdej świecy unosił się dymek. Ciocia Lorna przekroiła ciasto, odkroiła spory kawałek i położyła na talerzyku przed Sketchem. Niesamowite nie było to, że zdmuchnął wszystkie świecezki za jednym zamachem albo że trzymał wujka za rękę, gdy to robił, ale uśmiech, jaki temu towarzyszył. Z każdą sekundą robił się coraz pewniejszy, a gdy na chwilę zniknął, Sketch zapominał o kontroli i uśmiech pojawiał się znowu. To był wspaniały uśmiech.

Rozdział 27

W czasie wakacji pomiędzy szkołą podstawową a średnią zorganizowano w mieście, na dwa tygodnie, jarmark. To było coś dla wujka. Spędzał czas, podkuwając konie dla przyszłych kowbojów, którzy przyjechali na rodeo, i czyścił stajnie przed aukcjami i po nich. Także dla mnie był to okres żniw. Mieszkając na przedmieściach Brunswicku, co dla niektórych mogło oznaczać odludzie, właściwie nigdzie nie wyjeżdżałem. Dla mnie wydarzeniem były narodziny cielaka. Jarmark podkreślał moją ciekawość i jednocześnie zaspokajał ją. Całkowicie. Pamiętajcie ten fragment z *Pajęczyny Charlotty*⁵³, w którym Templeton⁵⁴ idzie na jarmark i tak się tam objada, że wraca chory? Tak jest i ze mną, ale szybko o tym zapominam.

W piątek po południu nawoskowałem Vicky i już po zmroku pojechaliśmy z Tommye na jarmark. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale Tommye próbowała zalać robaka, i kupiliśmy butelkę nielegalnego alkoholu. Prawdziwy domowy wyrób. Słuchaliśmy *American Pie* Dona McLeana i pomyśleliśmy, że dobrze byłoby polamentować w ciemności i wznieść toast za świat whisky lub wódką ryżową. Pojeździliśmy na karuzeli, rzucaliśmy piłkami do baseballu w kręgle, strzelaliśmy śrutem do świeczek i jedliśmy watę

⁵³ *Charlotte's Web* - wielokrotnie nagradzana powieść dla dzieci amerykańskiej autorki E.B. White.

⁵⁴ Templeton to imię szczura występującego w tej powieści.

cukrową, hot dogi i nachos, a potem poszliśmy na diabelskie koło. Facet, który je obsługiwał, kręcił kołem i zatrzymywał je, pozwalając, by ludzie wsiadali i wysiadali, igrając w ten sposób z zawartością mojego żołądka. Nie czułem już warg ani twarzy, a sądząc ze sposobu, w jaki mówiła Tommye, ona też nie czuła. Gdy osiągnęliśmy szczyt, pociągnęliśmy ostatnie łyki z butelki, a obsługujący właśnie wtedy zatrzymał maszynę.

To była kropla, która przelała ten dzban.

Ku ogromnemu zdziwieniu Tommye złapałem dźwignię bezpieczeństwa, odchyliłem się i puściłem ogromnego pawia fantastycznym łukiem na sześć czy siedem osób wiszących w swoich koszach poniżej. Muszę dodać, że zanim nastąpiła ta noc, nigdy wcześniej nie piłem alkoholu. Tommye, która mi współczuła, nie pozostała jednak obojętna na to, co robiłem, i wkrótce, zamiast trzymać się barierki i robić to na zewnątrz, zwymiotowała na mnie i do kosza, w którym siedzieliśmy. Zanim prawda dotarła na dół, ludzie wrzeszczeli, co z jakiegoś powodu bardzo rozbawiło i mnie, i Tommye. Śmialiśmy się zatem i dalej wymiotowaliśmy, więc do czasu, gdy dotarliśmy na dół, wszystko było tak zarzygane, iż nadawało się tylko do polania benzyną i podpalenia. Jakoś udało nam się wyjść poza namioty i padliśmy nieprzytomni.

Akurat gdy czułem, jak piła łańcuchowa jeździ po mojej głowie, ktoś kopnął mnie w nogę.

- Dogodziliście sobie, co?

Próbowałem otworzyć oczy, ale słońce się przesunęło. Siedziało tam, kilka cali od mojej głowy, wypalając mi dziurę w siatkówce. Próbowałem przytaknąć, ale fala nudności, jaka mnie dopadła, sprawiła, że tego nie zrobiłem. Podniosłem rękę w geście zatrzymania i powiedziałem.

- Proszę, spraw, żeby świat przestał się kręcić. Wujek nie okazał nam jednak wyrozumiałości.

- Jeśli chcecie żyć pełnią życia, to nie mogę was powstrzymać. I tak nie dałoby to dobrych efektów. Jesteście na tyle dorośli, by podejmować własne decyzje. - Rozejrzał się dookoła i odwrócił głowę od smrodu, jaki od nas zalatywał. - Ale jeśli jesteście w stanie nie spać całą noc i zachowywać się jak para idiotów, równie dobrze możecie pracować cały dzień jak para uczciwych ludzi. A teraz wstawać.

Ton jego głosu dawał nam do zrozumienia, że nie będzie powtarzał. Wstałem, ale ścierpnięte palce sprawiły, że opadłem na kolana. Ręce wylądowały w końskim łajnie. Popatrzyłem na to i potrząsnąłem głową.

- Nie wiem, czemu kręcisz głową, skoro spędziłeś w tym całą noc. Masz to nawet we włosach.

Zabrał nas do stajni, wręczył widły, taczki i wskazał palcem.

- Sprzątnijcie wszystkie, co do jednego, a odpocząć możecie dopiero, jak skończycie robotę.

Spojrzałem na długi rząd boksów stajennych. Była ich chyba setka. Wtedy zdecydowałem, że więcej nie będę robił z siebie głupka. Tommye była jednak zbyt chora. Na jej twarzy zaschło błoto, a włosy przykleiły się do policzka. Wujek odszedł, ona zasnęła, a ja przez następnych siedem godzin zasuwałem, sprzątając końskie łajno i podsypując świeżą ściółkę. W mojej głowie Don McLean pytał o jakieś dobre wieści. Późnym popołudniem wyszedłem ze stajni, by spotkać się z szefem. Podkuwał właśnie przywiązanego konia. Przednią nogę konia trzymał między kolanami, czyścił kopyto z narosłej warstwy rogowej i dopasowywał podkowę. Pot lał mu się z czoła. Czyszcząc kopyto, brudził wszystko dookoła i sam był brudny. Podniósł głowę, spojrzał na mnie i bez słowa ją opuścił. Właśnie miałem wyrecytować formułkę przeprosin, mając w pamięci to, co zrobiłem, gdy do stajni weszło dwóch facetów z butelkami piwa osłoniętymi

szarymi torebkami. Jeden z nich przez chwilę przyglądał się wujkowi, po czym klepnął drugiego w ramię.

- Hej, czy to nie jest ten złodziej i morderca z Glynn County?

Wujek podniósł głowę, ale się nie poruszył. Mężczyźni zbliżali się, ich głosy były coraz donośniejsze i zwracały na siebie uwagę.

- Patrz, czy to nie ten słup do biczowania z więzienia Fulton County? Słuchajcie wszyscy, chodźcie szybko! To ten zimnokrwisty klaun z Brunswicku.

Zamroczenie z ostatniej nocy odezwało się donośnie w mojej głowie.

- Ludzie, chodźcie tu wszyscy.

Zrzucili mu kapelusz, przekazywali kopniakami jeden drugiemu, aż wylądował na sporej kupie końskiego łąjna. Gdy jeden przygniatał jego kapelusz obcasem do ziemi, drugi zachowywał się jak konferansjer w cyrku. Tłum zebrał się w ciągu kilku sekund.

- Podejdźcie wszyscy. Darmowy cios, wstęp wolny. Jeśli straciliście cokolwiek w kradzieży z Żuta First National, to teraz możecie sobie poużywać.

Mówiąc to, facet odwrócił się i wylał piwo na pysk konia. Alkohol prawdopodobnie podrażnił mu oczy, bo koń się wystraszył, podskoczył, zerwał uprząż, którą był przywiązany do przyczepy wujka, i kopnął. Obie przednie nogi trafiły wujka w klatkę piersiową. Zatoczył się po tym gwałtownym uderzeniu i poleciał plecami na ścianę po przeciwnej stronie. Gdy podszedłem do niego, z kącika ust płynęła krew, przynajmniej jedno żebro przebiło koszulę, z trudnością oddychał. Ludzie zaczęli krzyżeć, by zawołano lekarza, który później powiedział nam, że złamanych było siedem żeber, ale to i tak nie powstrzymało faceta, który go uderzył. Podszedł i pchnął mnie, mówiąc:

- Ciesz się, że nie jesteś jego synem. Ostatni, którego wziął, spalił się na frytkę i został na schodach. Nie chciałbyś, żeby w twoich żyłach płynęła jego krew.

Potem splunął wujkowi w twarz i odszedł w kierunku maszynki do robienia waty cukrowej. Głowa mi pękała, w ustach miałem popiół i obrzydzenie do picia na resztę życia. Zobaczyłem, jak bardzo ludzie zgromadzeni wokół wujka go nienawidzą i wciąż oskarżają o całe zło, jakie kiedykolwiek zdarzyło się w Glynn County. Gdzieś kiedyś ktoś tak pokręcił prawdę, że nie można było zobaczyć lasu przez pojedyncze drzewa.

Często zastanawiałem się nad tym, jak to możliwe - jeśli wujek rzeczywiście zachował się jak bandyta, to dlaczego teraz czyści koniom kopyta na prowincjonalnym jarmarku? Nie wspominając o tym, że ta kradzież zламаła mu karierę, pozbawiła dziedzictwa, żony i syna. Czy to ja się mylę, czy to wszystko naprawdę nie ma żadnego sensu? Chciałem o to zapytać tego gościa na jarmarku, ale nie miałem szansy, bo przyleciał helikopter i zabrał wujka do szpitala, gdzie spędził kilka godzin na chirurgii. Minęły dwa miesiące, zanim mógł pójść do cieplarni, i następne dwa, zanim mógł myśleć o powrocie do pracy. Aby mu pomóc, pracowałem przy koniach po powrocie ze szkoły, a ciocia Lorna brała nadgodziny na postojach ciężarówek, skąd je przyprowadzała. Jednak sprawą, która najbardziej dawała mi do myślenia przez te wszystkie lata, było to, że wujek nigdy się nie denerwował. Wyglądało, jakby całe zło, które na niego spadało, wlewało się do jednej części serca i przelewało do drugiej, a potem wypływało przez dziurę, która pozostała po śmierci jego żony i syna. Nie jestem co prawda znawcą życia, ale jedno wiem na pewno, że złość jest jak alkohol. Gdy przesadzisz, obraca się przeciwko tobie. Człowiekowi się wydaje, że nauczył się tolerancji, ale przychodzi moment, gdy czara goryczy się przelewa i żaden

człowiek, nawet wujek, nie może powstrzymać wybuchu, który jak Wezuwiusz rozrywa duszę na kawałki i rozrzuca po całej ziemi. Był czas, że chciałem taki wybuch zobaczyć, ale teraz już nie mam pewności. Głównie dlatego, że nie wiem, jakie szkody taki wybuch wyrządziłby w duszy wujka.

Rozdział 28

HIV i AIDS nigdy nie interesowały mnie tak bardzo jak ostatnio. Moja wiedza o nich ograniczała się jedynie do obrazów łysych mężczyzn z rezygnacją w oczach, którzy w bólach i na środkach halucynogennych, w sterylnych szpitalnych pokojach czekali na śmierć. Była to choroba, którą przekazywali sobie homoseksualiści. Nie dotyczyła małych dziewczynek z południowej Georgii, które lubiły wędkować, jeździć na karuzeli i oglądać baseball.

Mój błąd.

Przyjechałem wcześniej do redakcji, wygooglałem HIV i cały ranek spędziłem na edukowaniu się. W końcu postanowiłem zadzwonić do lekarza z Kalifornii, który opublikował kilka artykułów na temat tej choroby i napisał je - w odróżnieniu od innych niezliczonych specjalistów - językiem zrozumiałym dla takiego ignoranta jak ja. Recepcjonistka wywołała go pagerem, a ja odegrałem swoją rolę dziennikarza.

- Witam, doktorze Myers, mówi Chase Walker. Jestem dziennikarzem z „Brunswick Daily” w Georgii. W naszej społeczności pojawił się przypadek HIV i w związku z tym chciałem zadać panu kilka pytań.

- Bardzo proszę, ale proszę mi wybaczyć, gdybym nagle przerwał naszą rozmowę. Jestem teraz w pracy i czasem bywa, że pacjenci mają mniej czasu niż pan.

- W takim razie przejdźmy od razu do rzeczy. Czy tę chorobę można pokonać?

- Na krótką metę tak, na dłuższą jeszcze nie. W każdym razie my jeszcze nic o tym nie wiemy. Leki mogą wyeliminować rozwój choroby w układzie krwionośnym, nie pozbawiając pacjenta szansy dożycia starości. Niektórzy z moich pacjentów chorują już od piętnastu lat i z medycznego punktu widzenia są zdrowsi ode mnie.

- Więc ta choroba to nie wyrok śmierci?

- Nie taki jak w latach osiemdziesiątych. Wtedy jedynym lekarstwem, jakim dysponowaliśmy, było AZT⁵⁵. Podawaliśmy duże dawki, przedłużaliśmy pacjentowi życie o kilka lat, lecz było przy tym wiele skutków ubocznych, które nie należały do przyjemnych. Od tamtej pory badania dowiodły, że wirus dostaje się do wnętrza komórki i atakuje DNA, nie pozwalając się komórce rozmnażać. By tak się stało, musi przejść przez błonę komórkową, zniszczyć komórkę i w konsekwencji także system odpornościowy. Dzieje się to w postępie geometrycznym, a nie stopniowo. Pamięta pan może pytanie zadawane w łamigłówkach: Czy wolałbyś mieć milion dolarów teraz, czy jednego centa, który podwajałby swą wartość codziennie przez najdłuższy miesiąc w roku? Cóż, lepiej wziąć centa. Te badania doprowadziły do rozwoju inhibitorów proteazy⁵⁶, które, krótko mówiąc, blokują odnawianie się komórek, a przez to umieszczają wirusa w pewnym cyklu zamkniętym.

- Wprowadzają go w stan uśpienia?

- Tak, to jeden ze sposobów patrzenia na to. Jeśli rozpoczniemy terapię dostatecznie wcześnie, możemy wyeliminować wirusa z układu krwionośnego.

- Co to znaczy „dostatecznie wcześnie”?

⁵⁵ AZT (azydotymidyna) — działanie leku polega na przerwaniu procesu mnożenia się wirusa HIV w zainfekowanej komórce.

⁵⁶ Proteaza - enzym biorący udział w trawieniu białka i krzepnięciu krwi.

- Cóż, to zależy od pacjenta. Niektórzy ulegają wcześniej, a inni trzymają się bardzo długo, zanim w ogóle zauważą objawy. Wszystko zależy od tego, jak mocny był układ odpornościowy, zanim doszło do infekcji.

- Co w takim razie się dzieje, gdy zakażeniu towarzyszą inne choroby krwi?

-To dobre pytanie, ale cofnijmy się jeszcze na chwilę. To, co dziś nazywamy HIV, to już nie jest jeden wirus. Mamy teraz wiele szczepów i każdy charakteryzuje się czym innym. Poprzez zaatakowanie jednego możemy uaktywnić inny, proszę dodać do tego jakikolwiek rodzaj żółtaczki i mamy kłopot.

- Dlaczego? Milczał przez chwilę.

- To jakby wywołać burzę. Zabijając jeden, wyzwala się następny. Zostawiając je w spokoju, sprawiamy, że zwalczają się nawzajem, wzmacniają się, czyniąc spustoszenie w organizmie gospodarza, czyli pacjenta. Taki scenariusz jest najgorszy.

-Jak długo może przeżyć pacjent w takim stanie?

- Jeśli zostanie dostatecznie wcześniej zdiagnozowany, może to być kilka lat. Może nawet dwadzieścia. Zakładając, że będzie posłuszny.

- Posłuszny?

- Będzie przestrzegał zaleceń. W sumie znaczy to, że pacjent musi chcieć się leczyć. Codziennie i do końca życia.

- Czy takie leczenie można zacząć w każdej chwili?

- Tak, chociaż w tym wypadku nie ma jednej tabletki reperującej to, co już się stało. Każdy pacjent osiąga taki moment choroby, w którym nie ma odwrotu, bo organizm jest na tyle wyniszczony, że medycyna nie ma sposobów, by te zmiany naprawić. Wtedy jest to tylko kwestia czasu.

- Jakiego?

- To znów zależy od pacjenta. To może być tydzień, miesiąc lub rok. Po osiągnięciu punktu krytycznego decydują takie czynniki, jak poziom zaawansowania infekcji i stan układu odpornościowego, poziom narażenia organizmu na działanie czynników zewnętrznych, na przykład bakterii lub czegoś podobnego. Stale badamy te czynniki. Miałem pacjenta, który zmarł po pierwszej wizycie u mnie. Oczywiście zbyt długo czekał. Inni przyszli dziesięć lat temu i wciąż się nimi opiekujemy.

- A jak wygląda koniec, to znaczy... fizycznie.

- Niezbyt ładny widok. Nie życzyłby pan tego nikomu. Ludzkie ciało może znieść temperaturę do 104⁵⁷ stopni. Powyżej tej temperatury białka w organizmie zaczynają się ścinać i rozpadać. W temperaturze 105 stopni rozpoczyna się delirium i konwulsje, chwilowa utrata świadomości oraz utrata kontroli nad pracą wszystkich organów ciała - na chwilę przestał mówić. - Widział pan kiedyś w telewizji ludzi z gorączką krwotoczną?

- Aż tak źle?

- Jeszcze gorzej. To się nazywa rozsiane wykrzepianie wewnątrznaczyniowe.

- Proszę to powtórzyć.

- W skrócie RWW. System krwionośny pacjenta zaczyna tworzyć zakrzepy, i to nie tylko w jednym miejscu, ciało ma pod tym względem wiele możliwości. Gdy już raz posiadało się taką zdolność, wyniszczone antygeny pozwalają, by proces się toczył. Toczy się jak śnieżna kula. Krew leje się z każdego otworu ciała, z każdego pora. Jeśli ktoś ma szczęście, zakrzep robi się w sercu albo w płucach, co kończy cierpienia.

⁵⁷ 104 stopnie w skali Fahrenheita to 40 stopni w skali Celsjusza. I odpowiednio 105°F to 40,6°C.

- Byłem przekonany, że w tych kwestiach prowadzone są badania.
- Są prowadzone i my także je prowadzimy, ale choroba zawsze wyprzedza nas o krok. W momencie gdy jesteśmy przekonani, że coś odkryliśmy, choroba maskuje się i zmienia - zamilkł. - Efekty uboczne to jeszcze inna sprawa.
- Wygląda na to, że pan to choróbsko podziwia.
- Szanuję je, próbuję wejść w położenie tych, którzy z nim muszą żyć. Współczuję kochającym osoby, które na nie zapadły, i chciałbym je wyeliminować z tej planety. To największe zło, jakie spotkałem w moich badaniach. Ale nie ma magicznego sposobu. W ciągu dwudziestu lat zajmowania się tą chorobą byłem świadkiem wielu dramatów ludzkich. Ona okrutnie obchodzi się z ciałem, lecz być może jeszcze większe zniszczenia dotyczą duszy.
- Co ma pan na myśli?
- Kiedy po raz ostatni myślał pan o umieraniu? - Odchrząknął. Przez chwilę nic nie mówiłem.
- Teraz rozumie pan, co miałem na myśli? Dla większości pacjentów z HIV to chleb powszedni. Może nie rozwodzą się nad tym, nawet ich to nie przygnębia, ale większości z nich, za każdym razem, gdy łykają lekarstwa, ta myśl przychodzi do głowy. To jest ta skaza na duszy.
- Jak to się leczy? Znowu odchrząknął.
- Jestem lekarzem medycyny, nie psychologiem.
- Podobał mi się, był takim typem, któremu z chęcią postawiłbym piwo i zapytał, którą uczelnię ukończył i jak zaczął swoją karierę. Zdecydowałem się więc zapytać:
- Jak to się stało, że zaczął pan leczyć chorych na HIV? Przez chwilę trwała cisza.
- Po prostym zabiegu moja żona dostała krew. Stało się to w czasach, zanim poznaliśmy ten typ wirusa. Gdy zobaczy-

lem, co jej zrobiłem... Cóż, pan pewnie potrafi lepiej napisać dalszy ciąg tej historii.

- Dziękuję, panie doktorze.

- Jestem do usług.

Znalazłem Tommye siedzącą pod drzewkiem pomarańczowym na tyłach domu. Przez cztery tygodnie, które tu spędziła, bardzo schudła - była bardzo mizerna, oczy jej się zapadły. Urwałem źdźbło trawy i wetknąłem między zęby.

- Odbyłem dziś rano bardzo ciekawą rozmowę. Położyła się i oparła mi głowę na kolanach. -Tak?

- Aha, z lekarzem z Kalifornii o nazwisku Myers.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- To specjalista od HIV.

Zamknęła oczy, a ja przesunąłem palce po jej włosach. -I co powiedział?

- Wiele rzeczy.

- Nie drocz się ze mną, wciąż jestem o tydzień starsza od ciebie. - Spojrzała na mnie.

- Aha, i tak też wyglądasz.

- Jak pójdę do nieba, pogadam z Bogiem na twój temat. Naskarzę, że nie szanujesz starszych. Poza tym mam na liczniku więcej mil niż ty. - Uśmiechnęła się.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć.

- N.o przestań. Ty i wujek Willee zawsze mieliście umiejętność śmiania się z samych siebie. Próbuję sobie przypomnieć, jak to jest. - Zaśmiała się.

Pozwoliliśmy wiatrowi przebić się przez trawy, a słońcu rozświetlić wokół nas.

- No więc?

- Chcesz dłuższą wersję czy krótszą?

- Tę dłuższą wersję chyba znam. - Tommye wzruszyła ramionami.

- Powiedział, że ma lek, który pod kilkoma warunkami mógłby przedłużyć życie o kilka dziesiątków lat... - Rzuciłem okiem na dom, gdzie wujek Willee uczył chłopca, jak posługiwać się scyzorykiem. - ...by móc oglądać kwitnące storczyki.

- To by mi się podobało - uśmiechnęła się.

- To dlaczego nie jesteś teraz w gabinecie lekarskim? Westchnęła.

-Jakieś cztery lata temu podpisałam kontrakt. W tym biznesie bardzo pilnują, żeby wszystkie testy były w porządku. To tłumaczy, dlaczego musiałam przerwać pracę aktorki - zaczerpnęła powietrza. — Potem, po długim okresie balowania całymi tygodniami, co oznaczało mnóstwo igieł i mnóstwo ludzi, obudziłam się na podłodze w pokoju, w którym nigdy wcześniej nie byłam, w domu, w którym nigdy wcześniej nie byłam, wśród ludzi, których nie znałam. Wyszłam stamtąd, zarejestrowałam się w centrum leczenia i zaczęłam więcej się zastanawiać nad dniem dzisiejszym i nad jutrem - otworzyła oczy i spojrzała na mnie. - Gdy się tam pojawiłam, mój układ odpornościowy prawie nie istniał. Byłam o krok od śmierci - jeszcze jeden zastrzyk i po mnie. Zaczęliśmy więc bardzo inwazyjną terapię inhibitorem proteazy, myśląc, że to zadziała, ale zwalczając jedno, wzmacnialiśmy drugie. Taka chora i pokręcona wersja *Paragrafu 22* - znów przymknęła oczy. - Leki, jakie teraz biorę, pomagają mi zwalczać ból.

Usiadła, oplotła mnie ramionami i przycisnęła ucho do mojego policzka.

-Jak długo byłaś w szpitalu, zanim zadzwoniłaś do wujka Willeeego?

- Kilka tygodni. Raz mnie reanimowali elektrodami. Wiesz, tymi co są podobne do kija hokejowego, takie jakie ogląda się w telewizji. W każdym razie nie próbuj tego w domu. Uwierz mi na słowo - to boli.

Siedzieliśmy w ciszy, wsłuchując się nawzajem w swój ból. W końcu Tommie znowu się położyła, pogładziła po piersiach, a wspomnienia przywołały ból. Potem położyła głowę na moich udach i zaczęła mówić w kierunku gałęzi drzewka, na którym nie było owoców.

- Miałam taki sen - zakaszłała. - Stałam w wielkim wirze w latarni morskiej. Wir podnosił się wewnątrz latarni i cały składał się z ludzi podobnych do mnie. Ludzie stali w kolejce, przygotowując się na spotkanie z tym, co było w górze. Czekać, przewracali kartki książek. Niektóre wyglądały jak notesy, inne jak kołonoatniki. Wszyscy pracowali w napięciu jak dzieci, które chcą odrobić zadanie tuż przed lekcją. Ja jednak nie miałam żadnego notesu. Wciąż musieliśmy się wspinać pod górę, coraz bliżej wierzchołka. Widziałam mężczyznę, może to był latarnik, który siedział przy biurku i sprawdzał przyniesione zapiski. Jeśli historia mu się podobała, uśmiechał się i ustawiał notes delikatnie na półce za sobą, półki ciągnęły się przez całe mile, piękne złocone księgi, oprawione w skórę. Cieniutkie złote strony. Ale nie wszystkie książki przypadły mu do gustu. Te, które mu się nie spodobały, zrzucił na dół przez sam środek latarni. Spadały do wielkiego jak dom ogniska. - Na chwilę umilkła, a potem ciągnęła dalej. - Wtem spojrzałam na ręce i ja także miałam książkę. Otworzyłam ją, a tam znajdowała się moja historia. Mnie się nie podobała, była przygnębiająca i o mało nie wrzuciłam jej sama do ognia. Gdy dotarłam do końca opowieści, kilka ostatnich stron okazało się pustych. Spojrzałam przed siebie i zorientowałam się, że kolejka posuwa się bardzo wolno, co znaczyło, że wciąż mam czas. I... znałam historię, którą chciałam opisać. Podniosłam więc rękę i wszyscy spojrzeli na mnie, ale nie miałam nic do stracenia, przecież byłam już martwa. Powiedziałam więc: „Proszę pana, nie spodoba się panu moja historia, ale gdy-

bym jeszcze mogła wypełnić te ostatnie strony, może byłoby inaczej". Spojrzał na mnie, jakby wiedział, o co chcę prosić, więc znowu zaczęłam. „Czy mogę zapisać te ostatnie strony i wrócić, gdy skończę?”. Przyglądał mi się, a potem uśmiechnął i kiwnął głową. Odwróciłam się do osoby, która stała za mną. „Hej, zajmij mi miejsce”. Zeszłam po schodach i wyszłam. - Tommye zaśmiała się. - Gdy to zrobiłam, wszystkie ręce podniosły się do góry.

Usiadła po turecku i pogładziła mnie kciukiem po brwi i zarysie policzka.

- Czy gadam, jakbym straciła rozum? Uśmiechnąłem się i słabiutko potaknąłem, zarabiając

kuksańca w ramię.

- Nie powinienes potakiwać.

- Cóż... ale tak gadasz.

Siedzieliśmy w dalszym ciągu obok siebie. Byliśmy razem i to było dobre.

- Wiesz, ustawiłam sobie „Brunswick Daily” jako stronę startową i w pewnym sensie rozmawiałam z tobą dwa razy w tygodniu przez ostatnie pięć lat.

- Rozmowa jest zawsze lepsza, gdy druga strona ci odpowiada.

- Wiem, ale próbuję ci powiedzieć, że nie zapomniałam o tobie. Trzymałam rękę na pulsie.

- W osobliwy sposób.

Przytaknęła, przysunęła się bliżej i zarzuciła mi ręce na szyję, zaplatając palce.

- Chase, masz prawo być na mnie zły. Sama jestem wściekła na siebie - wzruszyła ramionami. - Przez długi czas byłam na siebie zła, ale to niczego nie zmieniło.

- Wiem.

- Musisz coś dla mnie zrobić.

Stała się znów czarująca, starałem się więc na nią nie patrzeć. Zerwałem następne źdźbło trawy i włożyłem między

zęby. Chciałem, żeby wiedziała, że jej odejście mnie zraniło. Nachyliła się, pokiwała głową i czekała, aż oczy nam się zamkną.

- To nie będzie łatwe! - dodała. Zastanawiałem się, co mi chce powiedzieć.

- Wybacz mi - wyszeptała.

- To nie będzie łatwe, masz rację. - Uśmiechnąłem się.

- Musisz mi zaufać.

- Dlaczego?

- Bo pewnego dnia to wszystko nabierze sensu.

- Kiedy?

- Niedługo - znów się uśmiechnęła. - Muszę jeszcze dopisać kilka stron. To wszystko.

- Kiedy dasz mi to przeczytać?

- Jeszcze nie wiem, ale na pewno będziesz pierwszy.

- Bardzo mnie zraniłaś, a wracając do domu, otworzyłaś tę ranę i okazało się, że szrapnel wciąż tkwi w środku.

Usiadła prosto, obudziła się w niej aktorka.

- Dzyń, dzyń, teraz to wymyśliłeś czy gdzieś wyczytałeś? -Tommye...

- Hej, nie ty jeden zostałeś zraniony i masz pustkę w sercu z powodu tego, co zrobił twój tata.

- Ale gdy byłeś blisko, moja rana tak bardzo nie bolała.

- Moja też.

- Przynajmniej znałaś swojego tatę. Nic nie poradzę na to, że był żaloszny... czy jak byś to nazwała.

Wpatrywała się we mnie.

- Nie chcesz tutaj odgrywać ofiary, prawda?

- Może trochę. Czy to działa? - Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się.

Pokręciła głową.

- Też tak myślałem.

- Hej, jeśli chcesz, żebym czuła się parszywie, bo wyjechałam na zachód, nie dzwoniłam, rozchorowałam się, a te-

raz przyjechałam do domu, żeby tu umrzeć... to już się tak czuję. Już nie mogę poczuć się gorzej.

- Przepraszam, ale to dlatego, że... miałaś trochę więcej czasu, by przywyknąć do myśli, że cię tu nie ma.

- Kto powiedział, że kiedykolwiek do tego przywykłam?

- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

- Chase, wiem, że kochałam cię, zanim cię jeszcze poznałam. Wiem, że złamałam ci serce, wyjeżdżając. Wykręcałam twój numer z Kalifornii setki razy i zaraz się rozłączałam.

- Ale... dlaczego?

Położyła koniec palca na moim nosie, przechylając głowę.

- Bo nie chciałam, żebyś zobaczył, kim się stałam. Wstyd potrafi być bardzo bolesny, Chase. A bolałoby jeszcze bardziej, gdybyś patrzył na mnie z góry, żyjąc obok mnie.

Objąłem ją mocno, przytuliłem i uścisnąłem. -Tommye, nie patrzę na ciebie z góry, patrzę przez rozdarte serce. Tylko to boli tym bardziej, im bardziej chudniesz.

- Chase. -Tak?

- Dziękuję.

- Będzie mi ciebie brakowało. Wytarła łzę z mojej twarzy.

- Mnie już ciebie brakuje.

Zapatrzyła się przed siebie na pastwisko i dalej na horyzont. W jej oczach pojawiło się zagubienie, jakby patrzyła na świat z innej galaktyki. Zmienił się ton jej głosu.

- Hej! - Odwróciła mój policzek do siebie. - Jeśli rozmawiałeś z lekarzem, to wiesz, jak to się kończy. - Szukała mojego wzroku. - Gdy nadejdzie czas, wykręć numer ratunkowy. Żadnych lekarzy, żadnego szpitala - przełknęła ślinę. - Pozwól mi odejść do domu.

Wujek odnalazł mnie na werandzie, gdy wszyscy już dawno spali. Szedł wzdłuż poręczy w pobliżu ich pokoju,

gdzie róże Lorny pięły się wokół komina. Kichnął kilka razy, potem chrząknął, a w końcu usiadł koło mnie, nabił fajkę i przez następnych pięć minut próbował ją zapalić.

- Kiedy postanowiłeś palić fajkę? - uśmiechnąłem się.

- Jakies trzydzieści sekund temu - zakaszłał.

- Smakuje ci?

- Jeszcze nie wiem.

Siedzieliśmy tak: on paląc fajkę, ja oddychając. Wujek wydmuchiwał dym, oczy mu płonęły.

- Rozmawiałeś dziś z Tommye?

- Niewiele się przed tobą da ukryć.

- Nie, jeśli to coś ważnego - znów wypuścił dym. - I co?

- To znaczy?

- Znasz już odpowiedzi na wszystkie pytania?

- Tak. - Wzruszyłem ramionami.

- I co? - Zatrzymał fajkę między zębami.

- Co, co?

- Co teraz? - Uniósł brwi.

- Czyja wiem? A co jeszcze powinienem wiedzieć?

- Tu nie chodzi o to, co ty wiesz, ale o to, co wie ona. Wujek mnie wrabiał, czułem to. Chciałem jednak się dowiedzieć, czego ode mnie oczekiwał.

- To znaczy...

- Moje życie ułożyło się zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. Nie sprawdziło się nic z tego, co miałem nadzieję, że się stanie, ani co sobie wymarzyłem. Ale nie jestem jedynym człowiekiem na świecie, którego życie oszukało. Innym powiodło się jeszcze gorzej niż mnie. Takie jest życie. Dobre miesza się ze złym. Trzeba umieć się wznieść ponad to. Trzeba nauczyć się z tym żyć. To złe strony życia pozwalają ci docenić, jakie dobre są te dobre. Nie pozwól, by zła strona życia sprawiła, byś myślał, że nie ma dobrej. Jest trochę, i to całkiem sporo, dobrego.

- Wiesz co, można to samo kupić w sklepie spożywczym w ilustrowanych magazynach przy kasie.

Przytaknął, potem zerwał jedną z róż Lorny i wsadził mi ją w klapę.
-Tutaj.

Uniosłem i powąchałem kwiat. Wujek poklepał mnie po ramieniu.

- Wiesz, co mam na myśli? Kolce nie powstrzymują cię od wachania. Albo od włożenia kwiatów do flakonu i postawienia w kuchni na stole. Pracujesz przy nich. Dlaczego? Bo są tego warte. - Spojrzał na mnie. - Pomyśl, co tracisz.

- Siedzieliśmy jeszcze długo, a wujek uczył się palić. Gdy miał już dość, dopalił tytoń, aż stał się białym popiołem. Potem usunął go z fajki, stukając nią o obcas buta.

- Czasem dobry osąd jest wynikiem lat doświadczeń i zmaganiań po złej ocenie sytuacji.

- To nie brzmi fair.

- Masz rację. - Powoli pokiwał głową.

Rozdział 29

Zapakowaliśmy się, zabraliśmy lodówkę turystyczną i wędkę i ruszyliśmy tam, gdzie przywiązany był Little Bubba. Wujek pomógł Tommye wspiąć się na siodło i posadził za nią Sketcha. Cała nasza piątka przeszła przez pastwisko na tyłach domu pod baldachimem z gałęzi cyprysów i dębów i weszła w gęstwinę Żuta. Pół godziny później wyszliśmy z wody, idąc w kierunku Sanktuarium Ellswortha. La-gerstremia kwitła, rozsypując na ziemi małe, różowe kwiaty. Doszliśmy do północnego krańca Sanktuarium. Tommye zsiadła z konia i usiedliśmy na kłodach, by przypatrywać się, jak wujek uczy Sketcha łowić ryby.

Wujek naniział robaka na haczyk, nabijając go od głowy do ogona, a potem wrzucił haczyk do wody, gdzie wynurzały się kielbie, łapiąc owady. Ostrożnie trzymając wędkę, uniósł podbródek i wyszeptał:

- Mów do mnie, złotousty, znajdę cię w ciemności. Właśnie wtedy spławik zniknął pod powierzchnią wody.

Wujek ustawił haczyk i oddał wędkę Sketchowi, który zaczął nerwowo podciągać. Chwilę później stał na brzegu, patrząc, jak wyjęta z wody ryba podskakuje, a wujek się śmieje i bije brawo. Tommye szturchnęła mnie łokciem.

- Nie przyłączysz się do nich? Pokręciłem głową.

- Dlaczego nie?

- Jest tylko jedna wędka.

- To nie ma sensu. - Otrząsnęła się. Uśmiechnąłem się na wspomnienie moich własnych doświadczeń.

- Tu nie chodzi o wędkowanie, tylko o chłopca.

Spędziliśmy całe przedpołudnie na napełnianiu wiaderka. Gdzieś tak późnym rankiem, gdy Sketch miał już dość, Tommye wsunęła mi rękę pod ramię i powiedziała:

- Chodźmy na spacer.

Obeszliśmy Sanktuarium, idąc powoli i niewiele mówiąc. Skróciliśmy sobie drogę przez krzaki do miejsca, gdzie były groby. Staliśmy tam przez chwilę, a nasze oczy śledziły napisy na marmurze. Ziemia dookoła grobów była zarośnięta krzewami, a pomiędzy nimi leżały martwe kwiaty. Wujek przyszedł za nami. Czy to z powodu słońca, czy z powodu tego miejsca wyraz twarzy bardzo mu się zmienił. Zwykle młody i pełen życia, nagle się postarzał. Na szyi i w okolicy oczu pojawiły się zmarszczki, a na policzku drgał pojedynczy mięsień. Staliśmy w trójkę i patrzyliśmy na mogiły. Tommye wetknęła rękę pod ramiona moje i wujka, jakby chciała nas zjednoczyć. W końcu się odezwała. Odwróciła się do wujka i powiedziała:

- Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił.

Spojrzała na kawałek ziemi obok grobu jego syna. Rosły tam grzyby i małe paprotki, a gąsienica powoli wspinała się po nich poprzez zwiędłe liście. Ujęła jego dłoń.

- Chciałabym, żebyś mnie tutaj pochował i powiedział kilka słów na moim pogrzebie.

Wujek zazgrzytał zębami, objął ją ramieniem i pokiwał głową. Gdy zaczęło się zmierzchać, na bagnach zrobiło się całkiem ciemno. Wujek wsunął latarkę do tylnej kieszeni, potem pomógł Tommye wsiąść na konia i podał jej Sketcha. Ona objęła chłopca ramionami i oboje złapali się lęku siodła. Wujek zwrócił się do Bubby.

- Staruszkę, niesiesz bardzo cenny ładunek, lepiej bądź ostrożny.

Patrząc na ten obrazek, pomyślałem sobie, że są w życiu piękne rzeczy, a Sketch i Tommye byli na pewno dwiema z nich. Światło latarki podskakiwało na wodzie i oświetlało uśmiechnięte twarze, gdy oboje kolebali się na końskim grzbiecie. Wtedy dotarło do mnie, dlaczego światło podskakuje na wodzie. Ponieważ wujek oświetlał drogę za sobą. I to chyba był najładniejszy z obrazków.

Opuściliśmy Sanktuarium, gdy ostatnie promienie słońca odbijały się od powierzchni ziemi, ustępując chłodnej bryzie wiejącej przez wyspy nad Brunswick i do Buffalo. Gdy wchodziliśmy do domu, dzwonił telefon. Odebrał wujek, szybko zamienił parę słów i odwiesił słuchawkę.

- To Mandy, zaraz wpadnie - spojrzał na ciocię Lornę. - Kogoś z sobą przywiezie.

Biała służbowa camry wjechała na podjazd, a za nią, trzymając się w pewnej odległości, podjeżdżał niebieski van. Mandy weszła na werandę, otworzyła drzwi i zobaczywszy Sketcha, zapytała:

- Hej, słyszałam, że częstujesz dziś ciastem, mogłabym dostać kawałeczek?

Sketch kiwnął głową i wrócił do kuchni. Gdy zatrzęsnęły się za nim drzwi, wróciła pokerowa twarz Mandy.

- Widziałeś te małe ulotki, które pojawiają się, gdy otwierasz pocztę, ze zdjęciem dawno zaginionego dziecka i jego komputerową przeróbką pokazującą, jak dziecko wyglądałoby dziś? - Miała takie zdjęcie i pokazała, by wszyscy zobaczyli. Następnie wskazała na van podjeżdżający bliżej na podjazd. - Ta pani jest z Tampy. Zobaczyła nasze ogłoszenie w gazecie z Miami. Jej synek został porwany sześć lat temu. Na tym zdjęciu jest jej syn. Ona uważa, że Buddy mógłby nim być.

Tommye, blada jak prześcieradło, owinięta w koc, siedziała na fotelu na biegunach i spoglądała na wszystko przez ramię wujka. Spojrzałem na zdjęcie: była to rzeczywiście podobizna Sketcha.

- Skąd ona będzie wiedziała? To znaczy, jak się upewni? Mandy usłyszała kroki z kuchni i ściszyła głos.

- Jest znak szczególny. Nie powiedziała mi gdzie, ale będzie mogła stwierdzić z całą pewnością, że to jej syn, gdy go dokładnie obejrzy.

Sketch wszedł na taras, niosąc kawałek ciasta na tekturowym talerzyku. Niósł go w obu rękach, a jego notes był zatknięty z tyłu za pasek. Kobieta w niebieskim vanie zaparkowała i wysiadła. Zbierając się na odwagę, weszła na werandę. Była po czterdziestce, włosy na skroniach miała poprzetykane siwizną. Podeszła do Sketcha, a gdy on się odwrócił, zaparło jej dech w piersiach. Zakryła usta, opanowała się i założyła włosy za uszy. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła. Mandy usiadła koło Sketcha, mówiąc:

- Buddy, ta miła pani chciałaby ci się przez chwilę bliżej przyjrzeć.

Chłopiec kiwnął głową. Kobieta położyła mu ręce na ramionach i odwróciła go najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Następnie delikatnie obejrzała prawe ucho chłopca, przyglądając się skórze. Sketch stał nieporuszony, wciąż trzymając ciasto. Kobieta puściła ucho Sketcha, pokręciła głową w kierunku Mandy i stała, patrząc na nas wszystkich. Nikt nic nie mówił, aż wujek wystąpił naprzód i wyciągnął rękę.

- Jestem William McFarland, a to - pokazał ręką na nas wszystkich - moja rodzina.

Kobieta skinęła głową.

- Kiedyś, zanim mój syn został... porwany, pracowaliśmy w ogródku. Miał wtedy pięć lat i bawił się na podjeździe.

Upadł na rozbity gliniany garnek i zranił się w ucho. Musieliśmy zszyć ranę i na pewno została blizna. Ciocia Lorna zrobiła krok w przód.

- Zostanie pani z nami na kolacji?

- Nie, dziękuję.

Kobieta odwróciła się, jeszcze raz spojrzała na Sketcha i odeszła w kierunku swojego auta. Chłopiec patrzył, jak tylne światła samochodu oddalają się, odstawił ciasto i poszedł do swojego pokoju. Nikt mu nie powiedział, o co chodziło, ale nikt nie musiał. Przekazywano go sobie wiele razy. Mandy spojrzała na nas.

- Przepraszam, ona...

Oparła ręce na biodrach i jej pokerowa twarz znów była na miejscu.

- Chyba znalazłam dom dla chłopca. To ludzie z Charlotte. Adwokat i jego żona. Dobrzy ludzie. Może to potrwać jeszcze dwa do trzech tygodni, zanim dostanę zgodę. Sędzia wyjechała na wakacje do Europy. - Podeszła do barierki, odwrócona tyłem do nas, i patrzyła na pastwisko. - Nawet w sądzie karnym winni wiedzą, czego się spodziewać - dodała.

W dniu moich osiemnastych urodzin wujek i ciocia wyszli ze mną z domu i powiedzieli:

- Jeśli chcesz, możesz stąd odejść, ale jeśli chcesz, możesz zostać. Władze stanowe umieściły cię w tym domu, ale teraz już wybór należy do ciebie.

Tak więc dali mi wolność, której nie chciałem. Wybrawszy wolność, już na zawsze przypieczętowałam fakt, że jestem dzieckiem, które nie ma ojca. Takie życie jest bardzo trudne.

Zanim opadł kurz po poprzednim samochodzie, na podjazd wjeżdżało następne auto z zapalonymi światłami. Miały taki niebieskawy odcień charakterystyczny dla naprawdę

drogich aut. Czarny escalade¹, omijając dziury, podjechał pod same schody. Oczy Tommye zwęziły się, a wujek zszedł po schodach, stając pomiędzy kierowcą a nami. Nigdy nie widziałem wujka Jacka bez krawata. Miał białą koszulę, niebieskawy krawat, nienagannie uczesane włosy. Spodnie układały się jak włoski jedwab, a mokasyny wyglądały na uszyte z cielęcej skóry. Doszedł do wujka na odległość trzech stóp. Wpatrywali się w siebie. Jack był szeroki w barach i o trzy cale wyższy od wujka. Odezwał się pierwszy.

- William.

Tommye zeszła z werandy i stanęła za wujkiem, trzymając się jego rękawa. Jack zwrócił się teraz do Tommye.

- Słyszałem, że byłeś w domu.

- Tak, pomyślałam, że wpadnę i wezmę kilka rzeczy. Na moment zapadła cisza, a potem znów się odezwał.

- Słyszałaś o domu w Żuta?

- Nie, opowiedz.

- Ktoś zaproszył ogień w kuchni, potem przeciął wężyki doprowadzające gaz z piwnicy. Z domu pozostały zgliszcza.

Tommye zrobiła krok do przodu, ale wsunęła rękę pod ramię wujka.

-To niedobrze... całe to wino... Wujek Jack spojrzał na mnie.

- Podoba ci się w więzieniu?

Pomyślałem o nim w tamtym domu, na dole, w piwnicy, podziwiającym leżakujące wino i nogi własnej córki. Potem przypomniałem sobie, jak Tommye wtedy w nocy uciekła do nas przez Żuta i jej dorastanie z resztką tego, co pozostało z jej dziewczęcości. Jack w tym czasie wiódł życie, z którego był zadowolony, zachowując sekret i będąc dumą społeczności Brunswicku i starszych w Kościele. Uczył w szkółce nie-

Cadillac escalade.

dzielnej i sześć razy wybierano go do władz Kościoła. Słyszałem, jak echo powtarza słowa Tommye w szeleście drzew pekanowych: - *Niektóre kłamstwa zapadają głęboko.*

Wyszedłem o krok przed wujka Liama i znalazłem się w cieniu wujka Jacka. Był wyższy ode mnie o jakieś sześć cali. Przysunąłem twarz na odległość jednej stopy do niego i powiedziałem coś, co chciałem powiedzieć mu już dawno temu. Myślę, że wtedy w piwnicy, gdy rozmyślałem nad przeszłością, olśniło mnie.

- Dobrze oglądaj się za siebie, bo kroki, które usłyszysz... będą należały do mnie.

Muszę przyznać, że udało mi się wytrącić go z równowagi. Podrapałem się w policzek.

- Słyszałeś kiedyś o wolności słowa? Jeśli nie, to wkrótce usłyszysz.

Wujek wszedł między nas.

- Potrzebujesz czegoś, bracie?

- Dowiedziałem się, że moja córka wpadła do domu. -Spojrzał na szkielecik, którym teraz była Tommye. Jej górna warga drżała, a krople potu zaczęły spływać po twarzy. Sketch patrzył na wszystko przez siatkowe drzwi przeciw komarom. Wujek Jack zobaczył także jego. - Słyszałem, że wzięłeś do siebie chłopca znalezionego na torach i trzymasz go, zanim nie pojawią się rodzice. To dobrze - spojrzał teraz w twarz wujka Willee ego. - Każdy mężczyzna powinien mieć syna.

Wujek zamknął oczy i potrząsnął głową, a potem uśmiechnął się, a nawet zaczął się śmiać. Odwrócił Tommye i udał się w kierunku domu, dając mi znak, bym także poszedł. Pokręciłem głową, wsadzając kciuki w kieszenie spodni. Nieświadomie wujek zrobił to samo. Jeszcze raz spojrzał na Jacka.

- Dzięki, że wpadłeś.

Wujek Jack się odwrócił, wsiadł do auta i za chwilę zniknął. Zwróciłem się do wujka Willee ego.

- Dlaczego za każdym razem pozwalasz, żeby ci coś takiego robił?

Ciocia Lorna stała na werandzie oparta o ścianę. Jej milczenie świadczyło o tym, że zgadza się ze mną. Wujek wytarł okulary w róg koszuli.

- Uważasz, że to ja wychodzę z tej rozgrywki pokonany? Potaknąłem.

- Dla ciebie też to tak wygląda? - Wujek spojrział na Tommye.

- Wujku, on przez całe moje życie źle cię traktował i dalej to robi.

Wujek spojrział na kurz, który jeszcze unosił się nad drogą.

- Nie zapędzaj w kozi róg kogoś, kto jest lichszy od ciebie.

Zbił mnie trochę z tropu, ale słyszałem już wiele z jego powiedzonek i znałem ten szyfr.

- Chcesz powiedzieć, że on nic nie znaczy dla ciebie czy że przez całe życie byłeś tchórzem?

- Ja mam więcej do stracenia. - Przygryzł wargę.

- Co na przykład? Zabrał ci wszystko, co kiedykolwiek miałeś - zaśmiałem się.

- Jesteś pewien?

Oderwałem kawałek farby, która odpadała z elewacji.

- Rozejrzyj się dookoła.

Obrócił się, patrząc na nas wszystkich.

- Rozejrzałem się, i co?

- A może... powinieneś pójść do okulisty?

Wujek założył okulary i patrzył, jak Jack skręca na drogę dziewięćdziesiąt dziewięć.

- Chase, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Rozdział 30

Złożyłem podania do wszystkich szkół, jakie tylko przyszły mi do głowy, jednak moja akademicka przyszłość nie wyglądała zbyt różowo. Średnia z liceum dawała trzy i dwie dziesiąte punktu, ale SAT⁵⁹ wypadł mizernie. W sumie tysiąc osiemdziesiąt punktów. Uniwersytet stanowy na Florydzie stanowczo nie chciał mnie przyjąć. Wujek dostał list odmowny i trzymając go w ręce, zapytał:

- Czy tam właśnie chcesz się dostać? - Tak.

Spojrzał na list.

- W takim razie pakuj się.

Wsiedliśmy do samochodu, jechaliśmy przez cztery godziny i wysiedliśmy około czwartej przed budynkiem, w którym dokonywano przyjęć. Wujek zdjął kapelusz, podszedł do recepcjonistki, spojrzał na podpis na liście i powiedział:

- Chcielibyśmy się widzieć z panią Sullivan.

- A w jakiej sprawie? - Recepcjonistka spojrzała na nas znad okularów.

- W sprawie mojego syna. - Wujek wskazał na mnie.

- Jest pan umówiony?

- Nie, proszę pani.

- Przykro mi, ale musi się pan umówić.

Wujek przyjrzał się kobiecie siedzącej przy biurku za szybą i rozmawiającej przez telefon.

⁵⁹ SAT (Scholastic Aptitude Test) - zestandaryzowany test na wyższe uczelnie, w którym można osiągnąć maksymalnie 2400 punktów.

- Na kiedy można się umówić?

Recepcjonistka spojrzała w ekran stojącego przed nią komputera.

- Wtorek, dziewiąta trzydzieści rano. Wujek spojrzął na zegarek.

- To znaczy jutro rano.

- Nie, to znaczy we wtorek za tydzień.

- Cóż, ja nie zajmę jej wiele czasu. Byłbym wdzięczny, gdyby pani mogła jej powiedzieć, że zabiorę jej jedynie pięć minut - odrzekł wujek.

- Przepraszam, ale nie. - Potrząsnęła głową. Odwróciłem się do wyjścia, lecz wujek miał inne zamiary.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy poczekali.

Usiadł na krześle pod ścianą niedaleko jej biurka, kolana złączył razem, kręcąc w palcach kapelusz. Jego umysł zapewne też pracował na najwyższych obrotach. Usiadłem obok, patrząc przez ramię, czy nie nadchodzi ochrona. Po kilku minutach recepcjonistka wykręciła numer i odwróciła głowę, a kobieta za szybą podniosła słuchawkę. Nie słyszałem, co mówiła, ale byłem przekonany, że miało to coś wspólnego z nami. Odłożyła słuchawkę i jeszcze przez godzinę ludzie wchodzili i wychodzili z jej gabinetu. Była zajęta, nie było co do tego wątpliwości. Około piątej trzydzieści recepcjonistka zabrała swoje rzeczy, wyłączyła komputer i nie mówiąc ani słowa, wyszła. Wujek nie ruszał się z miejsca. Kilka minut później kobieta zza szyby wstała, podeszła za róg do dystrybutora z wodą, nalała sobie wody do kubka i zbliżyła się do nas, siedzących w poczekalni, na co my poderwaliśmy się z miejsc. Spojrzała na nas, a potem wskazała na dystrybutor.

- Może macie ochotę czegoś się napić? Wujek potrząsnął głową.

- Dziękuję bardzo, nie chcielibyśmy zabierać pani więcej czasu niż to konieczne.

Uśmiechnęła się i wskazała swoje biurko. Usiedliśmy, ona po jednej stronie, a my po drugiej. Prawa noga wujka uderzała rytmicznie o podłogę. Kobieta oparła się na krzesło, nieco zdziwiona, i spytała:

- W czym mogę pomóc? Wujek podsunął jej list.

- Nazywam się William McFarland - przesunął kapelusz w palcach. - Przez prawie połowę życia ludzie nazywali mnie Willee. - Zerknął na mnie. - A to mój syn Chase, który... - Spojrzał na list. - ...cóż... on...

Wpisła coś do komputera, wyciągnęła pliki, cicho przeczytała.

- Panie McFarland, chociaż oceny chłopca nie są złe, to wynik testu zupełnie nie odpowiada naszym wymaganiom. Potrzebowałby dodatkowych dwustu punktów. Przepraszam, ale nie mogę...

Wujek wstał i wręczył jej swoją wizytówkę.

-To mój prywatny numer, ten tutaj. - Poklepał komórkę, którą miał w kieszeni. - Jeśli chłopak nie będzie miał najwyższych ocen lub ostatecznie nie znajdzie się na liście najlepszych studentów w semestrze, proszę do mnie zadzwonić, a ja wszystkiego dopilnuję. To dobry chłopak i potrafi ciężko pracować.

Spojrzałem na niego, jakby postradał rozum, a on, zwracając się w moim kierunku, wzruszył ramionami.

- Panie McFarland...

- Czy nie mogłaby pani zrobić wyjątku?

- Bardzo mi przykro. - Potrząsnęła głową.

Wujek pokręcił kapeluszem i ściszył głos, jakby mówił do samego siebie.

- Pani Sullivan, moje życie nie ułożyło się tak, jak miałem na to nadzieję. W pewnym sensie żyję już po raz drugi. Pro-

szę dać chłopcu szansę. Tylko jedną. Jeśli jej nie wykorzysta, będzie musiał z tym żyć, ale proszę nie wyrzucać go z gry, zanim nie pokaże, co potrafi. Nie rozczaruje się pani. Mogę to pani obiecać.

Spojrzała na ekran, potem na wujka i w końcu na mnie.

- Czy ojciec zawsze jest taki?

- Jeśli to coś ważnego, to tak. - Przytaknąłem i obróciłem własny kapelusz w palcach. Gdy widzę teraz tę scenę w moich wspomnieniach, myślę, że wyglądaliśmy jak bliźniaki.

Oparła się o biurko i spojrzała na mnie przeszywającym wzrokiem.

- A to jest coś ważnego?

- Tak, proszę pani.

Przygryzła wargi, oparła się o krzesło i spojrzała w okno. Potem przeniosła wzrok na wujka.

- Czym pan się zajmuje?

- Jestem kowalem... podkuwam konie.

- Wyobrażam sobie, że jest pan przyzwyczajony do ciężkiej pracy.

- Zznałem już tego i owego. Popatrzyła na mnie.

- Okres próbny. - Wpisała kilka zdań do komputera, potem wyjęła kartkę z drukarki i podała mi ją. - Masz jeden semestr, żeby pokazać, co potrafisz - uśmiechnęła się i spojrzała na wujka. - Jeśli trafi na listę najlepszych, będę pierwsza, która do pana zadzwoni.

Dwa miesiące później wujek i ciocia Lorna zawieźli mnie do Tallahassee i wynajęli dla mnie pokój w małym domku na obrzeżach kampusu. Późnym popołudniem staliśmy w trójkę na werandzie, bojąc się pożegnać. W końcu wujek zwrócił się do mnie.

- Mówiłeś, że chciałbyś studiować dziennikarstwo? - Tak.

Pokiwał głową i przesunął wykałaczkę językiem z jednej strony ust na drugą.

- Możesz włożyć buty do piekarnika, ale nie staną się przez to ciasteczkami.

Nie potrzebowałem tłumaczenia, ale to on mnie zaskoczył wyjaśnieniem.

- Możesz nazywać jakąś rzecz jak chcesz, ale przez samo nazywanie ona się tym nie stanie.

Położył mi ręce na ramionach, spojrzał na kampus, a potem na mnie.

- Mów prawdę za pierwszym razem, a także za każdym następnym.

Pokiwałem głową, ale nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa. Krtań mi nie pozwalała. Trzy i pół miesiąca później pani Sullivan dotrzymała słowa i jego telefon zadzwonił.

Rozdział 31

W Żuta zapadła noc. Dwie sowy pohukiwały, krzycząc na siebie poprzez korony drzew. Oparłem się o słupek na werandzie, próbując zrozumieć, czy wołały kolegę, czy przemawiały do siebie, by każda trzymała się z dala od domu drugiej. Miałem zamknięte oczy. Usłyszałem, jak drzwi za mną się otwierają. Tommye poszła spać zaraz po odjeździe jej ojca. Wujek z ciotką zajmowali się rachunkami, siedząc przy stole w kuchni. To Sketch wymknął się z domu w swojej piżamie Spidermana i usiadł koło mnie z notesem na kolanach. Szybko coś napisał i podał mi notes.

„Kim była ta pani?”.

- To mama, która szuka swojego syna.

„Czy myślała, że ja nim jestem?”.

-Tak.

„A jestem?” - napisał, nie patrząc na kartkę.

To pytanie przygwoździło mnie do barierki. Ludzie całe życie zadają sobie pytanie „Kim ja właściwie jestem?”, podczas gdy powinni raczej zapytać „Czyj jestem?”. Myślę, że nie można odpowiedzieć na pierwsze, nie znając odpowiedzi na drugie. Najpierw koń, potem powóz. Tożsamość nie wywodzi się z działania, ale z korzeni. Tego nauczyła mnie mowa storczyków. Na pastwisku zaczęła się snuć mgła, a w niej rozbłyskiwały świetliki.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

-Nie.

Położył głowę na rękach, które oparł o zgięte kolana. Odkąd odjechał wujek Jack, nie rozmawiałem zbyt wiele z wujkiem Willeem. Nikt z nas nie rozmawiał. Podczas kolacji panowała cisza. Sketch odczuł to napięcie. Drzwi znowu skrzypnęły. Wyszedł wujek w pantoflach i usiadł na stopniach naprzeciwko mnie. Przyniósł kawałek białego marmuru mniej więcej wielkości kostki Rubika. Kamień właściwie był biały, ale gdzieś tam przechodziły przez niego delikatne szare żyłki. Z dwóch stron był wyszczerbiony, tam gdzie kawałek oderwał się od większej całości, ale reszta była gładka i płaska. Górna część została wypolerowana na wysoki połysk. Wujek obracał marmur w dłoniach i pocierał kciukami.

- Pracowałem kiedyś przy budowie nowej stodoły w północnej części wyspy. Budują tam też dom. Naprawdę ładny i duży. Z najwyższego punktu widać ocean i stały ląd. Leży tam także sarta niepotrzebnych, zużytych rzeczy i nieprzydatnych kawałków. Znalazłem tam ten kamień i kierownik pozwolił mi go zabrać.

Sketch zainteresował się i spojrzał na kolana wujka. Wujek podał mu kamień, odwracając go na płaską stronę.

- Uważaj, nie skalecz się.

Sketch pogładził palcem gładką powierzchnię. Wujek spojrzał na niego, opuszczając głowę.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o Michale Aniele? Sketch pokręcił głową.

- Był artystą. Chłopiec spojrzał w górę.

- Tak jak ty. Chociaż myślę, że ty jesteś nawet lepszy, jeśli chodzi o rysowanie ołówkiem. Michał Anioł był także malarzem - zakaszał. - W tym też był dobry. Pomalował nawet sufit w kościele. - Wujek wyjął mały płaski młotek i dłuto z tylnej kieszeni spodni i położył na schodach pomiędzy

nimi. - Był też rzeźbiarzem, słyszałem, że poszedł kiedyś do tych wielkich barek, które wożą kamień, i poinstruował kamieniarza, jaki kawał marmuru ma mu wyciąć, wielkości samochodu, a potem zaciągnął to do warsztatu i spędził kilka lat, obrabiając go. Wykuwał z kawałków marmuru ludzi, konie, a nawet królów. Najpierw używał dużego dłuta i młotka, potem mniejszego, a potem papieru ściernego i na końcu mokrej, aksamitnej szmatki. Ci, którzy podziwiali jego dzieła, pytali, w jaki sposób zdołał wyciosać takie rzeczy z kawałka kamienia. A on potrząsał głową i mówił: „Ja tego nie zrobiłem, to zawsze tam było, ja tylko to wydobyłem”. Ludzie kupowali od niego te rzeźby po to, by ustawiać je w domach na centralnych, dobrze oświetlonych miejscach. To był zaszczyt mieć taką rzeźbę, więc stawiano je na honorowych miejscach.

Sketch patrzył na wujka z zaciekawieniem. Wujek poklepał go delikatnie po plecach.

- Jest w tobie coś, co warto postawić na piedestale. Coś, co warto postawić tak, by oglądał to cały świat. Kawałek kamienia mógł się poniewierać, być kopany, obtłukiwany, uważany za śmieć i wyrzucony na śmietnik, tylko dlatego że nikt nie widział, co jest w środku. Nie widziano go w taki sposób, jak potrafił to dostrzec Michał Anioł. Bo gdyby ktoś umiał tak spojrzeć, od razu by wiedział, że jest w tobie coś, co tylko czeka, by wyskoczyć. Przepraszam za młotek i dłuto. Chciałbym, żeby w życiu działało się inaczej.

Wyjął mały kawałek aksamitu z kieszeni, rozprostował go i położył Sketchowi na kolanach.

- Pamiętaj, że w końcu przychodzi pora na aksamit. Sketch patrzył na wujka i wyraźnie chciał jeszcze słuchać.

Wujek przyciągnął go do siebie, ale skończył na dziś opowieści. Siedzieliśmy w trójkę na schodach werandy i wpatrywaliśmy się w tańczące na pastwisku świetliki. Ciocia

Lorna, która słuchała zza siatkowych drzwi, wyszła i podała mi słoik z dziurkami w zakrętce. Zszedłem z werandy i ruszyłem na pastwisko, by złapać trochę gwiazdek. Sketch przyglądał mi się z przechyloną głową. A potem mój słoik zaświecił jak latarnia na rzece. Spędziliśmy na pastwisku z godzinę, łapiąc świetliki, wujek też się przyłączył. Wszyscy trzej ledwo zipaliśmy, ale mieliśmy w słoiku połowę Drogi Mlecznej. Kiedy położyliśmy Sketcha do łóżka, słoik na jego nocnej szafce świecił jak meteor.

- Ty mu powiesz czyja? - Zapytał szeptem wujek, stojąc w drzwiach.
- Myślę, że musi to usłyszeć od ciebie.

Wszedł do pokoju, kucnął i spojrzał na słoik. Ja tymczasem stałem za drzwiami mojego starego pokoju, słuchałem i przypominałem sobie.

- Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego Bóg sprawił, że światełko wydobywa się z tylnej części świetlika?

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się leciutko - to był śmiech przez łzy.

Konieczniam chciałem znaleźć się na łodzi, wziąłem więc kluczyki z haka, na którym zawsze wisiały, i wyszedłem. Gdy doszedłem do Vicky, usłyszałem, że otwierają się siatkowe drzwi. Zapaliłem silnik i wrzuciłem luz. Wujek oparł się o samochód i czekał, aż wyrzucę to, co leżało mi na wątrobie. Byłem zły, ale gdy spojrzałem na niego, na jego zażółcony podkoszulek, zaczerwienioną szyję, ramiona pełne piegów

i szczerłość wypisaną na twarzy, nie mogłem mu nic zarzucić. Szczególnie jemu.

- Skąd wiedziałeś o Michale Aniele?

Uśmiechnął się i przelożył wykałaczkę z jednej strony ust na drugą.

- Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, co jeszcze wiem.

Nie wymądrzałem się przed nim za często. Zbyt wiele przeszedł w życiu. Ciężko mi było sobie nawet wyobrazić, że wiem więcej od niego. Ale czasem ciśnienie w szybkowarze potrzebuje ujścia.

- Co cię gryzie, chłopcze?

- Szczerze? Pokiwał głową.

-Ty

- Ach, tak! A dokładnie co takiego?

- Wujek Jack zabrał ci wszystko, co miałaś i o czym marzyłeś. Dlaczego nigdy nie zatrudniłeś adwokata, nie broniłeś się? Dlaczego nie zrewanżowałaś mu się pięknym za nadobne?

- Co by się zmieniło, co bym z tego miał?

- Szacunek.

-1 co jeszcze?

- Dobre imię. -1 co jeszcze?

- Poważanie u ludzi.

- A potem co?

- Odzyskałbyś swoją godność.

- Ale ja mam to wszystko.

- Masz? Jak to? Jesteś dla niego jak wycieraczka, o którą wyciera swoje włoskie buty, zostawiając ich odciski na twojej twarzy. Dlaczego nie powiesz mu w twarz, co o nim myślisz?

Wujek miał zdolność do przygważdżania rozmówcy ostatecznym argumentem, gdy ten najmniej się tego spodziewał. Spojrzał na mnie i odezwał się bardzo łagodnie. Ton jego głosu świadczył o tym, że bardziej mówił do mnie, niż myślał o swoim bracie.

- Słowa, które zapadają w pamięć, to te, które szepczesz, a nie wykrzykujesz.

- Wujku, ja nie wątpię w twoje racje, nie mogę się tylko pogodzić z tym, że trzymasz je w tajemnicy.

- Wiem, ale w tej sprawie musisz mi zaufać.

- Ufałem ci przez całe życie, ale... - spojrzałem w okno Tommie - ...robi się coraz trudniej.

- Chase, nie mogę powiedzieć ci tego, co chcesz wiedzieć.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Nie chcę.

- Ale dlaczego?

Milczał przez chwilę i widziałem, jak walczy sam z sobą. W końcu strona, która w nim zwyciężyła, odezwała się.

- Bo... za bardzo cię kocham. - Zamrugał i po raz pierwszy w moim dorosłym życiu zobaczyłem coś, czego jeszcze nigdy nie widziałem. - Zawsze cię kochałem.

Woda odbijała się o burty łodzi, ustawionej dziobem na zachód i trzymanej przez dwie kotwice. To był znak, że wiało od zachodu i że jutro będzie ciepło, a nawet gorąco.

Prawie całą noc spędziłem na pisaniu artykułu. Red chciał mieć historię o chłopcu na żywo: gdzie jest i co robi teraz, poprzeplataną z jego sierocą historią. Coś w rodzaju spojrzenia na życie osieroconego dziecka oczami Sketcha. Przejrzałem to, co napisałem, czytając opowieść kilka razy na głos. Splatając z sobą dwa wątki, o drugiej nad ranem wysłałem tekst e-mailem do Reda.

Zaraz do mnie oddzwonił. Odebrałem komórkę.

- Czy ty nigdy nie śpisz?

- Niewiele, zbyt tu spokojnie. Brakuje mi odgłosu taksówek, klaksonów, syren, ludzi wrzeszczących do siebie. Tutaj słyszę tylko żaby, sowy, czasem kocie gody.

- Nawet nie wiesz, jak ci dobrze.

- Co przez to rozumiesz?

Usłyszałem, jak skrzypnęły drzwi, to znaczyło, że czytał mój artykuł na werandzie.

- W twojej historii jest jakieś drugie dno.

- Co masz na myśli?

- Zaangażowany, zimny, twardy dziennikarz został zastąpiony przez kogoś, kto czuje.

Nie bardzo wiedziałem, do czego zmierza.

- Chcesz, żebym to przepisał? Odchrząknął.

- Nie bardzo.

- Co w takim razie?

- Obserwuj dalej. I tak kupię bilet na mecz Bravesów. Godzinę później, gdy komputer po raz trzeci dał mi mata, zgasilem światło.

SIŁA IMIENIA: ODKRYWANIE TOŻSAMOŚCI JOHNA DOE# 117

CHOĆ NIEMY, NIE MILCZY

John Doe #117 został w zeszłym tygodniu po wypisaniu ze szpitala przeniesiony do domu dla chłopców w Brunswicku. Niemego chłopca o nieznanym tożsamości, którego wiek ocenia się na osiemdziesiąt lat, znaleziono prawie dwa tygodnie temu w pobliżu torów kolejowych. Władze są przekonane, że dziecko zostało porwane i wyrzucone z samochodu na moment przed tym, nim kierowca wjechał pod pociąg. Badania DNA potwierdziły, że chłopiec nie był spokrewniony z osobą prowadzącą samochód. Po tygodniowym pobycie w szpitalu, gdzie okazało się, że jest miłośnikiem pizzy i lodów, chłopiec, który choć niemy, doskonale potrafi nawiązywać kontakt, został umieszczony w domu dla chłopców, skąd władze zamierzają przenieść go do rodziny zastępczej. Na razie trwają poszukiwania rodziny chłopca, ale władze postępują bardzo ostrożnie, ponieważ wiadomo, że cierpiał zarówno z powodu molestowania psychicznego, jak i fizycznego. Odkąd opuścił szpital, ujawnił się jego talent do układania puzzli i gry w szachy, w czym wydaje się lepszy niż wszyscy w Glenn County.

John Doe jest jednym z pięciuset tysięcy dzieci, które czekają na adopcję, żyjąc w rodzinach zastępczych w całych Stanach Zjednoczonych. Każde z nich, jak mała sierota Annie, żyje niesłabnącą nadzieją, że mama lub tata wejdą do domu i upomną się o swoje dziecko. Prawda jest jednak taka, że jedno na cztery jest adoptowane, a reszta po prostu dalej przekazywana z rąk do rąk. Ich przeciętny wiek to osiem lat. Większość

z nich czeka trzy do czterech lat na adopcję, jeśli osiągną wiek osiemnastu lat - czekanie się kończy. Statystycznie rzecz biorąc, dziecko, które ma osiem czy dziewięć lat, najprawdopodobniej pozostanie już w rodzinie zastępczej, nie mając zbyt wielkich szans na adopcję.

Dzieciństwo bez rodziców w sferze emocjonalnej pozostawia ślad na zawsze, na całe życie człowieka. Jest to poczucie opuszczenia, odrzucenia, niska ocena własnej wartości. Dzieci adoptowane cierpią, drżąc przed porzuceniem. — Wszędzie widzą problem porzucenia - mówi dr Marty Hernandez, który pracował jako psychiatra na Wydziale Medycznym Uniwersytetu w Waszyngtonie i jest uznanym ekspertem krajowym w sprawach adopcji.

Porzucenie jest krwawiącą raną, mającą wpływ na całe życie dziecka, determinującą życie psychiczne, podszeptującą obawę, że skoro raz zostało się porzuconym, może się to powtórzyć po raz kolejny. Większość dzieci jest przekonana, że musiało się stać coś wstydliwego w ich dzieciństwie, i zaczynają się wstydzić samych siebie. W efekcie obawiają się odrzucenia, mają problemy z wypełnianiem zobowiązań, unikają kontaktów intymnych, a nawet sabotują własne związki, by uchronić samych siebie przed ewentualnym odrzuceniem przez partnera. Dlaczego? Bo odkrycie swoich słabych stron ma zbyt wysoką cenę. — Mają poczucie, że osoba, którą obdarzają uczuciem, opuści ich, tak jak zrobili to rodzice - mówi dr Hernandez. — Skoro mogło się to stać raz, może się zdarzyć ponownie.

Sytuacje graniczne, takie jak uzyskanie dyplomu wyższej uczelni, ślub, urodzenie dziecka czy śmierć rodziców adopcyjnych, mogą okazać się wyjątkowo trudne, ponieważ takie osoby nieustannie zadają sobie pytania: Dlaczego rodzice oddali mnie do adopcji? Czy coś było ze mną nie tak? Czy urodziłem się z jakąś wadą? Jakie byłoby moje życie, gdybym nie był adoptowany? Niektórzy racjonalizują te pytania, tworząc monologi: „Moja matka nie była w stanie mnie wychowywać, więc postanowiła mnie oddać, bym miał lepsze warunki” albo: „Przynajmniej nie dokonali aborcji”. Takie argumenty szybko tracą znaczenie.

Jeden z problemów, jakie często zaprzatają umysły osób adoptowanych, to pytanie o nazwisko. Jakie jest czy było ich prawdziwe nazwisko? Filozofowie języka, tacy jak Wittgenstein, Langer czy Percy, uważają, że są dwa podstawowe sposoby myślenia o języku. Według jednego język miał znaczenie, zanim ludzie się go nauczyli. Na przykład język Edenu, odkryty przez Adama i Ewę, gdy po raz pierwszy dostali się do ogrodu. Wzięli z pólki poszczególne słowa i załączone do nich znaczenie. Drugi pogląd głosi, że słowa nie miały znaczenia, dopiero myje im nadaliśmy. Każda kombinacja liter może oznaczać to, co chcemy, żeby oznaczała. Znaczenie uzyskujemy przez używanie.

Jaki związek ma jednak akademicka dyskusja o języku z adopcją? Większy, niż można sobie wyobrazić. Nazwisko nie tylko mówi ludziom, kim są, ale - co może nawet ważniejsze - czyi są, do kogo należą. Każde adoptowane dziecko zdaje sobie sprawę, że kiedyś do kogoś należało. Miało imię, które mama i tata wymawiali przez dziewięć miesięcy, zanim się urodziło. Niektóre imiona zostały zapisane w akcie urodzenia, a niektóre nie. Wszystkie jednak były znane rodzicom i dzieci w nie wierzyły. Imiona i nazwiska, choć zmienione w dokumentach, nie mogą zostać wymazane z serca.

Historia najnowsza podaje nam wiele nazwisk sławnych sierot i dzieci adoptowanych: choćby Babe Ruth, John Lennon czy Marilyn Monroe, ale w tych wypadkach te fikcyjne znaczą więcej dla tych, którzy byli przekazywani lub wciąż czekają. To one opowiadają nam historie Supermana, Luke'a Skywalkera, Olivera Twista, Piotrusia Pana, Mowgliego czy Huckelberry ego Fmna. O nich się czyta, rozmawia, przekazują opowieści o heroizmie i szczęściu, bo zakończenie historii już zostało napisane i oni znają je już na pamięć.

Rozdział 33

Minął rok, odkąd wróciłem do domu z uniwersytetu na Florydzie, i dopiero wtedy wyjąłem spod łóżka pomarańczową skrzynkę i znowu powiesiłem mój kolaż na ścianie. Chociaż ukończyłem studia z bardzo dobrą lokatą, wciąż nie mogłem dokończyć historii, która miała być najważniejsza i z powodu której wybrałem te studia. Na tę łamigłówkę składało się zbyt wiele kawałków, które do siebie nie pasowały. Przez długi czas odkładałem to, trzymałem w zanadrzu, nie słuchałem plotek, ale w końcu presja pary w szybkowarze sprawiła, że nastąpił wybuch. Dorastałem w cieniu dwóch nierozwiązanych tajemnic. Nie wiedziałem nic o sobie oraz o Liamie McFarlandzie. Myślę, że mogłem się pogodzić z niewiedzą o sobie, ale miałem przeczucie, że prawda o nim może zostać odkryta, jeśli dowiem się, gdzie jej szukać.

Czy byliście kiedyś na łodzi, na rzece czy jeziorze, i dopłynęła do was inna łódka? Oni rzucają wam linę, a wy, aby pomóc, łączycie dwie łódki razem i stajecie okrakiem jedną nogą w jednej, a drugą w drugiej. Łódki są blisko siebie i pasażerowie z jednej mogą przeskoczyć do drugiej. Tak właśnie wyglądało moje życie. Stałem na dwóch łódkach, niezakotwiczony, targany falami i wiatrem i wciąż brakowało tej jednej fali, by posunąć się naprzód. Stanie na obu łódkach spowalniało ruch. Jak radio, którego nigdy nie można ustawić na mecz Bravesów. Gdy dostawałem zlecenie z gazety i pisałem o rzeczach, o których nikt inny nie chciał, spędzałem późne wieczory i wczesne ranki oraz całe noce na obsesyjnym roz-

wiązywaniu tajemnicy, która miała dwadzieścia lat. Dzięki ustawie o wolności informacji miałem dostęp do akt sądowych, kopii dokumentów, oficjalnych pism z przeprosinami, a nawet udało mi się przeprowadzić wywiad ze strażnikiem, który wiozł wujka z więzienia, by mógł pochować syna.

Sześć miesięcy później napisałem dla niego jego własną historię, a w każdym razie to, co ja na ten temat wiedziałem. Przeczytałem mu ją. Przez dwie godziny kiwał głową i grzebał rękami w worku z prażonymi orzeszkami. Myślę, że był dumny z tego, co zrobiłem. Gdy skończyłem, siedział, opierając nogi o barierkę na werandzie, kiwając się i ssąc nie-otwartego orzeszka. Wyrzucił łupinkę, napił się wody i oglądał wyspany orzeszek.

- No więc? -Co?

- Nie zadałeś mi pytania.

- Jakiego pytania?

- Tego, z którym czekałeś przez długie dwadzieścia lat, żeby je zadać.

Popatrzyłem na drzewa pekanowe i zauważyłem czarną wiewiórkę przeskakującą z gałęzi na gałąź, niosącą w pyszczku nierozłupany orzeszek. Oparłem się o barierkę i wziąłem garść orzechów.

-No i?

- No i co?

- Trudno jest dyskutować z takimi dowodami.

- To nie jest pytanie.

- Byłeś ostatnią osobą w sejfie.

- To też nie jest pytanie.

- Ty, Perry Kenner i Ellsworth McFarland byliście jedynymi osobami, które miały dostęp do obligacji, dlatego że ani Perry, ani Ellsworth nie ufali Jackowi, znając jego skłonność do pokera i umiejętność wywierania presji na ludzi.

- Wciąż słyszę jedynie stwierdzenia.

- Gdy w końcu znalazłem strażnika, który wiozł cię do Brunswicku z więzienia, i zrobiłem z nim wywiad, powiedział mi coś, czego nigdy nie zrozumieć. Powiedział, że William McFarland nie zapłakał. Willee, którego ja znam, wypłakałby sobie oczy.

Wujek wydawał się zagubiony we wspomnieniach i jeśli to, co powiedziałem, w jakiś sposób go poruszyło, nie było tego po nim widać.

-Ico?

- Czego oczekujesz?

- Wujku, po dwudziestu latach plotek i szeptów za twoimi plecami chciałbym wiedzieć. - Rozłupałem orzeszek i słony kawałek wpadł mi do oka. Byłem w złym miejscu, chciałem walczyć z demonami, których nie widziałem. - Bez względu na to, czy będę uważał, że jesteś winny, czy nie, twoje życie i tak jest zrujnowane, ale co ze mną? Wyrastałem, słysząc te plotki, słyszałem ludzkie gadanie za plecami i nigdy nie wiedziałem, po czyjej stronie jest racja. Nie prosiłem o to. Zostałem w to wciągnięty. Ty mnie w to wciągnąłeś.

- Nawet teraz chciałbym, żeby to wszystko się nie stało. - Odczekał chwilę i pokiwał głową.

- Chcesz powiedzieć, że to zrobiłeś? Zaprzeczył ruchem głowy.

- To co w takim razie chcesz powiedzieć?

- Wiem, że to wszystko było dla ciebie trudne. - Na moment zamilkł. - Może właśnie dla ciebie najtrudniejsze.

-Więc?

Ssał następnego orzeszka, kiwając głową.

- Dlaczego mi nie powiesz?

Opuścił okulary do połowy nosa, otarł czoło rękawem i wytarł nos. Gdy usiadł z powrotem i znów nałożył kapelusz, z oczu na pomarszczoną twarz i na ogorzałe od słońca

policzki zaczęły kapać mu łzy. Wstał, przespacerował się na koniec werandy i poprawił pasek od spodni. Głos miał napięty i słaby.

- Podpisanie zgody na przekazanie... syna... pod opiekę stanu było jedną z dwóch najtrudniejszych decyzji, jakie kiedykolwiek podjąłem. Wciągnął wolno powietrze przez zęby i splunął.

Patrzyłem, jak odchodzi, i wiedziałem, że go zraniłem. Byłem samolubny i wiedziałem o tym. -Wujku Willee?

Zatrzymał się, wciąż zwrócony do mnie plecami. Chciałem, żeby ta rozmowa się nie odbyła. Chciałem zasypać tę przepaść, która powstała, ale było za późno. Wielkie plecy wujka przygarbiły się. Nie byłem na niego zły. Nie bardzo. Byłem zły na mojego prawdziwego tatę, za to że nigdy nie wjechał na ten podjazd. To także przyszło mi do głowy już po fakcie. Może chęć ukrycia własnego nieszczęścia sprowokowała mnie do wyeksponowania jego? Przez większą część życia tkwiłem w przekonaniu, że coś ze mną jest nie tak, że miałem jakąś ukrytą wadę. Gdyby więc udało się odwrócić ode mnie uwagę... ale to było głupie.

- Co było... najtrudniejsze?

Poklepał się po kapeluszu, podrapał łydkę jednej nogi palcami drugiej, a potem przeszedł pod winoroślą przez krzaki z pomidorami do cieplarni, by porozmawiać ze swoimi storczykami. Przez resztę dnia już go nie zobaczyłem.

Tego wieczoru napisałem jeszcze jeden list do mojego ojca.

Drogi Tato,

Sklamalem. Nigdy nie przestałem wypatrywać cię przez okno.

Chase

Rozdział 34

Zszedłem z łodzi chwilę po szóstej i dotarłem do domu tuż przed siódmą. Wujek, który zwykle o tej porze był poza domem, siedział w kuchni ze Sketchem. Buzia chłopca umazana była syropem i masłem, a góra naleśników piętrzyła się przed nim na talerzu. Nie zwrócił uwagi na to, że wchodzę. W rogu stołu rozłożona była szachownica, a na niej rozpoczęta partia. Wujek wpatrywał się w szachy, jakby studiował fizykę kwantową, taki miał przynajmniej wyraz twarzy.

Ciocia Lorna przyczepiła do lodówki trzy obrazki. Jeden z pawiem, drugi z indykiem Bobem, a trzeci z rozkwitłym storczykiem. Każdy z nich był niesamowicie realistyczny.

Następny ruch należał do Sketcha. Chłopiec najpierw wypełnił buzię naleśnikiem, a następnie przesunął wieżę, zbijając gońca wujka, ledwie patrząc na szachownicę. Wujek mocniej oparł się o krzesło, przesunął kapelusz, pociągnął z kubka łyk kawy i znowu nachylił się nad szachownicą.

Nalałem sobie trochę soku i stanąłem obok cioci Lorny, która pakowała kanapki. Spojrzałem przez okno w kierunku stodoły, ale wszystkie światła były zgaszone.

- Widziałaś rano Tommym? Ciocia Lorna pokręciła głową.
- Wyszła wczoraj zaraz po tobie.
- A kiedy wróciła?

Ciocia Lorna włożyła cztery kanapki do woreczka śniadaniowego i pokręciła głową.

- Nie wróciła.

Podawała mi talerz naleśników z gryczanej mąki. Jadłem je, patrząc jednocześnie, jak chłopiec spuszcza wujkowi manto w szachy. Godzinę później, osłabiony z powodu ilości zjedzonej mąki, cukru i tłuszczu, rozsiadłem się na krześle, ssąc wykałaczkę i patrząc, jak wujek czyta mój artykuł. Red musiał zatrzymać druk gazety, by go załączyć, ale w małych drukarniach wszystko jest możliwe. Około ósmej trzydzieści otworzyły się drzwi, weszła Mandy i pomachała nam. Nie wyglądała jak kobieta za stołem podczas wizyty u Reubena. Miała na sobie niebieski podkoszulek, sprane dzinsy i buty do biegania, a włosy związane w koński ogon. Brakowało jej jedynie czapki Bravesów. Ciocia Lorna podała jej talerz gryczanych naleśników i Mandy zaczęła polewać je syropem. Spostrzegła złożoną gazetę w rogu stołu.

- Czytałam twój artykuł.

Takie stwierdzenia są dwuskładnikowe, pisarze się o tym przekonują.
– I co?

Zatopiła zęby w naleśniku i odpowiedziała z pełnymi ustami.

-Jest jakiś inny.

Wziąłem talię kart i zacząłem je tasować na brzegu stołu.

- To samo powiedział Red. Zamamrotała z ustami pełnymi naleśnika.

- Dobry wydawca.

Skończyła jeść i wypchnęła mnie na werandę, mając mi zapewne do powiedzenia coś związanego ze sprawami służbowymi i oglądając się, czy Sketch nas nie słucha.

- Chciałabym pojechać jeszcze raz do przyczepy za bu-telkownią. I chciałabym tam zabrać Buddy ego, by zobaczyć jego reakcję.

Rozważałem ten pomysł.

- Co chcesz przez to osiągnąć?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Być może on pokaże nam coś albo naprowadzi nas na coś, co pominęliśmy.

- Dobrze, ale nie możemy mu tego narzucać.

- Zgoda. Ty mu powiesz czyja?

-Ja- Miałam nadzieję, że to zrobisz.

Wszedłem do domu. Sketch trzymał w ręku przygotowane karty. Potasowałem, rozdałem nam po dwie karty, a resztę talii położyłem na stole między nami. Sketch rzucił okiem na karty - nie był zdziwiony zaproszeniem do gry - podniósł swoje i popatrzył na nie, a potem na mnie, unosząc brwi. Mój ruch. Podniosłem karty i przekonałem się, że przypadły mi jedynie dwie słabe - para ósemek. Dobrałem jedną kartę z talii i powiedziałem:

- Biorę jedną! - Jedynie pogorszyłem sprawę. - A ty?

Jedno uderzenie w stół, a następnie wyłożył karty. Na początku położył siódemkę i trójkę. Potem trzecią kartę - figurę - położył na tamtych dwóch. Wyłożyłem moje karty, parę ósemek, a na nich figurę, którą właśnie wyjąłem z kupki. Potem wskazałem na Mandy.

- Pani Parker i ja znaleźliśmy chyba przyczepę, którą rysowałeś w notesie.

Słuchał z niezmiennym wyrazem twarzy.

- Chcielibyśmy tam zajrzeć dzisiaj w drodze do Atlanty. Spojrzał na Mandy, a potem na mnie.

-Jest pusta, nikt tam nie mieszka - wzruszyłem ramionami. - No może poza bandą kotów.

Zdziwiło mnie, że jego reakcja nie była na „nie”. Po prostu przytaknął raz i spojrzał na mnie. jakby chciał powiedzieć: „*O czym jeszcze chciałbyś ze mną porozmawiać?*”.

- Dobrze więc, załatwione.

Podróż do Atlanty zmieniała się w coś, czego nie mogłem nawet oczekiwać. Wujek zwietrzył mecz Bravesów i pokiwał głową.

- Nie ma mowy, żebym pozwolił wam jechać na Turner Field beze mnie i żebyście potem wspominali przez trzy miesiące, jak było. A już na pewno nie teraz, gdy są tak blisko zdobycia proporca. Poza tym powinienem jechać ze względu na Buddy ego, żeby wytłumaczyć mu reguły baseballu.

Ponieważ zrobiła się z tego wyprawa, wujek nalegał, żeby prowadzić, i robił to w swoim stylu. Wyprowadził Sally spod zadaszenia i podjechał na front. Ponieważ karawan jest przystosowany do wożenia skrzynek pewnej długości, siedzenia z tyłu nastęrczają pewien problem - wymagają przystosowania, by ludzie mogli siedzieć w pozycji pionowej. Wujek zadbał o to już kilka lat wcześniej, ale nie zmieniło to faktu, że siedzący zdawał sobie sprawę, iż znajduje się w miejscu, gdzie kiedyś przewożono ciała w pozycji horyzontalnej. Wujek poklepał czarną karoserię.

- Mandy, przedstawiam ci Sally.

- Och, to... ona... ma imię?

- Czyż nie jest piękna? - Wujek pokiwał głową. Mandy wślizgnęła się do środka, wahając się, czy oprzeć

plecy, i rozejrzała powoli. Gdy zjeżdżaliśmy z podjazdu, Sketch siedział na przednim siedzeniu, podziwiając krajobraz za oknem i słuchając, co wujek ma mu do powiedzenia o baseballu. W tym czasie Mandy i ja walczyliśmy, w czyją stronę mają być ustawione otwory od klimatyzacji. Jedynym problemem związanym z wyjazdem było to, że Tommye się jeszcze nie pokazała. Nie wiedziałem, czy stało się coś złego, ale byłem niemal pewny, że nie jest dobrze. Ponieważ zdawałem sobie sprawę, że nie jestem dla Sketcha partnerem do gry w szachy, położyłem mu na kolanach laptop i pokazałem, jak się w nim gra w szachy. Ustawiłem grę na poziom dla

nowicjuszy i Sketch zaczął grać - po piętnastu minutach wygrał z komputerem w trzech prostych rozdaniach. Wyjechaliśmy poza Żuta i jej gargantuiczne sosny, wystrzelające aż po horyzont, a potem ruszyliśmy na zachód drogą dwadzieścia pięć. Podczas gdy wujek przepytывał Mandy, skąd pochodzi, gdzie skończyła prawo, i zadawał inne grzecznościowe pytania, ja zapatrzyłem się w rzędy sosen, słupów linii elektrycznych, linii telefonicznych, w bagna porośnięte cyprysami i znaki drogowe ostrzegające przed zwierzętami leśnymi na drodze. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się zamyśliłem, dopóki Mandy nie poklepała mnie po ramieniu.

-Jesteś tam?

-Yhy.

- Co się dzieje?

- A tak, tylko...

- Nie zwracaj na niego uwagi - wtrącił się wujek. - Powinnaś go zobaczyć, gdy naprawdę się zablokuje.

Mandy zaśmiała się, a wujek kontynuował:

- Może trawić jakiś pomysł całymi dniami, zanim podzieli się z tobą tym, co wymyślił.

- Aleja nie...

Mój protest nie był zbyt stanowczy. Wujek spojrział na mnie i rzekł już ciszej:

- Z Tommye wszystko OK.

- Hmm?

- Poszła się spotkać z twoim wujkiem Jackiem.

- Słucham? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Kiwnął niecierpliwie głową.

- Umówiła się na spotkanie w mieście i powiedziała, że potem wpadnie do domu zabrać trochę rzeczy.

- Ale... nie było jej całą noc.

- Jest dorosła. -Tak... ale...

Wujek milczał przez chwilę.

- Co robisz, jak złapiesz na haczyk zbyt dużą rybę? Już wiedziałem, do czego zmierza.

- Poluzowujesz włók i pozwalasz jej odpłynąć. Pokiwał głową i spojrzał w lusterko, wkładając okulary

przeciwsłoneczne z powrotem na nos. Zaczął mówić prawie szeptem, jakby mówił sam do siebie.

- A potem się modlisz, żeby sieć nie postrzępiła się

0 muszle ostryg.

Dwadzieścia minut później byliśmy w Jesup i zajęliśmy za butelkownię. Sketch zamknął pokrywę laptopa

1 siedział, ściskając swój notes. Poklepałem go delikatnie po ramieniu.

- Hej, nikogo tu nie ma, rozumiesz?

Kiwnął głową i poprawił okulary, ale nie patrzył na mnie. Podjechaliśmy pod samą przyczepę i zaparkowaliśmy. Otworzyłem drzwi po jego stronie i Sketch wysiadł. Przez chwilę stał, zastanawiając się.

Gdy Mandy weszła po stopniach, poszedł za nią. Popchnęła drzwi, otwierając je i płosząc koty, które rozbiegły się w najdalsze kąty. Sketch przestąpił przez kupkę śmieci i zrobił coś, czego się po nim nie spodziewałem. Zagwizdał.

Dwie sekundy później wielki pręgowany kot bez ogona wyszedł zza kanapy. Miał na szyi obrózkę i wyglądał na dobrze odżywionego. Był naprawdę wielki, mógłby zagrać w filmie Disneya. Podszedłem do Sketcha, a on ukląkł i podniósł kota, który zaczął mruścić i ocierać się wąsami o twarz chłopca, w końcu polizał go w nos. Na pewno robili to już wcześniej nie raz. Po tym powitaniu Sketch, trzymając kota, pokazał mi obrózkę. Imię kota było wypisane na srebrnej tabliczce zwisającej z kółeczka. Mandy spojrzała na tabliczkę.

- Bones. Jestem pewna, że znasz ją od dawna.

Sketch zrobił surową minę i pokazał brzuch kota, między innymi.

- O, przepraszam, to znaczy jego.

Pokiwał głową. Wujek wyszedł zza mnie, stwierdzając:

- Wiesz, od dawna potrzebowaliśmy w domu kota. Chłopiec popatrzył na wujka, jakby potrzeba wyrażenia

takiej prośby nigdy nie przyszła mu do głowy. Wujek podrapał Bonesa po głowie.

- O, tak. To kot, jakie lubię. Duży, ciężki, ma dobre imię. Jedzie z nami.

Wiedziałem, że wujek nigdy zbyt nie przejmował się kotami, a on wiedział, że ja wiem. Uważał, że to primadonny świata zwierząt. Ale miałem na tyle rozumu, by trzymać buzię na kłódkę. Chłopiec w tym czasie spoglądał w kierunku sypialni, ale też jakby rozglądał się za kimś większym, jakimś obrońcą, i wybrał wujka. Gdy nadal nic się nie działo, położył kota na kanapie, podszedł do wujka i wziął go za rękę - jeszcze jedna rzecz, której dotąd nigdy nie robił. Wujek uśmiechnął się, jakby miał w ustach banana. Zrobił krok, delikatnie potrząsnął ręką chłopca i powiedział:

-To miło z twojej strony i cała przyjemność po mojej.

Szliśmy wzdłuż przyczepy prowadzeni przez Sketcha. Chłopiec chodził z pokoju do pokoju. Gdy doszedł do sypialni, chciałem mu pomóc otworzyć drzwi, ale chwycił mnie za rękę i pokręcił przecząco głową. Poszedł korytarzem w kierunku łazienki. Podszedł do wanny, tam gdzie znajduje się odpływ, klęknął i postukał w narożnik poniżej wanny, próbując go oderwać, jakby chciał odsunąć miniaturowe, szklane, przesuwane drzwi. Gdy próby się nie powiodły, rozejrzał się po łazience za jakimś narzędziem. Ponieważ nie znalazł tego, czego szukał, otworzył notes i narysował płaski śrubokręt. Pokręciłem głową, ale wujek sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął z niej dwuostrzowy scyzoryk firmy

Barlow i wyciągnął z niego mniejsze ostrze. Podał je Sketchowi, rączką w jego kierunku.

-Tylko uważaj, może cię skaleczyć.

Chłopiec podważył płytkę, nacisnął mocniej i kawałek drewna odskoczył na tyle, że Sketch mógł w powstałą dziurę wetknąć dłoń. Ostrożnie złożył nóż i podał go wujkowi, który podniósł rękę i zrobił gest stopu.

- Nie, nie, to zły znak. Zawsze oddawaj nóż w taki sam sposób, jak go dostałeś.

Chłopiec złapał paznokciami ostrze, wyciągnął je i otwarty scyzoryk, skierowany rączką w jego stronę, podał wujkowi.

- Masz już taki?

Sketch, przecząc, pokręcił głową. Wujek zakołysał się na piętach, przewrócił oczami i ponownie zapytał:

- Chcesz powiedzieć, że nie masz swojego scyzoryka? Sketch spojrzał na mnie i powoli jeszcze raz zaprzeczył ruchem głowy.

- To nie w porządku. Myślę, że w takim razie ten powinieneś sobie zatrzymać.

Sketch spojrzał zdziwiony. Wujek obrócił kapelusz w dłoniach.

-Tak... tak długo, jak jesteś gościem w moim domu, możesz go zatrzymać. Można nim przeciąć większość żyłek wędkarskich i ścinać storczyki. Nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać - klepnął mnie po brzuchu. - Najlepiej zapytaj jego.

Uśmiechnąłem się i wyjąłem z kieszeni dokładnie taki sam scyzoryk, jaki wujek właśnie podarował Sketchowi. Chłopiec obejrzał obydwu, uśmiech rozjaśnił mu twarz, a potem wsunął swój nowy nabytek do kieszeni spodni.

Kłęcząc na podłodze, odsunął przeszkodę i wsunął rękę tak daleko, jak tylko mógł, pod wannę. Usłyszeliśmy kilkakrotne stuknięcie i Sketch wyciągnął rękę, w której trzymał

plastikowe pudełko w kolorze kości słoniowej. Usiadł na podłodze po turecku, odczepił małe mosiężne zatrzaski i otworzył wieczko, a gdy to zrobił, obie strony wnętrza pudełka zamieniły się w szachownicę, odpowiedniej wielkości do podróży, z wszystkimi sześćdziesięcioma czterema figurami i pionkami patrzącymi na nas od razu z pozycji pionowej. Sketch otworzył jedną z dwóch szufladek i wyjął z niej kartę kolekcjonerską do baseballu. Wytarł ją o ubranie, tak że strona z twarzą zawodnika zaczęła błyszczeć, i podał ją wujkowi. Wujek wziął ją od chłopca, a gdy ją oglądał, oczy zrobiły mu się okrągłe.

- Łał, skąd ty to wziąłeś?

Sketch wzruszył ramionami, wyjął gońca z pudełka i wytarł go do czysta. Przyjrzał się innym figurom, zamknął wieczko, zatrzaskał zameczki i schował pudełko pod pachę. Wujek wręczył mu kartę.

- Cóż, nie zgub jej. Zanim dorośniesz, żeby pójść do college'u, będzie warta tyle, że opłaci ci połowę chesnego.

Chłopiec pokręcił głową, włożył kartę do kieszeni koszuli wujka i dwukrotnie przyklepał. Wujek powiedział:

- Nie, synu... nie mógłbym...

Chłopiec klepnął wujka w brzuch, wskazał na kieszeń, kiwnął głową i wyszedł z łazienki. Wujek spojrzał na mnie.

- Cóż, będę...

- Co? - Zapytałem.

- Dał mi właśnie kartę z Hankiem Aaronem.

Patrzyłem, jak Sketch przemierza korytarz, zabiera kota i wychodzi głównym wejściem z kotem pod jedną pachą, a pudełkiem z szachami pod drugą.

- Cóż, ty bardziej skorzystałeś na tej wymianie.

- Panie McFarland? - Mandy odciągnęła wujka na bok.

- Tak, słucham.

Dziewczyna uśmiechnęła się, skrzyżowała ramiona i przesunęła czubkiem buta wzdłuż rozdarcia wykładziny.

- Naprawdę uważa pan, że to bezpieczne dawać chłopcu scyzoryk?

- Pani Parker?

- Tak, słucham.

- Prędzej czy później ktoś musi w jakiś sposób zaufać temu chłopcu. - Wujek spojrział przez zniszczone okno w przyczepie. - Stawanie się mężczyzną nie przychodzi z dnia na dzień. To zabiera trochę czasu. Ten chłopiec już go sporo stracił, ale może nadrobić. Włożył kciuki do kieszeni spodni i czekał.

- Ale czy nie sądzi pan, że może zrobić sobie krzywdę?

- A, o to chodzi. Przez cały tydzień czyściłem końskie kopyta tym scyzorykiem, jest bardziej tępy niż brzeg dziesięciocentówki i najpewniej nie przeciąłby nawet kluski.

Wiedziałem, że to także nie była prawda, i wujek wiedział, że ja wiedziałem. Ale była to jedna z tych spraw, w których miał rację. Mandy też nie musiała wszystkiego wiedzieć i się denerwować.

- Wie pan, że jeśli Sketch się skaleczy i zabierze go pan na pogotowie, i tam założą mu szwy lub opatrzą go, opieka społeczna będzie pukać do pana drzwi, zanim wyschnie środek odkażający.

- W takim razie... wygląda na to, że będę musiał opatrzyć go sam.

Zaśmiałem się, a Mandy spojrzała teraz na mnie.

- O co chodzi?

Podniosłem rękę i pokazałem jej bliznę po zagojonej już dwadzieścia lat temu ranie na kostce kciuka. Pokiwała głową i wyszła, wkładając okulary z powrotem na nos.

- Nic o tym nie chcę wiedzieć.

Odwróciłem się, aby pójść za nią, wujek zatrzymał mnie i wyszeptał:
- Niech no on się tylko skaleczy... nawet przy nakładaniu przynęty... ty
będziesz za to odpowiedzialny.
- Dzięki.

Rozdział 35

Wujek Willee uczył mnie wędkowania od pierwszego lata, które spędzałem z nim i ciotką Lorną. Wędkowaliśmy z molo w Brunswicku, w dopływach Altamahy, w Little Brunswick albo w sadzawkach wokół Sanktuarium i w każdym innym miejscu, gdzie uważaliśmy, że ryba będzie brać. Gdy wujek nie był akurat w pracy, a ja w szkole, to najprawdopodobniej obaj moczyliśmy gdzieś kije.

W czasie studiów kupiłem używany kajak. Zacumowałem go w porcie pomiędzy łodziami do połowu krewetek i wpływałem nim w niedostępne miejsca, gdzie inne łódki się nie mieściły. W ten sposób opłynąłem wiele mil linii brzegowej. Łowiłem pstrągi, bassy, a nawet trafił mi się jeden czy dwa tarpony². W ten sposób zapewniałem sobie pyszne studenckie kolacje.

Po mojej pożałowania godnej próbie opowiedzenia wujkowi jego historii miałem potrzebę oczyszczenia umysłu, a to zawsze powoduje, że wybieram się na ryby. Obudziłem się więc przed wschodem słońca, załadowałem kajak na dach Vicky i pojechałem w pobliże portu w Brunswicku, a stamtąd popłynąłem wzdłuż wybrzeża, chcąc coś złowić, zanim odejdzie fala przyływu. Jakies pół mili w górę rzeki, w terenie dość dobrze widocznym z miasta, natrafiłem wio-

² Tarpon (*Megalops atlanticus*) - bardzo atrakcyjna dla wędkarzy, dorastająca do sporych rozmiarów ryba zamieszkująca ciepłe wody Atlantyku, m.in. u wybrzeża Florydy.

słem wśród wodorostów na coś twardego, co niekoniecznie było skałą, a z pewnością nie było miejscem usadowienia się ostryg. Wysoka bagienna trawa obrastała to coś, a wokół nagromadziły się wały błota. Podpłynąłem bliżej i dotarłem do czegoś, co wyglądało na studzienkę wydrążoną w twardym wapiennym podłożu zwanym tu coquina. Tworzyła kwadrat o szerokości trzech stóp, z otworem o średnicy jakichś dwóch stóp, wychodzący z podłoża, na którym posadowione było wzgórze i Żuta Bank & Trust. Wejście zablokowane było żelazną kratą, podobną do tej, jaką rysują dzieci, grając w kółko i krzyżyk.

Jeśli się wiedziało, co zrobili tu Hiszpanie, o ich tunelach drażonych w wapiennym podłożu, prowadzących w różne części wyspy, nie było w moim odkryciu nic dziwnego. Moją uwagę przykuły jednak kraty. Miały tak umieszczone zawiasy, że otwierały się na zewnątrz, a nie do środka. No i były zamknięte. Prawdopodobnie trochę mniej niż dwieście lat temu wejście do kanału otwierało się mechanicznie za pomocą zapadki i zamka, by pozwolić na swobodny ruch krat w obie strony. Po dwustu latach w słonawej wodzie kraty rozpadły się, gdy je pchnąłem. Dwadzieścia minut później udało mi się usunąć wszelkie ich pozostałości z wapiennej skały. Podrapałem się w głowę i rozejrzałem dookoła. Coś tu nie pasowało. Fala przyływu całkowicie zakrywała otwór, ale wiedziałem, że wysokość przyływów waha się od czterech do sześciu stóp. Bassy otoczyły kolonię krewetek, więc położyłem kilka godzin, aż fala przyływu opadła, i wróciłem na miejsce, gdy poziom wody się obniżył o połowę. To, co zobaczyłem, było odpowiedzią na moje pytanie. O ile fala przyływu zakrywała wejście i zalewała je wodą, fala odpływu odkrywała je i zabierała całą wodę.

Słyszałem o hiszpańskich i mauretańskich fortach, w których używano tej technologii, by czyścić latryny fortów i zam-

ków usytuowanych na brzegach zarówno obu wybrzeży Stanów, jak i Europy.

Znając pory przyływów i odpływów i wiedząc, że mam jeszcze kilka godzin, zanim woda powróci, założyłem lampę na czoło i podczołgałem się przez tunel na brzuchu kilkaset jardów pod górę. Dokładnie w momencie, gdy byłem już na tyle zmęczony, by zacząć się zastanawiać, jak wrócę tą samą drogą, tunel zaczął prowadzić płasko i natknąłem się na następne żelazne kraty. One także miały zawiasy, ale te działały. Wszedłem więc z tunelu do jaskini szerokiej na dwadzieścia stóp i długiej na sześćdziesiąt. Sufit nad moją głową był czymś w rodzaju dwudziestowiecznych konstrukcji - połączenia stalowych wzmocnień i betonu. Tu znów zacząłem łamać sobie głowę. Z całą pewnością ten, kto zalał betonem sufit, wiedział o wapiennej jaskini, ale czy wiedział też o przejściu prowadzącym na zewnątrz? Ściany pomieszczenia pokryte były nazwiskami i datami wyrytymi tu po 1800 roku. Większość napisów pochodziła z połowy dziewiętnastego wieku. Niektóre były cytatami z Biblii, a inne tworzyły listy nazwisk jakichś ludzi i członków ich rodzin. Jedynie ściana nad wejściem miała jeden napis WOLNOŚĆ i strzałkę skierowaną w kierunku tunelu.

Jak wszyscy w Brunswicku, rośłem, słuchając opowieści o podziemnych korytarzach, dzięki którym uwalniano niewolników z pobliskich plantacji. Ale oczywiście z biegiem czasu nikt już nie wiedział, gdzie kończyła się prawda, a zaczynały bajdy. Rozglądając się wokół siebie, pomyślałem, że stoję bardzo blisko prawdy.

Sprawdziłem godzinę, oeniłem, ile mam czasu, i poświęciłem go jeszcze trochę, oglądając ściany. W południowo-wschodnim rogu pomieszczenia znalazłem kręcone schody prowadzące do drewnianych drzwi w suficie. Próbowałem je podważyć, ale mi się nie udało. Zrobiono je z solidnego i

sądząc po odgłosie - grubego drewna. Zapierałem się o nie plecami i naciskałem stopami, aż się poruszyły. Powtórzyłem ten manewr i udało mi się je podważyć, obsypując się pyłem. Drzwi musiały mieć grubość sześciu cali i ważyć jakieś siedemdziesiąt pięć funtów. W końcu udało mi się unieść je i otworzyć, opierając o ścianę z betonu. Krótki szyb prowadził do może dwie stopy wyżej położonych, następnych drzwi, tyle że cieńszych, chyba ze sklejki. Popchnąłem je, tym razem poszło gładko i drzwi się podniosły. Podciągnąłem się do góry i poczułem dywan pod dłonią. Rozejrzałem się.

Nic nie mogło mnie przygotować na ten widok.

Wszedłem do środka i odszukałem przełącznik światła na ścianie. Nacisnąłem go i oto znalazłem się w sejfie bankowym, długim może na dziesięć stóp i szerokim na osiem. W czasie nie dłuższym niż nanosekunda zorientowałem się, co to za miejsce. Wujek nigdy za wiele o nim nie opowiadał, ale z informacji z gazet, plotek i tego, co jednak mi powiedział, mogłem sobie zbudować dość jasny obraz miejsca, gdzie spędził tamtą burzową noc, która zmieniła na zawsze jego życie.

Na dwóch ścianach znajdowały się skrzynki na depozyty osobiste, ściany po przeciwnych stronach były przeznaczone na większe depozyty. Na samym końcu skarbcza stało krzesło i stolik. Jeszcze jedna rzecz przykuła moją uwagę. Na wykładzinie przykrywającej podłogę i otwór, przez który wszedłem, leżał zwinięty wschodni dywan. Wtedy uświadomiłem sobie, że nie leżał tam dla ozdoby, ale po to by ukryć wycięcie w wykładzinie. Ponieważ oświetlenie nie było tam zbyt dobre, a podłogę pokrywał wzorzysty dywan, trudno było zauważyć, że w podłodze jest otwór. Nasuwało się jedno pytanie: Czy wujek wiedział o tych drzwiach?

Chciałem tam jeszcze powęszyć, ale wiedziałem, że nie mogę - gdyby zaczął się przyplływ, musiałbym w skarbcu

spędzić jakieś dziewięć do dziesięciu godzin. Zszedłem więc do jaskini i ruszyłem tunelem, gdzie usłyszałem echo wody objijającej się o wapienną skałę. Najwyższy czas, by wyjść.

Szybko się przeczłgałem, strasząc kilka krabów skrzypków, i ześlizgnąłem w dół - woda sięgała mi już do ust. Wdrapałem się do kajaka i ruszyłem do portu, a za mną wracające z połowu łodzie z krewetkami. Od czasów szkoły średniej byłem tam setki razy i wiosło nigdy nie uderzyło w wapienną skałę, nie rozumiem, dlaczego tym razem tak się stało. Bliskość brzegu, poziom wody, głębokość, na jaką zanurzałem wiosło z każdej strony - każda z tych rzeczy odgrywała rolę. Żadna jednak nie wyjaśniała, dlaczego akurat teraz.

Wieczorem wyrzuciłem to wujkowi. Byłem wściekły i można to było usłyszeć w tonie mojego głosu.

- Coś dzisiaj znalazłem. Spojrzał na mnie znad gazety. -Tak?

- Szperałem dzisiaj w podziemiach... w podziemiach banku.

Uniósł brwi.

-Tak, do dzisiaj sądziłem, że to taki fajny kawałek historii o niewolnikach. Jak to się stało, że nigdy mi nie powiedziałeś o drzwiach w podłodze sejfu, pod dywanem?

Moje pytanie trochę go zaniepokoiło. Odłożył gazetę i pokręcił głową, wpatrując się we mnie.

- Chase, ja nie ukradłem tych obligacji. Złożyłem ręce na krzyż.

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś?

- Oczywiście, że wiedziałem. Jack i ja odkryliśmy to przejście, gdy byliśmy dziećmi.

Kawałki tej łamigłówki zaczęły mi się układać w całość.

- Więc wiedziałeś przez cały czas, że to on je ukradł?

Skinął głową.

- Dlaczego? Ciągłe milczał. -Wujku?

- Są rzeczy, które znaczą więcej niż pieniądze. Patrzyłem na niego i po raz pierwszy zrozumiałem, że

wujek coś ukrywał. Coś mu bliskiego.

- Co ukrywasz? - Wtedy do mnie dotarło. - Aha, rozumiem, on ma coś na ciebie i obaj o tym wiecie.

Nie poruszył się.

- Ale co on na ciebie ma? Czego używał, żebyś przez cały ten czas był cicho?

Wujek pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Będiesz kiedyś musiał przeprowadzić reporterskie dochodzenie.

- Pozwól, że powiem wprost. Straciłeś ojca, żonę i syna, może też pracę i prawie wszystko, co posiadałeś, nawet swoje dobre imię - rozejrzałem się. - Co u licha jest warte utraty tego wszystkiego?

Wujek wpatrywał się w swoje paznokcie i przygryzał wargę.

- Słyszałem kiedyś o takim gościu, który w latach pięćdziesiątych porzucił wszystko i poszedł w busz nawracać tubylców. Wysiadł z samolotu, a tubylcy otoczyli go i wbili mu osiem włóczni w klatkę piersiową. - Pokręcił głową. - Wygląda na marnotrawstwo, ale zanim odjechał, ktoś go zapytał, co właściwie zamierza zrobić. - Wujek przeszedł się kawałek po werandzie i mówił dalej przez ramię. - On odpowiedział, że oddaje to, czego nie może zatrzymać, by otrzymać to, czego nie może stracić. - Wujek zszedł z werandy i rozejrzał się po tym małym świecie, który opuścił, a potem spojrzał na mnie. - Starłem się to zapamiętać - uśmiechnął się. - Kiedyś mi się uda.

Pięć lat po tej rozmowie byłem autorem około tysiąca artykułów, z których spora część została publikowana w całym kraju. Czytelnicy oceniają, że mam nosa do prawdy. Red jest pierwszy, który tak uważa - to dobrze, bo jest moim szefem. Wszystko jest w porządku oprócz jednej sprawy, która naprawdę się liczy. Teraz, gdy patrzę na kolaż na ścianie, mogę jedynie podrapać się w głowę. Prawda jest tak złożona jak konstrukcja *Scarlet Pimpernel*⁶¹. Wiem kto, wiem jak, wiem kiedy, ale nie złamałem jeszcze kodu do tajemnicy: dlaczego. Jeszcze wiele razy wchodziłem do tunelu i spędzałem całe godziny w sejfie, a i tak nie potrafię powiedzieć, co się stało wtedy latem 1979 roku. Intuicja podpowiada mi, że jest tylko jeden człowiek, który mógłby to zrobić, ale on z jakiegoś powodu milczy. A jeśli coś mówi, to cytuje tych, którzy już nie żyją, albo mówi coś, co tylko on rozumie.

Odkrycie podziemi i ukrytego wejścia do sejfu nie posunęło mojego śledztwa ani na krok. Informując go o tym, co odkryłem, wbijałem jedynie gwoździe do jego trumny. Trzymając wszystko w sekrecie, powodował, że popadało w zapomnienie. Przyznając, że od początku wiedział, iż to Jack ukradł pieniądze, wkopywał siebie. Zestawiając to z moimi wykładami z filozofii, przytoczę mojego profesora, który powiedział, że jest pięć sposobów, by się dowiedzieć: doświadczenie osobiste, odkrycie, dowody empiryczne, logika, pogłoski. Korzystając z tych metod zdobywania wiedzy, wiem jedno i mógłbym założyć się o swoje życie, że William Liam McFarland z premedytacją wziął na siebie winę za coś, czego nie zrobił.

Całe swoje życie przeżyłem nad przepaścią, postawiony pomiędzy dwoma biegunami. Po jednej stronie stało całe

⁶¹ *Scarlet Pimpernel*-powieść o czasach rewolucji francuskiej napisana przez baronową Emmuskę Orczy. Powstał też musical o tym samym tytule. Pierwowzór opowieści o superbohaterach typu Zorro, Batman itp.

miasteczko i jego mieszkańcy przekonani i wierzący w to, co usłyszeli lub im zasugerowano. Na czele tego tłumu stał wujek Jack, potwierdzając ogólne przekonanie. Pomagało mu w tym milczenie wujka Willeeego, co tylko pogarszało sprawę.

Po drugiej stronie był wujek Willee, pokonany i bezbronny. Pośrodku, drapiąc się w głowę, stałem ja.

Rozdział 36

Z powodu dużego ruchu na obwodnicy, przechodzonego samochodu, objazdu na Spaghetti Junction Mandy, wujek, Sketch i ja dojechaliśmy na Turner Field na kilka minut przed rozpoczęciem meczu. Wujek zostawił niedomknięte okno, aby Bones miał przewiew, czekając na nas na tylnym siedzeniu. Gdy szliśmy przez parking, zaczepił nas mężczyzna z jedną nogą, poruszający się na wózku inwalidzkim. Miał zmatowiałe włosy i czuć było od niego alkohol. Zajechał nam drogę, mamrocząc zeszywniałymi i lepkiymi ustami, niemal wypluwając słowa na asfalt:

- Drrrrobneeeee.

Przeszedłem obok niego, nawet nie spojrzawszy po raz drugi, tak samo zrobili wujek i Mandy, która odwróciła od niego głowę, by odetchnąć świeżym powietrzem. W chwili gdy nabierałem tchu, mała rączka pociągnęła mnie za tylną kieszeń. Odwróciłem się i zobaczyłem Sketcha z ręką w górze z rozłożonymi palcami. Wskazałem na stadion.

- Poczekaj, aż tam dotrzemy, a wtedy kupię ci, co tylko będziesz chciał.

Chłopiec pokręcił głową i jeszcze raz wyciągnął rękę.

- Słucham?

Mały wskazał mężczyznę na wózku.

- Sketch, jeśli dasz temu człowiekowi pieniądze, on od razu z tego parkingu pojedzie do sklepu z alkoholem.

Chłopak tupnął nogą i wyciągnął rękę po raz trzeci.

- Ja nie dam temu człowiekowi pieniędzy.

Sketch wyciągnął notes i napisał: DAJ TEMU, KTO CIĘ PROSI.

- Kto tak powiedział? - Oparłem ręce na biodrach. Chłopiec spojrział w górę, a potem na mnie. Wujek i Mandy stali za mną, starając się rozwikłać tę zagadkę. Tym razem ja spojrziałem w górę i obejrzałem się za siebie. -Kto?

Dzieciak przewrócił stronę i narysował krzyż i słowa MATEUSZ, 5³ i trzymał notes w górze, żeby cała trójka mogła zobaczyć. Tymczasem mężczyzna na wózku podjechał bliżej i zatrzymał się za chłopcem.

- Cytujesz Biblię?

Sketch jeszcze raz otworzył notes i wyciągnął z niego pojedynczą stronę, która postrzępiła się od częstego składania. Obróciłem ją w dłoniach.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz? Zaprzeczył ruchem głowy.

Wujek wysunął się przede mnie, wyjął z kieszeni banknot pięciodolarowy i włożył go do kieszeni koszuli mężczyzny. Patrząc na mnie, powiedział:

- Powinienem być cię lepiej wychować. Przyjdź w niedzielę do kościoła, usiądziemy z przodu. Za dużo czasu spędziłeś na rybach.

Poszliśmy na stadion, przeszliśmy przez kilka bramek i weszliśmy na trybuny. Miejsca mieliśmy zaraz za pierwszą bazą, jakieś trzydzieści rzędów powyżej gliny pokrywającej najdalszą część boiska. Kupiliśmy program, usadowiliśmy się i rozejrzeliśmy dookoła siebie. Stadion się zmienił, rozkład się zmienił, muzyka była głośniejsza, a drinki i przekąski

³ Ewangelia według św. Mateusza 5, 42. „Daj temu, kto cię prosi, i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie”. Fragment *Kazania na Górze*, które uchodzi za kodeks moralności chrześcijańskiej.

dwa razy droższe. Wciąż jednak było tu magicznie. Po twarzy Sketcha poznałem, że on też tak myśli.

Przejrzałem program i zapoznałem się z wszystkimi nowymi twarzami i nowymi talentami. Uderzającym był teraz Terry Pendleton, a Chipper Jones czternasty rok kontynuował karierę i był kandydatem do Cooperstown. Policzyłem, że minęło piętnaście lat od ślizgu. Spojrzałem na miejsce, które zajmowaliśmy wtedy, i próbowałem sobie przypomnieć czasy, gdy bywaliśmy tu z Tommye. Napotkałem wzrok wujka i wiedziałem, że myśli o tym samym. Kupiliśmy napoje i przekąski od prawie każdego sprzedawcy, który coś oferował: popcorn, watę cukrową, orzeszki, hot dogi, zimne piwo, kawałki pizzy, colę, wodę i lody. Do szóstej rundy brzuch chłopca stał się podobny do brzucha Buddy, mój zresztą też. Musieliśmy tak siedzieć na krzesłach, by zrobić dla nich miejsce. Rozejrzałem się po stadionie - wszyscy ojcowie i synowie siedzieli obok siebie z rękawicami gotowymi do łapania zagubionej piłki, z czapkami z daszkiem podniesionymi do góry i z uśmiechem od ucha do ucha. Pomijając szaleństwo milionów dolarów, jakie wchodziły w rachubę, sterydów, rozdmuchanych ego, baseball tak ciągle działa. Jednoczy ich. Potem pomyślałem o życiu Sketcha i o tym, co go czeka. Ponieważ rola rodziców zastępczych była tylko tymczasowa, biuro prokuratora розміściło ogłoszenia w prawie dwudziestu gazetach na południowym wschodzie. Było to trochę jak wystawienie tablicy: „Hej, przyjeźdź i odbierz swoje dziecko”. I bez względu na to, co myślałbym o jego rodzicach, mogli zjawić się nawet jutro, wrzucić go na tylne siedzenie samochodu i zniknąć. Na zawsze. Oczywiście na początku byliby bacznie obserwowani, ale jeśliby dobrze się sprawowali przez ten czas, mogliby go zatrzymać. Jednocześnie mogłyby to być najbardziej odrażające białe śmieci z przyczepy, ale ani Mandy, ani ja nie moglibyśmy nic zrobić, bo prawo chroni rodziców.

Prawa ręka Sketcha leżała tuż przy mojej. Chłopiec po drapał się w łokieć, sięgając przez moją rękę. Jego skóra była szorstka i cienka, jakby ktoś po niej przejechał tarką do sera.

Gdy byłem mniej więcej w wieku Sketcha, pracowałem z wujkiem w cieplarni. Pewnego wieczoru po kolacji poszliśmy jeszcze raz zobaczyć, jak się mają jego roślinki. Wujek zapalił światło, posadził mnie i pokazał pięknie rozkwitły fioletowy storczyk, na długiej na trzy stopy gałązce, podsuwając mi go pod sam nos.

- Pięknie zakwitł, prawda?

Pokiwałem głową, a on postukał w doniczkę.

- Storczyki nie kwitną z tego miejsca - odsunął ziemię i pokruszoną korę z korzeni - ale stąd.

Trzymał pomarańczową, glinianą doniczkę w obu rękach. - Jeśli będziesz dbał o korzenie, to roślina zakwitnie sama z siebie.

Wujek wyjął kawałek prostego bambusa, długi na jakieś cztery stopy, i wsunął go delikatnie pomiędzy korzenie.

- To żeby podeprzeć gałązkę z kwiatami. Jeśli tego nic zrobisz, a ona wyda zbyt wiele kwiatów, ich ciężar może złaść całą gałązkę. Tak więc trzeba jej pozwolić kwitnąć ile chce, ale należy ją podeprzeć.

Mandy patrzyła na mnie i na wyraz mojej twarzy.

- Wszystko w porządku?

-Tak... tylko... zapatrzyłem się na grę... - skłamałem.

Przyglądałem się Sketchowi, jak wpatruje się w boisko, śledzi lecące piłki, odczytuje wyniki i jak stopy wiszą mu nad ziemią, gdy opiera się o siedzenie. Mandy też na niego patrzyła. Stał się jednym z nas, a nie tylko dodatkiem do rodziny.

Myślałem o artykule, który mam napisać. Ostatniej z trzech części, którą Red chciał mieć na biurku już za kilka dni. Powiedział, że czytelnicy stracą zainteresowanie, jeśli nic będziemy go podsycać i nie zaczniemy wyciągać wniosków.

- Znajdź coś, bo na pewno coś w tym jest - dodał.

Wnioski? *Jak storczyk może zakwitnąć, jeśli nacina mu się korzenie obcęgami, przypala go papierosami i zalewa piwem?* Jakże stąd można wyciągnąć wnioski? Gdzie optymistyczne zakończenie?

Sketch przyglądał się pałkarzowi w bazie domowej, wy-treowanemu do swego ruchu. Lepka prawa ręka chłopca bezustannie rysowała linie i cienie w powietrzu, dowodząc, że ołówek był częścią jego mózgu. Siedzący po jego lewej stronie wujek cały czas tłumaczył mu, co się dzieje, opowiadał o pałkarzach, graczach, którzy byli w czymś dobrzy i dlaczego. Tym razem wujek grał rolę komentatora, a po trzydziestu latach kibicowania Bravesom robił to świetnie. Gdy go słuchałem, czułem, że brakuje mi Tommye.

Dwa auty w trakcie siódmej rundy i pałkarz uderza mocno na środek boiska, gdzie Andruw Jones łapie, jest trzeci aut. Bravesi wbiegają, pracownicy pilnujący boiska przykrywają je i szybko znikają, muzyka głośno gra. Jakby na sygnał wujek i ja zrywamy się z siedzeń, ściągamy czapki, rzucając się na siebie i śpiewamy, wydzierając się na całe gardło z całą resztą Atlanty. „Zabierz mnie na mecz, zabierz mnie w ten tłum...”.

Mandy się śmiała, a Sketch podniósł obie stopy do góry, patrząc na nas z mieszanymi uczuciami: odrobiną zdziwienia, fascynacji i szoku. Wujek i ja podnieśliśmy w górę czapki i śpiewaliśmy jeszcze głośniej.

Przerwa w połowie siódmej rundy jest w baseballu tak ważna jak sama gra. Istnieje kilka teorii na jej temat, ale tak naprawdę nie wiemy, skąd wzięła się ta tradycja. Jedna z teorii mówi, że wprowadził ją prezydent William Howard Taft, inna, że Brother Jasper z Manhattan College. Gdy wujek opowiadał o tym Sketchowi, ja poszedłem do toalety. Wszędzie gdzie się obejrzałem, widziałem Tommye. Małe

dziewczynki, z watą cukrową, z namalowanym na twarzy tomahawkiem, niesione przez ojców na ramionach płynęły w powietrzu jak baletnice. Prawie słyszałem komentarze Tommye, jej śmiech, zatopiłem się we wspomnieniu o niej - małej dziewczynce, a teraz kobiecie, która została w domu zawstydzona, ponosząc konsekwencje swych złych decyzji. Tkwiła pod chmurą burzową, zamiast beztrudno płynąć na chmurce. Kiedy doszedłem do alejki prowadzącej na parking, zadzwoniłem pod numer telefonu nad stodołą. Było już prawie wpół do dziesiątej, więc istniała duża szansa, że Tommye spała już pod klimatyzatorem w moim mieszkaniu. Telefon zadzwonił siedem razy, ale nikt nie odebrał.

Bravesi przegrywali dwoma punktami w dziewiątej rundzie. Nie wyglądało to dobrze jak na pierwszy mecz Sketcha, czym wujek się martwił.

Pałkarz Bravesów miał punkty do nadrobienia i kilka cali, by obronić bazę. Mając za sobą dwóch mężczyzn, zawodnik rzucający piłkę wyciągnął się i rzucił ją tak, że przeleciała z prędkością dziewięćdziesięciu czterech mil na godzinę. Była nie do przyjęcia. Pałkarz mocno się odchylił, ale źle wycelował i posłał ją łukiem na prawo. Zawodnik z pierwszej bazy zawrócił, a zawodnik stojący w prawym rogu podbiegł, obaj poruszali się po niedozwolonej części boiska. Wpadli na trybuny jakieś dwadzieścia rzędów poniżej nas. Piłka wylądowała w połowie schodów, odbiła się i poszybowała jeszcze wyżej w bok.

Każdy chłopiec chce mieć jakąś pamiątkę z meczu: proporczyk, czapkę czy program, bo te rzeczy są dowodem spędzonego tu czasu. Świadczą, że się tu było, że się oglądało i było się częścią najlepiej rozegranego meczu w historii. Gdy już je posiadziemy, obchodzimy się z nimi jak z jajkiem, strzeżemy ich, chwalimy się nimi. Te pamiątki są przedmiotem zazdrości każdego chłopca, który kiedykolwiek próbo-

wał swoich sił w baseballu. Ale w całej historii tej gry była jedna pamiątka, która liczyła się naprawdę. Dla nas, którzy czcimy tych bogów, był to zawsze Święty Graal.

Każdy chłopiec i każdy mężczyzna, z tych którzy nas teraz otaczali, trenował i uczył się, jak łapać piłkę. W locie wydawała dźwięk jak małe tornado lub wirujące wiertło. Ta skierowana była dokładnie w głowę Sketcha. Widziałem, że leci szybko, niestety byłem zbyt wolny. Piłka przeleciała, dotknąwszy jedynie moich palców, zaledwie kilka cali od Sketcha. Chłopaka zmroziła szybkość, z jaką leciała. Zrobił zeza i żyły na szyi mu nabrzmiały. Kilka cali od jego twarzy, tuż przed jego nosem pojawiła się wielka, pełna odcisków ręka wujka. Piłka uderzyła w jego otwartą rękę i wylądowała, a on zacisnął dłoń. Mężczyźni i chłopcy wokół nas równocześnie wstrzymali oddech. Wujek powoli rozpostarł palce i trzymał piłkę przed nosem Sketcha, jak Diament Nadziei. Oczy wujka były okrągłe jak oreos⁶³. Pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Jednego dnia trafia mi się karta z Hankiem Aaronem i piłka - rozejrzał się po patrzących na niego ludziach. - Kiedy stąd wyjdę, kupię los na loterię.

Na boisku miotacz posłał trudną piłkę wysoko i za bardzo do środka, ale pałkarz ją odebrał i piłka wzbiła się, jakby była przyczepiona do samolotu. Przeleciała może siedemdziesiąt stóp nad środkową częścią boiska, rozstrzygając spotkanie, wygrywając mecz i zapoczątkowując pennant race, czyli ostatnią turę spotkań przed zimą⁶⁴. Wujek rozsiadł się, jak-

⁶³ Oreos - okrągłe ciasteczka czekoladowe z masą waniliową.

⁶⁴ The pennant race to jednocześnie nazwa końcowego okresu rozgrywek baseballu - od połowy sierpnia do ich zakończenia - jak i tytuł mistrzowski Ligi Narodowej (National League) lub Ligi Amerykańskiej (American League). Zawody decydują, kto będzie reprezentował jaką ligę w ostatecznych rozgrywkach World Series.

by dopiero co zjadł obfity posiłek. Zdjął kapelusz, pogładził brwi i spojrzał przed siebie na drugą stronę boiska.

- Tak, na pewno powinienem kupić los na loterię. Spojrzałem na piłkę.

- Wiesz, jest taki zwyczaj, gdy jesteś już w odpowiednim wieku i jesteś takim patriarchą...

Wujek posłał mi spojrzenie w rodzaju: *Rany, zaczyna się.*

- ...że dajesz... no wiesz... twojemu towarzyszeni połowów... każdą piłkę, którą złapiesz w czasie ostatnich rozgrywek przed zimą.

- Dlaczego sam nie poćwiczysz łapania?

Mandy zaśmiała się, a Sketch trzymał obie dłonie z palcami do góry, zastanawiając się, która lepiej się nadaje do łapania. Wyjechaliśmy z parkingu, a chłopiec nadal oglądał swoje dłonie. Wyraz jego twarzy był bliski uśmiechowi, chyba po raz pierwszy, odkąd się urodził. To nie znaczy, że podniosły mu się kąciki ust, ale oczy miały w sobie zachwyt i podniecenie.

Oczywiście nic nie mogło się równać z uśmiechem, jaki zagościł na twarzy wujka. Miał na kolanach kota, który pomagał mu kierować, i wkrótce zjechaliśmy na północną obwodnicę 1-75, potem wujek wjechał w Dziesiątą Ulicę i skręcił kilka przecznic dalej na Versity. Zatrzymał się na jakimś parkingu i opuścił okno. Karawan zawsze wzbudza ciekawość, tym razem nie było inaczej, ludzie zaglądali do środka, czy nie wieziemy trumny. Sketch wyjrzał przez okno, przyglądając się budynkom, które wznosiły się w nocne niebo. Minutę później usiadł na piętach i wyciągnął szyję, próbując lepiej przyjrzeć się czemuś, co zobaczył w tylnym oknie samochodu. Jego łokcie wbijały mi się w uda, gdy oparł się o mnie, by lepiej zobaczyć to, co było na zewnątrz.

- Sketch, wszystko w porządku?

Niezadowolony Sketch otworzył w końcu drzwi i zaczął biec wzdłuż mostu przy Dziesiątej Ulicy. Wujek zaczął

właśnie mówić, żebyśmy lepiej poszli za nim, gdy Mandy i ja wyskoczyliśmy z samochodu. Biegł kilka kroków, odwracał się, patrzył przez ramię i znów biegł. Byliśmy dość blisko niego, ale nie na tyle, by dowiedzieć się, co chce zrobić. Pobiegliśmy jeszcze wzdłuż dwóch przecznic Georgia Tech Campus, wzdłuż ich boiska piłkarskiego, na szczyt wzgórza, gdzie się zatrzymał i zastanowił, używając swego własnego kompasu i kierując się wskazówkami, jakie tylko on miał w głowie. Oddychał ciężko, był zgrzany, ale nie zmęczony. Mandy biegła koło mnie. Sądzę, że ja byłem w najgorszej kondycji z całej naszej trójki, bo nie bardzo potrafię biegać w japonkach. Mandy go dogoniła i zapytała:

- Buddy, szukasz czegoś konkretnego?

Spojrzał na nas i usiadł na krawężniku, a potem narysował to, co miał zapisane w głowie. Był to obrazek przedstawiający jego samego, patrzącego przez okno na drapacze chmur. Budynki znajdowały się w większym oddaleniu, niż byliśmy teraz, ale w prawym rogu znajdowała się sylwetka takiego, którego nie można było pomylić z niczym innym. Był to niebieski, podobny do grzyba budynek z obracającą się restauracją na szczycie, która wyglądała jak przybysz ze świata Jetsonów. Sketch wyrwał kartkę i podał mi ją, a potem znów zaczął biec.

Odwróciłem się do Mandy.

- On próbuje odnaleźć to, co zapamiętał, porównując z tym, co widzi teraz.

- Cóż, trzeba biec za nim.

Wujek jechał za nami, lokalizując nas za pomocą przednich świateł, a Bones opierał się łapkami o deskę rozdzielczą, stojąc na siedzeniu na tylnych łapkach. Przebiegliśmy jeszcze trzy przecznice, ale z każdą następną Sketch wydawał się coraz bardziej sfrustrowany, po dwóch kolejnych drzewa zaczęły zasłaniać nam widok. Sketch zobaczył magnolię

i wspiał się na nią. Na wysokości trzydziestu stóp rozchylił gałęzie, by się rozejrzeć, i rozczarowany widokiem, zaczął schodzić z drzewa.

- Sketch, powinniśmy być bliżej czy raczej się oddalić? Wskazał za moim ramieniem za miasto, na zachód, więc

gdy pomogłem mu zejść z drzewa, zaczął znów biec w tamtą stronę. Zaproponowałem wtedy:

- Sketch, pojedźmy tam samochodem. Usiądziesz z przodu, będziesz wtedy lepiej widział. OK?

Spojrzał na bolesne obtarcia na mojej prawej nodze i zgodził się.

Jeździliśmy zygzakiem przez kilka przecznic w kierunku najwyższego punktu w mieście. W końcu zatrzymaliśmy auto i postawiliśmy chłopca na masce. Patrzył na miasto, a potem obrócił się i znowu coś wskazał. Trwało to aż do północy, a my błędziliśmy na ślepo po ulicach. Około pierwszej Sketch narysował jeszcze dwa obrazki. Najpierw starszą panią, która siedziała na fotelu z wysuwającym podnóżkiem i patrzyła przez okno. Była w szlafroku i rannych pantoflach, pokój był niemal pusty. Nie wyglądał jak dom, raczej jak szpital. Na stoliku obok stał portret mężczyzny w mundurze i leżała sfatygowana Biblia.

Wziąłem od niego obrazek.

- Znasz tę panią?

Wzruszył ramionami i kiwnął głową.

- Wydaje ci się, że ją znasz? Znów pokiwał głową.

- Mieszka w domu? W mieszkaniu? Pokręcił przecząco głową. Mandy uklękła przy nim.

- Czy z tą panią mieszkają inni starsi ludzie? Przytaknął.

-Wielu?

Wzruszył ramionami i potaknął. Mandy wykręciła numer informacji i zapytała o adresy domów opieki w najbliższej okolicy. Operator podał jej dwa: Sherwood Villas i Cedar Lakes Community. Sketch przeczytał te nazwy i wzruszył ramionami. Wujek zlokalizował Sherwood Villas w odległości dwóch mil od miejsca, gdzie teraz byliśmy. Przyjechaliśmy na kiepsko oświetlony parking i wujek pozwolił Sketchowi wysiąść. Chłopak rozejrzał się, zagryzł wargę i pokręcił głową. Wujek ponownie przejrzał mapę i pojechaliśmy kilkanaście przecznic dalej, do Cedar Lakes. Wjechaliśmy na długi podjazd obrośnięty po obu stronach zieloną trawą i drzewami magnolii, a nogi chłopca zaczęły podskakiwać, jakby obudziła się pacynka. Wjechaliśmy na parking wielkiego centrum dla emerytów, które składało się z wielu budowli. Niektóre nawet tworzyły małe osiedla, z garażami, wszystko było bardzo dobrze oświetlone. Wujek jeszcze się nie zatrzymał, gdy Sketch wyskoczył z samochodu i pobiegł pędem do wejścia. W pewnej odległości od drzwi zatrzymał się, wrócił do nas, wsadził szachy pod pachę i znów pobiegł w tę samą stronę. My wszyscy ruszyliśmy za nim. Gdy dobiegł do drzwi wejściowych, okazało się, że są zamknięte. Zza biurka wstał strażnik i podszedł w naszym kierunku. Nacisnął guzik i pomachał do nas. Sketch pchnął drzwi, ominął jego biurko i pobiegł korytarzem w lewo. Strażnik krzyknął z za biurka:

- Hej, nie wolno tu wchodzić o tej porze!

Cała nasza trójka pobiegła za Sketchem korytarzem, wzdłuż którego widać było jedne drzwi obok drugich, jak w hotelu. Strażnik biegł za nami, a wielki pęk kluczy, który wisiał przy jego pasku, obijał się o krótkofalówkę. Jediną rzeczą, która robiła jeszcze więcej hałasu, były jego skrzypiące buty. Sketch biegł korytarzem przed siebie, potem skręcił w lewo, na klatkę schodową, a potem znów korytarzem na

wprost. Strażnik zaczął mieć trudności ze złapaniem oddechu, więc zatrzymał się i nacisnął guzik krótkofalówki, wzywając na pomoc jakiegoś Grega i Berta i mówiąc im, że jakiś zwariowany dzieciak biega po Seattle West. Mandy i ja zostawiliśmy go i ruszyliśmy za Sketchem na drugie piętro. Chłopiec biegł teraz jak sprinter, na końcu zatrzymał się, nacisnął klamkę ostatnich drzwi po prawej stronie i otworzył je. Wszedłem do środka tuż za nim. Na środku pokoju zobaczyłem ogromny fotel ustawiony na wprost wielkiego okna, które wychodziło na wieżowiec. Sketch zapalił światło i podszedł do łóżka. Świetlówka raz mrugnęła, a potem zalała pokój światłem. Zobaczyliśmy sporą postać leżącą w łóżku, jej nogi wystawały spod kołdry. Starszy mężczyzna z rzadkimi siwymi włosami, krzaczastymi brwiami i wielkimi uszami wpatrywał się w nas oczami wielkości spodków. Chłopiec przyglądał się mężczyźnie, a mężczyzna nam. Sketchowi nie spodobało się to, co zobaczył, bo odciągnął kołdrę i zajrzał pod nią.

Strażnik wbiegł tuż za nami, kaszląc. Trzymał w ręku zapaloną latarkę skierowaną na nasze twarze. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł złapać tchu. Sketch obrócił się, podszedł do okna, usiadł na fotelu i wpatrzył się w podłogę. Starszy człowiek usiadł na łóżku, pociągając spory haust z inhalatora. Strażnik w końcu złapał oddech.

- Nie wolno wam tu być. Wszyscy natychmiast wychodzą!

Podniosłem do góry rysunek starszej kobiety siedzącej przy oknie.

- Sketch, czy to na pewno ten pokój?

Pokiwał głową, dalej wpatrzony w podłogę, gryząc wargę.

- Wszystko panu wyjaśnię - zwróciłem się do strażnika. Odwróciłem się do starszego mężczyzny, który patrzył na nas, ale nie wypowiedział ani słowa.

- A pan, czy długo pan mieszka w tym pokoju?

- Jaaaakiś rok - zająknął się. Zwróciłem się znowu do strażnika.

- Orientuje się pan może, czy w tym pokoju mieszkała kobieta?

Pokiwał głową i gestem zaczął wypraszać nas z pokoju.

- Bardzo przepraszam, panie Tutttles - zwrócił się do mężczyzny na łóżku.

Wypchnął nas wszystkich na korytarz, gdzie już czekali inni strażnicy razem z wujkiem.

- No to macie kłopoty.

- Proszę mi dać minutę, a wszystko panu wyjaśnię.

- A ciebie już od dawna tu nie widziałem. - Po raz pierwszy strażnik popatrzył na chłopca.

- Zna go pan? - zapytałem.

-Jasne, przychodził tu zwykle do pani Hampton, właściwie przez cały czas, gdy mieszkał w tym Sparksie.

- W Sparksie?

- Tak, w domu dla chłopców, kilka przecznic stąd.

- Czy pani Hampton wciąż tutaj jest? Bert spojrzał na Grega i uniósł brwi.

- Może nie śpi - wzruszył ramionami drugi strażnik. Bert, czując się upoważniony, poprowadził nas z sobą.

Zjechaliśmy na parter i przeszliśmy do drugiego budynku, do którego potrzebna była karta elektroniczna do otwarcia drzwi. To skrzydło przypominało raczej szpital. Gdy weszliśmy, pielęgniarki przy swoim stanowisku śledziły około piętnastu monitorów wiszących nad ich głowami.

-To jest San Antonio - powiedział Bert. - Nazwa oznacza, że jest to oddział dla chorych na alzheimera. - Wskazał na budynek, który opuściliśmy. - Gdy nie są już w stanie żyć samodzielnie w Seattle, przenosimy ich do San Antonio.

Trzymał w rękach kartę do drzwi, którą miał i tak przyczepioną do plastikowego rzemyka i zawieszoną na szyi.

- Nie można wejść ani wyjść bez takiego klucza. Niektórzy lubią iść przed siebie, ale potem nie potrafią wrócić.

Spojrzał na Sketcha.

- Trochę urosłeś. Ile to minęło, dwa lata?

Chłopiec wzruszył ramionami i przełożył szachy spod jednej pachy pod drugą. Bert wskazał na nie.

- Wygląda na to, że dalej grasz. Ona niestety już nie gra. Oczy Sketcha się zwężyły, ale maszerował dalej za Bertem. Strażnik zatrzymał się przy stanowisku pielęgniarek i zapytał:

- Greta, co u pani Hampton?

- Nie śpi. - Pielęgniarka wskazała monitor.

Poszliśmy dalej do pokoju sto osiem i Bert się odsunął.

Sketch pchnął drzwi i wszedł do środka. Starsza pani siedziała na łóżku. Włosy miała mocno przerzedzone, gryzła paznokiec, jej oczy były zgaszone. Gdy zobaczyła Sketcha, uśmiechnęła się i poklepała miejsce na łóżku. Chłopiec podsunął krzesło i wspiał się na łóżko. Usiadł po turecku, przodem do niej. Próbowwała się odezwać, ale słowa nie wydobywały się z jej ust. Pielęgniarka wyszeptała do Mandy i do mnie:

- Pani Hampton jest tutaj już jakiś rok i przez ten czas jeszcze się nie odezwała.

Sketch otworzył szachy i ustawił pionki i figury. Pani Hampton spojrzała na szachownicę i powoli przesunęła pionek do przodu. Bert pokiwał głową.

- Przychodził do niej prawie codziennie. To ona nauczyła go grać.

- Kim ona jest?

- To prawdziwa południowa piękność. Teraz dobiega już setki. Mieszkała w starym, pięknym domu w centrum mia-

sta, niedaleko Margaret Mitchell. Czasem opowiadała historie ze swego życia. - Wskazał na zdjęcie na stoliku obok łóżka. - To jej mąż, pułkownik Hampton, który zmarł jakieś dwadzieścia lat temu. Ona jednak stale chce mieć przy sobie jego zdjęcie.

Gdy mówił, jej lewa ręka przesuwiała pionki, ale prawa zawędrowała na szyję, jakby szukała czegoś, czego tam nie było.

- No i znowu. Znowu tego szuka.

- Szuka czego? - wyszeptała Mandy.

Wtedy Sketch się poruszył. Gdy ręka pani Hampton zaczęła przeszukiwać szyję, on otworzył jedną z szufladek w swoim pudełku na szachy i włożył palce głęboko, jakby czegoś szukając, po czym wyjął coś zawiniętego w serwetkę i zaczął odpakowywać. Mandy i ja podeszliśmy bliżej, by się przyjrzeć. Gdy wyczuł naszą obecność, obejrzał się przez ramię.

- Wszystko w porządku, odwijaj dalej.

Chłopiec odwinął serwetkę i położył zawartość na otwartej dłoni. Bert zobaczył łańcuszek w jego ręce i westchnął. -Jest.

Sketch podniósł długi łańcuszek w kolorze srebra i pokazał gestem, by zawiesić go na szyi starszej pani. Gdy go zobaczyła, a zwłaszcza brylant, który zwisał na łańcuszku, pochyliła się do przodu. Chłopiec przełożył jej go przez głowę i delikatnie zawiesił na szyi, gdzie klejnot zawisł pomiędzy jej długimi palcami. Wyjął swój notes spod szachownicy i napisał, PANI HAMPTON, BARDZO MI PRZYKRO Z POWODU

PANI BRYLANTU, WIEM, ŻE GO PANI BRAKOWAŁO. PRZEPRASZAM, ŻE NIE ODDAŁEM GO WCZEŚNIEJ.

Położył notatnik na jej kolanach i podsunął w jej stronę, żeby lepiej widziała. Pielęgniarka wysunęła się przed nas i powiedziała:

- Chłopcze, ona już nie potrafi czytać.

Wzięła notes i przeczytała na głos. Pani Hampton patrzyła przez okno, a jej palce obrysowywały kształt klejnotu.

- Gdy zginął, przetrząsali to miejsce i wszyscy musieliśmy się poddać testowi na wykrywaczu kłamstw. Potem znikła Sonya, nie przyszła do pracy. Wtedy wszyscy zaczęli wskazywać palcami jeden na drugiego.

Mandy i ja patrzyliśmy zaskoczeni na chłopca. Lubił mieć swoje tajemnice, więc nie przeszkadzało mu, że nie mówi.

- Dziennikarze, ekipy telewizyjne, wielu ludzi - przypominał Bert. - Pułkownik podarował jej ten kamień, gdy wrócił z kampanii w Afryce. Został wtedy ranny w „to” miejsce.

Buddy i pani Hampton siedzieli w milczeniu, oni rozumieli się doskonale. Wujek wysunął się kilka kroków naprzód i zaproponował:

- Buddy, dajmy tej miłej pani trochę pospać. Wrócimy tu jutro. Dobrze?

Mandy odciągnęła Berta na stronę.

- Nie macie tu takich przepisów, aby zabezpieczać klejnoty rodzinne lub oddawać je osobom zaufanym?

- Mamy, ale po pierwsze pani Hampton nie ma rodziny, a po drugie nigdy nie pozwoliła sobie zdjąć naszyjnika. - Pokiwał głową Bert.

Otworzyłem portfel, wyjąłem porwaną kartkę Sketcha i podszedłem do stolika ze stojącym na nim zdjęciem pułkownika. Otworzyłem Biblię. Chciałem otworzyć ją na piątym rozdziale Ewangelii świętego Mateusza, ale go tam nie było. Rozłożyłem kartkę, znalazłem miejsce, skąd ją wyrwano, i włożyłem ją tam. Pasowała idealnie. Sketch pokiwał głową i zsunął się z łóżka, ale pani Hampton nie chciała puścić jego ręki. Delikatnie poklepał ją drugą ręką, wtedy go puściła. Wyszliśmy na korytarz, gdzie wujek rozmawiał z Bertem. Sketch pociągnął mnie za nogawkę i wskazał na swój notes, w którym napisał: IDEŃ TERAZ DO WIEZIENIA?

Pokazałem to Mandy, która ukłękła przed nim i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, Buddy... nie idziesz do więzienia. - Pogłaskała go delikatnie po włosach. - Powinniśmy raczej dać ci medal.

Ponieważ wiedziałem, że Red z pewnością się zgodzi, zamówiłem podwójny pokój w hotelu Ritz Carlton na Peachtree. Mandy zajmowała jeden pokój, a my w trójkę drugi. W czwórkę, jeśli liczyć Bonesa. Sketch nie chciał słyszeć o tym, żeby kot spał w samochodzie, więc go przesmuglowałem tylnym wejściem, wykapałem i zamówiłem room service. Wujek patrzył, jak kot pije mleko, i stwierdził:

- To może nas dużo kosztować.

Spaliśmy do późna, a potem objedliśmy się w bufecie, gdzie serwowano brunch⁴. W czasie gdy Mandy i ja dzwoniiliśmy do swoich szefów, wujek i Sketch grali w szachy w holu hotelowym. Miałem rację, Red nie miał nic przeciwko. W porze lunchu siedzieliśmy już w biurze dyrektora Cedar Lakes, przepaszając za poprzednią noc. Nie wyglądał na zdenerwowanego, ponieważ pani Hampton odzyskała naszyjnik. Gdy już opowiedzieliśmy mu całą historię, a on zadał nam pytania - miał ich długą listę - Mandy i ja z kolei postawiliśmy pytania jemu.

Wyjaśnił nam, że Starks jest domem dla chłopców należącym do miasta. Kilka lat temu zaczęto przyprowadzać chłopców, by spotykali się z rezydentami domu opieki.

- Mogli przychodzić tylko ci chłopcy, którzy mieli odpowiedni temperament, a Stuart do nich należał.

- Stuart? - zapytałem.

- Stuart. Stuart Smoak.

- Tak się nazywa?

Brunch - późne śniadanie (breakfast + lunch).

- Jeśli to ten sam chłopiec, o którym myślę. Jest niemy, tak? To musi być Stuart. To on odwiedzał panią Hampton prawie codziennie.

- Co się potem stało?

- Dokładnie nie wiem. Jakies trzy lata temu zniknął brylant wraz z jedną z naszych opiekunek. Kobieta nazywała się Sonya Becker.

Mandy wyjęła z teczki zdjęcie rozbitej impali i położyła na biurku.

- To ona? - pan Buckley wskazał na spalone ciało. Mandy pokiwała głową.

- No cóż, widać droga przestępcza jednak nie popłaca -skrzywił usta.

Podziękowaliśmy panu Buckleyowi, za jego pozwoleniem zostawiliśmy wujka i Sketcha u pani Hampton i pojechaliśmy Sally do Starks. Dom dla chłopców był oddalony o jakąś milę od Cedar Lakes, znajdował się w samym centrum Atlanty. Był to wielki ośmiopiętrowy ceglany budynek, niegdyś fabryczny. Postawiono go blisko torów kolejowych, a przejęty został przez miasto, gdy fabryka odzieży przestała istnieć. Napis nad drzwiami mówił jedynie: STARKS ZAŁ. 1946.

Sherry Quitman spotkała się z nami w drzwiach, z wyciągniętą ręką, uśmiechając się i witając nas z typowym dla Georgii południowym akcentem. Atrakcyjna kobieta po pięćdziesiątce, której wygląd i pewność siebie mówiły mi, że mogłaby być dyrektorem generalnym którejś firmy notowanej w Fortune 500⁵. Przypominała trochę Margaret Thatcher. Wszystko to świadczyło, że pracowała tutaj z zamiłowaniem. Spodobała mi się od pierwszej chwili.

⁵ Fortune 500 - ranking pięciuset najlepiej zarządzanych firm w Stanach Zjednoczonych.

Poprowadziła nas do swego biura i zamknęła drzwi. Po wstępnych grzecznościach rozłożyła na biurku dokumenty i pokazała je nam. Leżało przed nami wszystko, co mogła zgromadzić na temat życia Stuarta Smoaka. Sherry oparła się o krzesło i wyrecytowała z pamięci.

- Stuart trafił do nas, gdy jak uważaliśmy, miał jakiś cztery lub pięć lat.

- „Jak uważaliście”? Przymknęła.

- Nie było zbyt wielu danych na jego temat. Przybył do nas z rodziny zastępczej w południowej Georgii, a tam dostał się z innej rodziny zastępczej, gdzieś z Tennessee.

- A co pani wie na temat utraty mowy? - zapytała Mandy.

- Do nas dotarł już w takim stanie. Jak się dowiedzieliśmy, jedna z matek zastępczych chciała go udusić, bo się zsiusiał. Zmiażdżyła mu struny głosowe i uszkodziła mięśnie, które nimi sterują.

- A w jaki sposób trafił do pani Hampton?

- Zaczęliśmy taki program wizyt u osób z Cedar Lakes. Stuart spędzał tam dużo czasu, ponieważ był dobry w jednej rzeczy - w słuchaniu. Już tak jest, że żebyśmy nie wiem jak się starali, dzieciaki będą wyśmiewać się z rówieśników, którzy są inni. Stuart taki nie był, dlatego wolał spędzać popołudnia w tamtym domu.

- A kto nauczył go rysować? Uśmiechnęła się.

- To niesamowite, prawda? Sam się tego nauczył. Gdy zorientowaliśmy się, że nie może mówić, słowa same wychodziły już spod jego palców.

Mandy potrzebowała więcej danych, więc pytała dalej.

- Jakie środki prawne zastosowaliście państwo wobec chłopca?

- Gdy tu trafił, był na tyle mały, że miał spore szanse na adopcję, więc próbowaliśmy się dowiedzieć o nim jak najwięcej. Wyśledziłam jego drogę i dotarłam aż do Tennessee. Tam utknęłam, bo w miejscu gdzie przechowywano dane, wybuchł kiedyś pożar i wszystkie informacje zostały utracone. Komputery też. Ludzie, którzy tam pracowali, powiedzieli mi, że jeśli mówimy o tym samym chłopcu, to był on znajdują podrzuconym w koszyku na czyichś schodach. Tego jednak nie możemy być pewni - wzruszyła ramionami. - Nie bardzo da się ustalić coś pewnego na temat jego rodziny ani nawet z której części kraju pochodził. Tylko on sam wie, przez co przeszedł. Gdy dowiedzieliśmy się tego wszystkiego, zaczęliśmy się starać o możliwość odebrania praw rodzicielskich, jeśli w ogóle jakieś istniały. Potem zaczęliśmy szukać mu domu, ale jest trudno nawet z dziećmi pełnosprawnymi... Kilka miesięcy później chłopiec zaczął chodzić do Cedar Lakes. Stamtąd przyszła kobieta, która chciała go adoptować. Zaczęliśmy procedurę, sprawdziliśmy, czy nie ma kryminalnej przeszłości, zrobiliśmy inspekcję w domu i nie było zastrzeżeń. Wydawało się, że dobrze radzi sobie z ludźmi, bo pracodawcy z Cedar Lakes dali jej dobre referencje. Cieszyliśmy się. Z tego, że pokonaliśmy system i podnieśliśmy statystykę. Nie słyszałam o nim aż do teraz.

Mandy pokiwała głową i oparła się o krzesło. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że historia układała jej się w jedną całość.

- Myślę, że mogę odwołać te wszystkie ogłoszenia w prasie.

- Dlaczego?

- Bo wygląda na to, że nie ma czego szukać.

- Ale czy nie możemy próbować szukać? Nie możemy tak po prostu się poddać. A jeśli on nie jest znajdą? Jeśli gdzieś

tam ma prawdziwych rodziców? Jeśli ktoś go szuka? No bo ktoś go przecież urodził, to musi coś znaczyć.

- Chase, wiem, że ty pewnie lepiej to rozumiesz niż my obie razem wzięte, ale... nikt nie przyjdzie po tego chłopca. - Mandy potrząsnęła głową.

Sherry zgodziła się z nią. Ja jednak naciskałem.

- Co teraz się z nim stanie?

- Stan obejmie nad nim opiekę. Wziąwszy pod uwagę jego przeszłość, molestowanie, ma duże szanse pozostać pod opieką stanu aż do chwili, gdy osiągnie pełnoletność.

Sheryl Crow śpiewa piosenkę o tym, jak to pierwsze cięcie jest najgłębsze. Powinna jednak dodać jedną zwrotkę. Ludzie, którzy wbijają nóż w serca swych dzieci, powinni sobie wbić ten sam nóż w kręgosłup i złamać go przy rękojeści.

Myślałem teraz o Sketchu grającym w szachy z wujkiem, trzymającym panią Hampton za rękę, zajadającym ciasteczka i szorującym po podłodze w pizamie Spidermana, o chłopcu, który chce opatrzeć krwawiący palec Tommye, stojącym na ulicy i przyglądającym się konduktowi pogrzebowemu z ręką na sercu, jakby składał przysięgę fladze Stanów Zjednoczonych. W krótkim czasie dostarczył mi wielu wspomnień.

W krótkim czasie... chłopiec przestał być tematem historii, którą opisywałem.

Pamiętam opowieść o Jezusie, który siedział otoczony dziećmi, może nawet jedno czy dwoje siedziały mu na kolanach. Mówił wtedy, że nieszczęście spadnie na tych, którzy kierują dzieci na złą drogę. I o tym, że lepiej mieć kamień młyński uwiązany u szyi i być wrzuconym w otchłań. W przypadku Sketcha chciałbym ich wszystkich uwiązać na sznurku jak puszki i przeciągnąć spychaczem po autostradzie.

Mój umysł panikował. Co ja mu teraz powiem? Jak mu powiem, że nikt nigdy nie przyjedzie po niego na nasz podjazd? Jaka jest w tym nadzieja? Jedno, co sobie postanowi-

łem, to że nie będę go nazywał Stuart. Stuart to imię, jakie nosiła mysz w kreskówce. Taki słabeusz, który łapie za serce. Dziecko bez szans. Nie chłopiec, który rysuje jak Norman Rockwell. Nie jak chłopiec, który daje kartę Hanka Aarona starszemu panu, by sprawić mu nieco radości. Nie jak chłopiec, który był przekazywany z rąk do rąk po wielekroć, bity jak diabli i który przypominał mi... przypominał mi... mnie.

Rozdział 37

Spałem przez jakąś godzinę, gdy Tommye zastukała we włącz mojej łodzi. Podniosłem go więc i patrzyłem w otaczającą łódź wodę.

- Wiesz, która godzina?

Dziwnie podekscytowana Tommye złapała mnie za rękę i spojrzała na zegarek.

- Taaaa... trochę po północy. Chyba ciągle działam według czasu kalifornijskiego. To nie to, żebyśmy tam za wiele spali. „Rodzinka” potrafi się zatroszczyć o największych śpiochów i nakręcić ich do działania.

Usiadłem i trzymając głowę w dłoniach, otrząsałem się ze snu. Tommye rzuciła we mnie koszulą.

- No chodźże wreszcie.

Byłem nieprzytomny i tylko Tommye wyglądała gorzej ode mnie.

- Gdzie chcesz iść?

- Chcę ci coś pokazać.

- Co takiego musisz mi pokazać o tej porze... dnia?

- Możesz mi pozwolić pokazać sobie jedną rzecz, zanim nadejdzie czas, że nie będę mogła ci tego pokazać?

- Dlaczego musisz być taka makabryczna cały czas? Oparła ręce na biodrach.

- Bo mogę spojrzeć w lustro i wciąż się rozpoznaję. A teraz... - wzniosła oczy do nieba - ...Chase, zamknij się i wsiadaj do samochodu.

Włożyłem podkoszulek tył na przód, na lewą stronę i powiosłowałem do brzegu. Nie było innego auta oprócz Vicky. Zrobiłem zdziwioną minę.

- Jak się tu dostałaś?

Podniosła kciuk do góry, a spodnie powyżej kostek.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz?

Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie, a ja z niedowierzaniem potrząsałem głową. Tommye nigdy nie była zbyt strachliwa. Wsiadliśmy do Vicky i nacisnąłem na sprzęgło.

- Gdzie jedziemy?

Wskazała, kierując palec w stronę miasta. Ponieważ powietrze prawie się nie ruszało, było upalnie, parno i lepko. Miałem nadzieję, że z tego powodu Tommye ma spoconą twarz, chociaż wiedziałem swoje. Co kilka minut pociągała haust z butelki, którą ściskała w dłoni. Vicky podskakiwała na brukowanej drodze i w końcu zatrzymaliśmy się o jedną przecznicę od banku. Tommye wskazała parking i powiedziała:

- Gdzie zaparkujesz, tam będzie dobrze. Spojrzałem na bank, a później na nią.

- Chcesz, żeby mnie aresztowali? Zaśmiała się i pokręciła głową.

- Pomimo całej swojej edukacji czasami nie dostrzegasz najistotniejszego.

- Słucham? Nie czytasz gazet? Nie wolno mi podchodzić do banku na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt stóp.

Zaśmiała się.

- Jack chyba nie chce twoich pieniędzy.

Podeszła do głównych drzwi, gdzie trzy różne kamery ochrony obserwowały każdy nasz ruch.

- Tommye... — wskazałem kamery.

Oparła dłonie na biodrach i potrząsnęła głową.

- Powiedz mi, dlaczego mieliby cię aresztować za to, że wchodzisz do mojego banku... - System zabezpieczający za-

piszczał trzy razy i zapaliły się cztery zielone światelka. -...skoro ja cię tu zaprosiłam?

- Twój bank?

Zakaszłała, wsadziła do dziurek pozostałe klucze i wewnątrz odezwał się zamek elektroniczny. Otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do holu.

- No chodź.

Pomimo wszelkich przeciwwskazań wszedłem tam. Ze zdziwieniem odnotowałem fakt, że nie odezwał się żaden dzwonek alarmowy, nie wezwano ochrony przez głośnik, a co do ukrytego alarmu, cóż, wkrótce się przekonamy. Tommye ruszyła przez hol w kierunku schodów, weszła na górę, a potem pchnęła drzwi z napisem PREZES JACK MCFARLAND.

- Czyś ty oszalała? Musimy stąd wiać, póki jeszcze czas. Zapaliła światło w gabinecie ojca.

- Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że jesteś nudny? Wyluzuj!

Wszedłem do środka.

- Powiedz mi, co tu robimy.

Gabinet był ogromny, zajmował powierzchnię większej części pierwszego piętra. Ściany miały wysokość dwunastu stóp, obudowane były półkami, na których stały książki oprawione w skórę. Wyglądały na zaprojektowane na pokaz do tego wnętrza. Podłogę z ciemnego, solidnego drewna pokrywało sześć, a może osiem dywanów, a dwa skórzane fotele i ogromna skórzana kanapa wypełniały środkową część pokoju. W jednym rogu było wejście do prywatnej łazienki, a po przeciwnej stronie bar, w którym od podłogi aż po sufit znajdowały się specjalne półki wypełnione setkami butelek wina. Najważniejszym meblem w pokoju było jednak olbrzymie biurko, długie na jakieś dziewięć stóp, a szerokie na cztery, ręcznie rzeźbione, z drewna dębowego. Słyszałem, jak kiedyś wujek o nim opowiadał. Ellsworth McFarland

kazał je zrobić na zamówienie z dębów wyciętych w Żuta mniej więcej w tym samym czasie, gdy budowano most Brooklyński. Wujek powiedział, że on i Jack bawili się w Indian i kowbojów, chowając się pod nie. Podszedłem do niego z drugiej strony.

- Mogę?

Zaokrąglone rzeźbione brzegi były wytarte i pociemniałe. Z pewnością było to najwspanialsze biurko, stół czy wręcz wyrób z drewna, jaki kiedykolwiek widziałem. Błat był zawalony rolkami projektów architektonicznych i inżynierskich zawierających szczegóły planów co do Żuta. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem światła pojazdu skręcającego w tym kierunku. Na dachu samochodu migało niebieskie światło. Policjant zaparkował, włożył pałkę za pasek i ruszył w kierunku drzwi wejściowych.

- Koniec zabawy - zauważyłem. Tommie opuściła żaluzje i rzuciła:

- Zaraz wracam.

Szedłem w pewnej odległości za nią, gdy schodziła po schodach i otwierała policjantowi. Tak na marginesie, okazał się tym samym, który aresztował mnie jakieś sześć tygodni wcześniej, gdy wychodziłem ze sklepu z używanymi rzeczami znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy. Tommie otworzyła drzwi i wytknęła przez nie głowę. Zachowywała się sympatycznie, ale nie pozwalała mu wejść.

- Och, pani Tommie. Wszystko w porządku? Miałem informację, że ktoś wszedł do banku, bez alarmu i tych rzeczy, ale wie pani, jaki jest pan Jack.

Pomachała mu, że wszystko jest w porządku.

- Nic się nie dzieje. Nie mogłam spać, wciąż żyję według czasu kalifornijskiego. Robię dla taty kilka kopii. Dzięki, że pan zajrzał.

Wyjrzała, żeby przyjrzeć się jego samochodowi.

- Proszę jeszcze nie odjeżdżać, lepiej się czuję, wiedząc, że jest ktoś w pobliżu.

Przejechał palcami po pasku i poprawił glocka na biodrze.

- Tak, proszę pani, tak zrobię. Czy pani kuzyn wie, że zabrała mu pani kochankę? Jest bardzo przywiązany do tego gruchota.

Zaśmiała się.

- Tak, wie. Nie zajmie mi to wiele czasu. Nie ma pan ochoty na kawę?

- Wskazała na automat do kawy stojący w holu.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, bardzo dziękuję, wypilem już swoje. Będę w samochodzie, gdyby mnie pani potrzebowała.

- Dzięki.

Tommye wróciła do gabinetu ojca, a ja wlokłem się za nią, zdziwiony, z szeroko otwartymi oczami. Zaśmiała się i wcisnęła dwa guziki, które wyłączyła, schodząc na dół.

- Powiesz mi w końcu, co się tutaj dzieje?

Podniosła żaluzje i patrzyła, jak policjant wsiada z powrotem do samochodu.

- Lata temu ojciec mianował mnie dyrektorem.

- Słucham? Myślałem, że nie umiesz przemawiać. Uśmiechnęła się.

- Musiał, ponieważ czterdzieści dziewięć procent akcji należy do mnie.

- Zaczynij być poważna.

- Pomyśl tylko - pomachała mi ręką przez pokój. - Jakie miał inne wyjście?

Usiadłem przy biurku, a głowa pracowała na pełnych obrotach.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- O niczym nie wiesz?

Usiadła na kanapie, opierając nogi o stół.

- Jest jedna rzecz dotycząca Jacka McFarlanda, o której powinienś wiedzieć: jeśli jedną nogę trzyma w rzece, drugą ma zawsze na brzegu.

- Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jesteś taka sama jak wujek Willee.

Wyprostowała się.

- Zrobił to, żeby się chronić. Nie ma żadnego spadkobiercy. Nikogo, komu mógłby - w powietrzu zrobić znak cudzysłowu - zaufać. Tak więc ja, ponieważ miałam na zawsze pozostać w Kalifornii i nigdy nie wracać, byłam odpowiednią osobą, której mógł powierzyć akcje.

Uśmiechnęła się i znów opadła na kanapę.

- Tak, jestem chyba drugą z najbogatszych osób, które znasz. Oczywiście nie mogę dostać pieniędzy ani ich wydać. Nie jest głupi.

Zmarszczyłem brwi.

- Skąd w takim razie znasz szyfry?

Podeszła do biurka i wyciągnęła mniejszy stolik, wsunięty pod spód pod szufladą. Mała karteczka była przyklejona do tylnej ściany.

- Widzisz, Jack nie jest dobry w zapamiętywaniu różnych rzeczy.

- I nikt nie wpadłby na to, żeby szukać właśnie tutaj -mruknąłem zgryźliwie.

- Nawet gdyby ktoś to znalazł, nie miałby pojęcia, że wszystkie cyfry są zapisane wspak i pomnożone przez dwa. Musisz podzielić przez dwa i przeczytać w odwrotnej kolejności. Również w systemie masz tylko jedną szansę. Jak coś pomylisz, to zatrzaśniesz się w środku. No i zmienia to co miesiąc.

Rozglądałem się po pokoju, próbując poskładać wszystkie kawałki tej łamigłówki w jedną całość. Tommye pochyliła się nade mną, oparła na łokciu i uśmiechnęła z wyższością.

- Co słyszysz?
- Teraz? Serce mi łomoce.
- Zamknij oczy. -Tommye...
- Chase, zamknij oczy! Posłuchałem.
- Teraz, piąty razem. Zrobiłem tak, jak chciała.
- Teraz posłuchaj. - Zastukała w podłogę w miejscu, gdzie stała. - To pogłos solidnej podłogi, prawda? A teraz ty to zrób.

Zrobiłem i ten odgłos zaparł mi dech w piersiach. Odsunąłem się od biurka i klęknąłem na podłodze. Tommye zaczęła się śmiać, podała mi latarkę.

- Bez tego może być trudno.

Przesunąłem palcami wzdłuż dywanu pod biurkiem i natknąłem się na zasuwkę. Odsunąłem ją, podniosłem klapę i zaświecełem latarkę. Odślonił się otwór wentylacyjny, a w nim mała drabinka, prowadząca prosto w dół. Wsadziłem tam głowę, poświeciłem i zobaczyłem podłogę z wapiennej skały coquina. Usiadłem prosto, opierając się o biurko, mój mózg pracował pełną parą. Poświeciłem latarką w kierunku Tommye.

- Lepiej będzie, jak zaczniesz mi to wyjaśniać.

- Gdy jeszcze byłam mała, słyszałam, jak wujek Willee opowiada, jak się tutaj bawili. Więc zrobiłam tak samo. Nie zabrało mi wiele czasu znalezienie zasuwki, no i nigdy specjalnie nie bałam się ciemności.

- Gdzie to prowadzi?

- No dalej, sam zobacz, poczekam na ciebie - pokazała mi wejście.

Włożyłem latarkę do ust i zszedłem bez namysłu. Kanał był wymurowany z cegieł, mógł służyć do wentylacji lub jako komin. W każdym razie prowadził do podłogi z wapiennej

skały coquina i zakręcał do innego wąskiego kanału, jednak na tyle szerokiego, że można się było do niego wczołgać. Piętnaście stóp przede mną uciekały wystraszone karaluchy, które przywędrowały tu aż z hiszpańskich podziemi. Kanał kończył się w miejscu zabezpieczonym belką. Byłem tam już wiele razy, ale od tamtej strony nie było tego wejścia widać. Wyglądało jak półka skalna. Wszedłem na drabinę, spojrzałem w górę i zobaczyłem solidne dębowe drzwi - drzwi do sejfu. W tym momencie wiele pytań znalazło odpowiedź. Wspiąłem się z powrotem po drabinie i przeczłogałem do biura Jacka, gdzie siedziała uśmiechnięta Tommye i nawijała kosmyk włosów na palec.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Ktoś mnie prosił, żebym ci nie mówiła. -Kto?

- Wujek Willee.

Spojrzała w dół, następnie pomasowała się po plecach, jakby złapał ją skurcz, i pociągnęła z butelki.

- Chase, widzę to po twojej minie. Żyłeś długi czas, nic nie wiedząc. To cię zżera i nie odpuszczisz. Poza tym wzrosło napięcie pomiędzy tobą a wujkiem Willeem.

- O czym jeszcze mi nie powiedziałaś?

Wzeszło słońce i przez okna zaczęło się sączyć poranne światło. Usłyszeliśmy, że ktoś otwiera drzwi na dole i idzie na górę po schodach.

- Chodź. - Tommye pociągnęła mnie za rękę, zatraskując drzwi do gabinetu. Schodząc po schodach, wpadliśmy na wujka Jacka. Oczywiście wiedział, że tam jesteśmy, ale skąd? Tommye zaśmiała się, gdy go mijaliśmy. Położył mi rękę na piersiach, podnosząc głowę.

- Tęskno ci do więzienia?

Zawsze, z niewiadomego powodu, obawiałem się wujka Jacka. Coś głęboko we mnie drżało, gdy był w pobliżu. Wie-

działem, że on to wie, bo zawsze wytwarzał wokół siebie taką atmosferę, że czułem, iż jest górą. Odskokczyłem od jego ręki, tak że został, wskazując nią mój cień. Już na dole schodów odwróciłem się. Jack stał, zwracając głowę raz w naszym kierunku, a raz w kierunku swego gabinetu. Uśmiechnąłem się, bo zobaczyłem wyraz niepewności na jego twarzy. To był widok niezwykły: wiedziałem coś, co on chciał zachować przede mną w tajemnicy, wiedziałem to, zanim on się dowiedział, że ja wiem.

Odezwałem się powoli.

- Wujku Jack, przypomniało mi się coś, co powiedział mi twój brat przy śniadaniu: prawda jest jak wiaderko mleczarza.

- To będzie dobre. - Tommye włożyła ręce do kieszeni.

- Mleczarz może zbierać śmietankę, wstrząsać nim i sprzedawać jako pełne, dwuprocentowe lub jako beztłuszczowe, ale prędzej czy później śmietanka wróci z powrotem na wierzch i wtedy będzie wiadomo, co to jest za mleko. Wtedy mleczarz będzie musiał wytłumaczyć swoim klientom, jak do tego doszło - spojrzałem mu w oczy. - Możesz być dobry w te klocki, ale nie sądzę, abyś był aż tak dobry.

Odwróciłem się do niego plecami, zabrałem miętówkę z biurka recepcjonistki, rzuciłem papierek na podłogę i wyszedłem. Gdy wsiadałem do Vicky, Tommye siedziała już oparta o zagłówek, z zamkniętymi oczyma i zaciśniętą pięścią. Wjechaliśmy na drogę dziewięćdziesiąt dziewięć. Tommye zaczęła drapać się w nogę.

- Wszystko w porządku?

Zawsze dobrze kłamała, mogłaby oczarować samego diabła. Przez większość życia jej się udawało. Pokiwała głową i schowała jedną nogę pod drugą. Jediną odmianą było to, że tym razem wiedziałem, iż kłamię.

Rozdział 38

Niektórzy dziennikarze robią zadymę na temat swojej muzy, twierdząc, że wielki wpływ na ich twórczość ma bezpośredni kontakt z nią i najlepiej piszą, gdy muza jest w pobliżu. Z mojego doświadczenia wynika, że muzy rzadko pojawiają się na czas i rzadko podsuwają nam prawdę. A gdy już mówią prawdę, to jest ona jedynie połowiczna. Mając to na uwadze, pojechałem do redakcji i usiadłem za biurkiem. Historie same się nie napiszą. Poza tym Red dał mi termin i nie przyjmował wymówek. Zabawne, w jaki sposób to właśnie mobilizuje wenę.

Miałem już gotowy szkic i chciałem go wysłać e-mailem do siebie, gdy zadzwonił telefon. W college'u z powodu wirusa utraciłem swoją trzytygodniową pracę, co było bardzo bolesnym doświadczeniem, więc utworzyłem kilka kont pocztowych i przesyłam tam szkice, by ich nie stracić. Teraz, w przypadku gdyby w redakcji wybuchł pożar albo gdyby ukradziono mój komputer lub gdyby znów wdarł się jakiś sadyistyczny wirus, stworzony przez niedorośniętego, znudzonego czternastolatka, mój tekst jest bezpieczny w cyberprzestrzeni. Zakładając, że zapamiętam, gdzie go wysłałem.

Otworzyłem klapkę telefonu i wsunąłem go między ucho i ramię, w czasie gdy ręce pracowały na klawiaturze.

- Tu Chase.

Nikt się nie odezwał. Sieć komórkowa dość słabo działała w redakcji i wokół niej. Wstałem i podszedłem do okna, by lepiej słyszeć.

- Chase Walker.

Usłyszałem jakieś szuranie, szybki krótki oddech i dwa uderzenia w widełki.

- Sketch? Jedno uderzenie.

- Wszystko w porządku? Jedno uderzenie.

- Z Tommye w porządku?

Cisza. Może trudno było odpowiedzieć na to pytanie, ale starałem się mu pomóc.

- Tommye śpi? Jedno uderzenie.

- Wujek w domu? Dwa uderzenia.

- Ciocia w domu? Dwa uderzenia.

- Pojechała do sklepu? Jedno uderzenie.

- Czy chodzi o coś innego? Jedno uderzenie.

- O Tommye?

Cisza, a potem jedno uderzenie.

- Dobrze, trzymaj się mocno, siedź przy niej i powiedz jej, że już jadę.

Odłożył słuchawkę. Wysłałem e-maila i wskoczyłem do Vicky. Gdy siedziałem już w samochodzie, zadzwoniłem do wujka i do cioci Lorny. Dwadzieścia minut później cała nasza trójka omalże nie zderzyła się na podjeździe. Pobiegłem na górę, przygotowany na to, co zobaczyłem. Sketch klęczał przy łóżku Tommye, trzymając ją za rękę. Za mną przybiegli wujek i ciocia. Wujek spojrzał na ciocię.

- Weź Buddy ego do domu.

Tommye leżała na łóżku z lekko rozchylonymi oczami, twarz miała pokrytą szarymi plamami, a cały pokój był wy-

pełniony zapachem wymiocin i ludzkich odchodów. Położyłem jej dłoń na czole.

- Ma gorączkę.

Wujek ukląkł przy niej, przytrzymał jej rękę, a ja wybierałem numer ratunkowy. Przyłożyłem telefon do ucha, ale ona wyrwała mi go i zatrzasnęła. Pokręciła głową i gestem poprosiła, żebyśmy się zbliżyli. Mówiła z trudem, usta miała kredowobiałe, język sztywny, krew sączyła się z jej ust, nosa i kącików oczu. Położyła dłoń na piersi wujka i szepnęła z zamkniętymi oczami.

- Zrób coś dla mnie.

Wujek skinął głową. Otworzyła oczy, najpierw błędząc nimi po pokoju, a potem skoncentrowała wzrok na wujku. Uniosła głowę znad poduszki.

- Ochrcij mnie. -Aleja...

Oddychała z trudem, płytko łapiąc powietrze. Pokręciła głową.

- Już dłużej nie dam rady.

Wujek odkrył kołdrę. Odwróciłem głowę. Tommie straciła kontrolę nad zwieraczami i prześcieradła były przemoczone z góry do dołu. Wujek podłożył ręce pod jej opadłe z sił ciało i zwrócił się do mnie.

- Zapalaj Vicky.

Zniósł ją na dół i wsiadł do auta. Trzymał Tommie na kolanach. Przejechaliśmy przez Żuta i zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie woda miała głębokość od kolan do pasa.

- Czy piasty są w porządku? - Wujek wskazał na mój czterokołowy napęd.

Wiedziałem, co ma na myśli. Przystawiłem napęd, wrzuciłem czwórkę i powolutku wjechałem do rzeki. Woda zakryła koła, a potem wlała się do kabiny, chlupocząc nad naszymi stopami, ale nie dochodząc do kolan. Zjechałem jeszcze

trochę po piaszczystym dnie. Obmywał nas delikatny prąd wody. Jechaliśmy wśród korzeni, pomiędzy drzewami, przez dziury, ale nie zatrzymywaliśmy się, jakby Vicky wiedziała. Jechaliśmy tak przez pół mili, a potem podjechaliśmy w górę jednego ze strumieni wpływających do Altamahy. W tym strumieniu ja i wujek łowiliśmy najczęściej. Wiedziałem, że jest głęboki. Wiedziałem też, że nie mogę zostawić Vicky. Zmieniłem bieg na jedynekę, ręce miałem już poniżej poziomu wody, a zjechałem jeszcze niżej. Woda zakrywała już maskę, potem przednią szybę i sięgnęła mi do ramion. Na środku drogi trafiłem na coś, co nie pozwoliło mi dalej jechać. Koła zakopały się w piasku, potrząsnąłem głową. Byliśmy dziesięć jardów od brzegu, ale Vicky odmówiła współpracy. Nie wiedziałem, jak długo jeszcze da radę poruszać się pod wodą. Tak długo, jak silnik działał, wydech trzymał go z dala od wody, ale nie byłem pewny co z innymi częściami, z dystrybutorem, świecami itd. Wyłynęliśmy z Vicky. Pomogłem wujkowi zanieść Tommye na brzeg, trzymając jej głowę nad wodą. Miała zamknięte oczy, ciało było bezwładne. Wujek spieszył się, prawie biegnąc między drzewami. Pięć minut później znaleźliśmy się w pobliżu Sanktuarium, w miejscu gdzie zwykle pływaliliśmy.

Nie było księżycy. Niebo było zachmurzone, zbierało się na burzę. Wujek wszedł do wody przy brzegu naszego kąpieliska, gdzie spędzaliśmy wszystkie nasze wakacje. Tommye otworzyła oczy.

- Zaczekaj.

Ukląkł na piasku, kładąc jej ciało obok siebie. Próbowiła oblizać usta, ale były wypełnione krwią. Przełknęła.

- Jeszcze jedna rzecz. Musisz przemówić na moim pogrzebie... proszę. Pokiwał głową, przetykając łzy.

- Obiecuj mi - naciskała.

- OK - wyszeptał.

- Na koniec... - krztusiła się i dławiała, łapiąc z trudem powietrze, jej piersi wznosiły się i opadały. Zdobyła się na ostatni wysiłek. - Powiedz mi.

Łzy buchnęły z oczu wujka. Tommye poklepała go po torsie.

- Obiecuj mi.

Skinął potwierdzająco. Głowa Tommye opadła do tyłu, a jej ciało zwiotczało. Wujek wstał. Jej oddech stał się jeszcze płytszy. Wujek próbował utrzymać się na nogach, ale chwiały się pod nim.

- Pomóż mi.

Podtrzymałem jej głowę, gdy wchodziliśmy do wody. Weszliśmy po pas, unosząc Tommye. Jej ręce i nogi płynęły swobodnie na powierzchni. Wujek starał się mówić, ale nie mógł. Włożyłem mu rękę pod ramię i staliśmy razem, wspierając się. Znow spróbował, ale słowa nie chciały płynąć. W końcu ja zacząłem.

-Wujku...

Trzymał głowę Tommye w wielkiej, delikatnej dłoni, pocałował ją w czoło i wyszeptał:

- Dziecko... w imię Ojca... - Głos mu się załamał, gdy delikatnie zanurzył jej głowę pod wodę. Wyciągnął ją, ramiona mu drżały - ...i Syna... - znow włożył jej głowę pod wodę, a gdy ją wyciągnął, przytulił do siebie. Trzymał ją, płacząc głośno, a żal wydobywał się z samej jego głębi, z miejsca, które nigdy nie widziało promieni słonecznych. Pocałował ją i dokończył - ...i Ducha Świętego. - Wsunął ją z powrotem pod wodę. Rzeka, opływając ją, zakryła jej twarz i głowę, z jej ust i nosa wydobywały się bąbelki. Wujek się zachwiał, więc wsunąłem rękę pod jego ramiona i wyciągnęliśmy Tommye z wody. Jej głowa opadła w moim kierunku, oczy były błędne - była w połowie tam, a w połowie tutaj. Położyła mi dłoń na głowie i powiedziała:

- Twoja książka... była już na jego półce. - Złapała oddech i próbowała coś dodać, ale słowa już przepadły. Wydała ostatnie tchnienie, zabrane do morza przez fale.

Jej nieobecność była bolesna. Chciałem być na nią zły, uważając, że to zmniejszy ból, ale za każdym razem, gdy złość tryskała ze mnie, słyszałem jej śmiech, czułem jej delikatny dotyk i widziałem iskierki, jakie kiedyś błyszczały w jej oczach. Tak naprawdę byłem wściekły na siebie. Czułem się odpowiedzialny, ale po jakichś dwóch dniach poczucie winy ustąpiło. Tak, to ja pisałem i dzwoniłem wiele razy, czekając na odpowiedź całe lata, i tak, to ona odeszła, ale czy starałem się dostatecznie? Nie byłem na tyle naiwny, by uważać, że mogłem zmienić bieg jej życia, ale mogłem...

Wiecie, co mam na myśli?

Po dwóch dniach gapienia się z dziobu łodzi zwątpienie i domysły wyciągnęły mnie na brzeg. Zanim się zorientowałem, Sally dostarczyła mnie do redakcji. Ale o ile zmieniło się moje położenie geograficzne, nie zmieniły się moje myśli. Widziałem Tommye wszędzie, gdzie tylko spojrzełem.

Mając dostatecznie dużo danych i trochę czasu, by historia ułożyła mi się w głowie, mogę napisać kilkaset, a nawet kilka tysięcy słów w piętnaście minut. Nekrolog Tommye, który miał się składać z siedemdziesięciu pięciu słów, pochłonął większą część dnia.

Czasem po kolacji Red siadał na skraju mojego biurka i klikał w DRUKUJ. Czytał stronę, ześlizgiwał się z biurka, unosił brwi i mówił:

- Zrobiłeś dość na dzisiaj, idź do domu.

Następne okrażenie zaczynało się następnego dnia rano.

**McFarland Tommye Lynn, urodzona 17 kwietnia 1976 roku.
Przyjaciółka, aktorka, wspaniały znawca wyników**

baseballu, wierny przez całe życie kibic Bravesów i Bulldogów. Miss Brunswicku 1993. Interpretatorka piosenek Dona McLeana, niesamolubna, czuła, współczująca. Zmarła w niedzielę 27 sierpnia.

Była molestowana seksualnie przez swojego ojca Jacka McFarlanda, gdy jeszcze była niewinnym dzieckiem. Wyjechała na zachód, by wypełnić pustkę w sercu, ale to właśnie ją zabiło. Zmarła otoczona rodziną, znalazłszy spokój i miłość.

Jeśli pogoda pozwoli, uroczystości żałobne odbędą się w ogrodzie domu Lorny i Williama McFarlandów o pierwszej po południu w środę 30 sierpnia, po czym nastąpi prywatny pogrzeb na cmentarzu rodzinnym.

Wiedziałem, że Jack nie będzie mną oczarowany, ale mi na tym nie zależało. Redowi przeciwnie, więc wyciął trzy zdania, które i mnie, i jego doprowadziłyby przed sąd. To, co napisałem, miało jednak moc oczyszczającą i poczułem się lepiej. Może właśnie to Sally miała na uwadze, gdy wiozła mnie do redakcji.

Rozdział 39

W dniu pogrzebu mgła okryła wodę. Nie było najlżejszego wiatorku, więc moja łódka była dziwnie spokojna, pełna godności. Włożyłem szorty, kupiłem kilka worków z lodem w sklepie po drodze i przyjechałem do domu, gdzie wszyscy byli już po śniadaniu, skosiłem trawę i pomagałem ustawiać krzesła firmie, która je nam wypożyczyła. Nie wiedzieliśmy, ilu ludzi możemy się spodziewać, a wujek wcześniej stwierdził:

- Każdy powinien mieć gdzie usiąść, nawet jeśli wpadnie na kilka minut.

Wypożyczyliśmy więc pięćdziesiąt. Ustawiliśmy je pod drzewem pekanowym, posadzonym jeszcze przez Ellswortha McFarlanda, a oplecionym winem wujka Willee ego, którym wiele lat temu obsadził też łukowatą altanę.

Ciocia Lorna przez cały poprzedni dzień gotowała ulubione chili Tommye, którym chciała poczęstować każdego, kto przyjdzie na pogrzeb. Sketch i ja przygotowaliśmy stoły na werandzie i włączyliśmy wentylatory u sufitu na małe obroty, aby odgonić muchy. Było gorąco, wszystko się lepiło, a okulary Sketcha zachodziły mgłą i ześlizgiwały mu się z nosa. Poustawialiśmy papierowe talerze i miski. Przynieśliśmy pudełka z krakersami i trzy tuziny ciasteczek Moon Pies. Gdy nadeszła pora lunchu, zachmurzyło się, zrobiło szaro i wydawało się, że będzie padać. Ponieważ wujek Willee został usunięty z grona starszyny kościelnej i odszedł z Kościoła jakieś trzydzieści lat temu, mogliśmy zrobić po-

grzeb jedynie w domu, ale wiedzieliśmy, że Tommye by się to podobało. Człowiek z zakładu pogrzebowego, który dostarczył ciało Tommye do domu, powiedział, że wujek Jack zidentyfikował je. Z nami jednak się nie kontaktował w sprawie pogrzebu. Jeśli miał jakieś swoje plany, nam o nich nic powiedział. Zanieśliśmy trumnę przed krzesła i ustawiliśmy na przygotowanym wcześniej katafalku. Trumna była bardzo prosta i bezpretensjonalna jak Tommye. Człowiek z zakładu zapytał mnie tylko:

- Otwarta czy zamknięta? Spojrzałem do środka

- Zamknięta. Jeśli ktoś będzie chciał popatrzeć, to sobie otworzy.

Kilka minut później samochód dostawczy podjechał na podjazd. Wujek podszedł do kierowcy i uzgodnił z nim, jak ma podjechać w kierunku trumny. Ustawiono odpowiednią wysokość tylnej klapy i wyjęto wielki namiot, który został ustawiony na trawie. Po uściśnięciu ręki wujkowi dostawca odjechał. Wujek wygładził wszystkie zmarszczki i obszedł namiot, zanim wszedł z powrotem na werandę.

O dwunastej trzydzieści wujek wyszedł z domu ubrany w swój najlepszy i jedyny garnitur. Widać było, że przez ponad dwadzieścia ostatnich lat nie wkładał ani białej koszuli, ani krawata w paski, ani niebieskiego garnituru. Nie wyglądało, żeby było mu zbyt wygodnie, ale był pewny siebie i po wyjściu z domu zniknął w cieplarni. Wszedł stamtąd, niosąc pojedynczą gałąź orchidei. Miała ze trzy stopy długości i była oblepiona może setką niewielkich kwiatków w kolorze śliwki usianych białymi kropeczkami. Położył ją na trumnie i usiadł w pierwszym rzędzie. Ja, ubrany w szorty, podkoszu lek i japonki, przyglądałem się tym przygotowaniom i zostałem na tym przyłapany. Sketch też. W ciągu następnych minut wujek poprawiał coś przy spodniach i przy krawacie,

i znów przy spodniach. W końcu wstał, wszedł do domu i wyszedł stamtąd w swoich wyblakłych dżinsach, zabłoconych butach i dżinsowej koszuli, kapeluszu gus i okularach Costa Del Mar. Gdy usiadł, zapytałem:

- Teraz czujesz się lepiej?

Pokiwał głową.

- To dobrze, bo wyglądasz też lepiej, nie tak głupio.

Za kwadrans pierwsza podjechał pod dom lincoln Continental. Pokręciłem głową. Nie mógł wybrać lepszego dnia? Pockets zatrzymał się, zostawił samochód na chodzie i podszedł do wujka, który też potrząsnął głową, gdy go zobaczył. Wręczył wujkowi kopertę, mówiąc:

- William, zrobiłem, co było w mojej mocy. Masz trzydzieści dni.

Wujek wziął od niego kopertę i pokiwał głową.

- Jestem pewien, że zrobiłeś wszystko, co możliwe.

- Po tym całym czasie zrobiłem, jak diabli.

Odwrócił się, podszedł do samochodu i rozejrzał dookoła. Dom, pastwisko, szklarnia, krzesła ustawione na pogrzeb. Zanim wsiadł do auta, splunął, zaklął i powiedział:

- William, naprawdę mi przykro.

Gdy odjechał, ciocia Lorna pociągnęła wujka za nogawkę.

- Nie otworzysz tego?

- Wiem, co tam jest - obrócił kopertę w rękach. - Przegraliśmy apelację. - Rozejrzał się i powiedział już ciszej: - Tracimy wszystko, Żutę, Sanktuarium. W końcu dostał wszystko - dodał, głęboko westchnąwszy.

Dziesięć minut przed pierwszą nikogo jeszcze nie było. Ciocia Lorna, wujek, Sketch i ja siedzieliśmy sami na krzesłach, słuchając krów. Sketch trzymał na kolanach Bonesa i co jakiś czas ktoś z nas wyciągał rękę i drapał go za uchem. Pięć minut później trzy długie limuzyny podjechały na podjazd. Młody człowiek wyszedł z samochodu i zapytał:

- Czy to pogrzeb Tommye?

Pokiwaliśmy głowami. Pomachał do innych w samochodach i zaparkowali wzdłuż podjazdu. Gdy wysiedli, nie trzeba było długo myśleć nad tym, kim są. Nigdy nie widziałem tylu pięknych ludzi naraz w jednym miejscu. Wszyscy mężczyźni byli wysocy, muskularni, w obcisłych podkoszulkach. Mieli baczki lub bardzo króciutko przycięte brody. Połowę kobiet stanowiły blondynki, było kilka zwykłych brunetek, kilka o kruczoczarnych włosach, niektóre wysokie, ale wszystkie dostosowane do wzrostu mężczyzn. Z pewnością większość odwiedzała chirurga plastycznego Tommye. Większość założyła okulary przeciwsłoneczne, niektórzy przytrzymywali nimi włosy. Cała grupa, jakieś dwadzieścia osób, przeszła cicho przez trawnik. Niektóre kobiety zdjęły swoje buty na obcasach i szły boso. To była ta paczka impre-zowiczów, o których mówiła Tommye, chociaż na takich nie wyglądali.

O pierwszej pięć wujek spojrzał na zegarek, kiwnął do mnie i wskazał na tylne rzędy. Wiedziałem, o co mu chodzi. Wstałem i odezwałem się do całej grupy.

- Witam, jestem Chase, kuzyn Tommye. - Zamilkłem na chwilę, przyglądając się każdemu z nich z osobna. - Nie wiem, czy nie byłaby na was zła za to, że siedzicie tak daleko od niej. Ponieważ nie orientuję się za bardzo w sytuacji, a Tommye tutaj nie ma, żeby ją wyjaśnić, może podejdziecie bliżej i usiądziecie koło nas.

Pokiwali głowami i poszli za moją radą, siadając z przodu. Gdy już usiedli, wujek wstał i podszedł do trumny Tommye. Trzymał w rękach notatki, przekładał je jak wytrawny gracz w karty. Próbował zacząć, wygładził je i stał, wpatrując się w kartki i przez dobrą minutę przygryzając wargę. W końcu upuścił kartki na trawę, zdjął kapelusz, stanął na wprost trumny i zaczął mówić.

- Jestem William McFarland, wujek Tommye. Tommye mieszkała u nas od... bardzo dawna.

Trzy pawie przyleciały na pobliskie drzewo pekanowe, usiadły na gałęziach i zaczęły krzyczeć.

- Kiedyś byłem wściekły na Boga, bo porwano mi syna, i nie mogłem mu tego przebaczyć. Potem przyszła mieszkać z nami Tommye i postrzegalem to jako sposób na ulżenie mojemu cierpieniu. Przyszła do nas, gdy była - wyciągnął rękę na wysokość swojego pasa - jeszcze dzieckiem i nazywałem ją moim plastrem przeciwbólowym, bo pojawiła się w moim życiu i ukoila moje rany.

Thumek siedzący przed wujkiem westchnął, niektórzy się lekko uśmiechnęli, a niektórzy zaśmiali.

- I powiedziałem to Bogu niejedyn raz, powiedziałem, że jestem mu za to wdzięczny i że przykro mi, iż byłem na niego zły. Bo jeśli ktokolwiek kiedykolwiek poznał gniew... poznał cierpienie... myślę, że to właśnie ja.

Rozejrzał się po pastwisku, pociągnął nosem, położył kapelusz na trumnie Tommye i wysiąkał nos w białą chusteczkę.

-Tommye odeszła od nas... pojechała na zachód... miała wtedy dwadzieścia lat. Próbowwała pokonać swoje demony. Próbowalem... - spojrzal na mnie i na Lornę. - Myślę, że my wszyscy pomagaliśmy jej je pokonać... - zbladł, a zaraz potem spojrzal na swoje ręce. - Jestem kowalem, podkuwam konie, to mój zawód. Jako kowal poznaję konie po podkowach. To, jak są zdarte, pokazuje, jak chodzą. Ludzi można poznać w ten sam sposób. Ich buty nie kłamią. Pewnej nocy moja żona i ja pakowaliśmy rzeczy Tommye i zacząłem przyglądać się jej butom. To były buty do biegania. Obcasy były zdarte na brzegach, za bardzo zdarte jak na kogoś tak lekkiego jak Tommye. Wyglądały, jakby nosiła na barkach ciężar całego świata.

Odwrócił się i spojrział na trumnę, próbował zwrócić się bezpośrednio do Tommye, ale nie potrafił. Odwrócił się więc w stronę pastwiska.

- Nie mogę pojąć sensu jej życia. Moje miało swoje wzloty i upadki. Niektórzy powiedzieliby, że więcej upadków -potrzęsnał głową. - Przestałem spierać się o to z Bogiem już dawno temu, bo wiem, że on wie kilka rzeczy o cierpieniu. Gdy wszystko idzie źle, gdy dosięgnie się dna... tam właśnie zmierzam.

Pokiwał głową w kierunku Sanktuarium.

- I Bóg wie, byłem tam po wielokroć, że to mnie właśnie powstrzymuje, by się tam udać i zostać tutaj... i tam jednocześnie.

Gdy tak mówił, usłyszałem samego siebie, jak powtarzam: *Zostaw mnie, jeśli musisz, ja i tak będę pamiętać.* Łzy trysnęły mi z oczu. Willie Nelson dobrze to pojmował. Wytarłem łzy, ale na niewiele się to zdało. Mandy objęła mnie i przysunęła się bliżej, strącając ból z kącików moich oczu.

Wujek rozmawiał z każdym z nas. Nie mówił do nas, ale rozmawiał z nami. Grupka z Kalifornii czuła różnicę. Gdybym był na ich miejscu, nie przyjeżdżałbym. Za dużo potępienia, ale przyjechali i to wiele mówiło. Wydawało się, że oni dobrze się z wujkiem czują. Niektórzy pochylali się w jego kierunku, inni słuchali w półuśmiechu, ale nikt nie stukał nerwowo nogą, nawet Sketch. Wujek ciągnął dalej.

- Gdy siedziałem w więzieniu, miałem sen, że moje życie jest jak rozwijające się płótno. Każdego dnia rozwija się po kawałku i bieleje na słońcu, na plaży mojego życia. Choć o wschodzie słońca znów będę zapelniał tę tkaninę swymi myślami i czynami. Moje oddychanie, moje życie, moje umieranie. Czasem obrazy podobały mi się, może nawet podobały się innym, może Bogu, ale też czasem przez miesiące, a nawet lata nie podobały się i nawet ja nie chciałem po raz

drugi na nie patrzeć. Ale rzecz w tym, że... każdego dnia, bez względu na to, co namalowałem poprzedniego, pojawiała się nowe płótno, całkiem białe, ponieważ codziennie fale przyływu zmywały rysunek do czysta i rozwijały od nowa, zabierając z sobą farbę. W moich snach stałem na plaży i patrzyłem, jak morze ją zabiera.

Kilka dziewcząt przetarło oczy, a jeden z mężczyzn założył z powrotem okulary.

- Nie zostawało nic, tylko plamy na wodzie - wskazał ręką na pastwisko. - Żadna tkanina nie jest tak poplamiona, żeby nie dało się jej zmyć do czysta - spojrział na trumnę Tommye. - Żadna.

Jedna z czarnowłosych kobiet w drugim rzędzie pozwoliła sobie na niepohamowany wybuch płaczu, co tak ją zawstydziło, że próbowała się schować. Wujek przerwał, niepewny, co robić dalej. Podał jej chusteczkę, którą przyjęła, ale to sprowokowało jeszcze więcej łez. Sketch wstał, podszedł do drugiego rzędu i podał dziewczynie swego kota. Położyła go sobie na kolanach i uśmiechnęła się. Siedząca obok blondynka posunęła się, robiąc mu miejsce, i Sketch usiadł na brzegu krzesła pomiędzy obiema kobietami. Kilka minut później kobieta uniosła go i posadziła sobie na kolanach. Wujek mówił dalej.

-Jednym z moich ulubionych musicali jest *Człowiek z La Manchy*. Jest on oparty na dawno temu napisanej historii, aż w siedemnastym wieku - spojrział na mnie. - Dla tych, którzy przegryźli się przez tę książkę w czasie przebijania się przez szkołę, będzie to znana historia Don Kichota.

Część złotej młodzieży zaśmiała się, patrząc na mnie.

- Stary Don widział rzeczy nieco inaczej niż inni. Większość ludzi była przekonana, że jest zwyczajnym wariatem. Może był. Widział wiatraki jako urojone olbrzymy, raz zabrał golibrodzie miednicę i odwróciwszy ją dnem do gó-

ry, założył jak kask do baseballu i nazwał swoim hełmem. W swoim starym koniu widział niepokonanego rumaka. Stary zajazd był dla niego zamkiem, a właściciel wielkim panem. W końcu zobaczył Aldonzę, zajazdową prostytutkę, jako kobietę cnotliwą. Czystą. Promienną i bez skazy. Ona protestuje, tłumaczy mu, że urodziła się na kupie gnoju, jak sama nazywa to miejsce, i na niej też umrze. Włożył kciuk do kieszeni dzinsów.

- Stary Don nie słyszy słów, które ona wypowiada. Po prostu kręci głową i nazywają Dulcyneą. Jej prawdziwym imieniem. Imieniem, które jej nadał. Don Kichot widział świat taki, jak Bóg chciałby, aby był, a nie taki, jaki się stał. Powiedział: „Przyszedłem na świat z żelaza, by przerobić go na złoty”.

Wujek pokręcił głową i powiedział jakby do siebie:

- To mi się podoba. Spojrzał gdzieś ponad nami.

- Don Kichot nigdy się nie poddał, za to Aldonza zobaczyła nie tylko siebie w innym świetle, ale również cały świat. Jak poczwarka zobaczyła świat inny i na nowo. Jak coś czystego. Motyl... Dulcynea. A wszystko dlatego, że jakiś zwariowany pogromca wiatraków przekonał ją, że to, co widzi w lustrze, nie zawsze jest prawdą.

Wujek przetarł oczy, przygryzł wargę i kopnął w trawę. Sięgnął za siebie i ściągnął płótno z napisu na granitowym nagrobku, który stał obok trumny. Napis brzmiał:

TOMMYE LYNN MCFARLAND 1976 - 2006 MOJA DULCYNEA

Spojrzał na drogę pod baldachimem gałęzi drzew pekanowych.

- Od teraz już zawsze, gdy będę wracał do domu, zamierzam malować moje obrazy, a wróciwszy do domu po

zachodzie słońca, położę się w wodzie, pozwolę, by fale mnie obmyły, a resztę pozostawię Bogu... - Głos mu się załamał, potrząsnął głową i wytarł nos w rękaw podkoszulka.

Prawie wszyscy płakali, a ich oczy były miejscem, przez które wydostawał się ból z samego wnętrza. Kobieta trzymająca Bonesa wycierała łzy w koci grzbiet. W końcu wujek usiadł. Wszyscy siedzieliśmy, patrząc na trumnę, zastanawiając się, co robić dalej. Dotarło do mnie, że coś, co płynęło z tej prostej trumny, miało moc kojącą i jak skrzydłem ogarnęło nas wszystkich, zanim odleciało. Ciocia Lorna spojrzała na mnie, więc wstałem i zająłem miejsce wujka. Pod stopami miałem zieloną trawę podeptaną przez buty wujka.

- Zamknęliśmy trumnę, bo... po prostu ją zamknęliśmy, ale jeśli ktoś chce się pożegnać, można ją otworzyć. Ona pewnie by tego chciała. To czasem pomaga. Wujek i ja nie zabierzemy jej na cmentarz przed lunchem. - Wskazałem na werandę. - Tommye lubiła chili, więc ciocia Lorna przygotowała je dla was. Są też krakersy i mrożona herbata oraz sos tabasco. Możecie zostać, jak długo chcecie.

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę, a oni jeden po drugim wstawali, podchodzili do trumny i oddawali jej cześć. Niektórzy tylko jej dotykali, inni otwierali wieko, czasem całowali Tommye w czoło. W końcu Lorna podała talerze i wkrótce weranda zapelniła się ludźmi. Wujek wyszedł do cieplarni i zamknął drzwi. Ja wciąż siedziałem w pierwszym rzędzie, próbując zrozumieć sens trumny, która stała przede mną. Jedna z dziewczyn podeszła do mnie, niosąc w rękach papiery w teczce spięte klipssem. Wręczyła mi je i wyszeptała, jakby nie chciała obudzić Tommye:

- Chciałaby, żebyś to zatrzymał. Przez jakiś czas z nią mieszkałam. Często o tobie mówiła.

Otworzyłem teczkę i zobaczyłem wszystkie artykuły, jakie kiedykolwiek napisałem. Dopisywała do niektórych z nich

komentarze lub zaznaczyła pewne zdania. Na przykład „Mówi podobnie do ciebie”, „Skąd możesz to wiedzieć?”, „No dalej, mów prawdę”.

Koło mnie pojawił się Sketch. Okulary zsunęły mu się po nosie i pobrudził koszulę chili. Niósł z sobą szachy. Podeszedł do trumny. Wyglądało na to, że czegoś chce.

- Chciałbyś, żebym to otworzył?

Mrugnął i przytaknął. Podniosłem wieko i patrzyłem, jak spogląda przez brzeg trumny. Westchnął. Otworzył szachy, wyjął z nich jeden pionek i wypolerował go o spodnie. Przytknął palce do ust, a potem oddał ten pocałunek Tommye i powoli odszedł w kierunku werandy. Zamknąłem trumnę, spojrzawszy na figurę, którą wrzucił.

To była jego królowa.

Rozdział 40

Wczesnym popołudniem przyjaciele Tommye pożegnali się i znikli tak szybko, jak się pojawili. Nie wiem, czy życzyłyby sobie, żeby tu byli, ale coś mi mówi, że chyba tak. Około piątej zjawił się wujek z dwiema łopatami. Lorna i Mandy zatrzymały Sketcha w domu, a ja i wujek wskoczyliśmy do Sally i wyruszyliśmy w kierunku Buffalo. Dojechaliśmy powoli do brzegu, przenieśliśmy trumnę na canoe wujka i spuściliśmy je na wodę. Popchnęliśmy, a ponieważ trumna była lekka, łódka płynęła bez trudu. Spławiliśmy ją wokół północnej plaży i zacumowaliśmy niedaleko grobów. Dwie godziny później, gdy zapadł zmrok, wujek zapalił latarnię i przy jej świetle dokończyliśmy kopanie. Pracowaliśmy powoli, żaden z nas się nie spieszył. Pot lał nam się po twarzach i kapał na czarną ziemię. Kilka stóp od nas były groby pierwszej żony wujka Suzanne i jego małego synka. Około dziewiątej opuściliśmy trumnę do grobu. Wujek trzymał linę za jeden koniec, a ja za drugi. Pomyślałem, że wujek trzyma linę dla Tommye po raz ostatni. Opierając się o łopaty, patrzyliśmy w dół. Lampa przygasła, a owady tańczyły wokół niej jak oszalałe. Poza kręgiem jej światła trzy żaby i kilka świerszczy śpiewały kołysankę. Wyglądało, jakby wujek chciał coś powiedzieć, ale za każdym razem, gdy otwierał usta, nie wydobywało się z nich żadne słowo. W końcu spojrzął na mnie.

- Niedługo wrócę.

Kiwnąłem głową, oparłem łopatę na ramieniu i opuściłem Sanktuarium. Przeszedłem, brodząc przez wodę, obok

Vicky, która jak kłoda sterczała w strumieniu. Woda opływała jej siedzenia, bulgotała w silniku i wypływała przez maskę. Zostawiłem Sally dla wujka i poszedłem do domu piechotą. Księżyc stał wysoko i idąc, rzucałem cień. Myślałem o ośmioletniej Tommye, biegnącej do nas, poplamionej krwią, wystraszonej i pozbawionej niewinności. Potem pomyślałem o wujku Jacku i poczułem jeszcze większy gniew.

Dotarłem do domu, wszedłem na werandę i wślizgnąłem się na huśtawkę. Samochodu Mandy już nie było, a u Sketcha już nie świeciło się światło. Świetliki rozjaśniały pastwisko. Czekałem, aż nadejdzie ukojenie, ale nie nadeszło. Czulem jedynie ogarniającą mnie pustkę. Około trzeciej nad ranem ciocia Lorna potrząsnęła mnie za ramię.

- On nie wrócił. -Wujek?

- Myślę, że lepiej będzie, jak pójdziesz i przyprowadzisz go - pokiwała głową.

Skoczyłem na równe nogi i bosy pobiegłem szutrową drogą z powrotem do Żuta. Księżyc wciąż stał wysoko i mój własny cień rozciągał się daleko przede mną. Doszedłem do brzegu, Sally wciąż stała tam, gdzie ją zostawiłem. Wślizgnąłem się do wody po pas i dotarło do mnie jej ciepło. Poklepałem Vicky, gdy koło niej przechodziłem. Wyszedłem na brzeg po przeciwnej stronie. Wtedy usłyszałem krzyk. Zatrzymałem się, by usłyszeć coś poza własnym oddechem. Nie słyszałem słów, ale dźwięk, który do mnie dotarł, przeraził mnie. To był krzyk bólu. Pobiegłem przez paprocie po wilgotnej ziemi. Gałęzie smagały mnie po ciele jak ręce zazdrosnej kochanki. Im bardziej biegłem w głąb Sanktuarium, tym bardziej ciemniało. Bardzo szybko niebo i księżyc przykryły ciężkie chmury. Temperatura spadła o jakieś dziesięć stopni. Zadrzałem, owionął mnie zimny wiatr. Staralem się ustalić, gdzie jestem, skręciłem w prawo i pobiegłem

w kierunku grobów, cmentarza i głosu. Ominąłem magnolie i palmy, biegłem przez ogród stworzony przez Ellswortha, obok naszego miejsca na ognisko, na drugą stronę. Mężczyzna stał w ciemnościach nad grobem z wysoko podniesionymi rękami, z zaciśniętymi pięściami, głową odrzuconą do tyłu. Podeszedłem do niego właśnie w chwili, gdy lunął deszcz. Wielkie krople sprawiły, że wkrótce byłem zmoczony do nitki. Krzyk utonął w deszczu, ale w mdłym świetle latarni mogłem zobaczyć, jak jego ciało drży. Prześlizgnąłem się na drugą stronę i schowałem w krzakach. Wujek stał na wprost trzech grobów, wykrzykując sobie płuca. Twarz miał wykrzywioną w bólu. Chodził w przód i w tył: najpierw do grobu żony, potem syna i w końcu Tommye, teraz wyglądającego jak kopczyk ziemi. Co kilka kroków przystawał, podnosił zaciśnięte pięści do góry i potrząsał głową. Porwał na sobie koszulę, spodnie miał całkiem przemoczone. Wyrzucał z siebie niezrozumiałe słowa. Nieczytelny ton złamanego człowieka. Wszystko to przecięła błyskawica, zaraz potem grzmot, a pod moimi stopami zrobiła się kałuża. Wkrótce strużki wody spływały po pniach drzew i dalej do Altamahy, zabierając z sobą nasze łzy i pot.

Tak szybko, jak się zaczął, deszcz przestał padać. Wielkie krople spływały z gałęzi na moje ramiona, przyprowadzając mnie o dreszcz. Znad wody podnosiła się mgła i unosiła w kierunku koron drzew. Latarnia dogasała, rzucając na postać wujka upiorne światło. Wujek wydawał się większy, jakby wyrastał z czarnej dziury w ziemi. Albo się zmęczył, albo doszedł do kresu sił, bo zgiął się i opadł na kolana. Potem zaczął opadać do tyłu. Odsunąłem kilka gałęzi, podbiegłem do niego i chwyciłem pod ramiona w chwili, gdy osuwał się na jeden z grobów. Objąłem go ramionami i położyłem na swoich kolanach. Spojrzał na mnie, ale mnie nie widział - jego wzrok był skupiony na czymś poza Drogą Mleczną.

Ciało

mu zeszywniało, wszystkie mięśnie były napięte. Wybuchął jak Wezuwiusz, a cała udreka życia przeniosła się na jego ciało. Przez kilka minut po prostu go trzymałem. Cały drżał i co kilka sekund wydobywał się z jego ust jęk, który brzmiał echem w drzewach, a potem rozpływał się w otaczającej nas wodzie.

Wujek przechodził przemianę.

Otoczyłem go ramionami, ująłem jego głowę w dłonie. Wszystko mnie bolało, ale za każdym razem, gdy szczekał zębami, wiedziałem, że moje cierpienie nie może równać się z jego męką.

Gdy zgasła latarnia, usiedliśmy pod baldachimem z liści okrywającym Sanktuarium, otoczeni przez zapachy unoszące się ze świeżo zwilżonej ziemi i złości wydzielonej wraz z potem. W pewnej chwili wujek odpłynął, więc położyłem jego głowę na grobie Tommye. Powoli napięcie ustępowało. Jeszcze słychać było, jak zgrzyta zębami. Po jakiejś godzinie rozluźnił pięści, a jego wielka dłoń znalazła się na ziemi obok mnie. Znowu pokazał się księżyc i dał nieco światła, ukazując niebieskie żyły na jego rękach i bladość skóry na dłoniach. Przyglądałem się im, bo tyle razy kładł mi je na karku i odpędzał demony. Teraz siedziałem przy nim bezsilny i nie potrafiłem odpędzić demonów, które dręczyły jego. Chciałem, żeby czas się cofnął, żeby można było wrócić na pole bitwy i ratować rannych, ale nie dane nam było znaleźć pociechy i ukojenia.

Po jakimś czasie wujek się odwrócił i otworzył oczy. Przez chwilę patrzył na drzewa i na słońce przeświecające przez gałęzie.

- Byliśmy jeszcze dziećmi, Jack był starszy, a ja o rok młodszy od niego. Wracaliśmy skądś bardzo późno, nie pa miętam już skąd, jadąc cadillakiem taty. Jack prowadził, je chał za szybko, o wiele za szybko. Gdzieś tak koło setki. Jakiś parszywy stary pies, długouchy beagle, oślepiiony światłami,

postanowił przejść na drugą stronę. Pamiętam, że utykał, miał szary nos, kuśtykał przez drogę. Jack go potracił, specjalnie zjechał z drogi, żeby go potracić. Zrobił to brzegiem zderzaka, pies wyleciał w powietrze i wylądował w rowie. Leżał tam, skamłąc. Znalazłem go pierwszy. Dziwne, ale miał tylko połamane nogi. Wziąłem go na ręce, żeby zanieść do samochodu. Jack pojawił się tuż za mną z pistoletem. Nawet nie zapytał, przyłożył mu do głowy pistolet i strzelił. Czekał, aż go podniosę, żeby mieć lepszy, nieruchomy cel. Pies znieruchomiał z wielką dziurą w głowie. Spojrzałem na Jacka, a on się uśmiechał. Bawiło go to. Zło się dokonało. Wujek na chwilę zamilkł.

- Nie wiem, jak to się stało, że Jack był taki. Ta sama matka, ten sam ojciec, to samo życie. Zawsze myślałem, że może ja mam coś z tym wspólnego, że może uda mi się go zmienić, ale okazało się, że... nie mogłem. Następnego dnia pochowałem psa i postanowiłem, że nigdy nie zapomnę tej nocy. Nigdy nie zapomnę o tym beagleu - spojrzał na mnie - i za każdym razem, gdy grzebię tu kogoś, kogo kochałem, przypominam go sobie.

Godzinę później ciocia Lorna przywitała nas na werandzie gorącą kawą i uśmiechem przez łzy. Wujek objął ją, przytulił, pocałował i powiedział:

- Skarbie, muszę jeszcze coś zrobić. Coś, z czym zwlekałem dostatecznie długo. Muszę jeszcze kogoś pochować.

Skinęła głową.

- Ale tylko jeśli się nie mylisz.

Wujek wytarł twarz ręcznikiem i odpowiedział:

- Przez całe życie stałem po właściwej stronie. Nie zamierzam teraz tego zmieniać.

Wsiedliśmy do Sally, by wycofać samochód. Na podjeździe stał Sketch z założonymi rękami i blokował nam drogę.

Przestraszony i niemy. Wujek opuścił okno, starając się go zrozumieć.

- Cóż, jeśli chcesz tutaj stać bardzo długo, to równie dobrze możesz teraz się dowiedzieć, w co się pakujesz. Jedziesz z nami?

Potaknął. Wujek wskazał na blizny na jego rękach.

- Ale może ci się nie spodobać to, co zobaczysz. Sketch schował ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

Wujek otworzył drzwi.

- Nie będę cię powstrzymywał.

Sketch wsiadł i zapiał pas. Pojechaliśmy do miasta, gdzie ulice - jak to rano - były zakorkowane. Wujek objechał bank, zobaczył, że escalade Jacka stoi zaparkowany przed wejściem, a następnie wjechał na chodnik, przewracając automat z gazetami, i zaparkował obok. Strażnik podbiegł w naszym kierunku.

- Nie może pan parkować...

Wujek zignorował go, wszedł do banku i ruszył na piętro. Słyszałem, jak strażnik za moimi plecami wzywa policję przez radio. To miała być krótka wizyta. Wujek znalazł się na piętrze w tym samym momencie, w którym Jack wyszedł ze swego biura. W jednej ręce trzymał plik gazet, a w drugiej kubek z kawą. Okulary miał spuszczone na koniec nosa. Wujek nigdy się nie poddawał. Zrobił jeszcze trzy kroki do przodu, sięgnął pamięcią trzydzieści lat wstecz, złapał wujka Jacka za koszulę, podniósł go ponad ziemię, tak że głowa opadła mu do tyłu, i wrzucił z powrotem do biura. Sekretarka zaczęła krzyczeć i grzebać nerwowo przy telefonie. Zanim wujek Jack zdążył się zorientować, Willee był już nad nim. Złapał go za krawat i rzucił nim po raz drugi tak, że tamten znalazł się na wielkim dębowym biurku. Uderzył w nie, tracąc kilka zębów, a z nosa i ust zaczęła mu się lać krew. Podniósł rękę do twarzy, drugą przytrzymując się biurka, ale wujek rzu-

cił nim jeszcze raz, zanim tamten mógł się rozejrzeć wokół siebie. Ostatnie uderzenie w policzek sprawiło, że przeleciał przez biurko i spadł po drugiej stronie. Wujek Willee obszedł biurko dookoła i wbił kolano mocno w żebra Jacka.

- Bracie, dość to dość. Całe życie upłynęło mi na zamartwianiu się, co jeszcze możesz zrobić, zamiast na życiu. To się dzisiaj kończy. Ostatecznie.

Wsunął głowę Jacka pod biurko, odsunął zasuwę i otworzył drzwi w podłodze.

Oczy Jacka zrobiły się okrągłe. Wujek usiadł i powiedział:

- Wiem, bracie, wiem bardzo dużo. Nie wszystko potrafię udowodnić, ale trochę potrafię i zrobię to.

Stan Georgia i ci, którzy pracują dla władz, zawsze żywili przekonanie, że uzbrojeni stróże prawa są gwarancją jego przestrzegania. I tym razem nie było inaczej. Nie mogłem drgnąć, gdy dwóch uzbrojonych mężczyzn wpadło do biura wujka Jacka i jeden z nich zatrzymał pistolet o stopę od mojej skroni. Drugi zaś wrzeszczał na wujka:

- Ręce na biurko!

Ten pierwszy zwrócił się do mnie.

- Ty też, gazeciarzu.

- Po co?

Nie spodobała mu się moja odpowiedź, więc powalił mnie na podłogę twarzą do dywanu. Wujek był posłuszny i uśmiechał się, gdy przygnietli jego twarz do biurka i założyli plastikowe kajdanki z szybkością łapaczy koni. W pół sekundy później związali mnie jak świnię i podnieśli z podłogi, odcinając krążenie w moich dłoniach. Mniej więcej wtedy do pokoju wpadła ciocia Lorna, by zabrać Sketcha. Wujek zatrzymał się i powiedział:

- Zadzwoń lepiej do Mandy. Aha, i przyślij mi colę i ciasteczka. Jestem głodny.

- A ty nic nie chcesz? - Zwrócił się do mnie. Chciałem powiedzieć coś dla żartu, ale policjant podniósł

moje związane z tyłu nadgarstki do wysokości pachy, więc żartów mi się odechciało. Próbowali nas przepchnąć przez drzwi, ale wujek był większy i stał wciąż w miejscu. Zwrócił się do policjantów.

- Panowie, wychodzę. Ale idę sam. - Odwrócił się do wujka Jacka, kręcąc głową. - Nie powinieneś był zastrzelić wtedy tego beagle'a.

Wujek Jack kopnął drzwi w podłogę i zwrócił się do sekretarki.

- Wezwij lekarza.

Wujek Willee zaśmiał się i wyszedł. Sketch i Lorna zostali w biurze Jacka, oczy chłopca były okrągłe jak spodki. Jack wytarł krew z ust i wrzasnął do mnie.

- Na co się gapisz?

-To zabawne, ale nie brakowało nam ciebie na pogrzebie Tommye.

Wziął z biurka przycisk do papieru i cisnął we mnie. Spudłował o kilka stóp.

Zeszliśmy po schodach, ręce wujka opadały wzdłuż pleców, związane na dole. Kostkę nadgarstka miał paskudnie rozciętą i krew spływała mu po palcach, ale nawet jeśli go to bolało, nie dał tego po sobie poznać.

Policjant wepchnął nas na tylne siedzenie samochodu, ale potem spojrzął we wsteczne lustro i kazał nam wysiąść, mówiąc, że ma lepszy pomysł. Prowadził nas przez dwie przecznice do urzędu miasta jak parę słoni z cyrku. Po drodze mineliśmy starszą panią, która wychodziła właśnie z kościoła Jack First - coś tam - coś tam. Rozpoznała wujka, pokręciła głową i odwróciła się, mamrocząc coś pod nosem.

Wujek zwrócił się w jej stronę, uklonił i powiedział:

- Witam panią, pani Baxter.

Kilka kroków dalej odezwał się do mnie:

- Nie przejmuj się nią, to dobra kobieta. Po prostu nie zna prawdy. Gdy dostatecznie długo żyjesz w kłamstwie, zaczynasz wierzyć, że ono jest prawdą.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że pani Baxter wsiada do samochodu.

- Czemu więc nie spotkasz się z nią twarzą w twarz i nie powiesz jej, jaka jest prawda?

Pokręcił głową i powiedział:

- Pamiętaj... że słowa, które zapadają ci w serce... Przyglądałem mu się, jak idzie. Z butów kapłała woda,

a stopy wewnątrz nich się ślizgały. Buty nie zdążyły wyschnąć od zeszłej nocy.

- Wiem, wiem: szepcze się je, a nie wykrzykuje.

- Widzę, że się uczysz - pokiwał głową.

Rozdział 41

Po wstępnych formalnościach pozwolili mi na jeden telefon. Mandy miała włączoną sekretarkę, więc zostawiłem jej wiadomość. Potem sprowadzili nas na dół i wrzucili do domu z dala od domu. Podszedłem do ściany z betonu, ćwierć-dolarówką zeszkrobałem DWA i napisałem 3x drukowanymi literami.

Mandy pojawiła się trzy minuty później z dyktafonem cyfrowym zawieszonym na kieszeni od spodni. Usiadła po turecku, krzyżując też ręce, na podłodze przed celą i zaczęła.

- Zdaje się, że obaj byliście zajęci?

Już chciałem otworzyć usta, ale wujek mnie ubiegł. Usiadł, głęboko zaczerpnął powietrza i zamknął oczy.

- Jack zawsze lubił hazard. Powiedzieć jednak, że miał to we krwi, byłoby nie fair. Miał to gdzieś zapisane głęboko w DNA i żartowaliśmy sobie z tego, gdy byliśmy dziećmi. Potem dorósł, wiele rzeczy się zmieniło i to, co dotychczas było jedynie hobby, stało się uzależnieniem. W tę noc, gdy nastąpiła burza, wiedziałem, że gra w karty... ale... - zwrócił się do Mandy. - Nie wypuścisz nas stąd?

- Jesteś głodny?

Pokiwał głową i spojrzał na mnie.

- Pierwszy raz od bardzo dawna.

- Za co was wsadzili? - próbowała wybadać.

Wujek obgryzł paznokiec i wypluł go w drugi koniec celi.

- Próbowałem utrzymać nerwy na wodzy.

- Jak długo? - Zaśmiała się Mandy.

- Trzy dekady i jedną noc.

Weszła Lorna, trzymając Sketcha za rękę.

- Skończyłeś?

Zacząłem mieć trudności ze zrozumieniem ich języka.

- Mówicie jakimś szyfrem, nie rozumiem was. Lorna dała Mandy pokwitowanie.

- Pięć tysięcy - spojrzała na wujka. - Obligacje sporo kosztują.

Wujek pokazał na kwit.

- Z nimi żyć nie można i bez nich też nie.

Godzinę później wyszliśmy na słońce, było południe. Mandy poklepała mnie po ramieniu.

- Muszę iść z powrotem do biura. Atmosfera się podgrzeje dziś po południu.

Wujek potrząsnął głową.

- Nie, jeśli zechcesz mnie bronić.

Podniosła wyżej jego dłoń, obejrzała rozcięty palec, a potem wzięła mnie pod rękę.

- Nie wiem, czy chcę bronić *ciebie*.

Wujek podjechał z całą naszą piątką do Dairy Queen, gdzie zamówił lunch i pięć lodów w rożku. Sketch chciał cheeseburgera i frytki, a potem zaczął jeść loda. Kapało mu z niego na rękę, ale widać było, że chłopiec nie bardzo się tym przejmuje. Nie miał z sobą pudełka z szachami, za to miał uśmiech na twarzy umazanej wanilią i czekoladą.

Potem pojechaliśmy do Żuta, aby się przekonać, że czeka tam już wóz transmisyjny wiadomości telewizyjnych zaparkowany przy głównej drodze, z transmitters na wysokości czterdziestu stóp nad ziemią. Gdy przejeżdżaliśmy, reporter przekazywał najnowsze wieści. Przysuwał mikrofon do twarzy wujka, ale wujek go zignorował i toczyliśmy się powoli dalej. Sketch pomachał, pokazując tablicę TEREN PRYWATNY,

WSTĘP WZBRONIONY.

Wujek zatrzymał się przed stodołą, wziął dwie łopaty i zawiózł nas jeszcze dalej do Żuta. Zdawało się, że jedyni ludzie, którzy wiedzą, gdzie jedziemy, to wujek i ciocia Lorna, ale żadne się nie odezwało. Gdy dojechaliśmy do brzegu, wziąłem Sketcha na barana i wszedłem do wody.

- Wysokie obcasy i spódnica nie za bardzo zdadzą tu egzamin -jęknęła Mandy.

Wujek pomachał, zachęcając ją, by szła z nami.

- Zaufaj mi, nie chcesz tego przegapić.

Vicky ciągle była tam, gdzie ją zostawiłem. Poziom wody co prawda trochę opadł, ale podłoga była nadal pod wodą, a spod maski wydobywały się bąbelki. Poklepałem ją po zderzaku.

- Trzymaj się jeszcze, wkrótce po ciebie wrócę.

Wujek oparł łopaty na ramionach i poprowadził nas przez Sanktuarium Ellswortha. Gdy dotarliśmy na miejsce, jego ramiona wyglądały, jakby każda łopata ważyła tysiąc funtów. Opuściłem Sketcha na ziemię i przysunąłem się do wujka, który stanął przy grobie swojego syna. Po naszej prawej na grobie Tommye wciąż piętrzyła się góra ziemi, przykryta luźno poukładanymi kamieniami, które odkryła ulewa. Wujek popatrzył na mnie. Prawa strona jego twarzy skurczyła się, a oko drżało w nerwowym tiku. Po chwili Lorna poklepała go po ramieniu.

- Liam.

Pokiwał głową. Zwilżył językiem wargi białe jak kreda i wyszeptał:

- Co z ciebie za człowiek?

- Słucham? Podszedł bliżej.

- Spytałem: kim ty jesteś?

- Wujku, co to znaczy? Co to...

- Nie nazywaj mnie tak. Już nigdy. Nie chcę być już twoim wujkiem. - Wskazał na mnie, podał mi łopatę i powiedział:

-Kop!

Spojrzałem na ziemię szeroko otwartymi oczami.

- Gdzie?

Wbił łopatę przy grobie swojego synka i nie powiedział już ani słowa. Oparłem się na łopacie.

- Czy ty postradałeś zmysły? Ja tu nie będę kopał. Nie ma mowy.

Wujek nie zwracał na mnie uwagi. Po prostu kopał. Po dziesięciu minutach był już na głębokości połowy łydki, ale kopał dalej. Spojrzałem na Mandy. Wzruszyła ramionami i wyszeptała:

-Kop!

Sketch usiadł na ziemi z notesem wepchniętym głęboko pod pachę. Wskoczyłem do powiększającej się dziury i wbiłem delikatnie łopatę. Godzinę później zdyszani byliśmy już po piersi w dole. Wujek zdjął koszulę, co było dobrym posunięciem, bo od wczoraj zaczynała już śmierdzieć. Kopaliśmy jeszcze przez pół godziny, gdy się odezwałem.

- Wiesz, te rzeczy są zwykle pokryte betonem.

- Kto wspominał cokolwiek o betonie? - Nawet na mnie nie spojrział.

Kilka minut później łopata stuknęła o drewno. Wujek ukląkł i zaczął odgarniać ziemię rękami. Gdy już odkrył wieko i stanął na nim, prawie nie było go widać. Wytarł głowę o przedramię i zaczerpnął słonawego powietrza. Potem bez słowa przyklęknął, złapał za rączkę i podniósł jedną część wieka do góry. Zamknąłem oczy i czekałem na dźwięk zasysanego powietrza, gdyby hermetyczna trumna była uszkodzona, ale nic takiego się nie stało. Nie chciałem zobaczyć zjedzonego przez robaki ciała ani worka białych kości, więc otwierałem oczy bardzo powoli. Sketch nachylił się nad dziurą w ziemi i spoglądał w dół. Mandy też. Tylko Lorna siedziała, nie patrząc. W przeciwieństwie do innych patrzyła na mnie.

Wujek za pomocą łopaty otworzył wieko szerzej, sięgnął do środka i wyjął zielony worek na śmieci owinięty taśmą. Był wielkości małej lodówki samochodowej, ale o połowę płytszy. Wyszedł z dołu, usiadł po turecku i zaczął szukać po kieszeniach scyzoryka. Sketch był szybszy. Otworzył mniejsze ostrze swego nożyka i podał go wujkowi, a ten delikatnie ujął scyzoryk.

Oderwał taśmę i wyjął ze środka plastikowy pojemnik. Otworzył zatrzaski, wieczko odskoczyło i wyjął coś wielkości teczki na dokumenty, grube na trzy cale. Potem zaczął zdzierać pokrywającą teczkę folię, również zabezpieczoną taśmą. Cokolwiek było w środku, było bardzo dobrze chronione przed wilgocią. Wujek odkleił resztki taśmy i ukazała się czarna teczka pełna pożółkłych, ale suchych papierów. Ciekawy wszystkiego Sketch przybliżył się do wujka, zaglądając mu przez ramię. Wujek wpatrywał się w korony cyprysów wyrastające z Buffalo i wyglądało na to, że walczy, by coś powiedzieć. Sketch patrzył ponad jego kolanami i przyglądał się trumnie, by zobaczyć ciało. Nie był zadowolony, że mumia nie podniosła się z ziemi. Marszczył uniesione brwi. Wujek potrząsnął głową.

- Nie ma tam ciała. Wyrzuciłem je dawno temu - wskazał na wodę.

Odezwałem się pierwszy.

- Wyrzuciłeś do rzeki ciało własnego syna?

Wujek spojrzał na mnie, potrząsając głową, jakbym to ja stracił rozum.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie kto skończył w rzece?

- Tego nie wiem. Był martwy, nie znałem go. - Wujek wzruszył ramionami.

Twarz Mandy zbieleła.

- Panie McFarland, myślę, że może panu być potrzebny adwokat.

Wujek nie zwracał na nią uwagi.

- Gdy zabrali mnie do kostnicy i odwinęli płótno, od razu wiedziałem. Było ogromne podobieństwo, ale ciało na stole nie należało do mojego dziecka. Nie znałem go w ogóle.

- Skąd pan wiedział?

- Końcówki uszu. Jego były jakby przytwierdzone, a mojego syna nie.

Mandy spojrzała na niego, potem na mnie. Sketch zaczął palcami sprawdzać swoje uszy.

Nie rozumiałem, o co mu chodziło.

- O co tu chodzi?

Wujek pociągnął własne ucho.

- Końcówka jest luźna, nieprzytwierdzona do linii szczęki.

- W takim razie kim było dziecko... w kostnicy?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami. - Wiem tylko tyle, że to nie ja je zabiłem, ale co ważniejsze... - zamilkł i potarł ręce o notes - ...to oznaczało, że mój syn żyje.

Gdy robiłem wywiad z kierowcą, który wiozł wujka na pogrzeb, powiedział mi, że wujek był wściekły, ale nie smutny. I że nie płakał. Nigdy nie mogłem pojąć sensu tego, co powiedział. Wujek, którego znałem, wypłakałby sobie oczy.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś? Potrząsnął głową.

- A co bym na tym zyskał? Tak, było mi przykro z powodu śmierci tego dziecka, ale gdy dodałem dwa do dwóch, doszedłem do wniosku, że nikt za nim nie płakał, nie szukał go. Myślę, że zmarł na długo przed tym, zanim został spalony. Trzymałem jednak buzię na kłódkę, bo gdybym się zdradził, dałbym tym samym znak temu, kto porwał mojego syna, że wiem, iż to nie był on. Jeślibym nic nie powiedział, a mój syn nadal by żył, pomagałem mu, milcząc na ten temat.

- A co jeśli on rzeczywiście żyje? - Pokręciłem głową.

- Ależ żyje.

- Gdzie? Dlaczego po niego nie jedziesz? Wujek spojrzał na Lornę, na Mandy i na mnie.

- Zrobiłem to.

- Ale co z okupem? Czy to było ukartowane? - Pytania zakotłowały mi się w głowie.

- Pytaj dalej. - Pokiwał głową i uśmiechnął się. - Jak się dowiedziałeś?

- Grałem w karty z moim bratem i wiedziałem, czy blefuje, na długo przed tym, nim on się zorientował, że ja wiem.

- Długo z tym wytrzymałeś. Znowu pokiwał głową.

Usiadłem. Całe nasze życie przewinęło mi się w głowie jak film. Próbowałem opisać to, co zobaczyłem.

- On wiedział, że ty wiedziałeś, że on ukradł obligacje, i dlatego potrzebował czegoś, by cię uciszyć - odwróciłem się do Sketcha, a potem do wujka. - No i... jak?

Wyjął z teczki pojedynczą kartkę, a potem sięgnął dłonią, dotknął mego ucha i spojrzał na grób Suzanne.

- Twoja matka chciała, by nazwać cię Junior. Spojrzałem na papier. Był to akt urodzenia. Na górze było napisane:

WILLIAM WALKER MCFARLAND JUNIOR URODZONY

31 MARCA 1976 ROKU.

Wujek objął mnie ręką za szyję i przytulił, jakby się bał, że ucieknę. Przełknął ślinę.

- Powiedziałem ci kiedyś, że drugą z najtrudniejszych decyzji, jaką kiedykolwiek musiałem podjąć, było podpisanie tych papierów, które pozwalały, by zabrano mi syna, by odtąd stan Georgia stał się jego opiekunem. To dlatego, że najtrudniejsze... najtrudniejsze, co kiedykolwiek musiałem zrobić, to życie dzień po dniu i patrzeć, jak wyrasta na mężczyznę, z którego jestem niesamowicie dumny, i niemożność powie-

dzenia mu tego. Przeżycie całego życia w kłamstwie. Nie mogłem jednak pozwolić sobie na ryzyko, że stracę cię po raz drugi. Raz było trudno umrzeć, nie chciałbym przechodzić przez to po raz kolejny. Potem, gdy byłeś wystarczająco duży i widziałeś, jak traktują mnie ludzie w mieście, co o mnie myślą, ta sprawa, która zdominowała moją przeszłość... bałem się, że mnie odrzucisz. - Pokiwał głową nad tym aktem urodzenia, przyciągnął mnie do siebie, przyciągnął moje czoło do swojego i próbował się śmiać. - Powiedziałem twojej mamie, że nie chcę cię nazywać Junior. Powiedziałem jej, że chcę nazywać cię najbardziej dla mnie cennym imieniem, moim imieniem. - Podniósł głowę i wyszeptał: - Powiedziałem jej, że będziemy cię nazywać Liam.

Imię odbiło się echem w mojej głowie, zatrzeszczało w szyi, oplotło mnie i pozostało na moich piersiach. Spojrzał na mnie, miał zaciśnięte usta. Liam pokiwał głową. Szept wypuścił to słowo, uwolnił je, pozwolił, by pofrunęło w górę, a potem opadło, wypełniając pustkę w moim sercu, gdzie zagrzechotało jak żwir.

- Ale dlaczego nie...?

- Nie było warto - wzruszył ramionami.

- Nie było warto? Przecież wszystko straciłeś. Potrząsnął głową i uśmiechnął się, a kąciki ust drżały mu z emocji.

- Ja zyskałem wszystko. -Co?

- Ciebie... - położył mi rękę na karku. - Ty jesteś moim dziedzictwem.

-Ale...

- Synu...

To słowo mnie zatrzymało. Wypełniło mój oddech.

- Bo nic - poklepał mnie po piersi - nic nie może równać się z tobą.

Po raz pierwszy w życiu usłyszałem słowo „syn” skierowane do mnie.
-Ale...

Podniósł do góry palec.

- Przed procesem Jack sporządził nową wersję testamentu, o której wiedziałem, że jest sfałszowana.

- Skąd?

Sięgnął po teczkę.

- Bo ja miałem oryginał - wyjął z teczki kilkustronicowy dokument. - Ten papier był powodem, dla którego ojciec i Perry Kenner byli razem w domu. - Wręczył go mnie. - Tata nie ufał Jackowi. Kochał go, ale znał jego skłonność do podłości i złośliwości, napisał więc to, co wyjaśnia całą sprawę. Bo w tym testamencie, inaczej niż w wersji Jacka, to ja, młodszy brat, mam prawo zarządzania Żuta Properties - potrząsnął głową. - Wiedział, że Jack nigdy się na to nie zgodzi. Jednak ani tata, ani ja nie przypuszczaliśmy, że posunie się do morderstwa. Domyślałem się, że Jack zaskoczył tatę i Perry ego, a oni powiedzieli mu prawdę, więc on ich obu zastrzelił, potem Suzanne, wkładając pistolet w rękę Perry ego. Musiał też ukraść obligacje na krótko przed tym, nim otworzyliśmy sejf, uciekając tunelem pod podłogą.

- Cóż... a co się tyczy...

-Jedna rzecz naraz. Gdy wyszedłem z więzienia, przyjechałem do domu i zacząłem w tajemnicy cię szukać. Wiedziałem, że Jack czegoś nie mówi, więc przepływałem do tunelu, do podziemi i podczołgiwałem się pod podłogę jego biura, czekając, aż coś chlapnie. I stało się. Pewnego razu rozmawiał o tobie przez telefon i powiedział, że trzeba cię wywieźć na zachód, tak żeby ślad po tobie zagaśniał. Potem wyszedł z biura. Wszedłem tam, wykreciłem ostatni używany numer i pogadałem z osobą na drugim końcu linii. To był drugi przełom.

Mandy się zainteresowała.

- A pierwszy? Spojrzał na Lornę.

- Ułaskawienie. Lorna kiedyś pracowała jako gospodyni w willi gubernatora. Brała nocne zmiany. Była odpowiedzialna za domek dla gości. Wyglądało na to, że gubernator przyjmował więcej gości, niż wiedziała o tym jego żona. Zaczął też zalecać się do Lorny, a kiedy odmówiła, zagroził, że ją zwolni. Lorna zrobiła zdjęcia, dla własnego bezpieczeństwa, włożyła je na wszelki wypadek do banku, do skrytki depozytowej. Miała asa w rękawie. Nie powiedziała mi o nich przez kilka lat odsiadki w więzieniu. - Spojrzał na nią. - Ciągle nie wiem, dlaczego wyjęła je wtedy z ukrycia. Wysłała ich kopie z naprawdę słodką notatką do gubernatora i przekonała go, że William McFarland zasługuje na ułaskawienie. No i że jeśli nie wyjdę natychmiast z więzienia, to ona przekaże zdjęcia do gazet oraz wyśle je jego żonie.

Spojrzałem na Lornę, która się uśmiechnęła, wzruszając ramionami. Wujek ciągnął dalej.

- Następną rzecz, którą pamiętam, to ten wielki strażnik, który zawsze przychodził do mnie, żeby mnie wyprowadzić na spacer na świeże powietrze - zaśmiał się. - Wciąż mamy te negatywy.

- Odrobina szczęścia w nieszczęściu - odezwała się cicho Mandy.

- Zasłużyłem na nią - znowu spojrzał na mnie. - Gdy byłeś już dostatecznie duży i wiedziałem, że Jack nie będzie już próbował cię skrzywdzić, nawet jeśli się o tobie dowie, próbowałem ci powiedzieć... z tysiąc razy. Człowiek ma prawo znać historię własnego życia. Byłem ci to winien. Ale dorastałeś wśród ludzi, którzy mnie opluwali i wykrzykiwali na mnie przekleństwa z drugiej strony ulicy, i ja... pomyślałem sobie, że będziesz się lepiej czuł, jeśli nie będziesz wiedział,

iż jesteś ze mną spokrewniony. Przynajmniej dla świata. Sądziłem, że jak ci powiem, to spakujesz się i nigdy więcej cię już nie zobaczę.

- Nie jestem pewna, czy te argumenty wystarczą w sądzie. - Mandy usiadła.

Potrząsnął głową.

- Nie wracam do sądu.

- Dlaczego? - Jej oczy się zwięziły.

- Nie mam nic do udowodnienia.

- A co z... - pomachała ręką nad teczką.

Potrząsnął głową, patrząc na Lornę i na mnie, a w końcu na Sketcha. Posadził chłopca na kolanach i powiedział:

- Mam tu wszystko, czego potrzebuję.

- Ale nie możemy pozwolić, by się wywinął...

- Mandy, kochana...

Mandy wciąż miała na twarzy swoją maskę prokuratora.

- Wiesz, Jack nie pozwoli, byś tak po prostu wszedł do jego biura, przyłożył mu kilka razy i odszedł bez konsekwencji.

- Pozwoli, jeśli pokażesz mu to. - Spojrzał na Lornę, wyciągnął rękę z kopertą i podał mi ją.

- Tommye chciała, żebym ci to dał.

Włożyłem palec pod zaklejoną część i przedzierając, otworzyłem kopertę. Wyjąłem z niej kartkę papieru. Wujek się zaśmiał.

- Chciałbym zobaczyć jego minę następnym razem, gdy pojawisz się na zgromadzeniu akcjonariuszy. Wścieknie się nie na żarty. Ups, przepraszam, miałeś tego nie usłyszeć.

Sketch uśmiechnął się, jakby właśnie przemycił najlepiej strzeżony sekret w życiu. Przeczytałem list na głos.

Ostatnia wola i testament Tommye McFarland. Ja, Tommye Lynn McFarland, będąc zdrowa na umyśle, ale mając schoro-

wane ciało, pozostawiam wszystko, co posiadam w jakiegokolwiek postaci, Chase'owi Walkerowi, zwanemu tak formalnie, ale znanemu również pod nazwiskiem William „Liam” Walker McFarland Junior.

Na dole strony był podpis notariusza i trzech świadków. Notariusza nie znałem, a pozostałe podpisy złożyli Lor-na i William McFarland. Jeszcze niżej Tommie napisała kursywą:

Chase/Liam, odwiedź nowy sejf taty, skrytka tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dziewięć (dobra data, nie sądzisz?). Spróbuj któryś z kluczy, które masz na szyi. Spodobają ci się te papiery. Będziesz mi coś za to winien, ale oddasz, gdy się tu spotkamy. Kocham cię - Tommie.

Wpatrywałem się w ten list i czytałem go wiele razy.

- Ona wiedziała? To znaczy... o tobie i o mnie?

- Tak, sama na to wpadła dawno temu. Powiedziała, że masz moje oczy.

- Dlaczego nigdy mi nic nie powiedziała?

- Bo ją o to prosiłem.

Znów cofnąłem się pamięcią do naszych wspólnie spędzonych lat.

- To wiele wyjaśnia.

Wujek spojrzał na testament Tommie.

- Na pewno będzie chciał go podważyć, ale on wie równie dobrze jak ja, że ta gra podobna jest do królewskiego pokera.

Przerwałem mu.

- Mówiłeś, że nie lubisz grać w karty.

- Nie lubię, ale nigdy nie mówiłem, że nie umiem. - Potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Najzabawniejsze jest, że to Jack nauczył mnie grać.

Przypatrywałem się swojemu aktowi urodzenia, robiąc w głowie szybkie obliczenia.

- To znaczy, że mam już trzydzieści lat? -Tak.

- Straciłem właśnie dwa lata życia. Spojrzał na mnie błędnymi oczyma.

- Jesteś na mnie zły?

- Za to, że żyłem przez te dni, nie wiedząc, kim jestem... i za to, że utrzymywałeś to przede mną w tajemnicy przez całe życie? - Spojrzałem na bagna, grób Tommye i czarną wodę płynącą jakieś sto jardów od nas i spływającą do morza. Pokręciłem głową. - Przez prawie całe życie patrzyłem na zacienioną drogę dojazdową. Miałem nadzieję zobaczyć światła samochodu. Przez całe życie wyobrażałem sobie, że tata przyjedzie po mnie, wyskoczy ze swej półciężarówki i zabierze mnie do domu, a z tyłu będzie miał błyszczący nowy rower. I za każdym razem, gdy o tym marzyłem, tata miał twoje oczy i twoją twarz.

Wujek, mój tata, spuścił głowę, posadził Sketcha na ziemi obok siebie i wycierał jego kapiące łzy. Wstaliśmy i ruszyliśmy w powrotną drogę z Sanktuarium, stworzonego kiedyś przez Ellswortha, a teraz zamykającego się nad nami. Sketch szedł koło człowieka, który zawsze był moim tatą, trzymając go za rękę. Nagle pociągnął go i tata ukląkł. Oczy Sketcha zwęziły się, zrobiły mu się zmarszczki na nosie. Zacisnął usta, a potem otworzył buzię, szyja zrobiła mu się czerwona, ramiona podniosły się do góry. Żyła na szyi nabrzmiała tak, że mogłem zobaczyć pulsującą krew. Spojrzał na Lornę, Mandy, na mnie i na wielką spracowaną dłoń, trzymającą jego rękę. W końcu usłyszeliśmy szept.

- C-z-y...

Głęboko odetchnął i powoli, nie spiesząc się, wypowiedział najpiękniejsze zgłoski, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- C-z-y m-y t-e-r-a-z j-e-s-t-e-ś-m-y r-o-d-z-i-n-ą? Tata podniósł jego wątłe ciało i przycisnął mocno do

piersi. Tulił go i śmiał się tak jak człowiek, który wrócił z pola walki i zastał rodzinę siedzącą na werandzie, a żółte powitalne wstążki zawieszane na każdym przydrożnym drzewie na odległość mili od domu. W końcu wydusił z siebie odpowiedź. -Tak!

Zrzucił Sketcha na ziemię jak worek kartofli i zaczął go łaskotać.

- Tak, jesteśmy rodziną.

Śmiał się głębokim śmiechem pochodzącym z samego wnętrza.

- I możesz zdeponować to w banku.

- Ty możesz mówić? - Mandy zatrzymała wujka i zapytała Sketcha.

Sketch wzruszył ramionami.

- To dlaczego nie mówiłeś? - Oparła dłonie na biodrach.

- N-i-e c-h-c-i-a-ł-e-m.

Posadziłem Sketcha na barana i szedłem przez bagno. Siedział na moich ramionach, trzymając mnie za uszy, i łapał świetliki latające nad naszymi głowami. Gdy woda sięgnęła mi do pasa, nagle do mnie dotarło. Po całym życiu zastanawiania się nad tym, w końcu poznałem swoje losy. To za przyczyną miłości. To ona nazywa nienazwane i daje głos niemym.

Rozdział 42

Byłem w redakcji i właśnie dopracowywałem artykuł, gdy wszedł Red i zapytał:

- Kończysz?

Kliknąłem SAVE, nacisnąłem PRINT i podałem mu kartkę. Oparł się o okno, które wychodziło na wieżenie, i zaczął czytać. Gdy skończył, położył papier na biurku i zapytał:

- Czy Jack o tym wie?

- Jeszcze nie.

- To może go wytrącić z równowagi. - Zaśmiał się.

- Mam nadzieję, że nie po raz ostatni.

- A jak praca nad drugim artykułem? - Uniósł brwi.

- O który ci chodzi?

- O ten drugi.

- Wciąż brakuje mi kilku kawałków układanki.

- Masz jakieś wskazówki?

- Chyba wiem, co się stało, ale nie potrafię tego dowieść. - Wzruszyłem ramionami.

- Kop dalej. Skierował się do drzwi. Wyłączyłem komputer i wziąłem ze stołu kluczyki.

- Gdzie się wybierasz?

- Jadę ze swoim młodszym bratem na ryby. - Wzruszyłem ramionami.

- Czy coś w tym rodzaju.

- Co chcecie złowić?

- Mam nadzieję, że Vicky.

Ponieważ nie było mi wolno zbliżać się do banku, Mandy poprosiła w sądzie, by mogła mi towarzyszyć. Ona i mój cień

czekali na mnie na dole w budynku redakcji. Chłopiec miał na sobie krótkie spodenki z obciętych džinsów i jedną z koszulek Tommye z Georgia Bulldogs, a na nogach japonki. Pochyliłem się nad nim i powiedziałem: - Ładna koszulka.

Uśmiechnął się i wskoczył mi na plecy. Gdy gramolił się, by usiąść na barana, Mandy i ja zmierzaliśmy w kierunku banku, gdzie kierownik z pokerowym wyrazem twarzy przywitał nas w asyście jednego z policjantów, nawiasem mówiąc tego samego, który ostatnio nas aresztował. Bez żadnego „Dzień dobry” lub „Czy zechciałby pan filiżankę kawy?” przeprowadził nas przez hol i prywatną poczekalnię przylegającą do najnowocześniejszego sejfu bankowego.

Pokazałem mu numer, a on wyjął skrzynkę, przekreśliśmy klucze i mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Podniosłem wieczko, wyjąłem ze środka stertę papierów i położyłem je na blacie. Były stare i pożółkłe, ale pachniały perfumami Tommye, co dowodziło, że niedawno tu była. Większość z tych papierów to były depozyty z roku 1979 i 1980. Jeden komplet pochodził z domu maklerskiego w Nowym Orleanie, a inny z banku zamorskiego z Wysp Bahama. Miały bardzo różną wartość. Wziąłem do ręki pierwszy i czytałem go kilka razy. Gdzieś za trzecim razem dodałem liczby i prawda wypłynęła.

-Jasna du... - spojrzałem na Sketcha. - To znaczy droga!

Mandy przybliżyła się i patrzyliśmy, stojąc ramię przy ramieniu.

Tommye ułożyła kwity według dat, więc rozłożyłem je na stole i próbowałem stworzyć szerszy obraz całości. Żadnemu z nas nie zabrało to zbyt wiele czasu. Mandy otworzyły się oczy, a szczeka opadła.

-I pomyśleć, że to wszystko było tutaj przez cały czas, pod jego nosem. To mogło go zrujnować. I jak ona to zdobyła?

Jeśli kiedykolwiek były jakieś dowody na papierze, to chyba właśnie na nie patrzyliśmy.

- Bez wątpienia Tommye mogła z tym daleko zajść.

Popatrzyłem na elementy łamigłównki, którą miałem przed sobą, i układałem w głowie artykuł, czekający na napisanie przez większą część mojego życia. Na dnie skrzynki leżały zdjęcia. Jedno z nich było fotografią Tommye zrobioną w czasach licealnych, na której stoimy w trójkę z wujkiem - ona między nami, obejmująca nas. To zdjęcie Tommye, jaką chciałbym zapamiętać, na pewno to wiedziała. Drugą fotografię zrobiła nam ciocia Lorna zaraz po przyjeździe Sketcha, na werandzie w czasie jego urodzin. Tata i ja staliśmy po dwóch stronach, a między nami widać było Sketcha w ramionach Tommye z lukrowanymi wąsami. Miała już wtedy rzadkie włosy, ciemne, zapadnięte oczy, a ból porała jej czoło. Wpatrywałem się w to zdjęcie i zauważyłem coś, czego nie widziałem tamtego wieczoru. Na dole podkoszulka Tommye miała wypisane małymi literami słowa AMERICAN PIE. Żółta przyklejana karteczka była dołączona z tyłu do zdjęcia. Napisała na niej: „*Trzej mężczyźni, których najbardziej podziwiam... złapali ostatni pociąg nad morze...*”.

Słyszałem jej głos, jej cichy śmiech, widziałem ten błysk w jej oku. Trzymałem to zdjęcie, aż brzegi się zamazały, aż coś w środku zaczęło mnie boleć. Mandy położyła dłoń na mojej. Poczulem się lepiej bez słów pociechy. Sketch spojrział na zdjęcie, a następnie na mnie. Co prawda ćwiczył, ale jeszcze wiele zostało do zrobienia. Twarz mu poczerwieniała, a usta z wysiłkiem układały się do wypowiedzenia słowa. Wydobył z siebie chropawy szept.

-T-ę-s-k-n-i-s-z z-a n-i-ą?

-Tak... tęsknię.

Trzymał zdjęcie, próbował jeszcze coś powiedzieć, ale potem tylko się uśmiechnął i klepnął w piersi.

Żyję z pisania, ale czasem słowa nie mogą oddać tego, co chcemy powiedzieć. Tego nauczył mnie Sketch. Schowałem zdjęcia w kieszeni koszuli, a potem resztę rzeczy wsadziłem z powrotem do skrzynki, zamknąłem ją, a kluczyk powiesiłem na szyi.

- Może niech jeszcze to tutaj potrzyma, a przynajmniej dopóty, dopóki nie przyprawimy FBI.

Mandy potaknęła, odepchnęła pudełko i usiadła.

- Ironia losu. Nie sądzisz?

-Tak... ale czasem to, czego najbardziej potrzebujesz, jest tuż pod twoim nosem.

Gdy wychodziliśmy z sejfu, Sketch trzymał mnie za rękę, a dźwięk naszych japonek odbijał się echem wśród błyszczących stalowych ścian. Staliśmy potem na ulicy, sierpniowe podmuchy docierały do nas, najpierw zahaczając o kontynent, a potem przez morze i przez bagna niosąc z sobą zapach domu i chwil, które warto zapamiętać.

JOHN DOE # 117, ADOPTED

John Doe #117 został adoptowany przez Williama i Lornę McFarlandów, dzięki czemu zyskał stały dom. Stan Georgia z pomocą niezależnych specjalistów uznał, że John Doe to podrzutek, opuszczony przez rodziców w chwili urodzenia. Prawa rodzicielskie zostały ustalone pięć lat temu w Atlancie i by móc zapewnić dziecku stały dom, nazwano go Stuart Smoak.

Dwa lata temu został adoptowany przez Sonyę Beckers, dyplomowaną asystentkę pielęgniarki w Cedar Lakes - domu dla osób wymagających stałej opieki. Wkrótce potem Sonya i jej syn znikli. Pojawili się znowu trzy miesiące temu, gdy pani Beckers porzuciła Stuarta na skrzyżowaniu torów kolejowych na południe od Thallman i drogi numer dziewięćdziesiąt dziewięć na chwilę przed tym, nim jej samochód uderzył w nadjeżdżający pociąg towarowy. Władze nie rozpatrują jej śmierci jako samobójstwa, ponieważ nie znaleziono przy niej żadnego listu pożegnalnego.

Stuart został umieszczony w domu dla chłopców, a następnie w domu państwa McFarlandów, gdzie miał czekać na stałą adopcję. W zeszłym tygodniu pan i pani McFarland zwrócili się do sądu o przyznanie im prawa do stałej opieki nad chłopcem. Wczoraj odbyła się uroczysta adopcja w obecności sędzi, podczas której małżeństwo oficjalnie już przysposobiło chłopca. Na jego prośbę zmieniono mu imię i nazwisko na Tommye Chase McFarland. Gdy zapytaliśmy go, jak chciałby, żeby go nazywać, odpowiedział: „T.C.”.

Pan William McFarland, zapytany, dlaczego podjął się adopcji, mając już pięćdziesiąt pięć lat, odparł: - Każdy chłopiec rodzi się z pewną pustką. Jeśli jego tata nie wypełni tej pustki, staje się ona jęczącą się raną. Chłopiec przez całe życie będzie się starał ją czymś wypełnić, ale zwykle wypełniają tym, co jeszcze bardziej ranę rozjętrza. Stwórca widzi, że nie jestem już taki młody i popełniłem wiele błędów, ale... nie jestem jeszcze taki stary, żebym nie potrafił tej pustki wypełnić... ten chłopiec nie zrodził się z moich łędźwi, ale zawsze był w moim sercu. I wydaje mi się, że to wystarczy.

Pan i pani McFarland po raz pierwszy stali się rodziną zastępczą ponad dwadzieścia lat temu, gdy wzięli do domu siedmioletniego Chase'a Walkera. Gdy spytałem ich, dlaczego zdecydowali się adoptować Stuarta, ale nie adoptowali Chase'a, pan McFarland uśmiechnął się, pokiwał głową i zapytał: — Dlaczego miałbym adoptować własnego syna?

Posłowie

Odkąd po raz pierwszy spotkałem mego małego brata w szpitalu, miał już sześć imion: dzieciak, Snoot, Sketch, Buddy, Stuart i ostatecznie T.C. Pierwszych pięć to imiona albo narzucone, albo tymczasowe, dopóki nie otrzymał stałego imienia. W końcu zaczęliśmy nazywać go T.C. i było to imię, które przyłgnęło do niego jak stara koszulka. Układała mu się na ramionach i luźno przylegała do szyi. Rękawy też nie były za długie. Poza tym chłopiec chyba polubił to imię. Trochę trudniej przyszło mi mówić „tata”, zamiast „wujku”. Problem głównie polegał na tym, że oba słowa znaczyły dla mnie to samo.

Obaj z T.C. obserwowaliśmy ze stopni werandy, jak William Liam McFarland wysiada z Sally, przechodzi pod drzewami pekanowymi i podchodzi do skrzynki pocztowej. Buty miał obłocone, koszulę poplamioną solą i końskim łajnem, jego kapelusz przesunięty był do tyłu, by ochronić szyję przed słońcem. Gdy doszedł do końca drogi, otworzył skrzynkę, wyjął z niej pocztę, reklamy od razu wrzucając do kosza. Przejrzał rachunki, wsunął je do kieszeni koszuli i podjechał, omijając dziury, bliżej do nas. Wszedł na schody, poklepał T.C. po głowie, przesunął moją czapkę Bravesów, aż spadła na podłogę, usiadł między nami i westchnął głęboko.

- Jestem wykończony.

Przechylił kapelusz, oparł się na łokciach i wpatrywał w pastwisko. Po kilku minutach włożył rękę do kieszeni

i wyjął mały kawałek papieru. Było to stare, pożółkłe zdjęcie, zrobione chyba w latach siedemdziesiątych. Mały chłopiec siedział na ramionach mężczyzny. Uśmiechał się, ciągnąc go za prawe ucho. Mężczyzna miał bokobrody, jedną nogę postawił wyżej, opierając ją o kłody drewna. Jedną ręką podtrzymywał chłopca za nogę, by nie spadł. Trzymałem w rękach zdjęcie i przyglądałem mu się. Chłopiec miał na sobie krótkie dżinsy ucięte z długich, kowbojskie buty, nie miał koszulki, za to był pięknie opalony. Mężczyzna miał na sobie spłowiałą dżinsową koszulę na zatrzaski i uśmiech na twarzy.

W tle zobaczyłem budynek z cegieł z dachem pokrytym gontem i wieżę zegarową. Stała na końcu długiej alei obsadzonej drzewami. Wyciągnąłem rękę ze zdjęciem na odległość ramienia i próbowałem porównać do podjazdu ciągnącego się przede mną. Odwróciłem je na drugą stronę, gdzie widniał napis: *Liam i ja, 1979*.

Wujek przetarł nos brudnym palcem, a potem wytarł go w rękaw swej dżinsowej koszuli. Wyjaśnił mi, siedząc na schodach werandy:

- To było zrobione kilka dni po tym, jak zostałeś złapany na torach i zabrałeś piętnaście lat z mojego życia... których nie miałem na zbyciu.

T.C. zaśmiał się, wydając z siebie charczący dźwięk. Tata liczył.

- Czyli około sześciu miesięcy przed burzą, kiedy odkryliśmy, że jednak już nie jesteś w Kansas.

- Cały czas je przechowywałeś?

- Czasem, gdy sięgałem już dna i czułem się gorzej niż zdechły pies...

T.C. się zaśmiał, a ja pokręciłem głową.

- ...i musiałem sobie przypomnieć, że nie jestem jakimś wariatem, który ma halucynacje, wyciągałem to zdjęcie

i przywoływałem wspomnienie oczyma wyobraźni. - Wciągnął powietrze przez zęby i pokręcił rondem kapelusza. - To zdjęcie pozwoliło mi przeżyć niejedną trudną chwilę.

- A co z twoimi obrażeniami? Podrapał się w nogę.

- Pociągi nie są delikatne i potrzebują dużo czasu, żeby się zatrzymać.

- Czy tamten pociąg cię potrącił?

- Oczywiście, że mnie potrącił, a jak sobie wyobrażasz, że wydostałem się z torów? Skoczyłem na peron, myśląc, że jestem jak Superman, próbując unieść cię z sobą. A gdy już to zrobiłem, maszyna o mało nie odcięła mi nogi. Pęd powietrza wyrzucił nas, jakby to zrobił helikopter.

Patrzyłem na zdjęcie, które mi dał.

- Nie pamiętałem tego.

- Prawdopodobnie dlatego, że nie był to najpiękniejszy widok.

- Noga długo ci dokuczała?

- Niespecjalnie, ale mogę przepowiedzieć deszcz albo nadchodzące chłody lepiej niż synoptycy telewizyjni.

Znów wpatrywałem się w zdjęcie.

- Co to za budynki?

- Ach, to! - zaśmiał się. - To stare budynki stacji, które wcześniej stały na końcu naszej drogi dojazdowej.

- Tam na dole?

- Tak, ale odkąd mama dowiedziała się o twojej małej ucieczce - która nawiasem mówiąc, zdarzyła się już wtedy po raz trzeci - zadzwoniła do władz miejskich i powiedziała, że to siedlisko szczurów, i poprosiła, żeby przyjechali i zburzyli to i... nie było więcej stacji.

- To wiele wyjaśnia.

Pachniał końskim łajnem, potem i uczciwością.

- Masz jeszcze jakieś tajemnice?

Uniół brwi i zaśmiał się tym swoim zdrowym śmiechem.

-To chyba wystarczy jak na jedno życie.

I znowu to przyszło, śmiech przez łzy.

T.C. rysował coś zapamiętałe w szkicowniku i kukielka znów rozgrzewała się do tańca. Nachyliliśmy się nad nim i patrzyliśmy na rysunek. Z perspektywy toru kolejowego narysował odjeżdżający pociąg, który przyjechał i odjechał, i teraz znikał w pewnej odległości. Ciągnęła się za nim smuga czarnego dymu. Tata położył mu rękę na karku i poklepał go delikatnie po ramieniu. T.C. zamknął notes, włożył ołówek za ucho i oparł głowę na jego rękach. Jeśli człowieczeństwo to coś, co się przekazuje, jeśli jest to ubranie szyte z czyjegoś i dopasowane do innej osoby, to nie przekazuje się go razem z tytułem i dziedzictwem. Na pewno nie. Ono pojawia się tam, w zetknięciu rąk i karku, i przepływa w dół kręgosłupa i do brzucha. To język, który nigdy nie został przetłumaczony, ale zrozumiała jest teraz i był zawsze przez każdego chłopca na świecie.

Położyłem T.C. do łóżka i obiecałem, że jutro pójdziemy na ryby. Wyszeptał: - Ciemno tu.

Zapaliłem światło w garderobie i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi.

Ponieważ Vicky stała na kołkach w stodole, tata pozwolił mi korzystać z Sally. Ciemność zasnęła pastwisko, gwiazdy dawały nieco światła i poczułem pierwsze powiewy chłodnej wschodniej bryzy na twarzy. Zjeżdżałem z podjazdu ze zgaszonymi światłami w kierunku skrzynki pocztowej. Wyłączyłem silnik, włożyłem list i zatrzasnąłem skrzynkę, podnosząc czerwoną metalową chorągiewkę do góry.

Uniosłem nos, wciągnąłem zapach bagna i zamknąłem oczy. Z daleka usłyszałem odgłos butów na werandzie

i przeskakiwania przez barierkę. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem mężczyznę w spodniach, bez koszuli, który machał w powietrzu rękami. Za każdym machnięciem ściągał z nieba jedną gwiazdkę i wkładał ją do słoika, a potem biegł znowu i łapał następną. Tuż za nim biegł chudy mały chłopiec, w którego okularach odbijał się księżyc. Pokręciłem głową i przeszedłem przez ogrodzenie na pastwisku, gdzie przez następną godzinę zapelnialiśmy słoik chłopca, który go niósł.

No tak, a w liście było:

Drogi tato,

patrzyłem w złym kierunku. Twój syn

Liam

Po raz pierwszy użyłem własnego imienia.

O wujku Willeem

Miałem osiem, może dziewięć lat. To był magiczny czas, gdy nadzieja i pot sączą się tymi samymi porami skóry. W sąsiedztwie miałem hałaśliwych i rozbrykanych chłopców. Jeśli właśnie nie graliśmy w piłkę lub w baseball, to szaleliśmy na rowerach, terroryzując sąsiadów. Każdy miał rower. Każdy, ale nie ja. Mój rower, jeśli w ogóle można go tak nazwać, był z tych, co przechodzą z dziecka na dziecko - ja dostałem swój po siostrze. Był o jakieś dwa numery za mały, w żółtym kolorze, z bananowym siodełkiem, dwa pompony zwisały mu przy kierownicy i to wszystko sprawiało, że był pośmiewiskiem całej okolicy. W dodatku kierownica była za nisko, a przerzutka tak kiepska, że musiałem dwa razy szybciej pedałowac, żeby dorównac kolegom. Z dala moje nogi wyglądały, jakby wirowały albo jakby kręciła się sama tenisówka. Przez cały następny rok odkładałem wszystkie pieniądze od Wróżki Zębuszki, w nadziei że będę mógł sobie pozwolić na nowy rower, a stary wrzucić do rzeki. Obiektem moich marzeń była maszyna marki Schwinn Mag Scrambler. W dalszym ciągu na myśl o nim dostaję gęsiej skórki. Chromowana rama, czarne koła z pięcioma przerzutkami, wyposażony w hamulce Bendbca i karbowane opony. Jednak problem był taki, że zdołałem zbierać sześćdziesiąt dolarów, a scrambler kosztował sto dziewiętnaście. Łatwo obliczyć: jeden rok oszczędzania był za mną, a jeden przede mną. Jednak na miesiąc przed Bożym Narodzeniem tata zrobił mi niespodziankę i powiedział, że zamierza dołożyć brakującą sumę.

Mogłem za to nawet ucałować jego stopy. Pojechaliśmy do sklepu sportowego, weszliśmy tam, a ja od razu wskazałem, o co mi chodzi. Poprowadziliśmy rower do kasy, a sprzedawca namówił nas jeszcze na zakup nakolanników. Zanim wyszliśmy, obiecałem tacie, że zwrócę mu różnicę w ciągu czterech miesięcy. Ojciec załadował rower na samochód i pojechaliśmy do domu. Poprosiłem go, żeby zrobił kilka rundek po okolicy, by wszyscy w sąsiedztwie zobaczyli kierownicę wystającą z bagażnika. Wyładowaliśmy go, a potem tata poprowadził maszynę w stronę garażu i postawił pod ścianą koło drzewa. Stary rower pozostał w swoim stojaku.

Tydzień później bożonarodzeniowe słońce wdarło się do mego pokoju. Moja siostra, idąc przez hol w rannych pantoflach, przecierała dopiero oczy, ja zaś wybiegłem z pokoju w kasku do gry w football i nakolannikach. Mama i tata, zaśmiewając się, otworzyli mi drzwi wejściowe, a ja pomknąłem pomiędzy śmietnikami.

Przez kilka następnych miesięcy zbudowaliśmy przeszkody, nauczyłem się, jak skakać na dużą odległość, jeździłem zbyt szybko bez kasku i dojeżdżałem do miejsc, o których moi rodzice nie mieli pojęcia. Jeśli istnieje jedno słowo, którym miałbym opisać ten rower, to byłaby to *wolność*. To właśnie mi dał. Często powtarzałem, że moje dzieciństwo było podobne do tego, jakie miał Huck Finn, a rower spełniał w nim ważną funkcję.

Wyruszałem na nim do kina, do supermarketu Five& Dime, do straży pożarnej, gdzie strażacy pozwolili mi zjechać po mosiężnym słupie, do Stand&Snack na sław doga⁶, a gdy trzeba było napompować koła, jechałem na stację benzynową pana Westa i on pompował mi je za darmo. Nauczyłem

⁶ Sław dog - rodzaj hot doga, ale serwowany w otwartej bulce z dodatkiem kapusty.

się jeździć na jednym kole - potem mierzyliśmy, kto potrafi w ten sposób przejechać więcej miejsc parkingowych. Powyżej pięciu było już dobrze. Mój rekord wyniósł czterdzieści siedem. Minęły trzy lata: miałem już jedenaście lat i wszedłem w trudny okres. Zacząłem dokuczać kolegom, a może nawet byłem dla nich trochę ostry i nie kwalifikowałem się do żadnej paczki. Nie miałem postury ani byczka, ani cherlaka, więc gdy byczki były przeciwko mnie, to ja zwracałem się przeciwko cherlakom. Do tej pory jest mi przykro z tego powodu. Mama i tata pracowali nad moim zachowaniem, uczyli, jak się dzielić, jak kochać sąsiadów, jak siebie samego, bo naprawdę tego nie robiłem.

Któregoś dnia szkolny autobus wyrzucił mnie pod domem. Wpadłem, rzuciłem teczkę w kąt, zjadłem coś i ruszyłem do San Marco, żeby spotkać się z kumplami. Pojechałem Arbor Lane, przez Sorento Road, obok domu Saltmarsh na plac Ballis, drogą przebiegającą pomiędzy kinem a San Marco Boulevard. Gdy dojeżdżałem do skrzyżowania Ballis Place z ulicą wychodzącą zza kina, dzieciak, którego nie znałem i nigdy nie widziałem, zatrzymał mnie i sprawił, że zszedłem z roweru na chodnik. Był miły, uśmiechał się, opowiedział kilka kawałów, a przy tym miał zniszczone i dziurawe buty. Przysunął się do roweru, złapał za kierownicę i poprowadził przez minutę, a potem zapytał, czy pozwolę mu się przejechać. Jakiś tydzień wcześniej odepchnąłbym go, ale teraz, choć nie pamiętam, jak to się odbyło dokładnie, jednak pamiętałem, że rodzice pracowali nade mną, żebym się dzielił, więc skoro tak kleił się do roweru i prosił, żeby dać mu się przejechać, zapaliło mi się światełko. *Hej, mama i tata chyba właśnie to mieli na myśli. Mam tu szansę się podzielić z kimś, kogo nawet nie znam. To prawdopodobnie zasługuje na podwójne punkty. Dlaczego nigdy mi się to nie zdarza, gdy patrzę?*

-Jasne - pozwoliłem mu - ale tylko tutaj.

Dzieciak wskoczył na mój rower i uśmiechnął się, jakby właśnie dostał wspaniałe ciasteczko i colę jednocześnie. Zrobił kilka niezdarnych prób jazdy na jednym kole, więc zaproponowałem:

- Hej, mogę cię tego nauczyć.

Wiedziałem, że Bóg jest szczęśliwy, gdy ja jestem taki miły i niesamolubny. Właśnie rozpoczynałem nowe życie. Wyruszałem w nieprostą i wąską drogę i myślę, że mój nowy kolega był z tego zadowolony, bo zrobił jeszcze jedną rundkę wokół mnie, to już była czwarta, a potem przyspieszył i wjechał w szutrową drogę. Powiedział coś o wypróbowaniu karbowanych opon, ja odkrzyknąłem, że naprawdę dobrze trzymają. Zrobił jeszcze jedno okrążenie, uśmiechając się jeszcze szerzej i pokazując białe zęby - niebo uśmiechało się do nas obu - potem stanął na pedałach, przyspieszył jak zawodowy kolarz i już nigdy więcej go nie widziałem. Stałem tam jeszcze przez chwilę, wpatrując się w pustą drogę. Potem poszedłem do końca alei, myśląc, że on pewnie dobrze się bawi, i sam nie wiem, jak długo tam czekałem. Wróciłem do domu, płacząc. Nie chciałem, żeby rodzice zobaczyli moją twarz, bo jak ja im to miałem wytłumaczyć? Mama jednak dostrzegła, jak nadchodzę ulicą, i oczy jej się zwięziły. - Co się stało?

Ale tak bardzo płakałem, że nie mogłem jej powiedzieć. Poszedłem do swojego pokoju, usiadłem na fotelu i płakałem z goryczy i wściekłości. Pamiętam drżenie ramion, kapanie z nosa wycieranego w rękaw i niemożność złapania oddechu.

Po prostu nie mogłem tego zrozumieć.

Siedziałem, nogi dyndały mi nad ziemią, a ja prosiłem Boga, by pomógł mi wybaczyć temu chłopcu, bo wiedziałem, że tego sam potrzebowałem, ale nie potrafiłbym zrobić bez pomocy. Potem mama zaczęła modlić się o jego duszę,

o którą ja za bardzo się nie troszczyłem, choć na dłuższą metę był to prawdopodobnie dobry pomysł. W końcu mama poprosiła Boga o nowy rower, co też było dobrym pomysłem, bo miałem przeczucie, że Bóg jej akurat słuchał.

Gdy wieczorem tata pojawił się w domu, mama opowiedziała mu o wszystkim i widziałem wyraz bólu na jego twarzy. Nie ból spowodowany złością, jakby był zły na mnie czy na tego chłopca, ale jakiś głębszy ból rodzicielski. Jeśli macie dzieci, to wiecie, o czym mówię. Tamtej nocy, gdy zostałem sam w swoim pokoju, modliłem się, by Bóg zabił diabła. Jedynie, na czym mi zależało, to żeby smażył się w piekle i żeby było tam gorąco.

Kilka tygodni później stałem na podjeździe, strzelając bramki, znudzony do łez i pełen goryczy. Gdzieś tak około piątej na podjazd wjechał tata. Bagażnik auta był do połowy otwarty i dziwnie coś z niego wystawało. Ojciec wysiadł z samochodu uśmiechnięty, w poluzowanym krawacie. Zupełnie jakby wiedział, że jedenastoletni chłopcy mają dyplomy wyższych szkół skoków i jazdy na jednym kole oraz zjazdy rowerem z niewyobrażalną prędkością. Tata otworzył bagażnik i wyjął czarnego jak noc schwinna z dziesięcioma przerzutkami.

Wróciłem do domu po zmroku. Zwykle dostałbym za to szlaban, ale wyraz moich oczu i krople potu na czole mówiły same za siebie: granice mojego życia znów gwałtownie się poszerzyły.

Może to komuś wydać się głupie, ale to, że dostałem ten rower, dowiódł czegoś bardzo ważnego w moim życiu.

Gdy dorosłem, zmienił się mój wzrost i mój dziesięcio-przerzutkowy rower stał się dla mnie za mały, byłem świadkiem, jak wielu moich kolegów buntuje się przeciw swoim rodzicom. Niektórzy walczyli i wybijali dziury w billboardach, inni wrzeszczeli, rzucając krzesłami i kluczykami do

samochodów, a jeszcze inni przy rodzicach potakiwali głowami, a przeklinali za ich plecami. Mnie się to zawsze wydawało dziwne. Nie mogę powiedzieć, że między mną a tatą nigdy nie było nieporozumień, ale nieporozumienie to jedno, a nienawiść to zupełnie co innego.

Ponieważ byłem jedynym chłopcem w rodzinie, a sam mam trzech synów, wiem jedno na temat chłopców: wszyscy rodzimy się z pustką w piersiach wielkości taty. Nasi ojcowie albo ją wypełniają, albo w miarę dorastania czujemy tę pustkę coraz bardziej i próbujemy ją czymś zaleczyć. Zwykle są to uzależnienia.

Wujek Willee narodził się z moich własnych doświadczeń z moim tatą. A tata wypełnił moją pustkę dziesięcioprzerzutkowym rowerem, wspólnym łowieniem ryb, trenowaniem drużyny t-ballu⁶⁸, pomocą przy odpalaniu kosiarki, świeceniem latarką za sobą, otwieraniem puszek mego pierwszego piwa, odnalezieniem mnie, gdy zgubiłem się w Zachodniej Wirginii, staniem przy mnie w dniu mojego ślubu, spędzeniem ze mną trzech tygodni w Afryce, namaszczeniem mojej głowy olejem... mógłbym tak długo jeszcze wymieniać.

W zeszłym tygodniu nasz najmłodszy syn Rives skończył cztery lata. Do tej pory jeździł na starym, zardzewiałym rowerku z gołymi oponami, rozdartym siodełkiem, przekazywanym przez jedno dziecko drugiemu, który przeżył już osiem lat eksploatacji przez dwóch starszych braci i dostał za swoje na wyboistych drogach przedmieścia Christy. Tydzień przed urodzinami pojechałem do miejscowego sklepu z rowerami, pokazałem, co chcę, i zapłaciłem mojemu przyjacielowi Scottiemu sto dwadzieścia dolarów za lśniący, chromowany rower i wszelakie nakolanniki i nałokietniki,

⁶⁸Tee ball lub t-ball to dyscyplina sportowa o regułach podobnych do baseballu, mająca wprowadzić dzieci w zasady tej gry.

jakie tylko były dostępne. (Tak nawiasem mówiąc, jeśli kupiliście tę książkę, to zapłaciliście część owego rachunku). W dniu urodzin zawiozłem Rivesa do sklepu, tam go dla niego odpakowali, a syn od razu pojaśniał, jakby ktoś zapalił w nim światło. Potem bez zastanowienia wskoczył na mnie, uścisnął i powiedział: - Dzięki, tato.

Posłuchaj. Słyszałeś to? O to właśnie chodzi. Dźwięk tych słów, który sprawia, że wiem, iż wypełniłem w nim pustkę. W przeciwieństwie do chłopca, który ukradł mi rower trzydzieści lat temu i który jedzie na resztkach paliwa.

To temat na szerzej zakrojoną dyskusję o roli ojca w życiu syna. Wujek Willee jest moim wkładem w tę dyskusję. Gdybym musiał to powtórzyć, znaczyłoby, że za pierwszym razem nie słuchaliście dokładnie, ale mogę wszystko podsumować jednym słowem: *niezrównany*.

Pytania do dyskusji w grupie

1. Jaki jest twoje ulubione powiedzonko wujka Willee ego nazwane w książce willeezmem?
2. Jakie znaczenie ma dla ciebie tytuł książki „W pogoni za świetlikami”?
3. Jak opisałbyś stosunek Chase'a do wujka Willee'go? A jak do Tommye?
4. Każdy z bohaterów książki został naznaczony jakimś osobistym dramatem. Jaki wpływ miały te dramaty na dalsze losy wujka, Tommye, Chasea i Sketcha?
5. Chociaż Lorna jest postacią wyciszoną, zawsze trochę na drugim planie, odgrywa jednak znaczącą rolę w zabliznianiu się życiowych ran wujka, Tommye, Chasea i Sketcha. W jaki sposób troszczy się ona o każde z nich?
6. Jaki jest wpływ Mandy na życie Chase'a i jego poszukiwanie prawdy o wujku Willeem? Czy tobie także ktoś towarzyszył i wspierał cię w trudnej sytuacji życiowej?
7. Sanktuarium pełni rolę schronienia i wyciszenia dla wujka, Tommye, Chase'a i Sketcha. Czy i ty masz takie miejsce?
8. Jak myślisz, dlaczego Willee wziął na siebie winę za przestępstwa, których nie popełnił? Czy kiedykolwiek postąpiłeś podobnie, by chronić kogoś ci bliskiego?
9. Wujek mawiał: „Dzieci są jak źródło albo jak Rozciągliwy Armstrong. Bez względu na to, ile razy przejdą z rąk do rąk, są oddawane, przekazywane... odnajdują się... Nadzieja, to je napędza”. Uważasz, że to stwierdzenie jest prawdziwe?
10. Z którą z postaci przedstawioną w książce mógłbyś się identyfikować? Dlaczego?

11. Wujek mawia, że słowa, które zapadają w serce, to te, które się szepcze, a nie wykrzykuje. Jak myślisz, co to znaczy? Czy sprawdziło się to także w twoim życiu?

12. Chase często napomyka o dziurze w sercu. Co stało się z tą dziurą, gdy bohater odkrył całą prawdę o sobie?

13. Omów opowiedziane w rozdziale 23 zdarzenie ze świetlikami. W jaki sposób ta historia przemawia do ciebie?

14. Jakie znaczenie mają imiona i ci, którzy je nadają (lub nie nadają)?

15. W tej historii jest wiele przykładów osób, które nie są tymi, kim z pozoru się wydają. Którzy to bohaterowie i jaki mają wpływ na innych?

16. Każda z postaci w tej historii uruchamia swój mechanizm obronny. Czy w prawdziwym życiu także posługujemy się tą metodą?

Oceń - wujek Willee ocenia ludzi w sposób, który ma na nich ogromny wpływ. Gdy ratuje Chasea, mówi, że nic ani nikt nie może się z nim równać. Jaką wagę przykładasz do roli, jaką ludzie odgrywają w twoim życiu?